
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji),
Mirosław Lewandowski, Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew
Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

MAGDALENA MERTA

Nagroda dla Bohdana Urbankowskiego. 5

PROF. JACEK BARTYZEL

„Źródła” – recenzja 9

Obchody 74. rocznicy bitwy pod Monte Casino 27

Rada do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej
oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych 38

VII Konferencja Świętokrzyska 41

Odznaczenia dla działaczy opozycji antykomunistycznej 45

Tomasz Karwowski odszedł na wieczną wachtę 50

KS. PRAŁAT JÓZEF ROMAN MAJ

Na Jubileusz Tadeusza Stańskiego 54

Stanisław Likiernik zawsze był wierny niepodległej Rzeczypospolitej 57

DR JERZY BUKOWSKI

Okiem filozofa spod kopca Piłsudskiego 61

DR DARIUSZ MACIEJ GRABOWSKI

O ekonomii i nie tylko... 94

MACIEJ GAWLIKOWSKI, MIROSŁAW LEWANDOWSKI

Już nie zastrzeżony, ale nadal tajny? 101

ŁUKASZ PERZYNA

Obserwator demokracji. 109

STANISŁAW LIKIERNIK

Diabelne szczęście czy palec Boży? (cz. 1) 129

DR MARCIN FURDYNA

Stanisław Cat-Mackiewicz i „Kultura”(cz. 3) 209

ŁUKASZ PERZYNA	
Rozmowa ze Stanisławem Kotowskim	247
DR ANDRZEJ ANUSZ	
„Żeby Polska była Polską” (1981–1989) – najmniejsze pismo drugiego obiegu (cz. 3) . . .	260
ŁUKASZ PERZYNA	
O „Cyrografie” Jerzego Woźniaka	307
PIOTR PLEBANEK	
Kuczaba	311
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Rozmowy z wierszami	315
WALDEMAR PERNACH	
Zygryd. Grzeszny urok życia. Dwa oblicza jednej gęby (cz. 1)	333

MAGDALENA MERTA

NAGRODA DLA BOHDANA URBANKOWSKIEGO ZA „ŹRÓDŁA

Wicepremier, minister kultury Piotr Gliński odznaczył twórców, animatorów i mecenasów, których działalność w sposób szczególny przyczyniła się do rozwoju, upowszechniania i ochrony kultury. **Dr Bohdan Urbankowski** otrzymał za książkę „*Źródła*” nagrodę im. Tomasza Merty w kategorii – „Między literaturą a historią”. Gala wręczenia Dorocznej Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odbyła się 15 czerwca w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie.



Laudację dzieła Bohdana Urbankowskiego pod tytułem „Źródła” wygłosiła żona śp. Tomasza Merty, Magdalena. Powiedziała;

Czuję się nieco onieśmielona stając przed Państwem, by wygłosić laudację dzieła Bohdana Urbankowskiego pod tytułem „Źródła”. To prawda, że to ja rekomendowałam je do nagrody ministra kultury im. Tomasza Merty, ale mam obawy, że dla autora i samej pracy byłoby lepiej, gdyby wypowiadał się o niej ktoś bardziej fachowy. Zrobię jednak co w mojej mocy, by uzasadnić dlaczego to właśnie dzieło ze wszech miar zasługuje na wyróżnienie.

W czterech potężnych tomach „Źródła” przedstawiają analizę jakże bogatego – a wielu czytelników przed ich lekturą być może nie wiedziało nawet, jak bardzo bogatego – dorobku polskiej myśli filozoficznej. I czynią to nie tylko ze swadą i fascynującą potocznością narracji, właściwą tylko najbardziej utalentowanym pisarskim piórom, ale także z fenomenalnym rozmachem i swobodnym poruszaniem się przez autora po dziesiątkach wątków i zagadnień, po przemienności epok historycznych, po wreszcie implementacji opisanych prawd w polskiej rzeczywistości. Bohdan Urbankowski znakomicie rozumie, że idee mają konsekwencje i stara się ukazać czytelnikowi nie tylko sam polski idiom filozoficzny, ale także jego urzeczywistnianie się w polityce i praktyce społecznej, oraz literaturze. Bo jak na wielkiego erudyty przystało autor śledzi także literackie przejawy przyjmowanych postaw filozoficznych, ich artystyczne przetworzenie w wybory dokonywane przez literackich bohaterów, ich – czasem dyskretne, a czasem otwarcie jawne – propagowanie wśród czytelników.

Tytuł nagrody imienia mojego męża, tytuł, który brzmi „Między historią a literaturą”, doskonale pasuje do prezentowanego dzieła, o którego strukturze i treści nie będę Państwu opowiadać, bo obiecałam organizatorom, że moje wystąpienie będzie krótkie. I tak je Państwo poznacie, albo już poznaliście, podczas lektury, która – jak pragnę zapewnić tych, co mają ją jeszcze przed sobą – jest wielką intelektualną przygodą i, co nie mniej ważne, ogromną przyjemnością. Poznajemy dzięki niej – jak mówią podtytuły kolejnych tomów – budowniczych nadpowietrznych katedr i rycerzy nadpowietrznej walki, poznajemy strażników ich czynu i skarbów, owego, jak nazywa go autor „Niewidzialnego arsenału”, i pozwalamy tłumaczyć sobie narodowe testamenty i poczuć się spadkobiercami tej duchowej skarbnicy.

Nie byłabym sobą, gdybym przy tej okazji nie powiedziała paru słów o tak dobrze mi znanym sposobie myślenia mojego męża o literaturze, w tym literaturze naukowej. Tomasz Merta, choć systematycznie czytał wszystko, co dotyczyło dziedziny jego wiedzy, z pewnym zniecierpliwieniem i niedosytem przyjmował publikacje przyczynkarskie i skupiające się na jakimś wycinku zagadnień. Miał też ustalony pogląd na przedstawianie źródeł – za zbędne uważał publikacje, które ograniczały się do ich streszczania, uważając za właściwsze albo krytyczne ich opracowanie i opatrzone aparatem naukowym wydanie *in extenso*, albo przeprowadzanie na ich podstawie badań i ukazanie ich wyników, poddających zjawiska czy idee całościowej syntezie. Mawiał ironicznie, że nie wystarczy zadawanie sobie trudu przeczytania archiwaliów, trzeba ten materiał źródłowy przemyśleć. Dzieło Bohdana Urbankowskiego jest od tych deficytów wolne. Nie ma wątpliwości, że „Źródła” nie są mechanicznym przedstawieniem kolejnych wątków polskiej filozofii, lecz spójnym, starannie przemyślanym całościowym spojrzeniem na intelektualny i kulturowy dorobek polskiej myśli.

Tomasz Merta ubolewał też często nad brakiem w polskiej bibliografii naukowej pełnych opracowań historii kulturalnych dokonań naszego narodu – marzył na przykład o powołaniu zespołu naukowego, który opracowałby wielotomową, pełną historię polskiego teatru. Stąd żałuję ogromnie, że nie doczekał publikacji „Źródła”, bo to dzieło z pewnością by go zachwyciło, dało poczucie głębokiej satysfakcji, że oto dostaliśmy do rąk fenomenalną i całościowo ujętą historię jakże ważnego elementu polskiej kultury. Mamy bowiem za sprawą „Źródła” do czynienia z prawdziwym *opus magnum*, odpowiadającym na pytania o pochodzenie – źródła właśnie – naszej tożsamości, naszego wkładu w historię Europy, naszego myślenia o przeszłości i współczesności świata. Udało się Bohdanowi Urbankowskiemu nie tylko przedstawić je w kontekście historycznym, na tle zmieniających się epok, ale także udowodnić, że – posłużę się tu trawestacją tekstu Jacka Kaczmarskiego – te „źródła wciąż biją”, zasilając swą siłą także nas, żyjących obecnie, i stanowić będą zapewne istotny czynnik kształtowania intelektualnej struktury tych, co przyjdą po nas. A może nawet, dzięki Bohdanowi Urbankowskiemu owe źródła wybiją jeszcze mocniej i obficie, bo lektura jego dzieła uświadomi wielu z nas siłę polskiej myśli, skłoni do

refleksji nad nią, ułatwi korzystanie z tego dorobku w naszym własnym pojmowaniu rzeczywistości, zainteresuje głębią dawnych i niedawnych przemyśleń nad ludzką duchowością i ludzkim działaniem. O ileż prościej będzie teraz, mając tak doskonały przewodnik, tak znakomicie usystematyzowaną wiedzę, czerpać z tej skarbnicy.

Podziw mojego męża niewątpliwie wzbudziłby też fakt, że dzieło, którego stworzenie dostarczyłoby na lata zajęcia całemu zespołowi naukowców, wyszło spod pióra jednego tylko człowieka. Ale cóż, nie od dziś wiemy, że Bohdana Urbankowskiego nie można uznać za – po prostu – naukowca. Właściwsze jest nazywanie go uczonym, bo choć tych dwóch słów używa się synonimicznie, to jednak uczony w moim przekonaniu to ktoś więcej niż naukowiec. A patrząc na cały życiowy dorobek autora „Źródła” może wręcz należałoby używać terminu mędrzec. Tu już intuicyjnie czujemy, że określenie mędrzec nie równa się pojęciu naukowca, uczonego, eksperta czy specjalisty. A pisarza nietrudno moim zdaniem zestawić w jednym szeregu z tymi współczesnymi postaciami, które właśnie za mędrców uważamy, takimi jak Denis de Rougemont, Mircea Eliade czy Umberto Eco.

Pragnę gorąco podziękować organizatorom dzisiejszego spotkania za zaszczyt, jakim jest możliwość zabrania przeze mnie głosu przed tak szacownym gronem. Bardzo dziękuję panu premierowi Piotrowi Glińskiemu za włączenie mnie w prace kapituły nagród ministra i samej kapituły za przychylenie się do zarekomendowanej przeze mnie nominacji. Ale przede wszystkim dziękuję autorowi za jego fundamentalne dzieło – właśnie dzieło, a nie, jeśli już jesteśmy przy semantycznych niuansach, książkę, pracę czy tekst – tak znacząco wzbogacające naszą kulturę. Dziękuję za „Źródła, ale także za wszystkie wcześniejsze dzieła i twórcze lata, poświęcone służbie nauce, służbie literaturze, i służbie Polsce.

„ŹRÓDŁA” – RECENZJA

Źródła myśli polskiej w wyborze Bohdana Urbankowskiego są obfite niczym róg Plutona, wartkie i mieniające się barwami niczym wypadające spod wierchów kaskady potoków tatrzańskich, a ich eksploracja przez autora niezwykle interesująca. Zarazem jest to wybór ultra subiektywny i zdradzający co krok chęć autora do poruszania się zasadniczo tylko jedną, lewą stroną, nieortodoksyjną religijnie, filozoficznie i politycznie – recenzja autorstwa prof. Jacka Bartyzela książki Bohdana Urbankowskiego *„Źródła” Z dziejów myśli polskiej*.

Historia heterodoksji polskiej

W tomie I, zatytułowanym *Budowniczo wie Nadpowietrznych Katedr*, autor rozpoczyna swoją narrację od obszernego (100 stron) przedstawienia niezwyklej, tajemniczej postaci pierwszego polskiego uczonego (a może uczonego z Polski?), „czarnoksiężnika” Witelona, żyjącego w XIII wieku. W kolejnych rozdziałach znajdujemy sylwetki twórców XV-wiecznej polskiej szkoły filozofii prawa (Stanisław ze Skarbimierza i Paweł Włodkowic), pierwszych humanistów „polskiego Quattrocento” (Grzegorz z Sanoka i Kallimach), Mikołaja Kopernika, „ojców polskiej demokracji” (Andrzej Frycz Modrzewski i Jakub Przyłuski), antytrynitarzy, czyli tzw. Braci Polskich (Piotr z Goniądza, Grzegorz Paweł z Brzezin, Erazm Otwinowski, Szymon Budny, Marcin Czechowicz, Faust Socyn, Andrzej Wiszowaty) oraz ariańskich poetów (Wacław Potocki i Zbigniew Morsztyn), „Horacego chrześcijańskiego” Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, sarmackiego statystę Andrzeja Maksymiliana Fredrę, a dalej już autorów ze stulecia mianującego się „epoką światel”: jej prekursora (Antoni

Wiśniewski), bojowników „klasycyzmu stanisławowskiego” (Felix Jaroński, Hugo Kołłątaj, Józef Kalasanta Szaniawski, Ignacy Zabellewicz-Zubelewicz), „Arystoteles a czynu”, czyli Stanisława Staszica, wreszcie „dekadenta Oświecenia” – Jana Śniadeckiego.

Tom II, którego tytuł *Rycerze Nadpowietrznej Walki* jest cytatem ze Słowackiego, został poświęcony w całości romantykowi, a więc kanonicznej tradycji polskiej, której Bohdan Urbankowski jest nie tylko znawcą, ale i ważnym kontynuatorem. Są tu więc oczywiście romantyczni poeci: Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Cyprian Norwid oraz „poeta czynu” Maurycy Mochnacki; mesjanista Józef Maria Hoene Wroński i przedstawiciele „polskiej filozofii narodowej”: August Cieszkowski, Karol Libelt i Bronisław Ferdynand Trentowski, a także dwaj polityczni radykałowie: Edward Dembowski i Henryk Kamieński.

Tom III – *Strażnicy niewidzialnych arsenatów* – dzieli się na dwie mniej więcej równe części. W pierwszej omówieni zostali prekursorzy pozytywizmu (Wojciech Jastrzębowski, Józef Supiński) oraz uczeni bądź publicyści z nim kojarzeni (Erazm Majewski, Julian Ochorowicz, Aleksander Świętochowski, Ludwik Gumpłowicz); drugą wypełniają postaci reprezentantów „socjalizmu o sarmackim obliczu”, zainaugurowanego przez Wiktora Heltmana i Stanisława Worcell, dalej zaś Bolesław Limanowski, Ludwik Krzywicki, Stanisław Brzozowski, Edward Abramowski i – traktowany ze szczególną atencją – Józef Piłsudski.

Bohaterami tomu IV (z tytułową aluzją do Norwida) – *Tłumaczenie narodowych testamentów* – są filozofowie XX-wieczni: twórca metafizyki lwowsko-warszawskiej – Kazimierz Twardowski i jego uczniowie (Jan Łukasiewicz, Kazimierz Ajdukiewicz), „polski Renan” – Władysław Witwicki, kompletnie zapomniany „Plato prowincjonalny” – Kazimierz Sośnicki, „Sokrates warszawski” – Tadeusz Kotarbiński, filozofowie artyści – Leon Chwistek i Stanisław Ignacy Witkiewicz, „ostatni historiozof” – Feliks Koneczny, Florian Znaniecki, Bronisław Malinowski, Henryk Elzenberg, Kazimierz Dąbrowski, a wieńczy tę część prezentacja „filozofii nieśmiertelnej nadziei” Karola Wojtyły. Nie dość wszelako na tym, bo w zatytułowanym nieco kokieteryjnie ostatnim rozdziale „Zamiast posłowania” autor w tok narracji już problemowej, a nie podmiotowej,

wplata mikro-sylwetki lub przynajmniej dłuższe wzmianki całego szeregu postaci ze wszystkich epok myśli polskiej, jak: abpa Jakuba Świnki, „pierwszego felicytologa” Pawła z Worczyna, Stanisława Iłowskiego, Stanisława Orzechowskiego, Szymona Starowolskiego, pierwszego polskiego ateisty Kazimierza Łyszczyńskiego (i jego jezuickiego nauczyciela Jana Morawskiego), Henryka Struwego, Adama Mahrburga, Władysława Biegańskiego, Mariana Borowskiego, Mściława Wartenberga, Władysława Tatarkiewicza, Romana Ingardena, filozofującego poety Jerzego Żuławskiego, „uniwersalistów”: Andrzeja Trzebińskiego i ks. Józefa Warszawskiego, unionisty Jerzego Brauna, tomistów: ks. Franciszka Gabryła („największego z mistrzów polskiej scholastyki”) i Mieczysława Gogacza, o. Józefa Marię Bocheńskiego, ks. Józefa Tischnera, Tadeusza Płużańskiego, ks. Włodzimierza Sedlaka, a nawet autora polskiego kodeksu honorowego (jako jednej „z bardziej oryginalnych propozycji etycznych

II RP”) – Władysława Boziewicza. Są tu też niepochlebne wzmianki o marksistowskich komisarzach kultury w PRL (Maria Janion, Leszek Kołakowski, Adam Schaff, Zygmunt Bauman), później poprzebieranych w różne peleryny, oraz ich „neomarksistowskich” adeptach, jak Adam Michnik.

Trudno nie poczuć się maluczkim wobec tego ogromu wiedzy, erudycji i mrowczej pracowitości autora, który porwał się sam jeden na napisanie syntezy, jeśli w ogóle przez kogokolwiek podejmowanej, to co najwyżej przez mnogie zespoły badaczy i to najlepiej zabezpieczone uprzednio w brzęczące monety granty.

Myliłby się jednak ten, kto by podejrzewał, że owe cztery tomszyska to jakieś gigantyczne *silva rerum*, albo zgoła „ogród nieplewiony”, w którym plenią się bez ładu i składu niekoherentne wykwity myśli. Przeciwnie: dzieło Urbankowskiego zostało skomponowane w oparciu o kilka bardzo mocnych założeń i tez konsekwentnie organizujących cały tok prezentacji poszczególnych szkół i myślicieli. Pierwszym z tych założeń jest przeświadczenie, że istnieje i da się (jak by rzekł Mochnacki) „wywieść na jaśnię” filozofia polska, a dokładniej mówiąc: polska filozofia narodowa. Jak dowiadujemy się z wprowadzenia, autor doszedł do tego przeświadczenia już jako młody uczestnik konwersatorium docenta Zygmunta Baumana, wywodzącego, iż czegoś takiego, jak „filozofia polska” czy „filozofia narodowa” nie ma i być nie może, należy zatem mówić jedynie o „filozofii w Polsce”, pouczającego nadto wygłaszającego referat studenta Urban-

kowskiego, że nie powinien używać skompromitowanego i wywołującego mroczne skojarzenia słowa naród, skoro jest piękne określenie społeczeństwo i jeszcze piękniejsze słowo lud. Można się domyślić, że to odległe już w czasie starcie było pierwszym impulsem do powstania dzieła, które obecnie dane jest nam czytać. Jak możemy już nie tylko domyślać się, ale mieć pewność, busolą dla Urbankowskiego w jego studiach nad rodzimą myślą było stwierdzenie autora opublikowanej w 1921 r. Polskiej filozofii narodowej – Maurycygo Straszewskiego, iż „mamy pełne prawo mówić o naszej filozofii narodowej, my ją posiadamy, tak samo jak posiadają ją Włosi, Niemcy, Francuzi lub Anglicy. Zagadnienia filozoficzne są wszechludzkie, ale sposób ich poruszania i ich wybór może stać w związku z życiem i losami danego narodu i to właśnie wyciska pewne właściwe piętno na twórczość jego myślicieli”. Odwołując się dalej również do Mickiewicza i do słynnego wykładu Józefa Gołuchowskiego z 1823 r. o filozofii w stosunku do życia całych narodów i oddzielnych ludzi, wzmacnia tę tezę jeszcze przeświadczeniem o narodotwórczej roli samej filozofii, jest ona bowiem źródłem, z którego da się wprowadzić w życie wielkie myśli, rodzące kolejne, równie wielkie. A zatem była i jest „filozofia polska w Polsce” – i to nie jedna, lecz składająca się z wielu projektów, często wyprzedzających pracę myślową Europy, począwszy od XV-wiecznej krakowskiej filozofii prawa, jak również była i jest „filozofia w Polsce”, będąca „kołem (eulerowskim) mieszczącym w sobie i filozofię polską i kilka innych – wymyślonych gdzie indziej a uprawianych na terenie Polski” (t. IV, s. 849), a poniekąd i „filozofią na gościnnych występach”.

Uzupełniający – a nadto „unaukowiający” – w stosunku do powyższej tezy charakter ma teza odwołująca się do teorii systemów, rozwijanej przez cybernetykę społeczną. Nie jest istotne to, jak zaznacza Urbankowski, że dyscyplinę tę w PRL „z powodzeniem rozwijali dwaj najwybitniejsi współpracownicy SB: Marian Mazur (1909-1983) i Józef Kossecki (1936-[2015])”, skoro jest ona niezłym narzędziem do ujmowania zjawisk społecznych. Można zatem posłużyć się cybernetycznym terminem „układ”, aby rozpoznać filozofię jako „podukład” kultury narodowej, będącej częścią ogólnoludzkiej pracy w świecie wartości, naród zaś – jako „podukład” określonej cywilizacji (tu nazywanej śródziemnomorską resp. łacińską), wykonujący pracę nad humanizacją obsza-

ru zajmowanego od tysiąca lat przez ten naród. Prowadzi to wniosku, iż skoro filozofia jest wykładnikiem rozwoju narodowej kultury, to naród niemający filozofii jest niedorozwinięty, inaczej mówiąc – nie ma świadomości. Z kolei „nadukładem” filozofii polskiej („niezwykle ważnym”), zdaniem autora, była ideologia niepodległościowa.

Kolejna teza Urbankowskiego głosi, że o tworzeniu narodowości i kultury polskiej – nazywanym też samotworzeniem narodu – sensownie można mówić „dopiero z chwilą wprowadzenia chrześcijaństwa i chrześcijańskich kodów kulturowych” (t. IV, s. 859). To, przy okazji, celna odpowiedź na szerzone ostatnio bzdurne, pseudohistoryczne teorie o przedchrześcijańskiej „Wielkiej Lechii”. Proces budowania chrześcijańskiego środowiska duchowego był długi, lecz rozpalenie tego światła wiary zaowocowało już w XIII wieku zrodzeniem się świadomości narodowej, obejmującej w nierozzerwalnym odtąd splocie wartości patriotyczne i sakralne. Chryścianizm akomodowany w Polsce, w środowisku duchowym „Sarmatów”, był przy tym niezmiennie obronny, zbudowany na rycerskiej, ale defensywnej „ideologii” (to okropne słowo niestety się tu pojawia, ale mniejsza o to) przedmurza chrześcijaństwa (*antemurale christianitatis*). Chrześcijańska obrzędowość tak mocno przepoiła zarówno sferę publiczną, jak prywatną, Polaków, że respektowali ją nawet agnostycy i niewierzący, toteż „do czasu marksizmu w wersji najeźdźniczej nie było w Polsce filozofii, która niszczyłaby sacrum i związaną z nim tradycję” (t. IV, s. 874).

Ktokolwiek zetknął się już z pisarstwem Urbankowskiego, tego nie zaskoczy kolejna teza, iż najciekawszym i najbogatszym w dziejach polskiej myśli okresem jest romantyzm. To szczyt polskiej kultury, wybuchającej gejzerem genialnych poetów i myślicieli, którzy – jak zauważa autor – są do siebie pod wieloma względami podobni, ale nie jednakowi i często nawet tych samych słów używają w innym znaczeniu. Dlatego też romantyzm polski bywał i może być określany wieloma innymi, synonimicznymi nazwami, jak mesjanizm, filozofia narodowa, filozofia czynu, twórczości, praktyki czy wyobraźni. Myśl romantycznych filozofów jest tedy „iloczynem”, a nie sumą filozofii jednostkowych, toteż w odniesieniu do romantyzmu polskiego można mówić o filozofii zbiorowej (dodajmy, że wskazywał na to już Brzozowski). Co więcej, romantyczny projekt filozofii jest jednocześnie pierwszą w dziejach naszej kultury

metafilozofią, na którą składają się trzy zasadnicze przesłanki, uwarunkowania i cele: syntetyzm (rozumiany jako „wieloprzestrzenne” widzenie filozofii i jej spraw), aktywizm (resp. kreacjonizm) i praktycyzm (w znaczeniu poświęcenia jednostki i jej pracy dla wspólnoty).

Ostatnią – i najbardziej kontrowersyjną, dodajmy od razu – tezę, dającą się odczytać jako jeden z motywów przewodnich opus Urbankowskiego, jest przeświadczenie, że polski socjalizm, nieporównywalny z jakimkolwiek innym socjalizmem „sarmackim”, nazywany także polskim socjalizmem humanistycznym, socjalizm, którego pierwociny autor dostrzega już u myślicieli oświeceniowych (Staszic) i romantycznych (Mickiewicz), a którego symboliczny koniec wyznacza tajemnicza śmierć (1988) Jana Strzeleckiego, jest kolejną szkołą polskiej filozofii narodowej, jako, że jego etos był po części unowocześnionym kodeksem rycerskim, opierając się o takie wartości, jak niepodległość, godność, sprawiedliwość społeczna, współpraca i pomoc, stanowiące dlań definicję narodu. Ta apoteoza „lirycznego” modelu polskiego socjalizmu (świadomie czynimy tu aluzję do tytułu ostatniej książki Strzeleckiego) jest tu wyrażona *expressis verbis*, czytamy bowiem już we wspomnieniowym wprowadzeniu wyznanie, że młody doktor Urbankowski zamierzał habilitować się (co udaremniły „łobuzy od historii”) z myśli etycznej, estetycznej i metafizycznej uprawianej przez polskich socjalistów, oraz że przyświecał mu zamiar unaocznienia, iż „tzw. (właściwie dlaczego to nagłe „wzięcie w nawias”? – JB) lewica miała w dorobku wielką pracę na rzecz polskiej kultury, inną i bardziej atrakcyjną niż ta spod znaku marksizmu-leninizmu; może dlatego była zwalczaną najgroźniejszą bronią, bo milczeniem” (t. I, s. 18). Kto wie czy właśnie w tej deklaracji nie kryje się wyjaśnienie zagadki, jaką dla piszącego tę recenzję są wielkie i znaczące nieobecności myślicieli z „najwyższej półki” w badaniu źródeł myśli polskiej przez Urbankowskiego. *Prima facie* stawianie tej kwestii może być uznane za nieprzyzwoitość wręcz: jakże to, dzieło liczy kilka tysięcy stron, traktuje o myśli dziesiątków myślicieli, nieraz zupełnie zapomnianych, a recenzentowi jeszcze mało? Czyż autor nie ma prawa do wyboru tych tradycji, które uważa za własne, a pomijania obcych mu? Owszem, ma – odpowiadamy – ale każdy wybór i każde pominięcie jest znaczące. Zwłaszcza w dziele pod takim tytułem świadczy o tym, kogo autor uważa za godnego czci i obecności w „narodowym

kościelne pamiątek”, a komu odmawia do niego wstępu i rad by skazać go na zapomnienie. Powodów niektórych pominąć się domyślamy, ale są też i takie, które dziwią nawet jeśli przyjąlibyśmy streszczone powyżej kryteria ewaluacji.

Którzy zatem są ci wielcy nieobecni w źródłanym akwenie myśli polskiej Urbankowskiego? Już w okresie staropolskim uderza nieobecność – zważywszy zwłaszcza ile miejsca poświęcono heretykom tak skrajnym, że nieakceptowalnym nawet przez główne denominacje protestanckie, czyli arianom – wielkich postaci polskiej kontrreformacji, na czele z kard. Stanisławem Hozjuszem,

ks. Piotrem Skargą (wspomnianym ledwie, w czwartym tomie, jako poczytny autor *Żywotów świętych*) i autorem polskiego przekładu Biblii katolickiej –

ks. Jakubem Wujkiem. Wśród staropolskich myślicieli politycznych pominęci zostali: czytany w całej Europie, a zwłaszcza w Anglii, teoretyk polskiej monarchii mieszanej i parenetycznego wzorca „senatora doskonałego” – bp Wawrzyniec Goślicki, monarchista integralny Krzysztof Warszawicki, polski arystotelik Sebastian Petrycy, a nawet Jan Zamoyski jako autor rozprawy o senacie rzymskim. Największy poeta polskiego renesansu, czyli oczywiście Jan Kochanowski, też nie zasłużył na omówienie choćby etyczno-politycznego przesłania jego „Odprawy posłów greckich”. Nie ma także „poetów metafizycznych” polskiego baroku, na czele z Mikołajem Sępem-Szarzyńskim, z całym bogactwem religijno-filozoficznej refleksji w ich twórczości. Jeśli etos rycerski jest tak istotnym składnikiem polskiej świadomości, a wątki mesjanistyczne oraz stop wartości patriotycznych i sakralnych stanowią bodaj główny wyznacznik polskości, to dlaczego świeci nieobecnością właściwie cała (poza Potockim i Fredrą) tradycja sarmacka XVII i XVIII wieku, zarówno w poezji – choćby w Psalmidii polskiej Wespazjana Kochowskiego – jak w kaznodziejstwie, od ks. Fabiana Birkowskiego po ks. Marka Jandołowicza i w ogóle Konfederację Barską? Jeśli zaś „ideologia niepodległościowa” stanowi „nadukład” filozofii polskiej, to czym wytłumaczyć pominięcie kanonicznej dla tej ideologii broszury „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?”, wydanej pod nazwiskiem Józefa Pawlikowskiego, ale z pewnością co najmniej zainspirowanej przez Tadeusza Kościuszkę?

Jeżeli spośród trójki romantycznych „Trzech Wieszczów” na osobny rozdział nie zasłużył akurat ten, który był pośród nich najbardziej „filozoficzny” – „poeta

myśli” Zygmunt Krasiński, to nie może to być przypadek, ani „przeoczenie”; to jest na pewno przemyślana i świadoma „banicja” z uniwersum polskiej tradycji. Dlaczego? Możemy się tylko domyślać, że powodem jest kontrrewolucyjny konserwatyzm autora Psalmów przyszłości. To nasze podejrzenie dowodem stwierdzone, albowiem konserwatyzm polski zieje w Źródłach Urbankowskiego pustką tak przepastną, jak ogromny lej po wybuchu bomby o wielkiej mocy. Nie ma ani „myśli wyjarzmielskiej” z kręgu Hotelu Lambert i księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, ani polskiego ultramontanizmu ze Zmartwychwstańcami (ks. Hieronim Kajsiwicz wspomniany raz jako bliższy „interesom Watykanu” niż Polski), ani „pentarchii petersburskiej” (prócz ironicznej, ale znamiennej uwagi, iż abp Ignacy Hołowiński aż z Petersburga nadzorował czystość wiary Polaków), ani „klemensowczyków” skupionych wokół „Pana Andrzeja” Zamoyskiego, ani „grona krakowskiego” zakładającego „Czas”, ani „Stańczyków” i ich XX-wiecznych kontynuatorów, ani wileńskich „żubrów” z ich błyskotliwym rzecznikiem Stanisławem Mackiewiczem (Catem), ani w ogóle monarchistów II Rzeczypospolitej, ani rzeczników „polskiej idei imperialnej” z „Buntu Młodych”. Drugim wielkim nieobecnym, jeśli chodzi o szkoły polskiego myślenia politycznego jest unowocześniona wersja polskiej prawicy w XX wieku, czyli Narodowa Demokracja ze wszystkimi jej rozgałęzieniami i mutacjami, tak jakby nacjonalizm też nie był jakąś formą polskiej filozofii narodowej. Ścisłej mówiąc, o endecji znajdujemy w tomie trzecim jedną dłuższą wzmiankę, sprowadzającą się do jej zestawienia z... SDK-PiL i PPS-Lewicą, jako ugrupowań ugodowych i odrzucających niepodległościowy program PPS Piłsudskiego. Trudniej wyrazić jaśniej swój pogardliwy stosunek do tego ugrupowania, aliści i z Piłsudskim i jego drużyną rzecz jest też dosyć dziwna, bo i on sam został niejako zakleszczony w przegródce socjalizmu, i nieobecni są piłsudczycy, którzy wraz z nim wysiedli jednak z czerwonego tramwaju oraz budowali i uzasadniali polską wersję autorytaryzmu, czy też „myśli państwowej”, jak choćby Walery Sławek, Adam Skwarczyński czy Ignacy Matuszewski. Trudno skądinąd oprzeć się wrażeniu, że pochlebne wzmianki o Henryku Sienkiewiczu – bądź co bądź konserwatyście, a od początku XX wieku zbliżonemu do obozu narodowego – wynikają po części z tego, że z Trylogii uczyć się „strzelać do dwugłowego orła” zalecał „chłopcom z Organizacji Bojowej” Piłsudski i w ogóle pisarz ten kształtował „etykę rycerską piłsudczyków” (t. III, s. 663).

Trudno też pojąć, że Urbankowski ze swoim heroicznym i aktywistycznym etosem zignorował najbardziej maksymalistyczną w tego rodzaju patosie twórczość Stanisława Wyspiańskiego, a także pokrewnego mu rozmachem i eksploatacją „źródeł duszy polskiej” Tadeusza Micińskiego. W ogóle można odnieść wrażenie, że dla Urbankowskiego nie istnieje jako odrębne zjawisko Młoda Polska, tak obfitująca w neoromantycznych i neomesjanistycznych „spadkobierców Króla Ducha”, że wspomnimy tylko Artura Górskiego, Wincentego Lutosławskiego czy Antoniego Chołoniewskiego, badających „ ducha dziejów Polski” i „ku czemu Polska szła”. Skoro (pomimo „zawłaszczenia” tego myślicie-la przez neoendeków) na obszernie omówienie zasłużył Koneczny, to dlaczego zabrakło miejsca dla równie oryginalnych filozofów kultury i historii: Mariana Zdziechowskiego i Jana Karola Kochanowskiego? Fragmenty traktujące o filozofach katolickich rażą nieobecnością akurat tych największych polskich kontynuatorów św. Tomasza z Akwinu: o Jacku Woronieckiego i Szkoły Lubelskiej na czele z o. Mieczysławem Albertem Krąpcem. Widać, że Urbankowski dużą estymą darzy antropologię i myśl społeczną Karola Wojtyły/Jana Pawła II, ale w takim razie pominięcie nauczania Prymasa Tysiąclecia – Stefana Wyszyńskiego też nie wygląda na przypadkowe lub spowodowane brakiem miejsca.

W tym momencie dotykamy najbardziej problematycznego aspektu syntezy Urbankowskiego, a mianowicie kwestii religijnej. Na pozór nie powinno być tu nic niepokojącego, bo, jak już wspominaliśmy, chrześcijaństwo uważa autor za kod kulturowy i środowisko duchowe polskości. Są to jednak formuły wyraźnie immanentystyczne – w ostateczności można je sprowadzić do konstatacji i akceptacji faktu, że polski obyczaj i polski idiom literacki karmią się dorobkiem chrześcijaństwa, bez którego byłyby nie do wyartykułowania, ale po prostu dlatego, że tak sprawiła historia, która mogła przecież potoczyć się inaczej, gdyby Mieszko I nie zdecydował się przyjąć chrztu. To, że nie ma w tej akceptacji przejrzystego odniesienia do transcendencji, potwierdza po wielokroć uporczywe akcentowanie (bywa że i w tytułach odnośnych rozdziałów) agnostycyzmu licznych omawianych myślicieli (na przykład Supińskiego, Majewskiego czy Malinowskiego). Czytając to zastanawiałem się dlaczego właściwie autor tak mocno akcentuje tę przypadłość i częstotliwość jej występowania? Czy chodzi tu tylko o rzetelność w prezentacji duchowego *niveau* tych

postaci, czy też wysłał on czytelnikowi jakiś istotny sygnał, trudny wszelako do odczytania? Atoli, pomijając już nawet to, że (jak mawiał o. Krąpiec) agnostykiem można być przez kwadrans, ale potem trzeba się na coś zdecydować, wydaje się, że Urbankowski nie dostrzega sprzeczności agnostycyzmu z tak umiłowaną przez siebie „filozofią czynu”; wszakże agnostyka można zdefiniować także jako tego, który się waha, a wahanie się nie powoduje i nie skłania do działania, wprost przeciwnie.

Wszystko to nakazuje nam postawić pytanie co właściwie dla Urbankowskiego jest desygnatem pojęcia chrześcijaństwo i w jakiej postaci jest on skłonny je akceptować? Wiadomo przecież, że poniekąd już od wielkiej schizmy wschodniej, a na pewno od rewolucji protestanckiej, wyraz chrześcijaństwo nie jest pojęciem ostrym i jednoznacznym. Wszakże niezliczone sekty, które wyłoniły się z tej rewolucji też uważają się za chrześcijańskie. Czy zatem chrześcijaństwo, którego oddziaływanie na myśl polską autor uważa w sumie za płodne i dobroczynne, to chrześcijaństwo ortodoksyjne, katolickie, rzymskie, obiektywne – to znaczy zdefiniowane w orzeczeniach dogmatycznych soborów i papieży oraz wyjaśnione w teologiach Ojców i Doktorów Kościoła, czy też jest to chrześcijaństwo heterodoksyjne, protestanckie i „protestujące” przeciwko tamtemu, autentycznemu nauczaniu, a przeciwstawiające mu swoje subiektywne mniemania i interpretacje? Lektura, która dla recenzenta zawsze jest poniekąd „śledztwem”, co i rusz unaocznia, że mamy tu do czynienia z drugim stanowiskiem, dla którego protestancka dyrektywa *libre examen* jest wręcz oczywistością. Co więcej, wiele zdań i uwag wskazuje na to, że autor wręcz przeciwstawia sobie rzymsko-katolicką ortodoksję, jako duchową skamielinę i przeszkodę dla poszukującego Ducha, apoteozuje zaś owe „twórcze” przekształcenia dokonywane przez duchy niespokojne. Na ogół czyni to pośrednio, referując z nieskrywaną sympatią lub przynajmniej nie przecząc im poglądy heterodoksów, czasami jednak decyduje się powiedzieć to wprost. Na przykład, kiedy wyraża pogląd, iż obowiązująca wykładnia wiary może być traktowana jako materia, „z której można by zrobić dzieło jeszcze wyższego rzędu”, w konsekwencji czego ubolewa nad tym, że „historia zna zresztą niewiele przypadków twórczego traktowania religii”, a „reformatorzy i odnowiciele na ogół rozbijali się o mur ortodoksji, czego najbardziej przejmującym przykładem jest postać

Jezusa z Nazaretu, w późniejszych czasach – Husa” (t. I, s. 150). Na dokładkę mamy tu jeszcze Wiklefa i Lutra, natomiast św. Franciszek „został jednak [sic!, można więc wnosić, że mogłoby być inaczej] w obrębie Kościoła”. Trudno właściwie o deklarację bardziej jednoznaczną i zarazem przewrotną, albowiem nie tylko wyraz „ortodoksja” pełni tu funkcję *bad term*, lecz przede wszystkim staje się jasne, że dla autora „nieortodoksyjny” Jezus z Nazaretu, posadowiony na jednym miejscu z niewątpliwymi herezjarchami, jest po prostu „renanowskim” Jezusem-(tylko) człowiekiem, niefortunnym reformatorem, a nie Jezusem Chrystusem, Drugą Osobą Trójcy Świętej, Słowem Wcielonym, Odkupicielem i Zbawcą, prawdziwie Bogiem i prawdziwie Człowiekiem. W innym zaś miejscu, psychologiczne dywagacje Witwickiego na temat Jezusa jako „wycofanego”, zamkniętego w sobie, oschłego uczuciowo, egocentrycznego, nieufnego i trudno nawiązującego kontakt z otoczeniem astenika i schizotypika, założyły ledwie na komentarz, iż „jednym mogły się wydać fascynujące, innym nowatorskie, jeszcze innym – bluźniercze” (t. IV, s. 83). Czyli na troje babka wróżyła, my jednak wolelibyśmy wiedzieć, jakimi uwagi te wydają się nazbyt powściągliwemu w tym miejscu Urbankowskiemu?

Podobne uwagi możemy znaleźć w innych partiach książki, omawiających poglądy poszczególnych myślicieli. Wpływ arianizmu Braci Polskich na kulturę, jawi się autorowi jako „ożywczy i dopingujący – jak wpływy wszystkich herezji” (t. I, s. 377). Trudno jednak zrozumieć dlaczego arianizm zasługuje także na miano jednej z polskich filozofii narodowych, skoro w poglądach głoszonych przez przedstawicieli tej sekty nie było niczego, co spełniałoby podawany przez autora za Straszewskim warunek, aby sposób poruszania wszechludzkich zagadnień filozoficznych oraz ich wybór stał w związku z życiem i losami danego narodu. To, co głosili arianie, odnosiło się przecież wyłącznie do „wszechludzkiej” problematyki teologicznej, metafizycznej i etycznej, więc równie dobrze, co w Rakowie, mogłoby być uprawiane i głoszone w Amsterdamie czy w Lejdzie, gdzie zresztą faktycznie znajdowało duży oddźwięk.

Dziwne jest też zaprzeczenie zarzutowi Stefana Witwickiego wobec Mickiewicza (w okresie towiańszczyzny), że występując z doktryną wędrowki dusz wieszcz Adam zaprzecza wieczności kar i piekła, głosi więc poglądy heretyckie, skoro chwilę potem sam nazywa proponowany przez Mickiewicza

„Nowy Zakon” religią syntetyzującą chrześcijaństwo i metempsychozę z Indii rodem (t. II, s. 75). Znamienny jest też komentarz do wywodów Bronisława Trentowskiego na temat dogmatu trynitarnego, potraktowanego przezeń jako metafora objaśniona w ten sposób, że Bóg Ojciec to czynnik stwórczy, psyche świata, Syn Boży to „człowieczeństwo wszechświatów”, wszyscy ludzie, których Jaźnie są „kroplami boskości”, a Duch Święty to dusza materii, czyli „wszechmoc Boga”. Przypominając, iż autor *Chowanny* w pośmiertnie wydanym (przez żonę) traktacie wolnomularskim odrzucił nawet historyczność postaci Jezusa, Urbankowski wyłożoną wcześniej interpretację Trójcy nazywa po prostu i tylko „ciekawą” (t. II, s. 402). Zupełnie natomiast powstrzymuje się od komentarza do przytoczonego dalej cytatu, w którym filozof-wolnomularz daje upust z jednej strony nostalgicznemu podziwowi dla „pięknego bałwochwalstwa” pogańskiego, zniweczonego przez „obce mnichy, fanatyzmem zagrzane”, z drugiej zaś – nieskrywanej nienawiści do chrześcijaństwa zachodniego, które „zadało cios śmiertelny narodowemu duchowi” i „złacińszczyło polskie piśmiennictwo”. Trudno wytłumaczyć taką powściągliwość wobec tak jaskrawego antyokcydentalizmu religijnego i kulturowego, skoro samemu uważa się chrześcijaństwo za czynnik generujący polską świadomość narodową, a naród polski za „podukład” cywilizacji łacińskiej.

Z entuzjazmem natomiast wyraża się Urbankowski o ponadwyznaniowym ekumenizmie, rozumianym jako bliżej nieokreślone „pojednanie” i „jedność chrześcijan”, przy okazji karcąc Piusa XI za to, że krytykował ruch ekumeniczny, oraz Piusa XII za to, że „zdobył się jedynie na to, by zaprosić niekatolików, aby weszli do wspólnoty katolickiej” (t. IV, s. 832). Niekłamanym uznaniem darzy też grasujący w Kościele od drugiej połowy XIX wieku, relatywizujący w duchu historycystycznym dogmaty i sprowadzający wiarę do uczucia modernizm (przy okazji błędnie zaliczając do grona modernistów bł. Jana Henryka Newmana), nazywając go „szansą na odnowę katolicyzmu” (t. III, s. 551), zaś przysięgę antymodernistyczną św. Piusa X nazywa „kuriozalnym dokumentem” (tamże, s. 576). Ta sprawa wiąże się zresztą ściśle z drugim obiektem ataku Urbankowskiego, jakim jest darzona szczególną atencją Kościoła *filosofia perennis* św. Tomasza z Akwinu i w ogóle filozofia scholastyczna, a nawet cała tradycja metafizyki realistycznej. Walka z nią traktowana jest wręcz jako szcze-

gólna zasługa tych, którzy przeciwko realizmowi arystotelesowsko-tomistycznemu w filozofii się buntowali. Już Grzegorz z Sanoka chwalony jest za krytykowanie „sennego bredzenia” (*vigilantium insomnia*) – to cytat z Kallimacha, ale przytaczany z uznaniem – arystotelików, nadto zaś za „mądry relatywizm” w rozumieniu sprawiedliwości. Zasługą protooświeceniowca Wiśniewskiego było „obalenie dyktatury Arystotelesa” (t. I, s. 521), a Staszica – propozycja zakazania nauczania „nieprzydatnej” do niczego metafizyki.

Urbankowski całkowicie mija się z prawdą twierdząc, że od encykliki *Aeterni Patris* (1879) katolicyzm „kostniał w nakazany przez Leona XIII tomizmie” (t. III, s. 551), a jego interpretacje „zwłaszcza po tej encyklice” były nie-twórcze (t. IV, s. 929). W rzeczywistości było dokładnie na odwrót, albowiem jeśli w tomizmie „szkolnym” faktycznie nie działało się nic interesującego po odejściu pokolenia wielkich scholastyków hiszpańskich XVI i początku

XVII wieku, aż po pierwszą połowę (z paroma wyjątkami, jak Balmes czy Taparelli d’Azeglio) wieku XIX, to encyklika Leonowa stała się potężnym impulsem do jego odrodzenia i to w wielu interpretacjach i szkołach (zwłaszcza rzymskiej, lowańskiej, barcelońskiej i lubelskiej), toteż nawet i antymetafizycznie nastawiony establishment akademicki musiał uznać go za równorzędnego partnera debaty filozoficznej. Urbankowski zastrzega wprawdzie, że nie podziela stanowiska pozytywistów i neokantystów, dążących do anihilacji metafizyki, bo sądzi, że „na taką rozrzutność”, jak „wypowiedzenie wojny metafizyce ani też dawnym scholastykom” nas nie stać (t. IV, s. 902). Argument to jednak dziwny i jakby sytuacyjny, a nie merytoryczny. Również zdawkowe pochwały pod adresem metafizyków – średniowiecznych i „bardziej nowoczesnych” – są dwuznaczne. Można bowiem trafić u nich na „inspirujące pomysły i wzorce subtelnych rozumowań” (tamże, s. 903), coś z tego jednak, skoro na przykład „dogmatycznego, pedantycznego i zbyt już zacofanego” prof. Gogacza trzeba podziwiać za to... „w jakim stylu jest dogmatyczny i jakie bogactwo zacofania prezentuje!” (tamże, s. 904). Chociaż autor z niemałym wdziękiem zauważa, że o ile co wybitniejsi tomiści (jak ks. Gabryl) filozofują lancetem, o tyle marksiści – sierpem i młotem, to właściwie intencjonalnie dobijające tomizm jest postawienie go obok marksizmu-leninizmu jako „filozofii w Polsce”, czyli wytworzonej i dominującej w innych kulturach, a w Polsce tylko rozpowszech-

nianej, nie zaś jako „filozofii polskiej”. To, że tomizm w Polsce nie powstał i, że jego problematyka jest uniwersalna i uniwersalistyczna, nie zaś partykularna i narodowa (aczkolwiek tomista Bocheński naszkicował filozofię narodu i katolickie uzasadnienie nacjonalizmu, o czym przecież autor *Źródła* wspomina), jest oczywiste, ale w takim razie zagadką pozostaje dlaczego przedstawiciele „metafilozofii” lwowsko-warszawskiej Urbankowski tak obficie zaliczył jednak do grona „tłumaczy” narodowych testamentów, choć poruszana przez nich problematyka jest też zgoła uniwersalna, metajęzyk – abstrakcyjny, inspiracje w europejskim pozytywizmie i neopozytywizmie, więc w gruncie rzeczy byłoby obojętne czy wykładaliby oni w Wiedniu, Marburgu, Heidelbergu lub Cambridge, zamiast we Lwowie czy w Warszawie.

Postawmy sprawę jasno do końca. *Źródła myśli polskiej* w wyborze Bohdana Urbankowskiego są obfite niczym róg Plutona, wartkie i mieniające się barwami niczym wypadające spod wierchów kaskady potoków tatrzańskich, a ich eksploracja przez autora niezwykle interesująca. Zarazem jest to wybór ultra subiektywny i zdradzający co krok chęć autora do poruszania się zasadniczo tylko jedną, lewą stroną owych potoków myśli, że tak po buddyjsku powiemy – „ścieżką Lewej Ręki”, nieortodoksyjną religijnie, filozoficznie i politycznie. Urbankowski napisał coś bardzo podobnego, tyle że z przeciwną intencją, do równie monumentalnego dzieła wielkiego hiszpańskiego polihistora Marcelina Menéndeza Pelayo (1856-1912) – *Historia de los heterodoxos españoles*. Jego książka jest w lwiej części taką właśnie wielką księgą heterodoksji polskiej. Czy znajdzie się ktoś, kto podejmie i udźwignie to wyzwanie i napisze równie wartościową historię ortodoksji polskiej? Nie wiadomo, więc na razie czytamy z wdzięcznością za trud autora, ale i krytycznie, *opus* Urbankowskiego.

prof. Jacek Bartyzel, (ur. 1956) – profesor nauk społecznych, filozof polityki, historyk myśli politycznej, teatrolog. Związany z polskim środowiskiem monarchistycznym i konserwatywnym. Publikował m. in. na łamach *Pro Fide Rege et Lege*, *Opcji na prawo*, *Zawsze wierni*. Krytyk demokracji. Działacz opozycji niepodległościowej i antykomunistycznej. Współzałożyciel i rzecznik Ruchu Młodej Polski. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Szekspirowskiego.

RECENZJA „ŹRÓDŁA”

Po ukazaniu się recenzji, Mirosław Lewandowski napisał a autor „Źródła” odpowiedział.

Zazdroszczę Bohdanowi takiego recenzenta, nawet, jeżeli jego uwagi są częściowo krytyczne. No i miejsce publikacji jest zacne, choć to „tylko” Internet, a nie papier.

Nie jestem zdziwiony tą krytyką, biorąc pod uwagę, że nasz Mistrz jest piłsudczykiem a jego Krytyk, to konserwatysta, monarchista wyrastający na dodatek z RMP, czyli spadkobierców Dmowskiego. Część krytyki jest więc zrozumiała i wynika z odmiennych postaw ideowych obu Wielkich myślicieli. Niektóre zarzuty robią jednak wrażenie i Bohdan Urbankowski powinien się do nich odnieść (lub uzupełnić swoje dzieło jeszcze o kolejne 2 czy 4 tomy). Braku w Jego dziele Skargi, stańczyków, Dmowskiego czy Wyszyńskiego trudno zrozumieć.

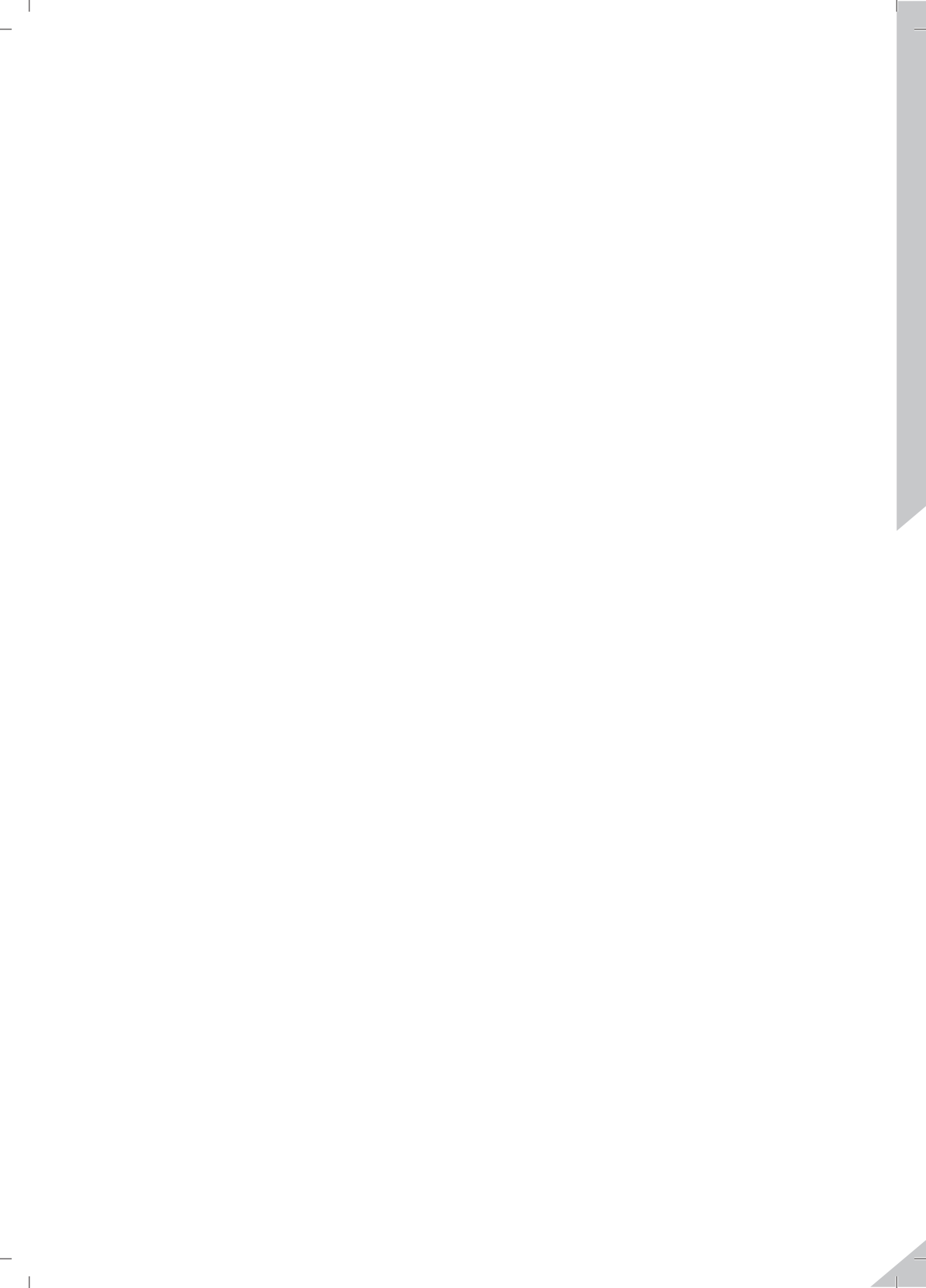
„Nikt nie jest doskonały!” – to krzepiąca myśl, która i mnie podnosi na duchu. Skoro nawet tak wielkie i wspaniałe dzieło, jako „Źródła” można w sposób przekonujący skrytykować, to łatwiej mi pogodzić się z krytyką mojej pisaniny. Tylko ten, kto nic nie pisze, nie jest narażony na krytyczne uwagi.

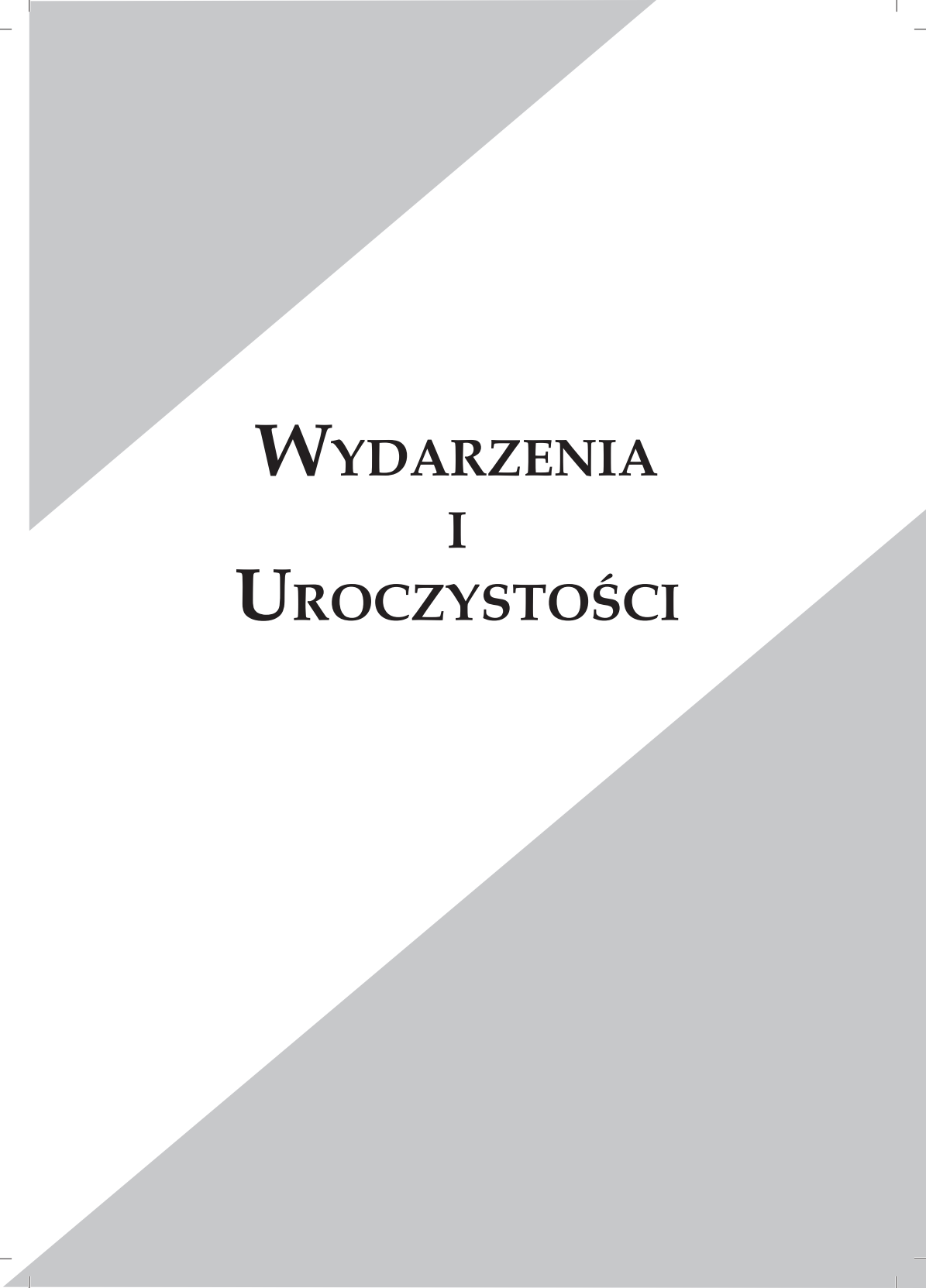
Mirek Lewandowski

Kochani! Nie dlatego pominąłem Dmowskiego, że nie był piłsudczykiem, tylko dlatego, że nie był myślicielem; ukryty na dnie jego publicystyki światopogląd dość płaski pozytywizm, płaski ateizm i wiara w polityczny darwinizm. Światopogląd Piłsudskiego był po prostu bardziej subtelny. Prymas Wyszyński był naszym „Ojcem Kościoła”, ale też nie był filozofem, Skarga – genialnym kaznodzieją, poetą kazań, stańczycy dorabiali wzięty z drugiej ręki pozytywizm do zwykłej kolaboracji. Podobnie jak po latach Kroński czy Piasecki. Oczywiście dobrze byłoby napisać historię polskiej myśli politycznej, czy w ogóle kultury, gdzie byłoby miejsce i dla Dmowskiego i Wielopolskiego i Studnickiego ale to już zadanie dla Was. Ściskam serdecznie i wracam do roboty.

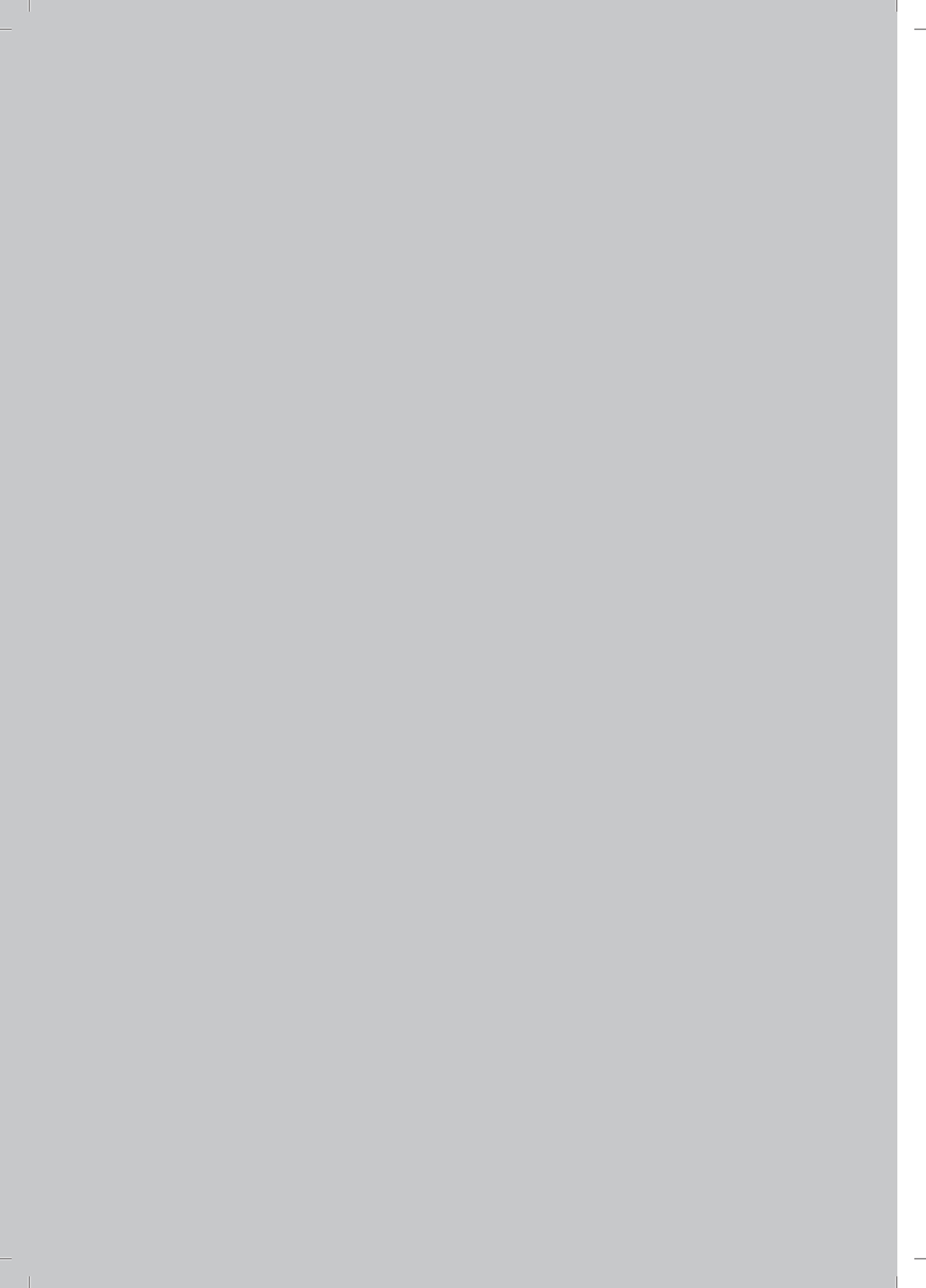
Kończę książkę o Marcu '68 – życzcie mi siły.

Bohdan Urbankowski





WYDARZENIA I UROCZYSTOŚCI



OBCHODY 74. ROCZNICY BITWY POD MOTE CASINO

15 maja 2018 roku polska delegacja, w skład której weszli żołnierze 2. Korpusu Polskiego z kraju i z zagranicy, prezesi największych organizacji kombatanckich, działacze opozycji antykomunistycznej w tym trzech przedstawicieli Instytutu Historycznego nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego Andrzej Anusz, Michał Janiszewski i Krzysztof Lancman oraz przedstawiciele najwyższych władz państwowych i duchowieństwa, udała się do Republiki Włoskiej w związku z 74. rocznicą bitwy o Monte Cassino.

Wieczorem delegacja na czele z Szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Janem Józefem Kasprzykiem złożyła wieniec przed pomnikiem ojca niepodległości, Marszałka Józefa Piłsudskiego.



Marszałek Piłsudski pokazał Polakom, że warto wierzyć w Niepodległą Polskę, że ta wiara dokonuje cudów – powiedział minister Kasprzyk podczas tej uroczystości.

16 maja 2018 r. uczestnicy obchodów 74. rocznicy bitwy o Monte Cassino, w tym weterani 2. Korpusu Polskiego gen. Andersa, wzięli udział w audiencji generalnej u Ojca Świętego Franciszka na Placu św. Piotra w Watykanie. Obecni byli również przedstawiciele najwyższych władz państwowych RP, m.in. Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, wicemarszałek Senatu RP Maria Koc oraz pełnomocnik Prezesa Rady Ministrów ds. Dialogu Międzynarodowego senator Anna Maria Anders. Przed rozpoczęciem audiencji Papież Franciszek uściśnął dłonie przybyłym do Stolicy Piotrowej kombatantom, o czym obecny na pl. św. Piotra mjr. Otton Hulacki, doceniając gest, powiedział *to nie było dla papieża Franciszka łatwe, by z każdym z nas porozmawiać. On nie żałował czasu, każdemu uściśnął rękę. Bardzo mi się to podobało.*



Wspominając spotkanie z Papieżem Franciszkiem, Minister Kasprzyk powiedział, że była to „niezwykle wzruszająca chwila”. *Krótką rozmową, wręczenie różańców – myślę, że weterani zapamiętają to na zawsze. Ojciec święty docenił ich wysiłek, walkę, trud i poświęcenie na rzecz wartości najwyższej, którą jest niepodległość Rzeczypospolitej –* dodał Szef UdSKIOR.

Po południu 16 maja 2018 r. uczestnicy obchodów 74. rocznicy bitwy o Monte Cassino wzięli udział w uroczystościach w San Vittore del Lazio, gdzie oddali hołd poległym żołnierzom 2. Korpusu Polskiego oraz innym cywilnym i wojskowym ofiarom II wojny światowej. W obchodach wziął udział m.in.



Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.

Burmistrz San Vittore del Lazio Nadia Bucci wyraziła wdzięczność poległym żołnierzom gen. Władysława Andersa: *zebraliśmy się dzisiaj w San Vittore del Lazio, aby upamiętnić zasługi na polu chwały i krew przelaną na naszej ziemi 74 lata temu przez bohaterских żołnierzy 2. Korpusu. (...) Młodzi żołnierze piechoty polskiej pod dowództwem bohaterskiego gen. Władysława Andersa, w tych tragicznych tygodniach z ponadludzkim wysiłkiem walczyli z wrogiem, który wcześniej zajął ich ziemię, a następnie ziemię włoską, stając się symbolem heroicznej walki o wolność i honor, które od zawsze były wartościami wyróżniającymi polski naród – powiedziała.*

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk podkreślił, że żołnierze gen. Andersa walczyli we Włoszech o wolność dla całej Europy: *w ziemię San Vittore del Lazio wsiąkła polska krew przelewana po to, aby Polska, aby Italia, aby Europa były wolne. Ta krew wsiąkła dlatego, że żołnierze 2. Korpusu chcieli wybawić Europę spod jarzma narodowosocjalistycznej III Rzeszy. Ta ziemia jest święta. Stoimy w miejscu, gdzie spoczywali żołnierze podlegli w bitwie o Monte Cassino; stąd zostali przeniesieni na cmentarz wojenny. Za tę ziemię oddawali ży-*

cie najlepsi synowie narodu polskiego. Minister Kasprzyk podziękował też lokalnej społeczności za hołd składany polskim żołnierzom. Pamięć o tamtych wydarzeniach łączy nasze narody węzłem przyjaźni na wieki – powiedział.



17 maja weterani 2. Korpusu Polskiego wraz z delegacją najwyższych władz państwowych, m.in. Szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Janem Józefem Kasprzykiem, ministrem obrony narodowej Mariuszem Błaszczakiem, ministrem spraw wewnętrznych i administracji Joachimem Brudzińskim, wicemarszałek Senatu RP Marią Koc oraz senator Anną Marią Anders upamiętnili walki polskich żołnierzy o Piedimonte San Germano.

Uroczystości rozpoczęły się od odsłonięcia tablicy informującej o nadaniu miejscu nazwy „Wzgórza Pamięci”. Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk podkreślił, że *przed chwilą byliśmy świadkami niezwykle historycznego wydarzenia. Odsłonięcia tablicy pamiątkowej, która nadaje temu miejscu imię „Wzgórza Pamięci” dokonali przedstawiciele dwóch pokoleń: weteran walk o niepodległość oraz to najmłodsze pokolenie obecne dziś na uroczystości. To pokazuje, że historia się nie skończyła, a wartości, idee, które były udziałem pokolenia walk o niepodległość są żywe, bo trwa pamięć, którą bardzo mocno musimy brać pod uwagę przy kształtowaniu tożsamości – nie tylko polskiej, włoskiej,*

OBCHODY 74. ROCZNICY BITWY POD MONTE CASINO

ale europejskiej. Na pamięci musimy budować współczesność – mówił. Zaznaczył, że Polska jak mało który kraj na świecie rozumie, czym jest utrata niepodległości. Dlatego wychowywani byliśmy przez poprzednie pokolenia w duchu umiłowania tej wartości – mówił. Jak dodał, młode pokolenie Polaków chce ślubować weteranom, że tak jak oni i my będziemy zawsze wierni Rzeczypospolitej niepodległej, dumnej i suwerennej.



OBCHODY 74. ROCZNICY BITWY POD MONTE CASINO

18 maja 2018 r. rano, przed głównymi uroczystościami z okazji 74. rocznicy bitwy o Monte Cassino, uczestnicy wyjazdu odwiedzili klasztor na Monte Cassino. Delegacja, w skład której weszli przedstawiciele najwyższych władz państwowych złożyła kwiaty przy grobie św. Benedykta, a następnie delegacja udała się przed pomnik 3. Dywizji Strzelców Karpackich.



Główne obchody 74. rocznicy bitwy o Monte Cassino rozpoczęły się Mszą Świętą na Polskim Cmentarzu Wojennym, której przewodniczył bp polowy Wojska Polskiego Józef Guzdek. Wzięli w nich udział m.in. weterani II wojny światowej, Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, wicemarszałek Senatu Maria Koc, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, minister spraw wewnętrznych i administracji Joachim Brudziński, senator Anna Maria Anders, marszałek senior Kornel Morawiecki, doradczyni społeczna prezydenta Zofia Romaszewska, posłowie Anita Czerwińska i Michał Jach, wiceminister kultury Jarosław Sellin, wiceprezes IPN Krzysztof Szwaagrzyk, harcerze, prezosi organizacji kombatanckich, przedstawiciele środowisk ofiar represji, działacze opozycji antykomunistycznej w tym trzech przedstawicieli Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoję Owsianego Andrzej Anusz, Michał Janiszewski i Krzysztof Lancman, strażnicy miejscy oraz strażacy PSP z Łodzi i Bełchatowa, którzy trasę z Polski w miejsce

uroczystości pokonali biegnąc w sztafecie, a także motocykliści z Międzynarodowego Rajdu Katyńskiego Monte Cassino.

Słuchając waszych opowieści o wydarzeniach sprzed ponad 70 lat możemy jedynie domyslać się, co działo się w sercach i umysłach wielu powracających z domu niewoli, którzy pomimo ogromnych poświęceń ostatecznie nie doszli do wyznaczonego sobie celu. Po zakończeniu wojny nie mogli przyjechać do ojczystego kraju w obawie przed represjami komunistycznej władzy – mówił w homilii bp Guzek. Zaznaczył, że w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości dziękujemy Bogu za dar wolności, który stał się naszym udziałem; za cenę przelanej krwi i życia złożonego na ołtarzu ojczyzny przez wielu naszych rodaków. Dziękujemy żołnierzom 2. Korpusu Polskiego, którzy pod Monte Cassino, walcząc o wolność narodów Europy, umierali za Polskę. Każdy cmentarz jest wołaniem o pokój – podkreślił hierarcha.



Połączeni jesteśmy dzisiaj ogromną wdzięcznością wobec tych, którzy oddali Bogu życie, ciała ziemi włoskiej, a serca Polsce. 74 lata temu tu, u stóp opactwa na Monte Cassino, rozegrała się jedna z największych bitew II wojny światowej, która w dużej mierze przyczyniła się do zakończenia tej straszliwej wojny i zwycięstwa dobra nad złem – mówił Szef Urzędu do

Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk. Zaznaczył, że *Polska jako pierwsza powiedziała stanowcze „nie” dwóm zbrodnictwom systemom totalitarnym i za to zapłaciła w czasie II wojny światowej najwyższą, największą cenę.*

Minister Kasprzyk przypomniał, że Polska zawsze była wierna wartościom, które wykuwały się również w VI w. w opactwie na Monte Cassino. Polska zawsze była wierna wierze chrześcijańskiej i dlatego również wiedziała, że musi powiedzieć stanowcze „nie” tym dwóm systemom totalitarnym, które porządkując świat chciały podeptać fundament, na którym Europa i świat zostały postanowione – powiedział.

Szef UdSKiOR określił weteranów rycerzami dobra w starciu ze złem, a wielu z nich poniosło za to najwyższą cenę – cenę życia. Wielu spoczęło na tym cmentarzu, wielu odniosło rany, wielu nie mogło wrócić do wolnej ojczyzny i do dziś mieszka rozrzuconych po całym świecie, ale wy nie zadawaliście pytań czy warto i za to wam dziękujemy, że zawsze byliście wierni wartościom – Bogu, honorowi i ojczyźnie. Dziękujemy wam, rycerze słusznej sprawy! – mówił Jan Józef Kasprzyk.

Wolność została przywrócona dzięki wam, czcigodni weterani, dzięki temu, że nie wahaliście się poświęcać swojego zdrowia, swojego życia. Ale przywrócenie wielkości Rzeczypospolitej, Europie zależy teraz od nas młodszych pokoleń. My obecni tu chcemy ślubować: przywrócimy wielkość Rzeczypospolitej, Europie opartej na wartościach stanowiących jej fundament od wieków – powiedział Szef UdSKiOR.

19 maja 2018 r. weterani II wojny światowej razem z polską delegacją, w skład której weszli: Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, wicemarszałek Senatu RP Maria Koc, pełnomocnik prezesa rady ministrów ds. dialogu międzynarodowego senator Anna Maria Anders, marszałek senior Kornel Morawiecki, minister Zofia Romaszewska, poseł Anita Czerwińska, biskup polowy WP Józef Guzdek, wiceprezes IPN prof. Krzysztof Szwagrzyk, kierująca polską ambasadą w Rzymie chargé d'affaires Marta Zielińska-Śliwka wzięli udział w uroczystościach przed pomnikiem poświęconym żołnierzom 2. Korpusu Polskiego oraz pomnikiem upamiętniającym żołnierzy włoskich w Acquafondata.



Burmistrz Acquafondata Antonio Di Meo powiedział, że 2. Korpus Polski był dowodzony przez „wielkiego generała Władysława Andersa” a żołnierze „z chęcią zacieśniali kontakty, cenili sobie wspólne wartości humanitarne i chrześcijańskie”.

Określenie ich mianem niezwykle dobrze wychowanych i gotowych dzielić się chlebem z ludnością, nie oddaje pełni obrazu. Ich postawa opiewana w opowieściach przekazywanych przez mieszkańców miasta, stała się podstawą dla szczególnie serdecznych relacji po wojnie, przez które przebrzmiewała wdzięczność za poniesioną ofiarę i gotowość poświęcenia w walce, jak to często powtarzali Polacy „za wolność naszą i waszą” – mówił Di Meo.



OBCHODY 74. ROCZNICY BITWY POD MONTE CASINO



OBCHODY 74. ROCZNICY BITWY POD MONTE CASINO

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk powiedział do weteranów, że byli rycerzami dobra. *Byliście rycerzami dobra, w odwiecznym starciu dobra ze złem. (...) Dzięki Wam dobro zatriumfowało zarówno 74 lata temu podczas zwycięskiej bitwy o Monte Cassino, ale także, gdy Polska zrzuciła okowy komunistycznego zniewolenia. Następne pokolenie, którego przedstawiciele są wśród nas (...) patrzyło na was jako na wzór i przykład głębokiej wiary w sens działania, wiary w niepodległą Polskę* – podkreślił.

Zgromadzeni uczestniczyli także w programie artystycznym przygotowanym przez Chór Dziecięcy GRH „Żołnierze Września 1939 Garnizonu Dęblin”.

Następnie w lesie w okolicy Acquafondata odsłonięto tablicę upamiętniającą miejsce pochówku ok. siedmiuset polskich żołnierzy, którzy polegli podczas II wojny światowej. W maju 1946 r. ich szczątki zostały przeniesione i spoczywają na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino.

RADA DO SPRAW DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ ORAZ OSÓB REPRESJONOWANYCH Z POWODÓW POLITYCZNYCH

Kornel Morawiecki przewodniczącym Rady do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych

Rada do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych działająca przy Szeffie UdSKiOR Janie Józefie Kasprzyku wybrała 24 maja br. swoje prezydium. Działacze opozycji antykomunistycznej i osoby represjonowane przez władze komunistyczne reprezentujący środowiska niepodległościowe wybrali Przewodniczącym Rady **Kornela Morawieckiego**, Prezesa Stowarzyszenia Solidarność Walcząca.



RADA DO SPRAW DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ...

Zastępcami Przewodniczącego Rady zostali:

Wojciech Borowik – Prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa,

Andrzej Słowik – Prezes Związku Weteranów Trzeciej Konspiracji 1956–1989,

Andrzej Rozpłochowski – Prezes Porozumienia Katowickiego 1980 – Stowarzyszenia na Rzecz Pamięci, a sekretarzem Rady:

Andrzej Anusz – Wiceprzewodniczący Rady Programowej Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoja Owsianego



Rada do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych jest organem opiniotwórczo-doradczym w sprawach dotyczących działaczy opozycji antykomunistycznej oraz osób represjonowanych z powodów politycznych, działającym przy Szefie Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Członków Rady powołuje i odwołuje imiennie Szef Urzędu spośród osób o potwierdzonym statusie działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych, zapewniając udział w niej różnych środowisk dawnej opozycji. Jej członkowie powoływani są na czas określony wykonywaniem funkcji przez Szefa Urzędu. Obecnie w skład Rady wchodzi 18 członków, którzy pełnią swoje funkcje społecznie. Do zadań Rady należy opiniowanie podejmowanych

RADA DO SPRAW DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ...

przez Urząd inicjatyw legislacyjnych, a także zgłaszanie wniosków w sprawach istotnych dla działaczy opozycji antykomunistycznej oraz osób represjonowanych z powodów politycznych. Rada może występować z apelami i postulatami do władz państwowych oraz samorządowych. Rada wyraża swoje stanowisko w formie uchwał podejmowanych zwykłą większością głosów w obecności co najmniej połowy członków Rady. W przypadku równej liczby głosów decyduje głos przewodniczącego obrad. Posiedzenia Rady zwoływane są w miarę potrzeby.

Tekst i zdjęcia za UdSKiOR

VII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

VII Konferencja Świętokrzyska, Wólka Milanowska, 25–27 maja 2018 roku. Tradycyjnie już, w ostatni weekend maja, odbyła się u stóp Łysej Góry, konferencja zorganizowana przez Ośrodek Myśli Niepodległościowej Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Temat tegorocznej konferencji to: *„Troska o niepodległość państwa po 1918 roku”*. Wzięło w niej udział ponad 30 osób. Rozpoczęto od złożenia przez zebranych życzeń z okazji 75 urodzin naszemu przyjacielowi, wiceprzewodniczącemu Rady Programowej Instytutu doktorowi Bohdanowi Urbankowskiemu.



VII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

Program konferencji obejmował 5 referatów. Pierwszy z nich pt. „*Patriotyzm dzisiaj*” wygłosił Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.



Postawa służebna wobec wspólnoty. To uznanie, że dobro ogółu, dobro narodu stoi ponad dobrem partykularnym, ponad interesem jednostki – to główne przesłanie, które podczas swojego referatu przekazał Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.



Tak ciekawie o poezji potrafi mówić tylko dr Bohdan Urbanowski. W swoim referacie przedstawił rolę poezji w życiu politycznym społeczeństwa polskiego.

O ludziach nurtu niepodległościowego, porównując ich do „Kamieni” mówił Mirosław Lewandowski w swoim referacie –

VII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

„Koncepcja działania Kazimierza Pluty-Czachowskiego w latach 1957–1978”.

Interesujące tezy przedstawił w swoim referacie Marcin Furdyna – „*Próba doprowadzenia do trwalszego porozumienia państw Europy Środkowej w latach trzydziestych*”



Doktor Maciej Zakrzewski z IPN Oddział Kraków przedstawił „*Koncepcje polityczne WiN-u*”.



Po każdym z referatów odbywały się dyskusje, zwykle wielogodzinne. Instytut planuje wydanie całości materiałów w publikacji pokonferencyjnej.

VII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA



Uczestnicy VII Konferencji Świętokrzyskiej.

ODZNACZENIA DLA DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ

W Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” 13 czerwca 2018 roku odbyła ceremonia wręczenia Krzyży Wolności i Solidarności działaczom opozycji antykomunistycznej w tym rekomendowanych przez Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.



Leszek Czajkowski, w latach 1987–1989 był kolporterem prasy podziemnej na Uniwersytecie Warszawskim (m.in. „Tygodnik Mazowsze”, „PWA”, następnie „Orzeł Biały”, pism podziemnych KPN, książek i innych przedmiotów

i rzeczy które ukazywały się w drugim obiegu). Uczestnik manifestacji i wieców protestacyjnych. Brał udział w akcjach ulotkowych i malowania napisów na murach. Od 1987 roku członek Organizacji Akademickiej Orzeł Biały. Brał czynny udział w odbudowie i budowie struktur Okręgu I Warszawskiego Konfederacji Polski Niepodległej. W latach 1988–1991 członek NZS na UW, w 1988 uczestnik strajku; współorganizator manifestacji (m.in. 21 II 1989 w sprawie wolnych wyborów).



Grzegorz Lucjan Iwanicki, w latach 1982–1989 był członkiem Grup Oporu Solidarni w Warszawie, działał w Sekcji Transportu i Grupie Poligraficznej. Samochodem służbowym przewoził nielegalne wydawnictwa oraz sprzęt poligraficzny do wyznaczonych punktów na terenie Warszawy i Mazowsza. W swoim mieszkaniu wykonywał prace introligatorskie pism i książek wydawanych przez Grupy Oporu Solidarni, wydawnictwa „NOWa”, „Unia”, „Wydawnictwo Polskie” (KPN). Uczestniczył w demonstracjach w Warszawie.

Ludmiła Urbankowska, już w 1975 roku brała udział w pracach tajnie działającego Związku Piłsudczyków. Po wprowadzeniu stanu wojennego czynnie wspomagала swego męża Bohdana Urbankowskiego w jego działalności w strukturach podziemnych organizacji antykomunistycznych. Kolportowała prasę podziemną na teren województwa Płock gdzie mąż pracował w Teatrze Płockim, jako konsultant – kierownik literacki i współpracował z grupami płockiego podziemna solidarnościowego. Ludmiła wypełniała ważną rolę (niestety mało docenianą) jako maszynistka organizująca przepisywanie tekstów i pisanie matryc białkowych i dzięki między innymi jej pracy mogły ukazywały się w podziemiu teksty ulotek i teksty takich pism jak „Słowo Podziemne”, łódzki „Przedświt”, warszawskie „Tu Teraz” (pismo „Solidarności” nauczycieli) a przede wszystkim w wydawnictwach i prasie Konfederacji Polski Niepodległej. Mieszkanie Urbankowskich w latach osiemdziesiątych było miejscem wielu spotkań i zebrań działaczy podziemna solidarnościowego i niepodległościowego na których Ludmiła była nie tylko niezastąpioną gospodynią ale brała czynny udział w dyskusjach i postanowieniach.



Grażyna Wawrzyńska, od 1980 roku była członkiem NSZZ „Solidarność” w RSW – Prasa Książka Ruch. Po ogłoszeniu stanu wojennego nie zaprzestała działalności i zaangażowała się w podziemną działalność opozycyjną.

Pomagała swemu bratu Robertowi Nowickiemu i w latach 1981–1982 współpracowała z terenowymi strukturami KOS. Od grudnia 1981–1989 kolporter podziemnych pism „Wiadomości”, „Tygodnika Mazowsze”, MKK „Wola”. W 1982 roku kiedy jej brat został aresztowany przejęła kontakty i koordynowała działania struktury. Załatwiała lokale na punkty kolportażu i punkty spotkań konspiracyjnych. W latach 1984–1989 współpracowała z Konfederacją Polski Niepodległej i Polską Partią Niepodległościową.

W roku 1987 pomagała młodym w założeniu Ruchu Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej. W 1988 pomagała w założeniu podziemnego wydawnictwa Słowo Niepodległe a 1988 wydawnictwa Niezłomni. W latach 1988–1989 współorganizowała druk wydawnictwa Świt Niepodległości a w 1989 „Z Podniesioną Głową”.



Seweryn Ryszard JAWORSKI, od września 1980 r. należał do NSZZ „Solidarność”, był wiceprzewodniczącym Tymczasowego Prezydium Zarządu NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze, przewodniczącym Komisji Zakładowej w Hucie Warszawa. Współpracował z KSS „KOR”, należał także do bliskich współpracowników ks. Jerzego Popiełuszki. Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany i osadzony w Areszcie Śledczym.

ODZNACZENIA DLA DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ

Odnaczenia przyznane przez prezydenta RP Andrzeja Dudę wręczył prezes IPN dr Jarosław Szarek.



W dniu 3 lipca Pałacu Prezydenckim odbyła się uroczystość wręczenia Orderów Odrodzenia Polski i Złotych Krzyży Zasługi byłym działaczom opozycji demokratycznej między innymi odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski została Pani Ludmiła URBANKOWSKA .



W imieniu Prezydenta RP Andrzeja Dudy aktu dekoracji dokonali Podsekretarz Stanu Wojciech Kolarski oraz Doradca Prezydenta RP, Przewodnicząca Zespołu ds. opiniowania wniosków o nadanie odznaczeń dla działaczy Opozycji Demokratycznej Irena Zofia Romaszewska.

TOMASZ KARWOWSKI ODSZEDŁ NA WIECZNĄ WACHTĘ

Dnia 17.05.2018 roku w kościele i na cmentarzu w Świątajnie pożegnaliśmy naszego kolegę Tomka Karwowskiego, zmarłego dnia 13.05.2018 roku tuż przed północą we własnym domu w Jabłonie koło Warszawy. Tomek miał zaledwie 58 lat. Jego nagła śmierć była dla wszystkich olbrzymim zaskoczeniem.



W ceremonii pogrzebowej w położonym na mazurach Świątajnie uczestniczyło wielu przyjaciół, koleżanek i kolegów Tomka. Była tam również oficjalna delegacja, w górniczych mundurach, kolegów ze Związku Zawodowego Sierpień 80, ze sztandarem. W czasie nabożeństwa Mariusz Olszewski odczytał pożegnanie przygotowane przez Andrzeja Chyłka w którym napisał;

Rozpoczynając wspomnienie o naszym przyjacielu Tomku musimy pamiętać o jego dzieciństwie. Jako mały chłopiec spotkał się z takim samym problemem jaki dzisiaj

musi pokonać jego syn, czyli przedwczesną śmierć Ojca. Ojca stanowiącego przykład do naśladowania. Ojciec Tomka jako żołnierz i prawdziwy patriota nigdy nie pogodził się z upodleniem naszej Ojczyzny. Gdy inni po zakończeniu drugiej wojny światowej podporządkowali się faktycznie aneksji Polski, On stanął z bronią w ręku wraz ze swoimi podkomendnymi do walki o Wolną Polskę. To stanowiło

wówczas o męstwie, odwadze, o wierności złożonej przysiędze wojskowej. Po wielu latach zapomnienia a bardzo często nawet poniżania tych bohaterów, dopiero od niedawna pierwszego marca obchodzimy dzień żołnierza wyklętego, Ja osobiście bardziej cenię określenie żołnierza niezłomnego, ponieważ to słowo oddaje prawdziwość zachowań tych wspaniałych ludzi. Ojciec Tomka zapłacił za swoją postawę wysoką cenę, był więźniem politycznym, maltretowanym podczas śledztwa. Warunki w jakich był więziony spowodowały znaczną utratę zdrowia, co w konsekwencji doprowadziło do przedwczesnej śmierci w wieku 52 lat.

Po wielu latach Tomek poszedł śladami swojego Ojca. Zaangażował się w walkę o odzyskanie przez Polskę niepodległości. To był cel wyznaczony przez Konfederację Polski Niepodległej, której członkiem Tomek był od 1980 roku. Podjęte przez Niego działania mimo, że bez broni w ręku były skupione na osiągnięciu celu głównego. Niestety wiązało się to z wieloma niebezpieczeństwami. Tomek tak jak jego Ojciec został więźniem politycznym. Fakt ten nie spowodował u niego zmiany poglądów a wręcz upewnił go w przekonaniu, że robi słusznie. Po wyjściu z więzienia był jeszcze silniejszy niż wcześniej. Nic nie było w stanie zawrócić go z obranej drogi. I wreszcie pojawił się na horyzoncie wyznaczony cel, odzyskanie przez Polskę niepodległości. Wcale nie był to rok 1989 jak sądzi wielu. Okupowanie jednostek wojskowych, w których stacjonowały obce wojska to kolejny etap walki, w której również Tomka nie mogło zabraknąć. Dopiero oficjalne opuszczenie przez wojska radzieckie terytorium Polski i wolne wybory na Prezydenta RP, a po nich wybory do Parlamentu RP spowodowały, że mogliśmy mówić o odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Kiedy po latach walki rozpoczęliśmy działania legalne, polityka stała się jego pasją. Nie potrafił robić czegoś źle, był perfekcjonistą. Wielu kolegów denerwowała jego determinacja w dążeniu do kolejnych wyznaczanych etapów, ale On był nieprzejednany. Struktura KPN przez niego zarządzana zawsze była zdyscyplinowana i gotowa do maksymalnych poświęceń.

Tak jak każdy człowiek miał wady, nie był człowiekiem idealnym ale to nie przeszkadzało żeby był szanowany jako przywódca polityczny i kolega.

Tomek był Posłem na Sejm I i III kadencji. Jego odwaga i determinacja były powszechnie znane i doceniane. Nie zawahał się stanąć przeciwko urzędującemu Premierowi, kiedy dowiedział się o jego kłamstwie lustracyjnym. Potrafił docierać do najbardziej skrywanych tajemnic i je wydobywać na powierzchnię.

Tomek był człowiekiem niezwykle pracowitym. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych do wykonania. Wymagał od innych ale nie oszczędzał siebie. Był tytanem pracy. To wszystko przekładało się na jego osiągnięcia.

Nie załamywał się niepowodzeniami zarówno w życiu prywatnym jak i zawodowym. Wyciszał się na krótką chwilę, żeby potem zacząć ze zdwojoną siłą.

Olbrzymie znaczenie miało dla Tomka poznanie Izy. To dało kolejny impuls dla jego aktywności życiowej i zawodowej. Żeby odmienić swoje życie postanowili wspólnie przenieść się do Warszawy i zacząć wszystko od nowa. Owocem ich szczęśliwego związku jest Bartek, który dzisiaj jak Tomek kilkadziesiąt lat wcześniej musi udźwignąć przedwczesną śmierć Ojca. Ola córka Tomka była zawsze jego oczkiem w głowie, martwił się o nią, zawsze o niej myślał i cieszył się z jej sukcesów. Bardzo się starał o zapewnienie jej dobrego startu w dorosłym życiu.

Po zakończeniu czynnej działalności politycznej, postanowił rozpocząć działalność gospodarczą. Jego cechy, osobiste pozwalały mu na nawiązywanie szerokich kontaktów. Miał wielu przyjaciół, miał też wrogów. Nie lubił pozostawiać spraw z niedomówieniami, to oczywiście powodowało czasami wiele konfliktów. Jego największym wrogiem ostatnich lat został jego nauczyciel – jak zwykł go nazywać – poruszania się w trudnym świecie biznesowym. To był jego największy zawód. Tomek nie tolerował krętactw i oszustw. To cecha w tym świecie biznesu bardzo rzadko spotykana, ale takimi zasadami się On kierował i tego wymagał od swoich partnerów i współpracowników

Pomysł Tomka na współpracę z chińskimi firmami, był wymyślony przez niego. Ciężko pracował żeby przekonać firmy chińskie do współpracy. Dzisiaj możemy powiedzieć, że to jego kolejne dziecko biznesowe rośnie coraz szybciej. Obecność na dzisiejszej uroczystości przedstawicieli różnych chińskich firm jest tego najlepszym dowodem. Jest dzisiaj z nami również chiński wspólnik Tomka, który przyleciał na jego pożegnanie z Pekinu.

To wszystko mówi o tym, że Tomek był wspaniałym człowiekiem, docenianym przez swoich przyjaciół, partnerów, współpracowników i wszystkich, którzy się z nim zetknęli.

Na koniec chciałbym jeszcze wyrazić swoje osobiste doświadczenia ze współpracy z moim serdecznym przyjacielem. Zналиśmy się od trzydziestu lat, to okres bardzo długi na wzajemne poznanie, nabranie do siebie zaufania i doceniania tego

czym w życiu się kierujemy. Polskie przysłowie mówi o tym, że „najlepszych przyjaciół poznaje się w biedzie”. Był czas w naszym życiu, że mogliśmy sobie wzajemnie pomóc, był czas że mogliśmy sobie wzajemnie zaufać, był czas że mogliśmy ze sobą wzajemnie współpracować. Nasza przyjaźń przez te wszystkie lata zdada egzamin.

Dziękuję Ci za te trzydzieści lat, bardzo żałuję że nie może być ich więcej, chociaż bardzo na to liczyłem.

Jako twoi współpracownicy wiemy, że nie możemy ani zaniechać, ani też zmarnować Twojego wysiłku. Dzisiaj deklarujemy, że twoje dzieło wspólnie podejmujemy. To jest dla nas wszystkich wyzwanie. Będziemy mieli zawsze w pamięci twoje podejście do interesów i będziemy kierowali się twoimi zasadami.

Kiedy jednak przyjdzie czas na nas i staniemy kiedyś razem w naszym wiecznym domu to zameldujemy, że wykonaliśmy powierzone nam przez Ciebie zadanie.

Żegnaj Przyjacielu!

Niech Bóg ma cię teraz w swojej opiece!



Ceremonia pogrzebowa była bardzo podniosła a ksiądz proboszcz zadbał o bardzo uroczystą oprawę. Po uroczystości pożegnania Tomka wszyscy wspominali nieprawdopodobne cechy naszego przyjaciela i jego walkę o odzyskanie przez Polskę niepodległości. Jest to zapewne jakiś znak, że Bóg zabrał go do siebie 13 maja, w dniu Wniebowstąpienia, dniu Matki Boskiej Fatimskiej i jak pamiętamy zamachu na papieża Polaka.

KS. PRAŁAT JÓZEF ROMAN MAJ

NA JUBILEUSZ TADEUSZA STAŃSKIEGO (WYSTĄPIENIE Z OKAZJI 70 ROCZNICY URODZIN)

Świętujemy okrągły jubileusz Tadeusza Stańskiego który życie swoje oddał służbie Niepodległości Rzeczypospolitej. Pamiętam jego młodzieńczą brawurę, był przecież z zainteresowaniem obserwowany w moim niewiele starszym środowisku. Nie wiem czy wie o tym, że miał swego zagorzałego fana w moim serdecznym koledze z Uniwersytetu Januszu Szpotańskim. Co prawda on spodziewał się że Stański zrealizuje się najpełniej w wymiarze conceptualnym, ten jednak wybrał praxis. W moim środowisku koleżeńskim informacje o bieżących wydarzeniach z życia Tadeusza Stańskiego przekazywała nam na spotkaniach, dokładnie już nie pamiętam, albo Tereska Nowakowska, czy jej koleżanka Lipińska, która uciekła na Zachód i pracowała w Radiu „Wolna Europa”. Myślę, że to przez pryzmat wrażliwości osobowej, którejs z nich odbieraliśmy Tadeusza Stańskiego jako nigdy nie stłamszonego przez komunizm, będącego w różnych sytuacjach po prostu sobą. Czasami Krzysio Mętrak coś tam jęknął o Stańskim. Zaangażował się w sprawy Niepodległości, a więc w sprawy niedookreślone intelektualnie po dzień dzisiejszy. To nie jest bagatelny problem. Jeżeli bowiem się stwierdza, „zaangażowany w sprawy niepodległości” to natychmiast rodzi się pytanie – to znaczy w co zaangażowany? Są różne mity myśli w tym zakresie. Chciałbym przypomnieć najświeższe czasowo. Józef generał de Hallenburg Haller rozróżniał niepodległość narodową, która objawiała się w możliwości realizowania przez naród przynależnych mu uprawnień i sprawiedliwych dążeń, od suwerenności państwowej. Ta miałaby się charakteryzować możliwością realizacji dóbr i sprawiedliwie należnych państwu a wynikających z racji stanu. Filip Adwent, co umknęło zapewne uważe opinii publicznej w wystąpieniu w Parlamencie Europejskim o potrzebie

niepodległości państwa i narodu w rzeczywistości Unii Europejskiej określił jako możliwość realizacji własnego potencjału intelektualnego, biologicznego, gospodarczego i politycznego przez konkretne państwo. Są i inne określenia tego czym jest niepodległość, tradycja europejska w tym względzie jest bogata, ja pozwolę sobie przypomnieć sformułowanie ks. Luigi Sturzo, sycylijczyka z przełomu XIX i XX wieku, twórcy Chrześcijańskiej Demokracji w Europie, który niepodległość państw i narodów traktował jurydycznie, który niepodległość określał jako autentyczną możliwość realizacji uprawnień osobowych obywateli rzeczowych państwa.

Jeżeli my więc mówimy o Stańskim, że oddajemy mu szacunek ze względu na jego niepodległościowe zaangażowanie to natychmiast rodzi się pytanie, „to znaczy w co on był zaangażowany, za co my oddajemy mu szacunek?”. Sprawa jest oczywista tylko od strony hasłowej bo rzeczywiście niepodległość jest wartością godną szacunku. Prawdą jest że na ogół ludzi satysfakcjonuje używanie tego słowa w wymiarze hasłowym wystarczało to też samemu Józefowi Piłsudskiemu. Wystarcza też Tadeuszowi Stańskiemu, a chyba ze dwa razy o tym rozmawialiśmy. Mówiąc jednak w ten dzień jubileuszowy i oddając głęboki szacunek Tadeuszowi Stańskiemu za jego zaangażowanie w służbie dla Niepodległości musimy sobie postawić pytanie za co mu dziękujemy?

W moim mniemaniu za:

– poczucie godności narodowej, nie znam świadectw, które byłyby przeciwnie, przez całe życie szanował to że jest Polakiem,

– poczucia wartości polskiego dziedzictwa dla którego warto być ofiarnym w życiu,

– nie dopuszczenie do zniaczenia swego życia przez system komunistyczny także w wymiarze patriotyzmu,

– za podjęcie realnej walki z narzuconym Polsce i zniewalającym ją systemem komunistycznym, sądzę, że znam ten wymiar życia Pana Tadeusza wystarczająco, by takie stwierdzenie wygłosić. To właśnie ja jestem tym współpracownikiem Sekretariatu Episkopatu Polski a osobiście i śp. Arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, który od 1979 do 1986 roku utrzymywałem trwałe kontakty z MSW a głównie z pułkownikiem Pudyszem w obronie internowanych, aresztowanych, uwięzionych, skazanych, by chronić ich zdrowie, bronić

NA JUBILEUSZ TADEUSZA STAŃSKIEGO

przed kalectwem, a może nawet przed śmiercią. To ja broniłem i „wyzwalałem” z aresztu Moczulskiego, Stańskiego i Szeremietiewa i wiem, że ludzie systemu uważali ich za twardych przeciwników. Stańskiego uważali za harcownika.

Dziś w Niepodległej już Polsce dziękuję Tadeuszowi Stańskiemu za takie wybory życiowe, a jestem przekonany, że czynię to nie tylko we własnym imieniu, przypominam szacunek jakim cieszył się ze strony Sekretarza Episkopatu Polski Księdza Arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, informuję że w latach moich zmagania o niego zdobył i mój szacunek osobisty, dziękuję że i w obecnych latach nie spoczął na laurach, ale gromadzi w sposób twórczy wokół siebie obecne środowisko niepodległościowe w Warszawie i w kraju.

STANISŁAW LIKIERNIK ZAWSZE BYŁ WIERNY NIEPODLEGŁEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Stanisław Likiernik bez reszty poświęcał się sprawie niepodległości w czasie największej próby, II wojny światowej – powiedział Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk w czasie uroczystości pogrzebowych, które odbyły się 21 maja 2018 roku w Warszawie.

Minister Jan Józef Kasprzyk przypomniał, że Stanisław Likiernik „zawsze był wierny niepodległej Rzeczypospolitej”. *Wychowany w wolnej Polsce, ukształtowany w II Rzeczypospolitej wiedział, że niepodległość, suwerenność jest największym darem, jaki otrzymują państwa i narody. Dlatego bez reszty poświęcał się sprawie niepodległości w czasie największej próby, II wojny światowej* – zaznaczył szef UdSKiOR.

Minister Kasprzyk zaznaczył, że Likiernik był i będzie dla kolejnych pokoleń wzorem bezinteresownej służby Rzeczypospolitej, służby, w której nie zadaje się pytań „po co?” „dlaczego?” „za ile?”. *Możemy dziś ślubować panu, panie pułkowniku, że te wartości, którym pan był wierny, będziemy chcieli przenieść i przekazać następnym pokoleniom* – powiedział Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Likiernik został pochowany w Panteonie Żołnierzy Polski Walczącej.

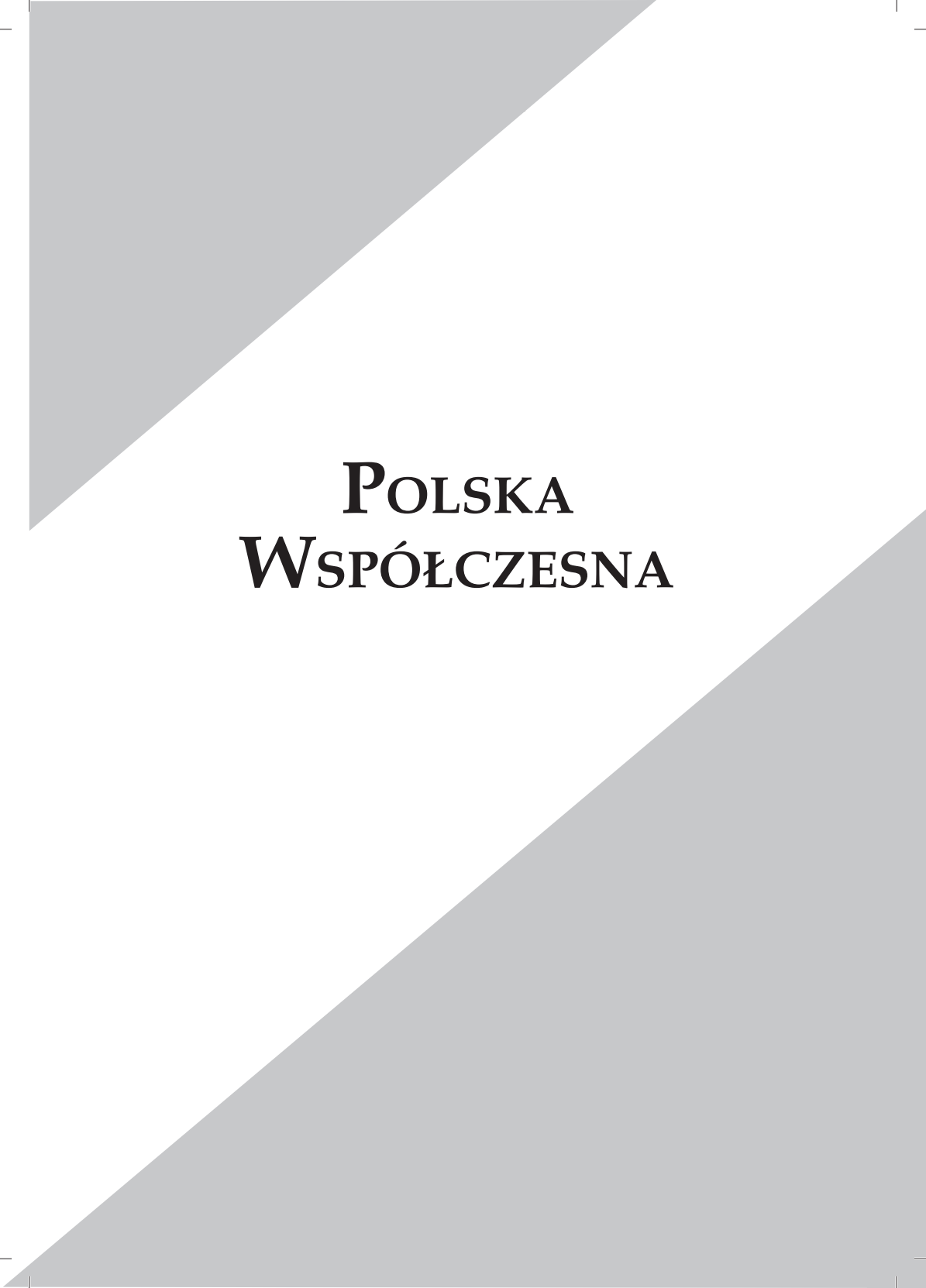
Stanisław Likiernik „Stach”, „Staszek”, „Machabeusz” urodził się w 1923 r. w Garwolinie. W czasie okupacji był w grupie żoliborskich przyjaciół, stanowiących trzon Kedywu Kolegium A. Brał udział w akcjach „Na Panienkę”, „Na Durfelda”, w wysadzaniu pociągów i innych akcjach sabotażowych. W czasie Powstania Warszawskiego walczył na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie.



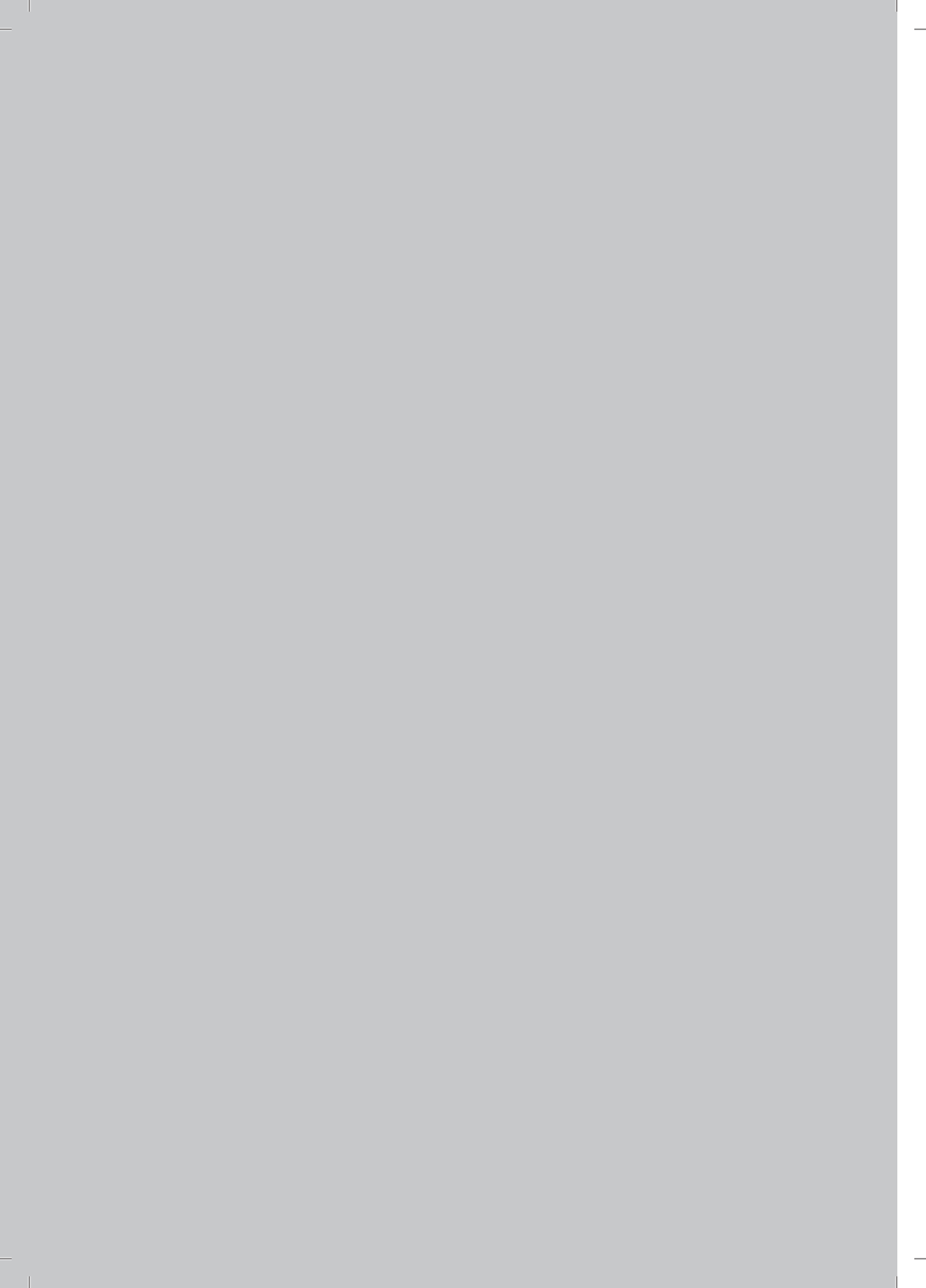
Po wojnie wyemigrował do Francji, skończył tam Sciences Po (Instytut Nauk Politycznych). W 2007 r. otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. W 2011 r. minister obrony awansował Stanisława Likiernika na stopień podpułkownika, a prezydent nadał mu Krzyż Komandorski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polski.

Stanisław Likiernik zmarł 17 kwietnia 2018 r. w szpitalu we Francji.

W dalszej części numeru publikujemy I część wspomnień Stanisława Likiernika pt. Diabelne szczęścia czy palec Boży?



POLSKA WSPÓŁCZESNA



DR JERZY BUKOWSKI

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

MARZEC 2018

Skazani dwaj generałowie SB i cała WRON

Skoro nie da się sądownie rozliczyć wszystkich zbrodni popełnionych przez komunistycznych rządców Polski w latach 1944-1989, trzeba cieszyć się, że chociaż emerytowani generałowie Władysław Ciastoń i Józef Sasin zostali skazani przez Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa na 2 lata więzienia za represjonowanie w stanie wojennym opozycjonistów bezprawnie wysyłanych z ich rozkazów do Wojskowych Obozów Internowania w Chełmnie, w Rawiczu i w Dęblinie na trzymiesięczne ćwiczenia wojskowe bądź do 2-letniej służby zasadniczej.

Popełnione przez ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych i szefa Służby Bezpieczeństwa (Ciastoń) oraz wiceministra tego resortu i dyrektora Departamentu V MSW (Sasin) czyny SR zakwalifikował jako zbrodnie przeciwko ludzkości, które nie podlegają przedawnieniu.

Jak powiedział w uzasadnieniu wyroku sędzia Robert Belczącki, o wymiarze kary zdecydowały wysoki stopień winy oskarżonych, szczególna waga naruszenia przepisów, znaczący stopień szkodliwości społecznej czynów i masowy charakter prześladowań, które wywołały przestępstwa.

Skazani dokonali przestępstw nawet w świetle prawa obowiązującego w PRL, łamiąc ustawę z 1967 roku o powszechnym obowiązku obrony ojczyzny.

Prokurator Instytutu Pamięci Narodowej Mieczysław Góra uznał ten wyrok za przełomowy, ponieważ większość spraw, w których wnoszono o zakwalifiko-

wanie czynu jako zbrodnia przeciwko ludzkości, była przez sądy umarzana. Także generałowie Ciastoń i Sasin uniknęli pierwotnie odpowiedzialności, ponieważ sędzia Katarzyna Kruk z tego samego SR umorzyła ich sprawę uznając, że nie była to zbrodnia komunistyczna, a więc podlega przedawnieniu. Po apelacji sprawa wróciła do pierwszej instancji. Wydany obecnie wyrok nie jest prawomocny.

Warto w tym kontekście przypomnieć, że Sąd Okręgowy w Warszawie uznał w styczniu 2012 roku, iż stan wojenny w Polsce nielegalnie wprowadził 13 grudnia 1981 roku związek przestępczy o charakterze zbrojnym, czyli Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego pod kierunkiem gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Wprawdzie on sam został wyłączony z procesu z uwagi na zły stan zdrowia, ale nigdy nie wypierał się swojej roli i wielokrotnie twierdził, że jest gotów wziąć odpowiedzialność na siebie.

W ocenie SO były solidne podstawy, aby przyjąć, że generałowie Jaruzelski (wtedy premier, minister obrony narodowej i I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), Czesław Kiszczak (minister spraw wewnętrznych), Florian Siwicki (wiceszef MON i szef Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego) oraz Tadeusz Tuczapski (wiceszef MON i sekretarz Komitetu Obrony Kraju) tworzyli taki właśnie zbrojny związek przestępczy, który doprowadził do uchwalenia przez Radę Państwa PRL przygotowanych wcześniej dekretów o stanie wojennym, co było nielegalne wedle obowiązującego wówczas prawa, o czym wymienieni wiedzieli.

Gen. Siwicki został wyłączony z tego procesu na tej samej podstawie, na której wyroku uniknął gen. Jaruzelski, a gen. Tuczapski zmarł w 2009 roku.

Sąd podkreślił, że ten związek miał swoją strukturę, przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego trwały od marca 1981 roku, a na jego czele niewątpliwie stał gen. Jaruzelski. Potwierdził również, że – co wynika z wyroku Trybunału Konstytucyjnego – dekrety i uchwała o wprowadzeniu stanu wojennego podjęta przez Radę Państwa 12 grudnia 1981 roku były nielegalne.

Nie ma więc wątpliwości, że WRON był antypolską organizacją przestępczą, a wszyscy jego członkowie powinni zostać – na mocy wyroku sprzed 6 lat – pozbawieni stopni wojskowych oraz odznaczeń państwowych (także pośmiertnie), czego od dawna domaga się Porozumienie Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie.

W Edynburgu uhonorują gen. Maczka i jego żołnierzy

W prestiżowym miejscu, w pobliżu głazu pamięci, gdzie w listopadzie składane są wieńce upamiętniające wszystkich weteranów walczących za wolność Wielkiej Brytanii, na znajdującym się na słynnej Królewskiej Mili dziedzińcu Rady Miasta Edynburga stanie pomnik generała Stanisława Maczka i polskich żołnierzy, którzy osiedlili się w Szkocji – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

„Zaprojektowana przez polskiego artystę Bronisława Krzysztofa rzeźba z brązu – przedstawiająca Maczka siedzącego na ławce – zostanie sfinansowana ze zbiórki publicznej, którą można wesprzeć m.in. przez stronę www.paypal.me/generalmaczek. Dotychczas zebrano nieco ponad połowę wymaganej kwoty – ok. 50 tys. z 85 tys. funtów” – czytamy w depeszy PAP.

Jedna z powierniczek odpowiedzialnej za projekt fundacji Katie Fraser napisała w przesłanym PAP oświadczeniu dla mediów, że „jest bardzo wdzięczna wszystkim za dotychczas udzielone wsparcie” i podkreśliła, iż liczy na to, że pomnik stanie „jeszcze za życia niektórych z mężczyzn, których chcemy uhonorować”.

Gen. Maczek zasłynął jako znakomity dowódca 10. Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej w kampanii wrześniowej oraz 1. Dywizji Pancernej Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, z którą wyzwalał miasta we Francji, Belgii i Holandii, potem dowodził w latach 1945-1947 I Korpusem rozlokowanym w Szkocji.

„Po demobilizacji Maczek osiadł w Edynburgu. Z racji braku statusu weterana nie miał prawa do świadczeń rządowych i podejmował się różnych prac. Był m.in. barmanem w edynburskim hotelu. Zmarł w Edynburgu 11 grudnia 1994 roku w wieku 102 lat. Pochowany został na cmentarzu żołnierzy polskich w holenderskiej Bredzie – mieście, którego został wcześniej honorowym obywatelem” – napisała PAP.

W 1946 roku Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej pozbawił go polskiego obywatelstwa. Decyzję tę uchylona w 1989 roku, a prezydent Lech Wałęsa przyznał mu Order Orła Białego.

„W trakcie drugiej wojny światowej w Szkocji stacjonowało ok. 20-25 tys. polskich żołnierzy. Większość z nich pozostała tam także po zakończeniu walk.

Od 2015 roku w Edynburgu stoi pomnik Misia Wojtka, syryjskiego niedźwiedzia, który był adoptowany przez polskich żołnierzy pod dowództwem gen. Władysława Andersa, a po wojnie zamieszkał w edynburskim zoo. Polacy są obecnie największą mniejszością narodową w Szkocji. Według ostatnich szacunków mieszka ich tam ponad 100 tys.” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Ukradli tory kolejowe

To się nazywa kradzież z prawdziwego zdarzenia!

Jak poinformowało Radio Kraków, z placu budowy w Balinie koło Chrzanowa zniknęły stare tory, o czym powiadomił policję pracownik firmy remontującej linię kolejową z Krakowa do Katowic na tym odcinku. „Szynty, które skradziono, były zdemonstrowane już z torowiska i pocięte na sześciometrowe kawałki. Zginęły najprawdopodobniej w ciągu kilku dni” – czytamy na stronie internetowej krakowskiej rozgłośni. Ich wartość oszacowano na 12 tysięcy złotych, tyle mogą więc dostać za nie złodzieje w punkcie skupu złomu, jeżeli wcześniej nie zostaną ujęci przez policję, która powinna też ostrzec właścicieli wszystkich punktów odbioru surowców wtórnych w okolicach Chrzanowa, że mogą pojawić się tam sprzedawcy łatwych do zidentyfikowania fragmentów szyn kolejowych.

O właściwą ocenę tragicznych bohaterów

Czy wśród Żołnierzy Niezłomnych (Wyklętych), których święto po raz kolejny obchodziliśmy 1 marca byli wyłącznie bohaterowie? Oczywiście, że nie. Czy niegodne czyny popełnione przez niektórych z nich usprawiedliwiają słowa ostrej krytyki wypowiediane przez polityków postkomunistycznej lewicy? Odpowiedź jest identyczna jak poprzednia. Ci, którzy pozostali w lesie lub poszli do niego po opanowaniu Polski przez sowiecki reżim w latach 1944-45, byli ludźmi postawionymi przez historię w wyjątkowo tragicznej sytuacji. Bez centralnego dowództwa, bez realnej nadziei na zwycięstwo, bez poczucia, że sprzyja im – jak wcześniej Armii Krajowej – zdecydowana większość społeczeństwa łatwo mogli ulec demoralizacji. To, że stała się ona udziałem tylko nielicznych spośród nich zasługuje na wielkie uznanie, co wcale nie oznacza,

że należy – dla dobra sprawy – przemilczać przypadki zachowań zasługujących na potępienie.

Jedno jest pewne: to oni mieli historyczną rację i ich było „za grobem zwycięstwo”, którego dożyła tylko garstka Niezlomnych. Tej prawdy nie zdołają zanegować sieroty po PRL usiłujące bronić atakowaniem ich własnych życiorysów naznaczonych tchórzostwem, oportunistycznym, gotowością oddania wolności za przywileje. Najnowsze dzieje Polski naznaczone są dramatycznymi wyborami dokonywanymi przez ludzi, którzy gotowi byli oddać życie w obronie narodowych imponderabiliów, chociaż zdawali sobie sprawę, że być może lepiej przysłużyliby się Ojczyźnie stając do jej odbudowy, podejmując studia, zakładając rodziny. Wybrali jak wybrali nie wolno ich potępiać, trzeba być wyrozumiałym w ocenie tego, co robili przyciśnięci historyczną koniecznością.

Nie każdy Żołnierz Niezlomny był bohaterem, wszelkie generalizacje bywają bowiem zawodne. Haniebne i pozbawione jakichkolwiek merytorycznych podstaw są jednak próby uznania ich za formację składającą się w przeważającej mierze ze zdemoralizowanych bandytów. Wśród komunistów też byli ludzie uczciwi, ale to nie powód, aby twierdzić, że obiektywnie działali dla dobra Polski.

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie na stronie Radia RMF FM.

Stulatek spod Monte Cassino

100 lat skończył wczoraj zamieszkały w Krakowie uczestnik kampanii wrześniowej 1939 roku, obrony Tobruku i bitwy o Monte Cassino podpułkownik Mieczysław Herod – poinformował portal internetowy krakowskiego wydania „Gościa Niedzielnego”. Urodzony 20 lutego 1918 roku w podkrakowskim Rzeplinie był w chwili wybuchu II wojny światowej kapralem w 5 baterii 6 Pułku Artylerii Lekkiej stacjonującego w krakowskim Łobzowie. Brał udział w zaciętych i krwawych walkach 6 Dywizji Piechoty w obronie Pszczyny. Za zniszczenie 2 września 3 czołgów niemieckich i uszkodzenie kilkunastu innych został odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Pod koniec września dostał się do niewoli niemieckiej, z której zdołał uciec. „W 1940 r. przedostał się na Węgry, skąd przerzucono go do Syrii, gdzie został żołnierzem Brygady Strzelców Karpackich. Po kapitulacji Francji brygada przemieściła się

do Palestyny. Przeformowana w Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich została w sierpniu 1941 r. przerzucona drogą morską do Tobruku. Wraz ze swoim Karpackim Pułkiem Artylerii podoficer Herod wziął udział w obro- nie twierdzy Tobruk przed oddziałami włoskimi i niemieckimi. Po kolejnych walkach i powrocie do Palestyny podchorąży artylerii Herod już popłynął, jako żołnierz 3 Dywizji Strzelców Karpackich, do Włoch. Wraz z pozostałymi oddziałami II Korpusu gen. Władysława Andersa wziął m.in. udział w maju 1944 r. w bitwie pod Monte Cassino. W kwietniu 1945 r. brał z kolei udział w wyzwoleniu Bolonii. Jesienią 1946 r. jego oddział został przewieziony do Anglii i tutaj zdemobilizowany” – czytamy w portalu. W sierpniu 1947 roku wró- cił do kraju. Ukończył studia ekonomiczne, przez kilkadziesiąt lat pracował w kombinacie hutniczym w Nowej Hucie, gdzie do tej pory mieszka. Cały czas czynnie działał w środowisku weteranów II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie będąc obecnie jednym z dwóch żyjących jeszcze w Krakowie żołnie- rzy gen. Andersa. Drugi to prawie 93-letni profesor Wojciech Narębski, który również brał udział w bitwie o Monte Cassino, a w 22 Kompanii Zaopatrywa- nia Artylerii opiekowała się słynnym niedźwiadkiem Wojtkiem.

– Mieciu jest wciąż niezmordowany. Od lat uczestniczył w spotkaniach z młodzieżą, m.in. harcerzami ze Skawiny oraz uczniami ze szkoły podstawo- wej w Bukowskiej Woli, noszącej imię Samodzielnej Brygady Strzelców Kar- packich – Obrońców Tobruku – wspominał swojego przyjaciela prof. Narębski w rozmowie z „GN”.

A córka dowódcy II Koprusu senator Anna Maria Anders tak zwróciła się do ppłk Heroda podczas jednej z ubiegłorocznych uroczystości:

– Dzięki takim osobom jak pan, mój ojciec generał Władysław Anders mógł tworzyć wspaniałą armię, której czyny okryte zostały chwałą wojenną na polach bitewnych pod Monte Cassino, Ankoną i Bolonią. 200 lat, czcigodny kombatancie!

Piękna Niepodległa

W walce o powrót naszego kraju na mapę Europy pokazny, chociaż czę- sto przemilczany udział miały także polskie kobiety. Aby oddać im należny hołd, Muzeum Armii Krajowej im. generała Emila Fieldorfa-„Nila” w Krako-

wie przygotowało czynną do końca jubileuszowego roku wystawę pt. „Piękna Niepodległa” opowiadającą w interesujący sposób o działaniach panien i pań w organizacjach niepodległościowych. Jak poinformowała Polską Agencję Prasową kuratorka wystawy Izabela Cisek, ekspozycja przybliży postaci bardziej i mniej znanych uczestniczek konspiracji niepodległościowej, zarówno z czasów pierwszej wojny światowej, jak i z okresu zmagania z bolszewikami w latach 1919-1921 oraz podczas drugiej wojny światowej.

„Przedstawione zostaną sylwetki kobiet aktywnych na polach: militarnym, społecznym, politycznym, kulturalnym. Zwiedzający poznają bliżej postacie m.in. Aleksandry Zagórskiej – komendantki Ochotniczej Legii Kobiet, Wandy Gertz – legionistki i komendantki „Dysku”, Stanisławy Paleolog – działaczki niepodległościowej i komisarz policji, Marii Chelmskiej – komendantki POW w Lublinie, w dwudziestolecie międzywojennym posłanki i senatorki, Olgi Staweckiej – żołnierza Legionów, która później została siostrą serafityką, Heleny Bujwidówny-Jurgielewiczowej – obrończyni Lwowa i pierwszej kobiety weterynarza” – czytamy w depeszy PAP.

– Kobiety działały w organizacjach niepodległościowych niemal od początku ich istnienia. Pełniły funkcje kurierek, zajmowały się przygotowywaniem materiałów wybuchowych, czynnie uczestniczyły w akcjach bojowych. Kiedy wybuch wielkiej wojny przyniósł szansę odzyskania upragnionej od pokoleń niepodległości tak samo jak mężczyźni rozumiały, że nie da się kupić jej „za dwa grosze i dwie krople krwi”. W czasie pierwszej wojny światowej kobiety działały w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej, jako sanitariuszki na froncie, a niektóre z nich także z bronią w ręku. Poświęcenie tych ostatnich było ogromne, ponieważ – w związku z zakazem przyjmowania do wojska kobiet – musiały udawać mężczyzn i służyć pod przybranymi nazwiskami. Były jednak także panie „walczące” piórem i pędzlem, domagające się zrównania w życiu politycznym i społecznym mężczyzn i kobiet – powiedziała PAP kuratorka wystawy.

Ich bojowa epopeja nie skończyła się w momencie odzyskania przez Polskę niepodległości. We Lwowie, a następnie w Wilnie, zorganizowana została Ochotnicza Legia Kobiet biorąca udział w zmaganiach o kresowe miasto i w wojnie z bolszewikami. Także w powstaniach śląskich walczyły ochotnicz-

ki. „Wiele kobiet po zakończeniu działań wojennych pragnęło zwyczajnego, spokojnego rodzinnego życia. Inne rzuciły się w wir pracy społecznej, polityki, a nawet wstępowały do zakonów. Radość z odzyskanej niepodległości nie trwała jednak długo. Po 20 latach po raz drugi trzeba było bronić ojczyzny. I wówczas kobiety nie zawiodły: działały w konspiracji na równi z mężczyznami. Wiele z nich przypłaciło to więzieniem, torturami, zesłaniem, obozem koncentracyjnym i śmiercią” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Plac Kuronia we Lwowie

Rada Miasta Lwowa uchwaliła, że patronem polsko – ukraińskiego pojednania będzie Jacek Kuroń, którego imię nadała placowi położonemu w bezpośrednim sąsiedztwie Konsulatu RP w tym mieście – poinformowały Kresy 24. Mer Lwowa Andrij Sadowy oświadczył, że uhonorowany w ten sposób polski polityk był jednym z największych przyjaciół Ukrainy w swoim kraju.

– Trudno mi wymienić człowieka, który byłby większym lobbystą i obrońcą Ukrainy. (...) W obecnych trudnych czasach powinniśmy dać impuls działalności ludzi, którzy wspierają Ukrainę poza jej granicami. Polska była, jest i pozostanie naszym sąsiadem. Teraz przeżywa ona niełatwy okres. Dzisiejsze głosowanie w sprawie placu Kuronia jest poparciem dla tych, którzy twardo wspierają Ukrainę – powiedział Sadowy (cytat za stroną internetową RML)

„Z inicjatywą nadania jednej z ulic Lwowa imienia Jacka Kuronia wystąpiła w połowie listopada ubiegłego roku grupa ukraińskich intelektualistów, która postanowiła uhonorować go jako orędownika pojednania polsko-ukraińskiego. Inicjatywa ta miała być odpowiedzią na zaostrenie relacji między Warszawą a Kijowem na tle historycznym. Pod apelem w sprawie nadania imienia Kuronia podpisały się wówczas znane osobistości, m.in. dysydent czasów ZSRR, a obecnie prorektor Katolickiego Uniwersytetu we Lwowie Myrosław Marynowycz, historyk Jarosław Hrycak i pisarz Jurij Andruchowycz” – czytamy w portalu.

Dekomunizacja „Małej Moskwy”

W Legnicy rozpoczęła się rozbiorówka pomnika Wdzięczności Armii Radzieckiej przedstawiającego żołnierzy polskiego oraz sowieckiego trzymają-

cych na rękach dziewczynkę i ściskających sobie dłonie – poinformowała Polska Agencja Prasowa. Stojący na placu Słowiańskim, czyli w ścisłym centrum miasta zwanego niegdyś „Małą Moskwą”, gdyż ulokowane tam było dowództwo i koszary Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej monument od dawna budził wiele kontrowersji, wielokrotnie próbowano go usunąć. Stało się to możliwe dopiero na mocy ustawy dekomunizacyjnej. Rzecznik legnickiego magistratu Arkadiusz Rodak powiedział PAP, że figury z tablicami ze zdemontowanego pomnika trafią najpierw do magazynów Legnickiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej, a później do lapidarium, które powstanie w Muzeum Miedzi, gruz z cokołu zabierze natomiast i zmieli Regionalna Instalacja Przetwarzania Odpadów Komunalnych. „Figury pomnika zostały odlane w latach 50. ze spiżu. Ważą 3,5 ton. Monument powstał według projektu Józefa Guzega, odsłonięto go w 1951 r.” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Bracia Kowalczykowie będą nadal honorowani

Wojewoda polski Adrian Czubak powiedział na konferencji prasowej, że dopóki pełni swoją funkcję nie zmieni nazwy sali w Urzędzie Wojewódzkim, ani ulicy w Opolu noszących imię braci Jerzego i Ryszarda Kowalczyków – poinformowała Polska Agencja Prasowa. Czubak spotkał się z dziennikarzami w związku z listem opolskiego historyka i byłego działacza antykomunistycznego doktora Zbigniewa Bereszyńskiego, który badając akta ze zbioru zastrzeżonego Instytutu Pamięci Narodowej doszedł do wniosku, że istnieją podstawy do stwierdzenia, iż Ryszard Kowalczyk został zwerbowany do współpracy przez Służbę Bezpieczeństwa w 1981 roku jako jej tajny współpracownik „Seep”, kiedy odbywał wyrok 25 lat więzienia za współudział w wysadzeniu w powietrze auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. „Zdaniem Bereszyńskiego, wojewoda powinien wcześniej sprawdzić w IPN, czy osoba której imię nadał jednej z reprezentacyjnych sal urzędu wojewódzkiego i ulicy w Opolu, jest poza kręgiem jakichkolwiek podejrzeń” – czytamy w depeszy PAP. Wojewoda określił list Bereszyńskiego jako skandaliczny, a robienie zamieszania wokół przeszłości Ryszarda Kowalczyka kilka miesięcy po jego śmierci uznał za niegodziwe i niemoralne. Przyznał, że wiedział o tym, iż Kowalczyk był w ewidencji

SB, ale – według jego wiedzy i dokumentów IPN, które wówczas otrzymał – nie ma dowodów na to, aby na kogokolwiek donosił lub współpracował z bezpieką na szkodę antykomunistycznej opozycji. „W nocy z 5 na 6 października 1971 roku Jerzy Kowalczyk przy pomocy swojego brata Ryszarda, wysadził w powietrze aulę opolskiej WSP w przeddzień akademii SB i Milicji Obywatelskiej, która miała się w niej odbyć. Po procesie Jerzego Kowalczyka skazano na karę śmierci zamienioną na wieloletnie więzienie. Ryszard za współudział otrzymał karę 25 lat więzienia. Ryszard Kowalczyk wyszedł na wolność w 1983 roku. Jerzy dwa lata później. W 1993 roku prezydent Lech Wałęsa podjął decyzję o zatarciu wyroków i przywrócił braciom prawa obywatelskie. 2016 roku prezydent Andrzej Duda odznaczył braci Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski. Ryszard Kowalczyk zmarł jesienią ubiegłego roku. Został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu komunalnym w Opolu” – przypomniała Polska Agencja Prasowa.

ZLP nie zasiedział Oleandrów

Sąd Okręgowy w Krakowie nieprawomocnym wyrokiem oddalił wniosek Związku Legionistów Polskich o zasiedzenie Domu im. Józefa Piłsudskiego na Oleandrach. Ponieważ o tej sprawie pisałem już wiele razy, krótko przypomnę, że budynek wzniesiony w latach 30. ubiegłego wieku przy alei 3 Maja 7 według projektu Adolfa Szyszko-Bohusza i Stefana Strojka w miejscu, z którego 6 sierpnia 1914 roku wyruszyła na szlak niepodległości Pierwsza Kompania Kadrowa Strzelców Józefa Piłsudskiego jest od 1991 roku użytkowany przez ZLP nie będący jednak – na mocy wcześniejszych wyroków – prawnym, a więc także majątkowym spadkobiercą przedwojennej organizacji o tej samej nazwie. Już cztery lata temu sąd stwierdził, że nieruchomość jest własnością gminy Kraków i powinna być jej wydana. W odpowiedzi Związek złożył wniosek o zasiedzenie, ponieważ zajmuje go od końca grudnia 1990 roku. SO uznał jednak, że gmina swoim wnioskiem sprzed dziewięciu lat przerwała proces zasiedzenia. Komendant ZLP zapowiedział apelację od wyroku sądu pierwszej instancji, co spowoduje, że sprawa zapewne będzie się ciągnąć przez kolejne miesiące, a może nawet lata i jest mało prawdopodobne, aby Dom im. Józefa Piłsudskiego został wyremontowany przed tegorocznymi, wyjątkowo huczny-

mi – z racji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości – uroczystościami sierpniowymi. Władze Krakowa są gotowe na rozpoczęcie remontu wnętrza niszczonego, sześciokondygnacyjnego budynku oraz jego elewacji jeszcze przed definitywnym zakończeniem sporu prawnego. Zagwarantowane są na ten cel pieniądze zarówno ze środków miejskich jak i Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa w łącznej sumie ponad 5 milionów złotych. Prezydent profesor Jacek Majchrowski zapewnia, że po remoncie zabytkowy obiekt stanie się siedzibą bezdomnych organizacji kombatanckich i patriotycznych oraz Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego. Na Oleandrach trwa obecnie prowadzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego kontrola mieszczącego się tam Muzeum Czynu Niepodległościowego, a policja prowadzi pod nadzorem prokuratury postępowanie mające wyjaśnić, czy nie doszło do znieważenia szczątków ludzkich. Czy 6 sierpnia prezydent Andrzej Duda, członkowie rządu, przedstawiciele organizacji patriotycznych i uczestnicy Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej będą mogli wreszcie wejść do przywróconego do przedwojennej świetności Domu im. Józefa Piłsudskiego? Oto jest pytanie!

Odnawiają kryptę Piłsudskiego

Rozpoczęła się konserwacja wawelskiej krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów – miejsca wiecznego spoczynku Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Na czas remontu metalowy sarkofag, w którym znajduje się trumna z ciałem, został przeniesiony do przedsionka, gdzie pochowano Lecha i Marię Kaczyńskich (ciągle nie nadano temu pomieszczeniu właściwej nazwy).

– Prace konserwatorskie, które rozpoczną się po Wielkanocy, obejmować będą wątki wapienne sklepienia oraz ścian krypty, jak również granitową posadzkę. Wystrój krypty wykonany na cześć marszałka Józefa Piłsudskiego: emblematy, tarcze, odznaki z metalu zostały już wywiezione do pracowni konserwatorskiej. Znajdująca się w krypcie dotychczasowa instalacja elektryczna i teletechniczna, czyli kamery, urządzenia alarmowe i monitorujące zostaną wymienione na nowe – powiedział Polskiej Agencji Prasowej proboszcz parafii archikatedralnej ksiądz prałat Zdzisław Sochacki.

Sarkofag został już zbadany pod kątem stanu technicznego, co umożliwi

podjęcie prac konserwatorskich umożliwiających powstrzymanie destrukcji mosiężnych blach oraz ozdobnych nitów.

- Nie będziemy ingerować w trumnę, w której znajduje się zabalsamowane ciało marszałka Józefa Piłsudskiego – dodał ks. prałat Sochacki, co można rozumieć jako odpowiedź na pojawiające się co pewien czas propozycje, aby w miejsce obecnego zainstalować okazały sarkofag wedle projektu Jana Szczepkowskiego (szczegółowo pisałem o tym w styczniu), który wygrał w 1938 roku konkurs, ale z powodu wybuchu wojny nie zdołał go wyrzeźbić (zachował się jedynie gipsowy odlew). Zachowania wyglądu tego miejsca w dotychczasowym kształcie chcą także rodzina Komendanta, Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i w Londynie, a także liczne organizacje piłsudczykowskie w Kraju oraz na Uchodźstwie. Renowacja krypty potrwać ma do końca czerwca, i będzie sfinansowana ze środków finansowych Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa oraz parafii. „Marszałek Józef Piłsudski zmarł 12 maja 1935 r. został pochowany w krypcie św. Leonarda na Wawelu, a w czerwcu 1937, na polecenie metropolity krakowskiego abpa Adama Stefana Sapiehy trumnę przeniesiono do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Miedziany sarkofag, w którym złożona jest trumna ze szczątkami Józefa Piłsudskiego, przypomina swoją bryłą prostą żołnierską trumnę. Jediną ozdobę stanowią okalające go pasy z rytmicznie nabitych guzów” – przypomniała Polska Agencja Prasowa.

KWIECIEŃ 2018

Odszedł najmłodszy więzień Auschwitz z pierwszego transportu

W wieku 95 lat zmarł najmłodszy uczestnik pierwszego transportu więźniów do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz z Tarnowa Kazimierz Zajac – poinformowało Radio Kraków.

– Został aresztowany 3 maja 1940 roku. W pierwszym transporcie, 14 czerwca, zabrano go do Auschwitz. Był najmłodszym więźniem tego transportu. Miał wtedy 16 lat i 7 miesięcy – powiedział krakowskiej rozgłośni prezes Oddziału Towarzystwa KL Auschwitz w Tarnowie Ryszard Lis.

„Pochodzący z podtarnowskiego Jasiena Brzeskiego Zajac spędził 5 lat

w niemieckich obozach. Od 1940 roku był więźniem KL Auschwitz, a od 1944 do końca wojny przebywał w Buchenwaldzie” – czytamy na stronie internetowej RK.

Żyje natomiast jeszcze ostatni uczestnik tego transportu Kazimierz Albin.

Umarł ostatni ułan

W wieku 103 lat zmarł ostatni ułan II Rzeczypospolitej porucznik Stefan Mustafa Abramowicz z 1. Szwadronu Tatarskiego 13. Pułku Ułanów Wileńskich – poinformowała Polska Agencja Prasowa powołując się na komunikat przedstawicielki jego rodziny Xenii Jacoby.

Urodzony 20 stycznia 1915 roku w rodzinie polskich Tatarów w Klecku koło Nieświeża Abramowicz we wrześniu 1937 roku został powołany do odbycia czynnej służby wojskowej do stacjonującego w Nowej Wilejce pułku „różowych ułanów”, w którym jeden ze szwadronów dumnie dzierżył buńczuk tatarski.

„W trakcie Kampanii Wrześniowej nie walczył w otwartym polu z Niemcami, ale wstąpił się innym bohaterskim czynem. W czasie przebijania się jego oddziału ku granicy litewskiej uratował przed aresztowaniem, a w konsekwencji ocalił życie przed Katyniem swego dowódcy por. Zygmunta Barcickiego. Sam nie zdążył przedrzeć się na Litwę. 27 września 1939 r. został aresztowany przez Sowietów i wywieziony do obozu w Kozielsku, gdzie ostatni raz widział polskich oficerów straconych później w dołach Katynia. Z Kozielska trafiał do kolejnych obozów i podobozów jako jeńiec gułagu przymusowej pracy dla Sowietów. W ciągu dwóch lat przebywał w dziewięciu obozach, m.in. w Kozielsku, Krzywym Rogu i Starobielsku” – czytamy w depeszy PAP.

Po tzw. amnestii na mocy układu Sikorski-Majski w 1941 roku odzyskał wolność i z oddziałem Polskich Sił Zbrojnych z Krasnowodzka dopłynął statkiem do Pahlavi w Iranie, gdzie trafił pod dowództwo Brytyjczyków, a po szkoleniach został czołgistą amerykańskiego Shermana w 1. Pułku Ułanów Krechowieckich stanowiącego część 2. Warszawskiej Dywizji Pancерnej 2. Korpusu Polskiego pod dowództwem generała Władysława Andersa. Brał udział w kampanii włoskiej walcząc m.in. o Monte Cassino, a w drodze do Ancony został ranny.

Po demobilizacji w czerwcu 1946 roku w stopniu starszego ułana znalazł

się Liverpoolu. Jako żołnierz gen. Andersa nie mógł bezpiecznie powrócić do Polski. Zamieszkał w Manchesterze, gdzie pracował zarobkowo i ożenił się z Haliną, z którą miał dwie córki.

„W 2000 r. został awansowany na stopień podporucznika. W lipcu 2016 r. Stefan Mustafa Abramowicz został uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, przyznawanym za wybitne zasługi dla obronności kraju i za wspieranie postawy. Jednocześnie wręczono mu awans na porucznika, który został przyznany 27 stycznia 2016 r. przez ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza. Dodatkowo szef MON podarował mu ryngraf z grawerowaną dedykacją i sentencją rozkazu marszałka Józefa Piłsudskiego: <Dla dobrego żołnierza nie ma położenia, z którego z honorem wyjść nie można>. W 2016 r., dzięki staraniom Xeny Jacoby, ukazała się w Polsce książka zawierająca wspomnienia ostatniego ułana Rzeczypospolitej pt. „Droga mojego życia” – napisała Polska Agencja Prasowa.

W styczniu 2017 roku Stefanowi Mustafie Abramowiczowi przyznano odznaczenie wojenne Her Majesty's Armed Forces Veterans Badge przysługujące weteranom II wojny światowej walczącym u boku brytyjskiej armii, ze szczególnym wyróżnieniem za udział w bitwie pod Monte Cassino.

Ostatni ułan Rzeczypospolitej spocznie w rodzinnej mogile w Manchesterze przy swojej żonie.

Kto ukradł ogromny głaz?

Z okolic szlaku turystycznego pomiędzy jeziorami Średnim i Dużym w Turawie zniknął będący pomnikiem przyrody kilkutonowy głaz narzutowy; sprawą zajęła się już policja – poinformowały opolskie media. Dotychczas udało się ustalić, że głaz zniknął pomiędzy 1 a 11 marca. Nie wiadomo natomiast, w jaki sposób złodziejowi udało się go ruszyć z miejsca i przetransportować.

„– Jest to przestępstwo więc zajmują się nim kryminalni z Ozimka. Byli już na miejscu, dokonali oględzin. Ustalają świadków i szukają osób które mają związek ze sprawą” – powiedział „Dziennikowi Zachodniemu” Przemysław Kędzior z Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu.

Piotr Dziedzic z Urzędu Gminy Turawa podał nieco więcej szczegółów na antenie Radia Opole:

– We wtorek 4 kwietnia otrzymałem wiadomość od jednego z mieszkańców z okolic jeziora Średniego, że zginął głaz. Do gminy zgłosiła się osoba, która pokazała zdjęcie, że 11 marca kamienia już nie było. Na początku marca kamień był widziany, czyli od około miesiąca już go nie ma, Nie ma śladów, że to zostało jakąś maszyną ewidentnie zabrane, bo byłyby ślady. To wygląda na to, że akcja była zorganizowana ciężkim sprzętem. Nie wiem, komu to było potrzebne, ani dlaczego i po co. Poszukiwany kamień to głaz narzutowy o obwodzie 520 i wysokości 100 centymetrów. Wartość samego granitu można wycenić od 2 do 8 tysięcy złotych. Uważam, że jest to obiekt bezcenny, bo to jest nasze dobro narodowe, pomnik przyrody, który lodowiec przyciągnął i powinniśmy o takie rzeczy dbać.

„Jak czytamy na stronie pomniki-przyrody.odskok.pl, ukradziony głaz narzutowy zbudowany jest z różowego granitu skandynawskiego. Na teren Turawy został przywleczony przez plejstocenijski lodowiec. Odnaleziono go podczas budowy zbiornika w 1936 roku, a decyzją kierownictwa budowy przetransportowano go poza obręb jeziora i ułożono w miejscu, w którym do niedawna spoczywał. Pomnikiem przyrody nieożywionej turawski głaz został w lipcu 1955 roku, widniał na nim ślad po tabliczce na ten temat” – napisała „Gazeta Wyborcza” w opolskim wydaniu.

Komu i na co jest potrzebny taki kamyczek?

Inżynier Śliwczyński zdaje już raport Komendantowi Piłsudskiemu

Stare i mądre powiedzenie głosi, że nie ma ludzi niezastąpionych, ale kiedy umiera ktoś nierozdzielnie przez kilkadziesiąt lat związany z jakąś ważną sprawą, można w nie powątpiewać.

Taka myśl towarzyszy mi od chwili, w której dowiedziałem się, że po ciężkiej chorobie odszedł od nas 3 kwietnia Włodzimierz Śliwczyński. Pisząc „nas” nie ograniczam się wyłącznie do Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego przy Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, którego wiceprzewodniczącym (od ubiegłego roku honorowym) był człowiek duszą i ciałem oddany wielkiej idei najpierw przywrócenia, a potem utrzymania przedwojennego wyglądu polskiej Mogiły Mogił, ale wszystkich kontynuatorów myśli państwowej Pierwszego Marszałka Polski. Mimo podeszłego wie-

ku spędzał na krakowskim Sowińcu każdą wolną chwilę. Od początku lat 80. kiedy było to jeszcze działanie na poły konspiracyjne stawał z łopatą, kilofem i taczkami do społecznej pracy wierząc, że kiedyś kopiec ku czci Jego ukochanego Komendanta będzie wyglądał tak, jak go zaplanowali i zbudowali przedwojenni patrioci. Będąc inżynierem oraz architektem mógł nie tylko wozić i uklepywać ziemię, ale także fachowo kierować renowacją znienawidzonego przez komunistów symbolu polskiej niepodległości.

Urodzony 20 września 1932 roku w Kluczborku, ukończył 25 lat później studia na Wydziale Architektury Politechnice Krakowskiej im. Tadeusza Kościuszki i na stałe osiadł w podwawelskim grodzie. Jak znalazł drogę na kopiec Piłsudskiego? Tak sam to kiedyś opisał:

„W roku 1978 przyjechał do Krakowa mój ojciec Antoni Śliwczyński. Miał 85 lat. Staliśmy na Błoniach o on wskazując ręką na Sowiniec pyta: Synu, co tam jest? Gdy usłyszał, że to kopiec Piłsudskiego rozkazał: idziemy! Poszliśmy razem pieszo i po około 3 godzinach byliśmy na kopcu. Ojciec walczył jako żołnierz marszałka Piłsudskiego o Wilno i pod Warszawą. Został odznaczony za udział w wojnie 1918-1921. Brał również udział w sypaniu tego kopca. Zapewne ta radość ojca, że po czterdziestu latach znalazł się znowu na kopcu, a później smutek, że jest on tak bardzo zmieniony sprawił, że z chwilą powstania w 1980 roku Obywatelskiego Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego stałem się jego członkiem. Wokół pułkownika Józefa Herzoga skupiła się garstka licząca około 20 osób-szałeńców, która cały wolny czas spędzała przy wycinaniu drzew porastających kopiec i przy taczkach poświęcając własne środki finansowe i sprzęt, by ratować niszczący kopiec.”

I tak zaczęła się nieprzerwana, jakże owocna służba inżyniera Śliwczyńskiego na Sowińcu. Nie tylko wyznaczał zadania przychodzącym w soboty i niedziele zapaleńcom, ale także przeprowadzał prace remontowe w pawilonie będącym zapleczem dla tych robót i urządził w nim małą izbę pamięci poświęconą budowie oraz odbudowie Mogiły Mogił, w której zboczach złożono kilka tysięcy ziem z pól bitewnych oraz miejsc kaźni Polaków przelewających krew za ojczyznę na całym świecie. Uczestniczył też we wszystkich krakowskich uroczystościach niepodległościowych zarówno wtedy, gdy ponosiło się za to nieprzyjemne konsekwencje, jak i po 1989 roku. Nigdy nie przeszedł

na patriotyczną emeryturę, dopóki starczało mu sił zjawiał się na Sowińcu, by w rzeczowych rozmowach z dyrektorem opiekującej się w imieniu władz miasta Krakowa kopcem Fundacji Miejski Park i Ogród Zoologiczny dyrektorem doktorem Józefem Skotnickim na bieżąco ustalać, jakie prace naprawcze bądź pielęgnacyjne trzeba w najbliższym czasie wykonać. Był też uroczym gospodarzem towarzyskich spotkań piłsudczyków odbywających się w pawilonie.

Za całokształt swej działalności społecznej został odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Odznaką "Honoris Gratia", Złotą Odznaką "Za pracę Społeczną dla Miasta Krakowa", Złotą Odznaką "Za zasługi dla Ziemi Krakowskiej".

Włodku, obiecujemy Ci, że odnowiony przy Twoim wielkim udziale kopiec Józefa Piłsudskiego będzie nadal otaczany czcią i opieką prawych Polaków. A Ty śmiało zdaj raport ze swojej służby przy nim temu, dla którego go w latach 1934-37 usypano.

Miał honor być kadetem

3 kwietnia zmarł jeden z ostatnich wychowanków lwowskiego Korpusu Kadetów nr 1 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego porucznik Zenon Malik. Zdążyłem odwiedzić Go z życzeniami Wielkanocnymi w Wielki Czwartek. Właśnie wrócił po serii badań ze szpitala wojskowego w bardzo złym stanie; lekarze powiedzieli rodzinie, że można się już za Niego tylko modlić. Nie wiem, czy mnie poznał, ale zdawałem sobie sprawę, że to już moje pożegnalne spotkanie z honorowym wiceprzewodniczącym Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego przy Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. A współpracowaliśmy owocnie i zgodnie przy odnowie polskiej Mogiły Mogił oraz przy organizowaniu wielu krakowskich uroczystości patriotycznych poczynawszy od wczesnych lat 80. minionego wieku.

Urodzony w 1920 roku Malik brał udział w kampanii wrześniowej, potem wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, a po ukończeniu podchorążówki uczestniczył w wielu akcjach sabotażowych i dywersyjnych, prowadził szkolenia na kursach podoficerskich, pełnił funkcję podoficera wywiadu Armii Krajowej w Krakowie.

„Powołany do pracy przymusowej w Baudienst (1941) pracował przy bu-

dowie ul. Starowiślniej i pl. Wolnica. Wraz z osobami znającymi język niemiecki został przeniesiony do Szpitala Wojskowego przy ul. Kopernika, gdzie do jego obowiązków należało m.in. noszenie rannych z transportów lotniczych i kolejowych, sprzątanie sal operacyjnych, oporządzanie zmarłych do pochówków, a także sortowanie mundurów i bielizny. W 1943 r. został przeniesiony do Instytutu Bakteriologicznego przy ul. Czystej w Krakowie, jako laborant i karmiciel wszy. Wykorzystywał swoją pracę w szpitalu i Instytucie zdobywając informacji dla wywiadu AK. W sierpniu 1944 r. uciekł z Instytutu i ukrywał się przed Gestapo w powiecie brzeskim. W 1945 r. wrócił do Krakowa i ujawnił się. Został zdegradowany do stopnia szeregowego i był szykanowany. Rozpoczął pracę zawodową jako urzędnik i księgowy; zajmował się również działalnością społeczną – przypominała jego okupacyjną przeszłość Małgorzata Koszarek na stronie Muzeum Armii Krajowej w Krakowie. Będąc aktywnym członkiem Związku Kadetów II RP założył kadecką izbę pamięci przy ulicy Urzędniczej, w której zgromadził kilka tysięcy eksponatów przekazanych później w większości do Muzeum AK. Był członkiem m.in. Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Fundacji Muzeum Historii AK, Związku Piłsudczyków, Towarzystwa im. Józefa Piłsudskiego.

Nigdy nie lubił być na pierwszym planie, zawsze chętnie włączał się natomiast we wszelkie działania mające na celu utrwalić chlubną przeszłość Polski, do końca życia pozostając wierny zawołaniu: „Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem”.

Za swoją wierną służbę narodowym imponderabiliom został odznaczony m.in. Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Armii Krajowej, nadawanym w Londynie Medalem Wojska, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem i Patentem Weterana Walk o Niepodległość Ojczyzny, Odznaką Akcji „Burza”, Medalem Pro Memoria i przyznaną przez Prezydenta Miasta Krakowa odznaką Honoris Gratia.

Wybuchowa zakąska

O tym, że dla Rosjan ważne jest tylko to, co się pije, a nie to, czym się zakąska wiadomo od dawna. Niefrasobliwość w dobieraniu zakąski może okazać się jednak tragiczna w skutkach, chociaż pijacy miewają sporo szczęścia. Jak

poinformowała agencja Primpress.ru, grupa mieszkańców jednej ze wsi Kraju Nadmorskiego w okolicach Władywostoku włamała się do magazynu, z którego wyniosła – tak im się przynajmniej wydawało – smakowite parówki. Nie zastanawiając się nad ich nieco dziwną konsystencją, przystąpili natychmiast do konsumpcji zdobyczej zakąski pod zimną wódeczkę. Niestety, po biesiadzie poczuli się bardzo źle. Myśleli, że zaszkodził im alkohol, chociaż trochę podejrzane było, iż zatruciu uległ też pies, który jadł rzekome parówki, ale nie pił przecież wódki. O tym co zjedli dowiedzieli się dopiero z wiadomości telewizyjnych, w których poinformowano o obrabowaniu magazynu. Jak się okazało, zniknęło z niego 37 kilogramów materiału wybuchowego do złudzenia przypominającego wyglądem parówki. To, że nie zdziwiły ich chyba nieco inne walory smakowe można złożyć na karb nietrzeźwości, mieli natomiast sporo szczęścia, że nie zbliżyli mniemanych parówek do palonych zapewne papierosów, bo byłaby to wówczas ostatnia w życiu popijawa tego towarzystwa.

Dopadł pijaka po 2 kilometrach pościgu

Są ludzie tak wytrwali i konsekwentni w walce z plagą pijanych kierowców, że nie cofną się przed żadnym wysiłkiem, aby oddać ich w ręce policji. Tak właśnie zachował się pewien mieszkaniec Sądecczyzny, który przebiegł prawie 2 kilometry, aby dogonić pijaka za kółkiem, chociaż poruszającego się w szyku pieszym. Jak poinformowało Radio Kraków, rzucił się on bez chwili namysłu w pościg za 35-latką, który w stanie wyraźnie wskazującym na spożycie alkoholu wjechał w barierki ochronne przy szkole, wyszedł z samochodu i zaczął uciekać.

„W trakcie pościgu do świadka zdarzenia dołączyli policjanci. W końcu udało się zatrzymać uciekiniera. Za spowodowanie zagrożenia w ruchu drogowym, jazdę po pijanemu i brak uprawnień do kierowania grożą mu teraz dwa lata więzienia. Jak się okazało był pijany – miał prawie 3 promile alkoholu” – czytamy na stronie internetowej krakowskiej rozgłośni.

Dzielnemu biegaczowi należy się chyba jakiś medal, bynajmniej nie sportowy.

Młodzież mniej kradnie

Z danych Komendy Głównej Policji wynika, że z roku na rok maleje liczba kradzieży dokonywanych przez nieletnich – poinformował „Dziennik-Gazeta Prawna”. W porównaniu z 2016 rokiem, w ubiegłym było o 1/5 mniej takich przestępstw, a w stosunku do 2014 roku ich liczba zmalała aż o połowę. „Najczęściej młodzież kradnie pieniądze i telefony komórkowe – to w ostatnich latach nie zmieniło się w szczególny sposób. Znacznie spadła jednak liczba takich incydentów – ogółem w 2014 roku młodzież dokonała 4686 kradzieży, w 2015 było ich 3814, w 2016 liczba ta wyniosła 3206, a w 2017 zaledwie 2519” – czytamy w gazecie. Bardzo interesujące jest zdanie ekspertów na ten temat. Jako przyczynę spadku kradzieży wśród nieletnich wskazują oni zwiększające się dochody rodzin oraz spędzanie przez młodzież coraz większej ilości czasu przed komputerem (zwłaszcza na portalach społecznościowych), mniej zaś poza domem.

„Niepokojące jest to, że jeśli młodzi sięgają po cudzą własność, to zazwyczaj ma ona wyższą wartość niż kiedyś” – napisał „Dziennik-Gazeta Prawna”.

Jakim środkiem lokomocji jest hulajnoga?

Na takie pytanie postanowiło odpowiedzieć Radio Eska, które ustaliło, że coraz więcej krakowian przesiada się z samochodów nie tylko na rowery, ale i na hulajnogi.

Czy jazda na nich powinna być dopuszczona na ścieżkach rowerowych?

„Osoba jadąca na hulajnodze w świetle prawa jest pieszym. Powinna więc poruszać się po chodniku lub po poboczu. Nie jest to jednak zbyt wygodne. Coraz więcej osób jeździ na hulajnodze nie tylko rekreacyjnie. Mieszkańcy Krakowa dojeżdżają na nich do pracy czy szkoły” – czytamy na stronie internetowej Eski.

– Hulajnoga jest coraz popularniejsza ze względu na swoje zalety. Jest jeden problem, jeśli chodzi o nawierzchnię chodników. W Krakowie niestety różnie z tym bywa. Jest na przykład kostka albo kocie łby – powiedział reporterowi Radia Jakub Łoginow z inicjatywy „Kraków i Śląsk dla rolników”.

Zarząd Infrastruktury Komunalnej i Transportu Urzędu Miasta Krakowa

podkreśla, że – myśli o udogodnieniach dla osób poruszających się na hulajnogach, deskorolkach lub rolkach.

– Miłośnicy jazdy na rolkach, wrotkach, hulajnogach są traktowani są przez prawo tak samo jak piesi i muszą przemieszczać się po chodniku, albo po poboczu. Coraz więcej chodników wykładanych jest nawierzchnią bez faz. To są takie kostki bezfazowe, które mają minimalne fugi pomiędzy sobą, dzięki czemu poruszanie się po tych nowych chodnikach jest płynniejsze, ale też bardziej komfortowe - wyjaśniła na antenie Magdalena Wasiak z ZIKiT.

A Łoginow dodał:

– Niektóre kraje, na przykład Czechy czy Słowacja, dopuszczają ruch hulajnóg na ścieżkach rowerowych. To nadal są piesi, ale w drodze wyjątku mogą też korzystać z dróg dla rowerów ustępując pierwszeństwa rowerzystom.

„Zdaniem ZIKiT-u osoby na hulajnogach czy na rolkach, jeżdżąc po ścieżkach rowerowych, stwarzałyby niebezpieczeństwo zarówno dla rowerzystów, jak i dla siebie samych” – napisano na stronie Radia Eska.

Odszkodowanie za problemy seksualne

O niezwykle ciekawym wyroku Sądu Apelacyjnego w Łodzi poinformowała „Rzeczpospolita”.

54-letni Krzysztof G. (imię fikcyjne) w wyniku wypadku samochodowego, w którym odniósł obrażenia fizyczne, musiał też rozpocząć leczenie u specjalisty seksuologa w związku z problemami psychicznymi oraz brakiem chęci współżycia i osłabieniem erekcji. Mężczyzna wystąpił na drogę sądową przeciwko firmie ubezpieczeniowej, w której polisę OC wykupił sprawca wypadku. Sąd Okręgowy w Łodzi uwzględnił dysfunkcję seksualną pod postacią utrwalonego osłabienia pożądania seksualnego, co dla młodego mężczyzny znacząco wpływa na jakość życia jego rodziny. „Uwzględniając wszystkie okoliczności, sąd uznał, iż adekwatna do rozmiaru doznanых krzywd tytułem zadośćuczynienia powinna być kwota 58 tys. zł. Biorąc pod uwagę wypłaconą przez ubezpieczyciela kwotę 18 tys. zł, sąd zasądził tytułem dalszego zadośćuczynienia kwotę 40 tys. złotych” – czytamy w gazecie. Firma ubezpieczeniowa wniosła apelację, w której zakwestionowała dowód z opinii biegłego seksuologa uznając

ją za niekategoryczną i opartą na przestarzałych metodach badawczych. Z tym zarzutem nie zgodził się sąd drugiej instancji.

„Odnosnie metody badawczej zastosowanej przez biegłego, tzw. testu R., to – wbrew twierdzeniom apelacji – biegły nie wskazał, że jest to metoda przestarzała i powszechnie krytykowana. Biegły wskazał jedynie, że jest to metoda stara, jednakże cały czas stosowana w seksuologii sądowej i mimo pewnej krytyki ceniona. Apelujący odnosząc się jedynie do tej części opinii biegłego całkowicie pomija dalszą część jego wywodów przedstawionych w ramach ustnej uzupełniającej opinii, a mianowicie, że test ten nie miał decydującego znaczenia w diagnostyce powoda, potwierdził jedynie przeprowadzony wcześniej wywiad, a wnioski opinii biegły oparł na analizie całego materiału dowodowego” – czytamy w cytowanym przez „Rzeczpospolitą” uzasadnieniu wyroku. Sąd Apelacyjny uznał także za niedopuszczalne dywagacje o przyczynach zaburzeń erekcji czy zmniejszeniu ochoty na seks u mężczyzn w określonym wieku, nie miały one bowiem żadnego oparcia w stanie faktycznym sprawy.

„Ale nawet używając tej nomenklatury apelacji, że mężczyzna w wieku 54 lat nie jest <dziarskim młodzieńcem>, nie jest on również <bardzo starym mężczyzną>, dla którego sfera życia seksualnego nie odgrywa już żadnej roli” – napisano w uzasadnieniu.

Szczytowe chamstwo

Wszechobecna agresja i rozlewające się coraz szerszymi falami chamstwo dotarło także w wysokie góry, które jeszcze do niedawna były oazą kultury oraz dobrego wychowania. Turyści pozdrawiali się na szlakach, pomagali sobie nawzajem w razie kłopotów, dzielili żywnością i wodą, ostrzegali przed możliwymi problemami na trasach. Niestety, te romantyczne czasy nieodwołalnie odchodzą do przeszłości, a zaczyna dominować na szczytach i na przełęczach taka sama atmosfera, jaką znamy z – nomen omen – nizin. Liczą się nie piękne przeżycia na łonie górskiej natury, ale zaliczenie popularnych miejsc i komercja. Także tatrzańscy przewodnicy przestają wymieniać się doświadczeniami i życzliwie przekazywać sobie klientów, toczą o nich natomiast bezpardonowe walki. Niekiedy dochodzi do kuriozalnych i karygodnych sytuacji. Oto jedna z nich z połowy kwietnia. Jak ustaliła „Gazeta Wyborcza”, słowacka policja

prowadzi śledztwo w sprawie incydentu, do którego doszło pod Gerlachem, gdzie polska przewodniczka została uderzona przez „kolegę” zza południowej granicy podczas wspinaczki na najwyższy szczyt Tatr. Wedle relacji pani Klaudii w ścianie nad Batyżowiecką Próbą spotkała schodzącego z góry słowackiego przewodnika z dwoma turystami. Najpierw zaatakował ją słownie, a kiedy wyjaśniła mu, że posiada licencję przewodnicką ważną także po słowackiej stronie Tatr i chciała mu zrobić zdjęcie celem późniejszej identyfikacji, próbował odebrać jej smartfona, a następnie przystąpił do rękoczynów. Działo się to na wąskiej półce skalnej. „Chwilę później przewodnik ominął ją, pozwalając jego klientom zejść niżej. Pani Klaudia podkreśla, że w tym momencie klienci byli związani liną, która nigdzie nie była przypięta. Słowacki przewodnik trzymał ją w jednej ręce, sam nie będąc nigdzie przywiązany. Zwraca też uwagę, że nie miał kasku na głowie. Kobieta została zaatakowana ponownie – uderzał ją wielokrotnie pięścią po kasku, ręce oraz nodze. Napastnik dalej wygrażał kobiecie. Polka uważa, że mężczyzna zachowałby się inaczej, gdyby nie była kobietą i nie towarzyszyłyby jej klientki.

– Gdybym była mężczyzną, dostałby po twarzy. A ja nawet nie podniosłam głosu – mówi pani Klaudia. Polska przewodniczka zgłosiła sprawę policji w Starym Smokowcu, a także polskiemu konsulowi w Bratysławie” – czytamy w „GW”. Jej zdaniem to dramatyczne wydarzenie stanowi efekt rosnącej niezdrowej konkurencji między przewodnikami, co może skutkować utratą zaufania klientów do nich, o obniżeniu poziomu kultury nie wspominając. Jeśli słowaccy policjanci odnajdą damskiego boksera i podana wyżej wersja potwierdzi się, grozi mu kara roku pozbawienia wolności. I jak tu czuć się bezpiecznie w górach, nawet pod opieką wysoko wykwalifikowanego przewodnika?

Kursy przetrwania dla pedagogów

O tym, że to nie uczniowie boją się nauczycieli, ale coraz częściej bywa na odwrót wiadomo już od dawna. Nie może więc dziwić podana przez Polską Agencję Prasową za włoskimi mediami informacja, że w Rzymie zorganizowano kurs przetrwania dla pedagogów w związku z narastającą falą agresji i przemocy wobec nich ze strony podopiecznych. „Ze szkół w całych Włoszech napływają niemal codziennie kolejne doniesienia o przypadkach napaści na nauczycieli.

Często sprawcami pobicia są rodzice, ale rośnie także agresja wśród uczniów, stosujących w klasach przemoc fizyczną i psychiczną. Upokarzają profesorów, obrażają ich, biją i grożą” – czytamy w depeszy PAP. Miarka przebrała się, kiedy nauczycielka w technikum w Velletri niedaleko Rzymu usłyszała od ucznia, że „rozpuści ją w kwasie”. Pogrożki te zostały opublikowane przez media po tym, gdy nagranie tej sceny trafiło do portali społecznościowych. Prokuratura wszczęła dochodzenie w tej sprawie. W mieście Lukka śledztwem objęto czterech nieletnich uczniów technikum, którzy grozili wykładowcy, co również nagrali telefonem komórkowym – napisała PAP.

W odpowiedzi na te i inne przypadki uczniowskiej agresji stowarzyszenie dyrektorów szkół ze stołecznego regionu Lacjum postanowiło zorganizować szkolenie dla nauczycieli, w trakcie którego nauczą się, jak reagować w trudnych sytuacjach chuligaństwa i przemocy wobec nich. „Ponadto zapoznają się z obowiązującymi przepisami oraz tym, jakie kroki dyscyplinarne można podjąć w świetle prawa. Otrzymają także, jak zapowiedziano, odpowiednie przygotowanie psychologiczne, by właściwie ocenić zachowanie uczniów. Seria spotkań odbywać się będzie we współpracy z policją pocztową, ścigającą przestępczość w internecie, ze specjalistami z rzymskiej kliniki Gemelli oraz z opieką społeczną” – czytamy w depeszy PAP. Prezes stowarzyszenia Mario Rusconi wyjaśnił włoskim mediom, że nauczyciele zostaną wyposażeni w wiedzę i narzędzia psychologiczne oraz prawne, dzięki którym będą umieli reagować, a także bronić się w sytuacjach ekstremalnych.

„– Epizody chuligańskiego zachowania ze strony uczniów wobec nauczycieli, do których dochodzi obecnie coraz częściej, wymagają poważnej zbiorowej refleksji, nie tylko w świecie szkoły. Trzeba położyć kres temu upadkowi zajmując jasną i zdecydowaną postawę” – powiedział cytowany przez Polską Agencję Prasową Rusconi. Mam nadzieję, że nigdy nie nadejdą czasy, w których nauczyciele zostaną wyposażeni w ostrą broń, a w podziemiach szkół powstaną wyposażone w żywność i wodę bunkry na wypadek, gdyby musieli uciekać przed atakującymi ich hordami rozbawionych uczniów.

Dziwaczny bunt studentek

Czy określenie „najmilsza” można uznać za politycznie niepoprawne? Ależ oczywiście, w dzisiejszych czasach każde wyróżnienie kobiety – także pozytyw-

ne – one same mogą potraktować jako obraźliwe, uwłaczające ich czci, poniżające. Od ponad 60 lat w trakcie krakowskich juwenaliów wybierana jest „najmilsza studentka”. Takie samo współzawodnictwo organizują zapewne także inne polskie miasta, w których działają wyższe uczelnie, a jest ich bardzo wiele. Do tej pory nikomu to nie przeszkadzało, ale w tym roku na Facebooku wybuchła burza, ponieważ niektóre studiujące pod Wawelem niewiasty (można jeszcze używać tego pięknego słowa?) stwierdziły, że przymiotnik „najmilsza” nie odpowiada im, zwłaszcza że zwycięzca konkursu po stronie męskiej otrzymuje tytuł „super studenta”, co jakoby sugeruje, że jest kimś lepszym. Część białogłów (a może to średniowieczne określenie kobiet też je obraża?) stawia sprawę pryncypialnie: skoro jest wybierany „super student”, to powinna być także wyłaniana „super studentka”, bo „najmilsza” kojarzy się z osobą uległą, pragnącą być przyjemną dla wszystkich, wyróżniającą się bardziej zachowaniem niż przymiotami charakteru. Chciałbym spuentować ten felieton okrzykiem: „No i masz babo placek!”, ale wtedy już na pewno zostałbym okrzyknięty seksistą i mizoginem.

MAJ 2018

Brak pijackiej solidarności

Oj, upadają w Polsce wszelkie obyczaje. Jeszcze nie tak dawno opisana niżej sytuacja byłaby nie do pomyślenia, bo solidarność panowała także – a może nawet zwłaszcza – wśród uczestników alkoholowych biesiad. A jak jest dzisiaj? Pięciu mężczyzn obficie raczyło się alkoholem w Stróży (niedaleko Myślenic). Po zakończeniu libacji czterej z nich postanowili odwiedzić piątego do domu. Zapakowali go do bagażnika samochodu, co zdarza się w takich sytuacjach. Zamiast wnieść jednak kompana do środka, położyli go kilka metrów od budynku i zadowoleni z siebie odjechali.

Niestety, cierpiący na padaczkę (choć nie wiadomo, czy przyczyniła się ona do zgonu) 29-latek umarł między godziną 1.30 a 5.00. Policjanci dzięki monitoringowi szybko zatrzymali całą czwórkę, a prokuratura postawiła każdemu z nich zarzut nieudzielenia pomocy, za co grozi kara do trzech lat pozbaw-

wienia wolności. A przecież oni właśnie chcieli pomóc, tyle że nie doprowadzili swojego zamiaru do końca. Kilkanaście lat temu z pewnością wnieśliby go do domu, nawet gdyby mieli narazić się na gniew rodziny. O tempora, o mores!

Większość Bawarczyków niechętna krzyżom

Prawie dwie trzecie Niemców jest przeciwne wieszaniu krzyży w urzędach państwowych – wynika z sondażu instytutu badania opinii publicznej Emnid, którego rezultaty opublikował „Bild am Sonntag”, o czym poinformowała Polska Agencja Prasowa. „Według tego sondażu jedynie 29 proc. ankietowanych popiera wieszanie krzyży w niemieckich urzędach, a aż 64 proc. jest temu przeciwnych. Krzyży w urzędach nie chce 48 proc. katolików i aż 62 proc. protestantów” – czytamy w depeszy PAP. Sondaż przeprowadzono zaraz po ogłoszeniu przez rząd krajowy Bawarii, że we wszystkich podległych mu urzędach będą przy wejściach wisieć krzyże, ale – jak zaznaczył premier Markus Soeder z CSU – nie jako naruszające nakaz neutralności światopoglądowej symbole chrześcijaństwa, ale jako znaki tożsamości i dziedzictwa kulturowego.

„Nowe rozporządzenie dotyczy wyłącznie placówek administracji krajowej, gdyż rząd Bawarii nie ma żadnych uprawnień w odniesieniu do działających na jej terytorium agend federalnych i samorządowych. Do tej pory wieszanie krzyży było obowiązkowe tylko w klasach w szkołach i w sądowych salach rozpraw, ale znajdują się one także w niektórych bawarskich urzędach na mocy ich własnych decyzji” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Bohater „Poloneza artyleryjskiego” pochowany z honorami

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

Siew pada w ziemię szrapnelami,

I dym i grom i burza z nami,

Piekielny deszcz ze stali.

Nie wypada inaczej jak pierwszą strofą słynnego wiersza Jana Lechonia zacząć relację z uroczystego złożenia do grobu na warszawskich Powązkach Wojskowych w honorowej asyście Wojska Polskiego urny z prochami twórcy artylerii Legionów Polskich generała brygady Ottokara Brzozy-Brzeziny. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęła Msza Święta w Katedrze Polowej Wojska

Polskiego, podczas której odczytano list okolicznościowy od marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego. Wnuk generała Krzysztof Brzoza-Brzezina przypomniał na cmentarzu, że w tym roku mija 50 lat od śmierci jego dziadka, którego towarzysze broni – z bardzo niewielkimi wyjątkami – odeszli już na wieczną wartę. Powoli zaciera się pamięć tamtych dni. Dlatego jestem głęboko wzruszony widząc wszystkich, którzy przybyli na dzisiejszą uroczystość, by uczcić tu jego pamięć – powiedział (wszystkie cytaty za Polską Agencją Prasową). Zdaniem prezesa Instytutu Józefa Piłsudskiego w Warszawie profesora Wiesława Jana Wysockiego, Brzoza-Brzezina to „legenda legionowa” i człowiek, który „wpisuje się w pewną grupę ludzi, którzy byli przyjaciółmi Polaków, tworzyli krąg wspierający Polaków i sami stawali się w jakiś sposób Polakami”.

– Właściwie do końca życia komuniści w jakiś sposób go represjonowali. Także po śmierci odmówili mu porządnego pogrzebu, z honorami należnymi oficerowi Wojska Polskiego. Dzisiaj właśnie jest nadrobienie tego, co powinna Polska oddać temu, który jej służył – dodał zaznaczając, że był on jedynym Czechem w Wojsku Polskim. Urodzony 3 marca 1883 roku w Protivinie sformował latem 1914 roku w podkrakowskich Przegorzałach pierwszą baterię artylerii legionowej, co upamiętnia zawieszona przed II wojną światową, zdjęta przez komunistów i przywrócona w 1981 roku staraniem Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego tablica. Wkrótce powstały z niej dwa dywizjony, które zapisały piękne karty bojowe w bitwach pod Krzywopłotami i pod Konarami. Brzoza-Brzezina zasłynął w wojnie z bolszewikami, następnie pełnił funkcję zastępcy dowódcy artylerii obrony Warszawy, a po przeniesieniu w stan spoczynku pod koniec sierpnia 1927 roku osiadł w podwarszawskiej Zielonce. Odznaczono go Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego *Virtuti Militari* oraz trzykrotnie Krzyżem Walecznych. „1 września 1939 r. zgłosił się do na ochotnika do służby w Wojsku Polskim. Objął dowództwo nad zgrupowaniem <Brzoza> w rejonie Małoryty, które następnie podporządkowało się Samodzielnej Grupie Operacyjnej (SGO) <Polesie> gen. Franciszka Kleeberga. Gen. Brzoza-Brzezina dowodził 50 Dywizją Piechoty Rezerwowej w bitwie pod Kockiem. Po kapitulacji SGO <Polesie> i wydostaniu się w niewoli niemieckiej, wrócił do Zielonki. Tam rozpoczął działalność konspiracyjną w Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej; działał w wywiadzie AK oraz przez pewien czas

ukrywał grupę Żydów. Aresztowany, trafił do oficerskiego obozu jenieckiego w Woldenbergu” – czytamy w depeszy PAP. Za te czyny został odznaczony przez władze RP na Uchodźstwie Złotym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari i pośmiertnie awansowany 15 lutego 1969 roku do stopnia generała brygady. Po wojnie ukrywał się przed koniecznie chcącymi go dopaść Sowieci na Dolnym Śląsku, a w połowie lat 50. wrócił do Zielonki, w której zmarł 30 sierpnia 1968 roku. „Został pochowany na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie bez należnych mu honorów wojskowych. 30 marca br. szczątki generała zostały ekshumowane z inicjatywy Tradycyjnego Oddziału C. i K. Regimentu Artylerii Fortecznej No. 2” – napisała Polska Agencja Prasowa. Teraz, kiedy generał Ottokar Brzoza-Brzezina spoczywa już w honorowym miejscu na naszej narodowej nekropolii, można oddać mu należną cześć i wspomnieć go ostatnią zwrotką „Poloneza artyleryjskiego”:

To artylerja nasza licha

Dziś puka od świtania.

Ani się pyta kto dziś z nami

Baterja wścieklej stali

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

Dom dla byłych więźniów bez rodzin

Wielu opuszczających więzienia przestępców ma spore problemy z dostosowaniem się do życia na wolności. Chcąc im pomóc w powrocie do normalności Małopolskie Stowarzyszenie Probacja przygotowało w krakowskim Centrum Integracji Pro Domo miejsce dla ośmiu byłych skazańców, którzy nie mają gdzie pójść. Mogą w nim mieszkać przez pół roku, w tym czasie powinni znaleźć pracę i uczestniczyć w terapii. Budynek przechodzi obecnie remont, w którym pomagają więźniowie. Jego adres nie jest ujawniony. Dlaczego? Istnieje obawa, że osoby, które zamieszkują Pro Domo, będą odrzucane czy nieakceptowane w społeczności lokalnej. Naszym zadaniem jest również to zmienić. Osoby, które trafiają do zakładów karnych często chorują na uzależnienie od substancji psychoaktywnych lub alkoholu. W Pro Domu chcemy zapobiec ich powrotowi do uzależnień – powiedziała Radiu Eska Ewelina Ćwiertnia z Probacji. Ten oryginalny projekt jest finansowany przez Urząd Miasta Krakowa.

To finansowanie nie wystarcza na żywność. Miejsce jest bezpłatne i osoby tu mieszkające mogą liczyć na bezpłatne śniadanie, obiad i kolację wyjaśniła na antenie Eski Ewelina Startek ze Stowarzyszenia.

„W siedzibie Małopolskiego Stowarzyszenia Probacja przy ul. Krasińskiego 9 w Krakowie trwa zbiórka żywności. Można tam oddawać suchy prowiant taki jak kaszę czy konserwy. Organizacja prosi też o wsparcie finansowe, potrzebne również do prowadzenia innych projektów. Stowarzyszenie prowadzi między innymi projekt <Poczytaj mi...>, w ramach którego więźniowie nagrywają bajki dla swoich dzieci” – czytamy na stronie internetowej Radia Eska.

Estończycy pojeżdżą za darmo

Obywatele Estonii od lipca będą podróżować po swoim kraju bezpłatnie – podała Informacyjna Agencja Radiowa, która przypomniała, że już od 2013 roku w Tallinie działa darmowa komunikacja miejska. Jest to pierwsze państwo na świecie, które zdecydowało się na taki krok. Wprawdzie Estończyków jest zaledwie półtora miliona, ale na wdrożenie tej inicjatywy przeznaczono w 2018 roku około 13 milionów euro, a w przyszłym będzie ich o 8 mln więcej. Minister gospodarki i infrastruktury Kadri Simson zapowiedział, że część kraju będzie objęta okresem przejściowym, zanim opłaty za bilety zostaną całkowicie wycofane, a niektóre regiony zrezygnowały na razie z przystąpienia do systemu darmowej komunikacji międzymiastowej.

„Tymczasem, jak wynika z badania przeprowadzonego na zlecenie portalu Postimees, pomysł bezpłatnego publicznego transportu popiera zaledwie co trzeci mieszkaniec Estonii. Podoba się on przede wszystkim mieszkańcom dużych miast. Komentatorzy zaznaczają, że przyczyną niskiej popularności tego pomysłu jest prawdopodobnie obawa o utrzymanie jakości usług przewozowych lub przyzwyczajenie do poruszania się własnym środkiem transportu” – czytamy na stronie internetowej IAR.

Upamiętnienie Kościuszki na Białorusi

Pierwszy pomnik Tadeusza Kościuszki na Białorusi został odsłonięty w jego rodzinnej miejscowości Mereczowszczyzna koło Brześcia – poinformowało

Polskie Radio. Monument powstał dzięki inicjatywie społecznej i internetowej zbiórce pieniędzy.

– *To była wielka niesprawiedliwość, że nie było pomnika tam, gdzie Kościuszko się urodził. Myślę, że to ważne wydarzenie dla nas (Białorusinów), Polaków i Amerykanów, dla każdego narodu, który szanuje Kościuszkę* – powiedział w rozmowie z PR dziennikarz i inicjator projektu Hleb Łabadzienka.

Wieniec pod pomnikiem *bohatera Stanów Zjednoczonych, Francji i Polski* złożył charge d'affaires Ambasady Polski na Białorusi Michał Chabros podkreślając wspólną *historię I Rzeczypospolitej i Wielkiego Księstwa Litewskiego*.

„Brązowy pomnik Tadeusza Kościuszki na granitowym cokole został ustawiony przed muzeum poświęconym generałowi w Mereczowszczyźnie pod Kosowem Poleskim. Fundusze na jego powstanie, ok. 38 tys. zł., pochodziły ze zbiórki internetowej rozpoczętej przez Łabadzienkę jesienią zeszłego roku. Z okazji odsłonięcia pomnika w pobliskim Kosowie Poleskim odprawiono Mszę Świętą odpustowa ku czci Najświętszej Maryi Panny Łaskawej i Uroczystej. Pieniądze udało się zebrać bardzo szybko, co jak wskazuje Łabadzienka, świadczy o tym, że pomnik jest potrzebny Białorusinom” – czytamy w portalu Polskiego Radia.

Muzułmanie lepsi od katolików?

W szwedzkim mieście Växjö muezin może głośno wzywać wiernych na piątkową modlitwę do meczetu, podczas gdy w położonym w pobliżu kościele katolickim nie wolno używać dzwonów – poinformował portal Euroislam.pl. „Meczet stał się punktem zapalnym i wywołał mnóstwo kontrowersji – lider chadecji nakazał lokalnym politykom głosowanie przeciwko tej decyzji, a tymczasem przewodniczący jednej z organizacji żydowskich poparł meczet, argumentując, że brak zezwolenia na takie wezwanie szkodziłby integracji” – czytamy na stronie www.euroislam.pl.

Kościół Sankt Mikaels znajduje się zaledwie 1,5 kilometra od meczetu, a mimo to jego proboszcz dwukrotnie otrzymał już zakaz bicia w niewielki dzwon – rzekomo przeszkadzałoby to mieszkańcom. Ksiądz Ingvar Fogelqvist

oznajmił, że skoro z meczetu wolno wzywać do modlitwy, to wystąpi on ponownie o zgodę na używanie kościelnego dzwonu w niedziele i na specjalne okazje, takie jak pogrzeby. Sprawiłoby to, że katolicka świątynia byłaby bardziej widoczna wśród lokalnej społeczności. „Växjö nie jest pierwszym szwedzkim miastem, które zezwala meczetowi na wzywanie do modlitwy. Meczet na przedmieściach Sztokholmu, w Botkyrka, w piątki śpiewem muezina zaprasza do modlitwy, a tamtejsza rada powiedziała, że nie otrzymała żadnych skarg. Podobny przypadek jest także w Karlskronie” – napisano w portalu. Ciekawie rozumiana jest w do przesady poprawnej politycznie Szwecji równość religijna.

Zakopywanie zdjęć wrogów Rosji

Działacze rosyjskiej organizacji „Oddziały Putina” w oryginalny sposób zaprezentowali swój antyamerykanizm. Jak poinformowała „Rzeczpospolita”, członkowie tej zrzeszającej głównie ludzi w podeszłym wieku organizacji zebrali się w parku miejskim w Krasnodarze, wykopali dołek z ziemi i włożyli do niego fotografie Donalda oraz Ivanki Trumpów. „- Zebralibyśmy się tu, by zapomnieć o wszystkich nieprzyjemnościach, które mieliśmy w ostatnich dniach. Musimy to wszystko pochować i ze spokojnym sumieniem szykować się do mundialu. Będziemy cieszyli się życiem” – powiedziała cytowana przez gazetę córka szefa „Oddziałów Putina” Fatima Dinajewa, która nazwała córkę prezydenta Stanów Zjednoczonych najbardziej krwiożerczą kobietą na świecie.

Do ziemi trafiły również zdjęcia rosyjskiego opozycjonisty Aleksieja Nawalnego, którego nazwano agentem Departamentu Stanu USA oraz twórcy zdelegalizowanego w Rosji komunikatora internetowego „Telegram” Pawła Durowa.

Kina przyjazne weteranom

Trzy największe sieci kinowe w Polsce postanowiły podziękować żołnierzom – uczestnikom misji wojskowych oferując im od wtorku z okazji Święta Weterana tańsze bilety w ponad stu kinach w całym kraju – poinformowało Radio RMF FM. Udział w programie „Miejsce Przyjazne Weteranom” to sposób na okazanie szacunku własnym żołnierzom. Staramy się propagować tę ideę w każdej społeczności lokalnej i w biznesie. Staramy się przyciągać różne

podmioty gospodarcze i kulturalne. Nawet, gdy jakaś restauracja oferuje jakieś zniżki weteranom, to jest to miły gest, który pokazuje, że społeczeństwo pamięta o weteranach – powiedział rozgłośni generał Jarosław Stróżyk z Fundacji Bezpieczeństwa i Rozwoju Stratpoints. W programie biorą udział przychodnie, szpitale, hotele i firmy zapewniające rozrywkę, opiekę medyczną oraz wszelkiego rodzaju usługi i sprzedaż towarów detalicznych.

Benito Mussolini w kołysce

Rodzice 14-miesięcznego Benito Mussoliniego mają stawić się przed włoskim sądem w związku z faktem, że ich syn nosi imię i nazwisko faszystowskiego dyktatora – poinformowała „Rzeczpospolita” powołując się na dziennik „Gazzetta di Parma”. Okazało się, że chłopiec otrzymał imię po swoim dziadku, a jego rodowe nazwisko to Mussolini, chociaż brak jakiegokolwiek pokrewieństwa z byłym przywódcą Włoch. „14-miesięcznym Benito zainteresował się sąd w Genui. Sędzia wyraził obawę, że w przyszłości chłopiec może mieć kłopoty z powodu imienia i nazwiska tożsamego z imieniem i nazwiskiem Duce” – czytamy w gazecie. Przez Włochy już raz przetoczyła się debata na temat tego, czy w kraju rządzonym niegdyś przez Mussoliniego można nadawać dziecku imię Benito. Było to w 2015 roku w związku z premierą rodzimego filmu pt. „Il nome del figlio” („Włoskie imię”), będącego adaptacją francuskiego obrazu, w którym mężczyzna chce tak właśnie nazwać syna.

Uczynny motorniczy

Bywają takie chwile, kiedy człowiekowi nagle robi się lżej na duszy i zapomina o tym, że ludzie są dzisiaj dla siebie coraz częściej niemili, pozbawieni empatii, zapatrzeni tylko we własne interesy. Wystarczy jeden moment, aby ten ponury mrok społecznej znieczulicy rozświecił czyjś dobry uczynek. Z taką sytuacją miałem do czynienia w krakowskim tramwaju linii nr 8, którym jechałem 16 maja około godziny 12.15 na odcinku Filharmonia – ulica Urzędnicza. Być może na podstawie tej informacji kierownictwu Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego uda się ustalić nazwisko motorniczego, który zasłużył na jakąś formę wyróżnienia. Pojazd nagle zatrzymał się przed pasami naprzeciw Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Myślałem, że kierujący nim

chce po prostu kogoś przepuścić, ale ze zdumieniem zobaczyłem, że wysiadł i podbiegł do znajdującego się kilkanaście metrów dalej niewidomego z białą laską mającego wyraźny kłopot z odnalezieniem przejścia dla pieszych. Wziął go pod rękę, przeprowadził przez ulicę, po czym pośpiesznie wrócił na swoje miejsce i ruszył dalej. Nie tylko na mnie jednym to niestandardowe zachowanie wywarło ogromne wrażenie. Patrzący na ekrany swych telefonów komórkowych, smartfonów i tabletów pasażerowie „ósemki” zaczęli się uśmiechać do siebie i głośno wyrażać uznanie dla uprzejmego ponad regulaminowe wymogi motorniczego. Obyśmy zawsze umieli tak pięknie postępować wobec bliźnich, zwłaszcza dotkniętych kalectwem bądź chorobą. To tak niewiele, a zarazem tak wiele.

CELEM PRZEDSIĘBIORCÓW SAMORZĄD GOSPODARCZY

Celem polskiej przedsiębiorczości powinno być utworzenie powszechnego samorządu gospodarczego. Zaczniemy od rozliczenia z przeszłością. Postawmy diagnozę odnośnie skutków „czasu przeszłego dokonanego”. Podzielmy go na dwa okresy: od 1948 do 1989 roku, czyli porę komuny i od 1989 do dzisiaj.

Czas komuny to okres bezwzględnego tępienia przedsiębiorczości opartej na własności prywatnej. Odziedziczyliśmy po nim wiele ułomności, tę między innymi, że w nowe czasy, po 1989 roku wchodziliśmy nie mając wykształconego i przygotowanego do działania w gospodarce rynkowej środowiska menedżerów. Jednocześnie komuna „zainfekowała” nas urazem do wszystkiego, co wspólne. Do dziś na hasło, tak przecież potrzebne przedsiębiorcom, „łąćcie się” – reakcja jest przeciwna do sensu samego postulatu.

Mamy też za sobą bez mała 30 lat wolnej Polski. Pora, byśmy potrafili postawić diagnozę, odpowiedzieć na pytania, gdzie widzimy zagrożenia i co robić.

Zmarnowane szanse

Po 30 latach w wolnej Polsce, my przedsiębiorcy patrzący z perspektywy własnej firmy, wiedzy i doświadczenia ekonomicznego oraz biorący odpowiedzialność za kraj, musimy dokonać bardzo krytycznej oceny stanu państwa, stanu społeczeństwa. Główne wyznaczniki tej oceny to zapaść demograficzna polegająca na spadku urodzin z ponad 700 tysięcy dzieci rocznie do 400 tysięcy, to emigracja zarobkowa 3 a może 4 milionów Polaków począwszy od końca lat 70-tych XX wieku do dnia dzisiejszego. Możemy tu mówić, że przez ponad

10 lat w Polsce właściwie nie było przyrostu naturalnego. Do 2050 roku ubędzie od 4 do 6 milionów Polaków. Jednocześnie udział emerytów w strukturze społecznej zwiększy się do około 30%. Zapaści demograficznej towarzyszy radykalna zmiana postaw, zasad postępowania, świadomości i kultury współżycia rodaków. Miejsce poczucia wspólnotowości i empatii zajęły: egoizm, prywata, korzyść własna.

Po 1989 roku dokonały się ogromne zmiany we własności majątku narodowego. Ponad połowa sektora przemysłowego, handlu wielkopowierzchniowego, banków znalazła się w rękach kapitału zagranicznego. Ma to wielorakie konsekwencje ekonomiczne, polityczne i społeczne. Dobitym świadectwem niech będzie fakt, że co roku ponad 50 miliardów złotych jest oficjalnie transferowane z Polski, jako wypracowany tu zysk. A przecież jest to tylko część wywożonych z Polski pieniędzy. Polscy przedsiębiorcy wiedzą, jak wielkie sieci handlowe i banki dyktując im skrajnie trudne warunki współpracy, przechwytują nadwyżkę wytworzoną w polskich firmach.

Trudno jest zrozumieć zarówno przedsiębiorcom, jak i skromnie żyjącym obywatelom, jak to się stało, że w ciągu 30 lat państwo polskie, jego budżet zadłużyło się na około bilion złotych, to jest tysiąc miliardów złotych. A dodajmy do tego ogromne zadłużenie przedsiębiorstw wynoszące z pewnością ponad 500 miliardów i zadłużenie gospodarstw domowych liczone także w setkach miliardów złotych. Patrząc na te liczby można odnieść wrażenie, że przez życie jednego pokolenia Polacy nic nie robili, tylko się zadłużali. A przecież wiemy, że tak nie było. Wiemy, że większość spośród nas, przedsiębiorców, pracowała i oszczędzała, inwestowała, tworzyła miejsca pracy, a nie konsumowała. Przytoczone liczby potwierdzają, jak obłądną, sprzeczną z interesem państwa i społeczeństwa politykę gospodarczą realizowały kolejne ekipy rządzące po 1989 roku.

Krytyczna ocena 30 lat, które za nami powinna znaleźć wyraz w uznaniu systemu prawnego oraz wynikającego z konstytucji systemu politycznego za sprzeczny z potrzebami Polski i Polaków w XXI wieku. Żyjemy w państwie, w którym prawo, w tym prawo gospodarcze, jest kreowane na potrzeby uprzywilejowanych, a konstytucja nie nakładając obowiązków na sprawujących najwyższe urzędy, jednocześnie rozmywa bądź znosi odpowiedzialność za sprawowaną władzę.

Odpowiedzialność przedsiębiorcy

Przedsiębiorcy powinni popatrzeć na siebie krytycznie, policzyć się i prze-myśleć, na czym polega ich odpowiedzialność: za firmę, za region, za państwo, za własną rodzinę. Czytając statystyki dowiemy się, że w Polsce jest od 1,7 miliona do 2 milionów firm. To mylące dane. Ponad milion firm to jednoosobowa działalność gospodarcza. Firm zatrudniających ponad 200 pracowników jest około 3,5 tysiąca, zatrudniających do 200 pracowników około 15 tysięcy, zatrudniających do 50 pracowników – około 60 tysięcy. W sumie niecałe 4% firm zatrudnia pracowników na etacie. Ten stan potwierdza, że 30 lat wolnej Polski dla polskiej przedsiębiorczości to nie był czas sukcesu i rozkwitu. Postawmy teraz pytanie – a co przed nami?

Jesteśmy świadkami ogromnego przyspieszenia technologicznego na świecie. Konkurencja globalna daje o sobie znać w każdej dziedzinie, w informatyce, w przemyśle, w rolnictwie, w handlu. Jednocześnie z powyższych przyczyn a także na skutek zmian politycznych wokół Polski powstają ogniska zapalne, które każą z największą uwagą obserwować rozwój wypadków, ale też przygotować się na ich niekorzystny dla Polski rozwój.

Musimy być świadomi, że 30 lat wolnej Polski ukształtowało dominującą pozycję kapitału zagranicznego i zagranicznych lobbystów. Ich siła oddziaływania na bez mała wszystkie formy życia publicznego w kraju są nie do przecenienia. Rozrasta się biurokracja, która swoją pracą w niczym nie przypomina najlepszych tradycji służby cywilnej. W Polsce dziś „pracuje” ponad 500 tysięcy urzędników. Większość z nich pasożytuje na organizmie gospodarki. Problem w tym, że nawet jeśli nic nie robią, potrafią znakomicie szkodzić.

W drodze do samorządności przedsiębiorców

Przedstawiony tu opis sytuacji ukazuje przed jak trudnym wyzwaniem stajemy. Ani w interesie urzędników, ani w interesie sprawujących władzę nie leży powstanie autentycznego samorządu gospodarczego, bo wówczas władzą należałoby się podzielić. Dlatego walka o samorząd wymaga połączenia dwóch grup. Pierwszej złożonej ze zdeterminowanych przedsiębiorców, pełnych odwagi, poczucia obowiązku i odpowiedzialności, drugiej – ideowych, patriotycznych polityków, myślących w horyzoncie nie od wyborów do wyborów,

a dłuższym, ludzi nie wpłatanych w partyjne intrygi. Samorząd gospodarczy nie powstanie w Polsce „oddolnie”. Dlaczego? Ponieważ polscy przedsiębiorcy jeszcze bardzo długo nie będą zdolni do działań wspólnotowych, z łatwością ulegać będą prowokacjom, wzajemnemu konfliktowaniu i politycznym wpływom. Dlatego samorząd gospodarczy, jakkolwiek by to zabrzmiało, trzeba zadekretować odgórnie.

Popatrzmy na przykłady. Niemcy mają obligatoryjny samorząd gospodarczy wprowadzony przez Ludwika Erharda – twórcę niemieckiego cudu gospodarczego. Jak to działa? Niemieckie firmy w Polsce w roku 2014 przejęły zamówienia publiczne na kwotę ponad 4,2 miliarda złotych, polskie w Niemczech – na około 50 milionów złotych. Nie więcej niż 5% zamówień publicznych w Niemczech otrzymują firmy zagraniczne. Niemieckie izby handlowe działają w Polsce bez problemu. Tymczasem polski Ursus homologację swoich maszyn i traktorów na terenie Niemiec otrzymał dopiero po osobistej interwencji premiera Mateusza Morawieckiego (choć taką homologację obowiązującą w Unii Europejskiej posiadał).

Inny przykład. Stacje diagnostyki pojazdów w Niemczech funkcjonują w określonej proporcji do ilości samochodów zarejestrowanych w danym regionie. U nas nikt, nawet samorząd lokalny, nie określa ilości stacji w regionie. W efekcie „by przetrwać” część z nich przymyka oko na wady i usterki setek tysięcy samochodów importowanych, starszych niż dziesięć lat, nie spełniających norm bezpieczeństwa czy ekologii.

W Niemczech izby handlowe i przemysłowe tworzą związki zakupowe zrzeszające po kilkaset tysięcy firm. Związki zakupowe negocjują dla przedsiębiorstw cenę energii (jest tańsza niż w Polsce), ubezpieczenia, opłaty telekomunikacyjne, tworzą własne marki i magazyny.

Jeśli ktoś woli Francję to przypomnę, że w 1802 roku dekretem Napoleona utworzono obligatoryjne izby handlowe. To one określają, jak w stosunku do planów zagospodarowania przestrzennego miast mają być usytuowane centra handlowe, jaka ma być proporcja w danej dzielnicy obiektów bankowych, handlowych, rozrywkowych i innych. To we Francji, ale też w Czechach izby handlowe angażują się w kontrole fitosanitarne i prowadzą agresywne kampanie przeciw importowanym produktom konsumpcyjnym, głównie żywności.

Nie walczy się w pojedynkę

Samorząd gospodarczy powinien być partnerem dla rządu i to nie przypadek, że w Niemczech po długich sporach powstał rząd koalicyjny. Skłóconych polityków do kompromisu zmusił potężny samorząd gospodarczy, który rozumie, że wobec destabilizacji w Europie i na świecie Niemcy potrzebują silnego rządu.

Samorząd gospodarczy powinien być pierwszym partnerem dla samorządu terytorialnego. Budżet lokalny, szkolnictwo zawodowe, podatki lokalne, przetargi – to wszystko powinno znaleźć się w gestii samorządu gospodarczego i terytorialnego. Musimy mieć na uwadze, że reforma samorządowa w Polsce z lat 1998-1999 była ułomna. Tworzyła układ trójszczeblowy: upolityczniony, upartyjniony, antysamorządowy. Co gorsza, w wielu miejscach odtwarzała granice gmin i powiatów tak, by było to korzystne dla mniejszości niemieckiej.

Szanowni Przedsiębiorcy,

Chwila obecna jest szczególna. Przed nami wybory do samorządu terytorialnego. Politycy chcą je zamienić w wybory partyjne. Chcą tą drogą, jeśli nie zniszczyć, to ograniczyć prawdziwą samorządność. To moment, gdy trzeba sobie zadać pytanie: czy stojąc z boku, nie angażując się, my przedsiębiorcy nie przykładamy ręki do upadku samorządu terytorialnego. Powinniśmy pamiętać, że na jego gruzach nie powstanie prawdziwy samorząd gospodarczy. Co najwyżej – atrapa obu samorządów skrojona na polityczną modłę i zgodna z politycznym życzeniem. I dlatego trzeba, by przedsiębiorcy podjęli wyzwanie. Musi powstać ruch przedsiębiorców na rzecz obrony samorządu terytorialnego i utworzenia samorządu gospodarczego. Przedsiębiorcy powinni znaleźć się na listach organizacji społecznych, niepartyjnych startujących w wyborach do samorządu terytorialnego. To nasza szansa i obowiązek.

PODATEK VAT – CZY TO MUSI BYĆ BAT... NA PRZEDSIĘBIORCÓW?

O podatkach w Rzeczypospolitej pisać coraz łatwiej tym, którzy skupiają się na interpretowaniu decyzji rządzących.

O podatkach w Rzeczypospolitej pisać coraz trudniej tym, którzy starają się w decyzjach rządzących doszukać myśli przewodniej godzącej potrzeby finansowe państwa ze strategią prorozwojową.

Posłużmy się przykładem podatku VAT.

Ekonomiści nazywają go podatkiem cenotwórczym, ponieważ do ceny netto towaru dodaje się ustaloną kwotę podatku. W Polsce jest to generalnie 23%. Dla konsumenta tak wyliczona cena oznacza, że nabywa towar droższy, co przy jego danych dochodach skutkuje zmniejszeniem ilości nabywanych dóbr. Dla producenta to mniejsza skala produkcji, wyższe koszty jednostkowe i utraczone dochody. Dla budżetu państwa to mniejsza kwota do opodatkowania czyli zmniejszone wpływy z podatku dochodowego płaconego przez przedsiębiorcę. Ale mniejsza skala produkcji to także mniejsze zarobki pracowników i mniejsze ich zatrudnienie, co w konsekwencji dla budżetu państwa oznacza kolejny spadek wpływów, tym razem z tytułu podatku dochodowego od osób fizycznych.

Utrzymywanie podatku VAT na wysokim, 23% poziomie ma w sumie ujemne konsekwencje dla budżetu państwa zarówno z tytułu poboru samego podatku pośredniego, jak też dla polityki prorozwojowej, gdyż zmniejsza zatrudnienie, dochodowość firm a ograniczając popyt, odbiera przedsiębiorcom motywację do inwestowania.

Jeśli teraz popatrzymy na problem od strony konkurencyjności gospodarki, to wysokie podatki pośrednie – głównie VAT i akcyza podrażają konsumpcję. Droga konsumpcja oznacza dla przedsiębiorcy wyższe koszty zatrudnienia pracowników. Przedsiębiorca nie ma wyboru i musi w płacy pracownika uwzględnić wyższe ceny dóbr i usług wchodzących do „koszyka zakupów”, czyli uznanych społecznie za niezbędne do konsumpcji. Wyższe płace to oczywiście wyższe koszty produkcji. W ostatecznym rozrachunku to niższa konkurencyjność danego producenta, szczególnie istotna dla polskich eksporterów.

I tak oto po raz drugi wysokie podatki pośrednie bijąc w przedsiębiorcę wracają rykoszetem i biją w ustawodawcę, czyli ministra finansów. A przecież to on troszczyć się powinien o rosnące wpływy do budżetu.

Dodajmy do naszej analizy nową formę rozliczania podatku VAT nazywaną podzieloną płatnością. Ma ona służyć wyeliminowaniu „przekrętów”. Nawet jeśli tak, to jej główną wadą będzie wytrącenie z obiegu części pieniędzy (około

1/5) poprzez osadzanie ich na subkontach podatkowych. A przecież już w XVII wieku dostojny Francis Bacon pisał, że „Pieniądz jest jak nawóz. Jeśli się go nie rozrzuci, nie przyniesie plonów”. Pieniądz na subkontach podatkowych będzie zalegał, spowalniał obrót w gospodarce, pogarszał płynność finansową przedsiębiorstw, zmuszał właścicieli do szukania ratunku w dodatkowych kredytach zaciąganych w bankach, zatem uzależniał od banków, podrażał koszty produkcji o odsetki i prowizje bankowe.

Co gorsza, urzędy skarbowe w sytuacji gdy pojawią się wątpliwości co do poprawności rozliczenia podatku, skwapliwie blokować będą operacje na subkontach VAT-owskich, co dodatkowo spowolni przepływ pieniądza.

Sumując – koncentracja ministra finansów na ściągalności podatków pośrednich bez jednoczesnego kreowania narzędzi stymulujących dynamikę gospodarczą prowadzić będzie do pogarszania sytuacji finansowej przedsiębiorców, pogarszania koniunktury, a nawet pogarszania nastrojów konsumentów.

Co moim zdaniem powinno zostać zrobione, by złagodzić bądź zapobiec tym negatywnym skutkom? Po pierwsze – wysokość podatku VAT ze stawki 23% powinna być obniżona do 21%. Co więcej, minister finansów powinien zobowiązać się do przedstawienia ścieżki obniżania podatku VAT w przyszłości. Po drugie – katalog stawek VAT dla poszczególnych towarów i usług powinien być bezzwłocznie zweryfikowany, uproszczony i pozbawiony „trików” interpretacyjnych umożliwiających zaniżanie podatku.

Generalnie jednak najważniejszym jest przywrócenie myślenia całościowego o systemie podatkowym, wzajemnych relacjach między poszczególnymi daninami i wyznaczenia jako celu takich rozwiązań, które zdynamizują gospodarkę i zostaną zaakceptowane przez polskich przedsiębiorców.

JUŻ NIE ZASTRZEŻONY, ALE NADAL TAJNY?

Zbiór wyodrębniony IPN, nazywany zbiorem zastrzeżonym czy zbiorem „Z”, przez lata budził ogromne emocje prawicowych polityków i dziennikarzy. Jego natychmiastowe odtajnienie należało do obietnic idącego po władzę PiS-u, a niedługo po wyborczym zwycięstwie, nowy minister Antoni Macierewicz w wyniku lektury tajnych dokumentów, powiedział, że zbiór „Z” „tworzy fikcyjną elitę ludzi w służbach specjalnych, fikcyjną elitę ludzi w bankowości, fikcyjną elitę ludzi w mediach. Fikcyjną elitę ludzi – także czasami, przynajmniej jeszcze miesiąc wstecz – w polityce”, a Dorota Kania ogłosiła: „Ujawnienie tych dokumentów wstrząśnie Polską”.

Czekaliśmy na to trzęsienie ziemi, mijały miesiące, rok, półtora... Zapowiedzi prawicowych komentatorów były w tej sprawie coraz mniej buńczuczne. Po nowelizacji ustawy o IPN, zakładającej likwidację „zetki” i po ogłaszanych jako niemal pełne ujawnienie, kolejnych partiach odtajnianych akt, wyraźne stało się wygaszanie emocji. „Och, nie ma tam niczego sensacyjnego! Po co się tym aż tak emocjonować?” pisali niedawni sensaci, jeszcze chwilę temu zwoleńnicy tezy, że po ujawnieniu zbioru „Z” świat nie będzie już taki sam i czeka nas upadek wielu autorytetów.

Póki głosy bagatelizujące znaczenie utajnionych w III RP przed badaczami archiwów słychać ze strony dziennikarzy i polityków, to pół biedy, gorzej jeśli wypowiadają się tak naukowcy i urzędnicy znający ten temat.

Poprzedni prezes IPN Łukasz Kamiński w rozmowie z Łukaszem Lubańskim pt. „Zbiór zastrzeżony IPN – niepotrzebna aura tajemniczości” („Rzeczpospolita”, z 27 lutego br.) powiedział: „Wierzono, że znajdują się tam materiały, które wyjaśnią najnowszą historię Polski. Tymczasem od likwidacji zbioru

niedługo minie rok i na razie wielkich sensacji nie było”. Trudno przejść do porządku dziennego nad taką wypowiedzią.

Ustawowa granica: 16 czerwca 2017 roku

Jaką datę uznaje Łukasz Kamiński za datę likwidacji zbioru „Z”? Wedle noweli ustawy o IPN z 29 kwietnia 2016 r. nastąpiło to 16 czerwca 2017 r. Do upływu tego terminu właściwe służby specjalne miały dokonać przeglądu akt znajdujących się w tym zbiorze, a prezes IPN mógł – do 16 czerwca 2017 r. – niektórym dokumentom z tego zbioru nadać klauzulę tajności. Nowela stanowiła w sposób jednoznaczny i kategoryczny: „Dokumenty, którym w ramach przeglądu nie nadano klauzuli tajności, stają się dokumentami jawnymi i podlegającymi udostępnieniu na bieżąco, po dokonaniu przeglądu, nie później niż w terminie przewidzianym w ust. 1” (czyli nie później niż 16 czerwca 2017 r.).

Tymczasem 3 dni przed upływem tego terminu Archiwum IPN opublikowało komunikat: „Z uwagi na fakt, iż AW, ABW, SWW i SKW nie dotrzymały ustalonego terminu dokonania przeglądu i skierowania wniosków o nadanie klauzuli w terminie do 31 marca br., Instytut Pamięci Narodowej nie będzie miał możliwości zakończenia faktycznego procesu likwidacji zbioru w terminie do 16 czerwca br. Zgodnie z ustawą to Prezes IPN decyduje o nadaniu klauzuli”.

Innymi słowy z dniem 16 czerwca ub. roku zbiór wyodrębniony teoretycznie został zlikwidowany, dokumenty z tego zbioru teoretycznie stały się jawne i teoretycznie najpóźniej z tym dniem zostały udostępnione badaczom. Praktyka jest zupełnie inna! Do odtajnienia i udostępnienia zbioru nie doszło – prezes IPN, Jarosław Szarek, ogłosił że ponad 1,5 tysiąca jednostek archiwalnych „pozostanie jednak na razie w zawieszeniu”, a już po upływie ustawowego terminu nadawano klauzulę tajności dokumentom, które wedle wyraźnego brzmienia ustawy stały się jawne. Czy nie jest to jawne złamanie prawa?

Szukanie igły w stogu siana

Kartoteczne zapisy na temat dokumentów z likwidowanego zbioru zmieszano z pozostałymi, w sposób który uniemożliwia zorientowanie się, które materiały doszły teraz do archiwum IPN. Nie ma dostępnych spisów akt likwi-

dowanej „zetki”, nie ma żadnego zapisu w bazie danych, umożliwiające ich wyselekcjonowanie. Łatwo jest mówić, że nie ma tam nic ciekawego, jeżeli nie sposób sprawdzić co tam w rzeczywistości jest!

Jak ponury żart zabrzmiały słowa prezesa IPN, wypowiedziane niedawno w TVP: „Proszę dziennikarzy, proszę historyków... Proszę iść, zobaczyć. Nie ma praktycznie zainteresowania”.

Nic dziwnego, że dziennikarzy nie zainteresowała zawartość odtajnianej „zetki”, jeśli sięgnęli do działającego na internetowej stronie IPN „Wykazu dokumentów byłego zbioru zastrzeżonego”. Jest to wyposażona w wyszukiwarkę baza danych, który liczy 6467 rekordów. Nie jest to jednak liczba jednostek archiwalnych, bo każdy tom danej sprawy jest osobnym rekordem, (przykładowo: SOR „Sahara” ma ich ponad 30). Próżno szukać w tej bazie materiałów, które miały „wstrząsnąć Polską”. Tytuł tego wykazu wprowadza w błąd, sugerując że jest to całość odtajnionych akt. W rzeczywistości są to w większości materiały wyłączone ze zbioru „Z”... przed wejściem w życie nowelizacji ustawy ustawy likwidującej „zetkę”!

Ile jednostek archiwalnych ujawniono dotychczas, a ile jeszcze pozostało poza zasięgiem badaczy? Z komunikatu IPN wynika, że w czerwcu 2016 roku zbiór zastrzeżony liczył 18596 jednostek aktowych. To, co IPN reklamuje w internecie jako „Wykaz dokumentów byłego zbioru zastrzeżonego” to zaledwie drobna jego część (mniej niż 1/6). I to część najmniej ciekawa, jak wynika z wypowiedzi prof. Sławomira Cenckiewicza.

Gdzie są kluczowe dokumenty?

Wreszcie sprawa najważniejsza – nie ujawniono dokumentów, mających fundamentalną wartość historyczną. Prawem kaduka są one nadal tajne, lub – co gorsze – gdzieś zniknęły i nikt się tym nie zainteresował. Na szczęście jednak, wiemy trochę o tym, czego szukać. Nie wszystko udało się całkiem ukryć.

Sejm I kadencji powołał komisję śledczą (tzw. komisję Ciemnowskiego) przed którą złożył zeznania pod przysięgą m.in. Michał Bichniewicz – funkcjonariusz UOP, członek Wydziału Studiów. Akta tej komisji zostały kilka lat temu ujawnione. Bichniewicz zeznał między innymi:

Wywiad w okresie stanu wojennego nie zajmował się wszystkim w opozycji, to nie było tak jak Departament III, że trzeba werbować tysiące agentów... To nie jest tak. Oni sobie wybrali >ważnych<. (...) przede wszystkim opozycję gdańską, to było najważniejsze w wywiadzie, robić opozycję gdańską. Ponadto założono duże sprawy obiektowe, na podziemie warszawskie, krakowskie, wrocławskie, poznańskie i szczecińskie. (...) Oprócz tych spraw obiektowych na te podstawowe ośrodki działalności podziemnej zakładano sprawy na różne rzeczy takie szczegółowe. Chcę panom dać przykłady. Kto szukał Zbyszka Bujaka? – Wywiad. Sprawa operacyjnego rozpracowania „Peonia”, sprawa dotyczy Zbyszka Bujaka. Oni go szukali.

Miesięcznik >Baza< – nie wiem czy panowie znają? Wychodził w stanie wojennym w Warszawie taki miesięcznik. Wywiad go >robił<, miał swojego kadrowego pracownika, który tam zaczął zakładać to wydawnictwo w ogóle jako działacz podziemny. (...)

Wywiad zajmował się Solidarnością Walczącą. Bardzo! Miał bardzo dobrze zwerbowaną tam agenturę i rozpracowywał Solidarność Walczącą ze szczególnym upodobaniem. (...)

Sądzę, że jednym z największych osiągnięć wywiadu jest sprawa >Zakopane<. Była to sprawa obiektowa na czołowych działaczy opozycji gdańskiej prowadzona przez najlepszych oficerów właśnie tego wspomnianego wydziału XI. Właściwie bez żadnych wyjątków zajmowali się wszystkimi podstawowymi działaczami opozycyjnymi w Gdańsku... TTK – Tymczasowa Komisja Koordynacyjna >Solidarności< – panowie dwóch agentów mieli w TTK. Brali udział w zebraniach TTK.

Następnie >okrągły stół< – świetną agenturą mieli. Panowie, są meldunki z tajnych przygotowań opozycji, dotyczące taktyki rozmów np. przed rozmową, spotkaniem Wałęsy z Kiszczakiem! Wywiad już wcześniej miał dokładne od członków tych rozmów informacje, jakie będzie stanowisko strony solidarnościowej!

Miał także [swoje źródła informacji] przy poszczególnych stolikach – szczególnie stolik >górnictwo<. Ze stolika górniczego mieli doskonałego agenta, który ich naprowadzał, przekazywał wszystkie informacje, był bardzo płodny. (...)

Mnóstwo meldunków wywiadu co opozycja robi. Strasznie ich to interesowało i wywiad dawał im te informacje. Bo te informacje oczywiście z wywiadu szły przez Pożogę – Kiszczaka do Jaruzelskiego na biurko. Do dziś się tam zachowały różne dopiski Jaruzelskiego na tych komunikatach co go jeszcze interesuje. >Drogi

Czesiu, doślij mi coś tam jeżeli możesz, stenogram tej rozmowy<. Albo coś tam tego... wszystko się zachowało!

Tych niezwykle ważnych dla historii dokumentów, które były w UOP jeszcze w czerwcu 1992 r., nie ma dziś w archiwum IPN. Gdzie są? Kto nadal utajnia je, łamiąc prawo?

Lista Milczanowskiego

W 2015 r. zniesiono klauzulę tajności wobec akt tzw. listy Milczanowskiego. To informacje na temat materiałów SB zebranych przez UOP przed wyborami parlamentarnymi w 1991 r. (pierwsze demokratyczne wybory do sejmu w III RP). Zlustrowano wówczas dla potrzeb władz, oczywiście całkowicie bezprawnie, wszystkich kandydatów na posłów i senatorów. Całość zgromadzonych wówczas dokumentów liczyła 17 tomów. Trzy lata temu ujawniono fragmenty 6 tomów. 2/3 zebranych wówczas materiałów jest nadal tajna. Jakim prawem?

Ale nawet to, co ujawniono, przyprawia o zawrót głowy. Możemy się zorientować, jakie materiały były w archiwach UOP jeszcze jesienią 1991 r. Przykładowo – sprawa operacyjna o kryptonimie „Strajk”, dotycząca przełomowego kwietniowo-majowego strajku w Hucie im. Lenina z 1988 r. Konia z rzędem temu, kto znajdzie dziś te akta w archiwum IPN! „Materiały zostały zniszczone w styczniu 1990 w jednostce operacyjnej” lub „Akta zniszczono w 1989” – takie sprzeczne komunikaty na ich temat otrzymujemy w ewidencji Instytutu. Kto wprowadza w błąd badaczy i dlaczego?

SOR „Strajk” to tylko jedna z setek spraw, które wyparowały w wolnej Polsce z archiwum MSW lub zostały skutecznie do dziś ukryte. Ukryte w MSW czy w IPN-ie? Nie sposób ustalić.

Państwo prawa?

Pytamy publicznie – gdzie są te wszystkie akta, o których zeznawał Bichniewicz w 1992 r.? Gdzie są akta, na podstawie których już w wolnej Polsce tworzone listy Milczanowskiego, a których nie ma w ewidencji IPN? Przecież te dziesiątki tysięcy kart, setki tomów, nie zniknęły. A gdyby tak się stało, to przecież byłoby wszczęte poważne śledztwo w tej sprawie, byłiby jacyś skazani,

przynajmniej za niedopełnienie obowiązków, za niedopilnowanie podległych tym ludziom archiwów. I przecież byłaby o tak potężnej aferze zawiadomiona opinia publiczna.

Czy ktoś odpowiedzialny może powiedzieć, że te akta nie mają fundamentalnego znaczenia dla najnowszej historii Polski?

Czy Łukasz Kamiński może o tym wszystkim nie wiedzieć, będąc nie tylko doświadczonym badaczem, ale – przede wszystkim – byłym prezesem Instytutu, mającym dostęp do jego tajemnic?

Maciej Gawlikowski, Mirosław Lewandowski
*Obaj autorzy – dziennikarz i prawnik,
są autorami publikacji historycznych
dotyczących najnowszych dziejów Polski*

Wyjaśnienie Instytutu Pamięci Narodowej ws. artykułu „Akta na zawsze zastrzeżone” w „Rzeczpospolitej”

Redaktor: Barbara Niedzielko

Data publikacji 08.03.2018

W nawiązaniu do informacji zawartych w artykule Macieja Gawlikowskiego i Mirosława Lewandowskiego pt. „Akta na zawsze zastrzeżone”, opublikowanego 6 marca 2018 r. w dzienniku „Rzeczpospolita”, należy stwierdzić, że:

Treść wypowiedzi Michała Bichniewicza z 1992 r. przed tzw. Komisją Ciemniewskiego jest doskonale znana w Instytucie Pamięci Narodowej. Dokumenty wymienione podczas wysłuchania były przedmiotem poszukiwań w zasobie archiwalnym Instytutu. Niestety nie zostały odnalezione. W niektórych przypadkach zachowały się jedynie protokoły ich brakowania oraz zapisy na ich temat w pomocach ewidencyjnych. W przypadku wymienionych w artykule teczek i podtecek rozpracowania obiektowego „Peonia” i „Zakopane” pochodzą one z września 1989 r. Był to moment, w którym w Departamencie I MSW, czyli wywiadzie, rozpoczęto proces masowego usuwania dokumenta-

cji, którego apogeum nastąpiło w pierwszej połowie stycznia 1990 r. Nie oznacza to, że w archiwach MSW w 1992 r. nie mogło być różnych dokumentów wytworzonych przez SB w toku wspomnianych spraw operacyjnych.

W związku z prowadzonymi badaniami do Archiwum IPN docierały i docierają różnorodne informacje na temat procederu „prywatyzowania” dokumentów SB nie tylko w latach 1989–1990, ale także po 4 czerwca 1992 r. Znany jest również proceder antydatowania protokołów brakowania. Na podstawie dostępnych informacji nie można jednak jednoznacznie wskazać, czy tak było również w przypadku opisanych w artykule spraw. Zgodnie z informacjami przekazanymi przez szefów służb do Archiwum IPN przekazane zostały wszystkie dokumenty.

Likwidacja i uporządkowanie dokumentacji z tzw. „zbioru zastrzeżonego” pozwoli na dokończenie procesu analizy stanu przekazanych przez służby do IPN dokumentów z informacjami zawartymi w dokumentach tzw. komisji Ciemniewskiego i aktami stanowiącymi podstawę przygotowania tzw. listy Milczanowskiego.

Odnosnie do informacji dotyczących likwidacji tzw. „zbioru zastrzeżonego”, przedstawionych w artykule, stan faktyczny przedstawia się następująco:

Zgodnie z nowelizacją ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej tzw. „zbiór zastrzeżony” przestał istnieć 17 czerwca 2017 r. W myśl zawartych w nowelizacji zapisów dokumenty, co do których służby nie wystąpiły o nadanie klauzul tajności, stały się jawne. Odtajnione dokumenty są przez archiwistów inwentaryzowane i otrzymują nowe sygnatury. Ich opisy są na bieżąco wprowadzane do Cyfrowego Archiwum, czyli systemu katalogowego, dostępnego w czytelniach akt IPN oraz dostępnym online Inwentarzu Archiwalnym IPN (8 marca br. zamieszczono kolejne 6 tys. opisów jednostek archiwalnych). Ze względu na to, że w byłym „zbiorze zastrzeżonym” IPN znajdowała się dokumentacja z całej Polski, archiwiści zajmują się również przekazywaniem odtajnionej dokumentacji do właściwych terytorialnie oddziałów i delegatur IPN.

Uzgodniony w toku współpracy Instytutu Pamięci Narodowej i służb termin 31 marca 2017 r. jako data zakończenia przez służby przeglądu dokumentacji ze „zbioru zastrzeżonego” i nadesłania do IPN korespondencji i wniosków w tej sprawie gwarantował zamknięcie całego procesu związane-

go z określeniem klauzul dokumentów w dniu 17 czerwca 2017 r. Niestety, ostatnie wnioski służb w tej sprawie przysłano do IPN 16 czerwca 2017 r. Na wnioskach Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego znalazło się 1457 jednostek archiwalnych i 8 sygnatur kartotecznych. Część z tych dokumentów w latach 2000–2005 została decyzją ówczesnego prezesa IPN prof. Leona Kieresa wy pożyczona do ABW. Mimo wielokrotnych próśb o zwrot tych dokumentów pewna ich część nadal pozostaje w dyspozycji ABW, a 274 jednostki archiwalne zwrócono 16 lutego 2018 r.

Informujemy, iż służby zawnioskowały o nadanie klauzul tajności 1962 jednostkom archiwalnym. Prezes IPN zatwierdził wnioski odnoszące się do 304 jednostek archiwalnych. Wszystkie pozostałe stały się jawne. Dokumenty te to przede wszystkim akta osobowe czynnych funkcjonariuszy, osobowych źródeł informacji, w tym obcokrajowców udzielających pomocy w działaniach operacyjno-rozpoznawczych, lokali i mieszkań konspiracyjnych, a także korespondencja dotycząca procesu wytwarzania i pozyskiwania dokumentów legalizacyjnych oraz niektórych spraw operacyjnych, np. związanych z działalnością wywiadu naukowo-technicznego i kadry „N”. Większość tej dokumentacji została wytworzona w latach 1989–1990. Nie znajdują się w niej żadne materiały archiwalne dotyczące zwalczania opozycji i Kościoła katolickiego. Należy również zaznaczyć, że wspomniana wyżej liczba obejmuje także dokumentację o charakterze pomocniczym, taką jak karty ewidencyjne i uposażeń funkcjonariuszy oraz różnorodne karty kartoteczne powiązane z figurantami poszczególnych spraw operacyjnych.

Do chwili obecnej w systemie katalogowym Cyfrowe Archiwum zamieszczone zostały opisy ponad 94 % jednostek archiwalnych, odtajnionych w ramach procesu likwidacji byłego „zbioru zastrzeżonego”. Archiwum IPN planuje zakończyć proces opisu tych materiałów do końca marca br., a następnie opublikować je w Inwentarzu Archiwalnym, dostępnym w Internecie (inwentarz.ipn.gov.pl).

Powstał na początku wolnej Polski. Był pierwszym i jak się okazało ostatnim programem informacyjnym bez komunistów w Telewizji Polskiej. Zdjęli go z anteny nie zwolennicy dawnego ustroju, tylko ówcześni kapciowi Lecha Wałęsy – ci sami, którzy po latach mieli jedynego polskiego pokojowego noblistę ogłosić agentem Bolkiem.

Obserwator demokracji – taki transparent wywiesiliśmy z okien budynku przy Placu Powstańców w trakcie pierwszego i jak dotychczas jedynego strajku okupacyjnego w historii Telewizji Polskiej. Koledzy z techniki przynieśli nam wtedy na znak poparcia biało-czerwoną opaskę z gotowości strajkowej z 1981 r. Ale to my jako pierwsi zdecydowaliśmy się na dziesięciodniową – jak się okazało – okupację redakcyjnych pomieszczeń w lutym 1991 r, reagując w ten sposób na decyzję nowego prezesa Mariana Terleckiego o zdjęciu z anteny programu informacyjnego „Obserwator”. Nawet w burzliwych latach 1980-81 strajku w telewizji państwowej nie było.

Naprzeciwno, po drugiej stronie kanionu ulicy Świętokrzyskiej wtedy w 1991 r. mieściły się jakieś państwowe biura. Tamtejsi związkowcy szybko wywiesili z okien transparent Solidarności. Oba transparenty – ich i nasz – jakby spoglądały na siebie. Nawet nie poznaliśmy osobiście tych, którzy nas poparli. Nie było na to czasu: produkowaliśmy oświadczenia, przyjmowaliśmy zagranicznych i krajowych dziennikarzy, negocjowaliśmy ewentualny powrót programu. Odwiedzali nas politycy: Władysław Frasyniuk, który zachęcał do wytrwania oraz poseł Bohdan Pilarski, apelujący, by nie szkodzić polskiej racji stanu. Słaba musiała to być racja, skoro na szwank wystawiał ją protest najmłodszego wiekiem i stażem zespołu dziennikarskiego TVP.

To raptem sześćdziesiąt wydań, niecałe trzy miesiące na antenie, niewiele ponad dwadzieścia osób w zespole, bo unikaliśmy przerostów zatrudnienia, cechujących Wiadomości, Panoramę i Teleexpress. Drobnny epizod – można powiedzieć. Ale krótka i pozbawiona *happy endu* historia programu Obserwator może okazać się przydatna do odpowiedzi na pytanie, dlaczego w ćwierć wieku później media w Polsce tak łatwo podporządkowały się politykom, a telewizja stała się publicznym pośmiewiskiem za sprawą osławionych ekranowych pasków kanału Info czy – rzeczywistego lub domniemanego – podobieństwa prezenterki Wiadomości Danuty Holeckiej do jej północnokoreańskich koleżanek po fachu.

Bohaterowie z przypadku

Nazwa Obserwator nie pojawiła się jako efekt konkursu ani nawet burzy mózgów. Po prostu trzeba było coś w kwity wpisywać. Jesienią 1990 roku pracowaliśmy nad nowym programem informacyjnym. Biurokracja telewizyjna ma swoje prawa. W zamówieniu produkcyjnym nie da się umieścić specyfikacji: *pierwszy program telewizyjny bez komunistów*. Tak narodził się Obserwator. Nie pamiętam, kto pierwszy użył tej nazwy, chociaż uczestniczyłem we wszystkich działaniach, związanych z tworzeniem programu, który od początku różnił się miał zasadniczo od wszystkiego, z czym kojarzyło się skompromitowane popieraniem aż do końca poprzedniego ustroju dziennikarstwo telewizyjne. Kultuwujących jego tradycję Wiadomości, Panoramy i Teleexpressu prawie nie oglądaliśmy: strata czasu. Monitory w redakcji nastawione były na CNN, Sky News albo BBC. To były wzorce, do których pragnęliśmy nawiązywać.

W sierpniu 1990 r. w dziale politycznym „Gazety Wyborczej” akurat przy mierzałem się do tekstu o możliwości poparcia zarówno przez Lecha Wałęsę jak Tadeusza Mazowieckiego wspólnego kandydata obozu solidarnościowego na prezydenta, zawierającego rozważania, kto nim mógłby zostać – gdy zadzwoniła do mnie Katarzyna Gruszczyńska. Znałem ją z liceum Batorego, wiedziałem, że po studiach na UJ związana jest ze środowiskiem miesięcznika „Res Publica” – kierowanego przez Marcina Króla pisma które jako pierwsze między Łabą u Władystokiem stało się zalegalizowanym samizdatem. Wydawane najpierw w podziemiu, parę lat przed Okrągłym Stołem trafiło do kiosków, za

co zresztą Adam Michnik natychmiast wyklął Marcina Króla, bo uznaje tylko takie porozumienia z komunistami, które sam zawiera.

Już przez telefon Gruszczyńska powiedziała mi, że w telewizji powstaje nowy program. Informacja, nie publicystyka. Wszystko organizuje Damian Kalbarczyk, zastępca Marcina Króla w „Res Publice”. Budują zespół i są mną zainteresowani. Wystarczyło mi to, co usłyszałem. Na razie powróciłem do klawiatury i rozważań nad sensownością zgłoszenia Zbigniewa Brzezińskiego jako wspólnego kandydata nowej Polski na prezydenta w celu uniknięcia zimnej wojny domowej w steranym przez półwiecze rządów komunistów kraju.

Później dowiedziałem się więcej. Pomysłodawcą programu był szef telewizji Jan Dworak, wywodzący się z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Gorącym zwolennikiem jego powołania stał się również prezes Radiokomiteu Andrzej Drawicz, wcześniej przez lata w drugim obiegu przybliżający Polakom opozycyjną literaturę i wolną myśl rosyjską od Aleksandra Sołżenicyna po Andrieja Sacharowa. Wybór sterników telewizji padł na środowisko „Res Publiki”, bo zyskało markę i kojarzyło się z sukcesem legalizacji pisma na długo przed Okrągłym Stołem. Podobnie jak ostrożny premier Tadeusz Mazowiecki odwoływało się do sprawdzonych wartości, a gospodarkę rynkową i demokrację proponowało budować bez awantur. Sam do „Res Publiki” pisywałem. Dla 25-lataka z opozycji możliwość budowy nowej jakości wspólnie z jej redaktorami była tym, czym dla piłkarza ekstraklasy propozycja kontraktu w Realu Madryt.

Nie jeden młody karierowicz z „Gazety Wyborczej” dyskretnie pukał się w czoło, gdy usłyszał, że odchodzę z utożsamianej z władzą redakcji do programu o nieznanej jeszcze nazwie. Zwłaszcza, że u Adama Michnika właśnie awansowałem: nie porzucając pisania, zostałem również jednym z sześciu prowadzących dział krajowy, obok m.in. Ewy Milewicz i Krzysztofa Leskiego.

Ale co to za przyjemność uczestniczyć w czymś, co zakładał ktoś inny...

A Obserwator, chociaż żył krótko, nie zawiódł naszych oczekiwań: stał się pierwszym i jak się okazało jedynym pokoleniowym przedsięwzięciem najmłodszych roczników dawnej antykomunistycznej opozycji. Tu nie ważyły dawne zasługi: o miejscu w redakcji decydowała sprawność w pracy nad programem. Czterdziestolatek Damian Kalbarczyk do zespołu redaktorów wydań zakwalifikował mnie, formalnie wciąż jeszcze studenta podyplomowej *dzien-*

nikarki (łączyłem to z pracą dla KPN-owskiego tygodnika „Opinia”, a wcześniej „Wyborczej”) i niewiele starszego ode mnie absolwenta reżyserii Tomasza Drozdowicza, który teraz kręci filmy fabularne. A w redakcjach na Placu i „na Woro” dominowali posiwiali w służbie socjalizmu towarzysze liczący przez dziesięciolecia czas od jednego zjazdu partii do drugiego. Przynajmniej w wymiarze pokoleniowym – rewolucja już się dokonała.

Zimny wychów czyli broń sobie zdobędą

Jadąc na pierwsze spotkanie na Woronicza wziąłem ze sobą Kasię Komosę z podyplomowego dziennikarstwa. Marzyła, żeby zostać prezenterką i chyba się do tego nadawała. O tym, że stało się inaczej – zdecydował przypadek.

W zburzonym w kolejnych dekadach wieżowcu naszpikowanym azbestem, mieściło się wtedy kierownictwo telewizji, ale i studio, w którym mieliśmy trenować. Zimno było jak w psiarni. Choć to dopiero 17 września. Data historyczna, ale wcale nie o rocznicę wkroczenia Sowieców chodziło. Właśnie 17 września 1990 r. zabiegi o jednego wspólnego kandydata obozu solidarnościowego przerwane zostały deklaracją Lecha Wałęsy, który ogłosił zamiar ubiegania się o prezydenturę w wyborach powszechnych. Jego rywalem miał być premier Tadeusz Mazowiecki, chociaż – często porównywany wówczas do żółwia – swój zamiar ogłosił oczywiście później. Nie widzieliśmy wtedy jeszcze, jaki wpływ wywrze to bratobójcze starcie na efekty naszego zamierzenia. Ale oczywiste było, że... musimy się spieszyć.

Zasiedliśmy w studiu. Casting na prezenterów zaczął się od razu. Kasia na tę okazję ubrała się elegancko. A lodowate zimno przenikało z zewnątrz przez ściany socjalistycznego biurowca enerdowskiej pewnie technologii. Prawie bosa w lekkich ażurowych szpilkach, w krótkiej markowej spódnicy i cienkiej designerskiej bluzce moja koleżanka trzęsła się z zimna i dzwoniła zębami. Szybko oceniono, że ma szczękoscisk i na prezenterkę się nie nadaje. Na tym jej kariera w programie się skończyła. A moja dopiero zaczynała. Reżyser Andrzej Jakimowski uparł się, żeby posadzić mnie przed kamerą, chociaż oponowałem. Zawyrokował, że nadaję się do prowadzenia programu, bo mam wiele do powiedzenia. Damian Kalbarczyk liczył się z jego zdaniem. Znał się na ludziach, skoro po latach Jakimowski okazał się twórcą wybitnych filmów fabularnych ze

słynnymi „Sztuczkami” na czele. Jakoś ich wtedy przekonałem, że rola prezentera mnie nie interesuje. Ale to szczegół. Dużo większe wrażenie wywarło, gdy zaznaczyłem, że w „Gazecie Wyborczej” dowiedziałem się, jak się tworzy nowoczesne dziennikarstwo – ale również czego się robić nie powinno. Byliśmy zdecydowani błędów „Wyborczej” nie powtarzać. To, że prezentujemy raczej wszystkich stron sporu, informujemy, a nie pouczamy – wydawało się nam od początku oczywiste. Sto procent dziennikarstwa, zero misjonarstwa.

Po kilku dniach ruszyliśmy w miasto z ekipami zdjęciowymi. Na użytek niezliczonych wydań próbnych filmowałem sejmowe debaty i rutynowe konferencje prasowe. Nie marnowaliśmy żadnej okazji, pojechałem nawet na inaugurację roku akademickiego na UW i do siedziby pozaparlamentarnej wówczas partii Janusza Korwin-Mikkego. Ci z nas, którzy zadawali sensowne pytania i umieli słuchać, zyskali już w tej fazie szacunek operatorów i dźwiękowców. Bardzo nam się przydał przy robieniu programu już *na ostro*.

Zdrowie wasze w gardło nasze

Pierwszy mój materiał na antenę okazał się również głównym tematem otwierającym inauguracyjne wydanie Obserwatora. A jego tytuł brzmiał: Lech Wałęsa prezydentem.

Zdrowie wasze w gardło nasze – wznosił toast zwycięski kandydat. Od tego zacząłem...

Pokazywaliśmy nowoczesne jak na ówczesną telewizję grafiki, dokumentujące poparcie w różnych regionach oraz grupach społecznych i wiekowych dla prezydenta i jego przegranego konkurenta – którym wbrew przewidywaniom w drugiej turze nie był wcale Mazowiecki, lecz Stanisław Tymiński, egzotyczny przybysz z Kanady. W kolejnych materiałach dokumentowaliśmy antysemityzm części sztabowców i wyborców Tymińskiego, roztrząsaliśmy, czy czarny koń wyborów przemknął przez polską politykę jak meteor, czy powoła trwałą formację wraz z towarzyszącymi mu maruderami dawnego ustroju: cybernetykiem społecznym Józefem Kosseckim i korespondentem „Trybuny Ludu” Romanem Samselem.

Reżyser Sławomir Koehler zmontował prawdziwą polityczną etiudę: tekst pożegnального wystąpienia premiera Tadeusza Mazowieckiego *przykrył* – jak

mówi się w telewizyjnym slangu – zdjęciami z ulic Warszawy, gdzie wyrastające wszędzie bazarowe szczęki i łóżka polowe z towarami, zagraniczne marki samochodów i pełne witryny sklepowe pokazywały dobitnie, że odchodzący szef rządu nie zmarnował ostatnich kilkunastu miesięcy.

„Kochałem Mazowieckiego i dlatego przygotowałem taki felieton” – wspominał po latach Sławomir Koehler: „Był najuczciwszym politykiem. Powiedziałem mu to, gdy po jakimś czasie w barku w siedzibie telewizji czekając na wejście do studia szukał drobnych za kawę. Poprosiłem, żeby pozwolił sobie ją zafundować. Zapamiętał mnie i gdy w 20 rocznicę Okrągłego Stołu nagrywałem go u niego w domu, oznajmił, że się zrewanżuje i poczęstował koniakiem całą ekipę telewizyjną” [1] .

Artysta sztuki telewizyjnej ma prawo do indywidualnych emocji, a uzasadnianie zdjęcia Obserwatora faktem, że tworzyli go „ludzie Mazowieckiego” pozostaje nadużyciem. Po pierwsze – redakcję budowali również dziennikarze wywodzący się ze środowisk KPN (moja skromna osoba) bądź Liberalno – Demokratycznej Partii Niepodległość (Natasza Bryzko), wobec jego rządu krytycznych. Po drugie – program ukazał się na antenie w dwa tygodnie po sromotnej klęsce premiera w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Siłą rzeczy więc – jeśli pominąć sentymentalną etiudę reżysera Koehlera – gdy wynik ten przesunął nieubłagane Mazowieckiego ze sfery polityki realnej do symbolicznej, po prostu... zajmowaliśmy się już kim innym.

Pokazywałem na gorąco tworzenie się wokół Wałęsy obozu władzy. W kancelarii prawniczej przy Freta nagrywałem rozpartego w klubowym skórzanym fotelu Macieja Zalewskiego, u którego jeszcze niedawno na polonistycie warszawskiej zdawałem egzamin z teorii kultury. Po zwycięstwie Wałęsy w tym właśnie działaczu Porozumienia Centrum widziano niemal wiceprezydenta. Innego mojego wykładowcę Michała Boniego przepytywałem w siedzibie Regionu Mazowsze w alejach Ujazdowskich. W kilkanaście miesięcy dorośliśmy wszyscy: nasi nauczyciele akademicki do władzy, my – ich studenci – do dziennikarstwa o zasięgu szerszym niż kilkuset egzemplarzy KPN-owskiego „Orła Białego” z całym dla tego tytułu szacunkiem.

I całkiem nieźle nam szło. Premierem miał zostać Jan Olszewski. Zaprosił kilkoro dziennikarzy najważniejszych mediów. Reprezentowałem Obserwato-

ra, były też Wiadomości w osobie Jerzego Modlingera, Monika Olejnik z radiowej Trójki i Agnieszka Kublik, która jesienią przejęła moją *działkę* w „Wyborczej”, może ktoś jeszcze. Siedzieliśmy w małym gabinecie, my z telewizji z dwoma w sumie ekipami, *Olejna* ze swoim mikrofonem. My indagowaliśmy, kandydat odpowiadał. A ja już widziałem późniejszy problem: jak to zmontować. Zadawałem kolejne pytania.

– Przecież już o to pytałam, trochę innymi słowami – syknęła na mnie Olejnik, zła, że niby czas tracimy... Ale ja wcale się nie zagapiłem, dobrze wiedziałem co robię...

Temat dla Obserwatora zmontowałem wyłącznie ze swoich pytań i odpowiedzi, jakich na nie udzielił mecenas Olszewski. Reszta mnie nie interesowała. Żadnych ponurych przebitok i kontrplanów ze zbliżeniami koleżanek i kolegów, sprzętu telewizyjnego, żyrandola czy godła na ścianie gabinetu. Wiedziałem, że to wszystko tylko zabija obraz, rzecz w tym wspaniałym medium najważniejszą.

Mnóstwo osób ze środowiska gratulowało mi potem wspaniałego wywiadu z kandydatem Olszewskim. – Jakżeś tego *eksluziwa* załatwił? Przez Siwka czy Najdera? E tam, i tak nie puścisz pary... – sami sobie odpowiadali, machając ręką.

Najgorzej na moim sukcesie wyszedł Modlinger. Obserwator szedł w programie drugim o 19,00, zaś Wiadomości – jak teraz o 19,30 w Jedynce. Gdy szefowie Jurka zobaczyli mój materiał na antenie – krew ich zalała, że ich dziennikarz zrobił ze spotkania standardową relację z nudnymi przebitkami. Ze złości w ogóle Modlingerowi materiału nie puścili, za co oni z kolei trafili na dywanik „na Woro” – że niby Olszewskiemu specjalnie szkodzi i cenzuruje. Zresztą mecenas wtedy i tak premierem nie został... Jego czas jeszcze nie nadszedł.

Spalone dywany Belwederu

Cieszyłem się, że tego dnia nie ja wydaję program, bo mogłem pojechać do Belwederu na spotkanie Jana Krzysztofa Bieleckiego z Lechem Wałęsą. Z nieoficjalnych sygnałów wynikało, że sympatyczny liberał z Gdańska wyjdzie od prezydenta... już jako premier.

W pałacu kojarzącym się z księciem Konstantym nie obowiązywały jeszcze wtedy antynikotynowe reguły Unii Europejskiej, bo rozmowy na temat członkostwa Polski w tej organizacji dopiero miały się zacząć, zresztą przyszła UE nazywała się jeszcze wtedy skromnie Europejską Wspólnotą Gospodarczą. Stał się więc w jednym z pomieszczeń wraz z ekipami, nudząc się w oczekiwaniu na efekt rozmów – oczywiście z papierosami w ustach. Nagle usłyszeliśmy czyjś sceniczny szepot: – Wychodzi.

Popielniczek nikt nie szukał w całym tym pośpiechu. Po chwili porzucone papierosy wciąż się tliły się, byle jak wdeptane w eleganckie belwederskie dywany. A my nie zważając na swąd spalenizny obścapiiliśmy prezydenckiego gościa. Wychodził jako premier, nieoficjalne wiadomości potwierdziły się. Nie wiedziałem jeszcze wtedy – ani ja, ani moja ekipa – jaką rolę odegra Jan Krzysztof Bielecki w historii naszego programu. Na razie jednak bardziej interesowało nas jego znaczenie w dziejach Polski.

Blaski i nędze życia prezentera

Prawdziwa historia nie działa się jednak w belwederskich przedpokojach. Gdy Rosjanie weszli na Litwę i koło wieży telewizyjnej w Wilnie zginęło czternaście osób – wydanie praktycznie improwizowałem. Co chwila przychodziły nowe wiadomości z agencji i telewizyjnych przekazów. Zaimponowała mi wtedy zimną krwią prezenterka Agata Młynarska, dziś czołowa celebrytka. Czytała bezbłędnie kolejne *białe* – jak w telewizyjnym slangu określa się studyjne zapowiedzi materiałów filmowych – chociaż nie znała wcześniej ich treści, bo uaktualnialiśmy je w ostatnim momencie.

Radziła sobie też zwykle Katarzyna Gruszczyńska, z jednym tylko wyjątkiem: kiedyś na żywo niefortunnie zdefiniowała popiwiek Leszka Balcerowicza jako podatek od zwrotu – zamiast wzrostu – wynagrodzeń. Teatrolóżce po krakowskiej polonistyce ekonomia nie wydawała się najważniejszą z nauk.

Zaś Krzysztof Luft kiedyś całkiem zachrypnął mi na antenie. Nieopatrznie tuż przed emisją wybrał się do bufetu – popularnie zwanego w telewizji *mariottem* – i wypił coś prosto z lodu. Jako absolwent szkoły aktorskiej powinien wiedzieć, że tak robić nie wolno. W reżyserce szybko zorientowałem się w sytuacji. Krzysiek rzęził, jakby za chwilę miał zejść na zawsze. Gdy

szedł nagrany wcześniej materiał filmowy, podniosłem słuchawkę telefonu wewnętrznego.

– Krzysiu, skracaj *białe*, czytaj po jednym zdaniu – poleciłem prezydentowi.

Na szczęście Luft wykazał się bystrością, której po latach zawdzięczał nominację na rzecznika rządu Jerzego Buzka. Zapowiedzi materiałów poskracał do jednozdaniowych, więc jakoś dobrnęliśmy do końca. Przeżył bardzo tę porażkę, późnym wieczorem zadzwonił do mnie do domu i długo się sumitował.

Zwłaszcza że prezenterzy nie byli u nas celebrytami – tylko ludźmi od roboty. Przekonała się o tym teatrolożka Gruszczyńska, gdy kiedyś siedząc już w studiu na kwadrans przed emisją poprosiła reżysera z czterema fakultetami Sławomira Koehlera o przyniesienie czegoś do picia z bufetu. Stawiając przed nią colę – choć raczej to była kawa, bo rzecz działa się już po znanej wpadce Lufta – reżyser spytał:

– Gwiazdeczko, może cię jeszcze po pleckach podrapać?

Śmiechu wtedy było w reżyserce co niemiarą...

Flagowa reporterka po geologii

– Ale czy wydawca panu to puści – zafrasował się badacz opinii Stanisław Remuszek po udzieleniu mi komentarza w swoim ursynowskim mieszkaniu.

– O co chodzi? To ja jutro jestem wydawcą – uciłem jego wątpliwości.

– Taki młody człowiek... – nie posiadał się ze zdumienia mój rozmówca. Wydawca dziennika kojarzył się wtedy z zażywnym aparaczkikiem w garniturze z *pedeciaka*, pod którym niekiedy w stanie wojennym rysował się kształt służbowej broni krótkiej. To nie tak, żeśmy ten stereotyp podważyli. Myśmy go po prostu zdruzgotali. Dlatego Obserwator musiał zniknąć z anteny za sprawą tych, którzy już wówczas marzyli o sojuszu z komunistami, a dziś otwarcie z nimi współtrządzą, o czym świadczy poselska kariera prokuratora stanu wojennego Piotrowicza.

W walce z nami nie przebierano w środkach. Dzielnie radzący sobie z wydawaniem serwisów zagranicznych, chociaż poruszający się o kulach Andrzej Dworak nie krył smutku, gdy dowiedział się, że *stara telewizja* przeżywa Obserwatora *kulawcem*... Bo w naszym zespole był jeszcze jeden niepełnosprawny Andrzej Goszczyński. Wszędzie w świecie byłby to tytuł do chwały, tylko u nas

– do opluwania zza węgła. W druku *kulawcem* nazwał Obserwatora w paszkwilanckiej książce „Telewizja naga” Jacek Snopkiewicz, wtedy odwołany z funkcji szefa Wiadomości, a przed laty uczestnik kampanii nienawiści po marcu 1968 na łamach moczarowskiej „Walki Młodych” i delegat na IX zjazd PZPR. Warto spostrzec, ile złości kryje się w jednym wtrąconym mimochodem zdaniu: „Premiera <Panoramy> wypadła jeszcze gorzej niż po wielu latach premiera kulawca, czyli <Obserwatora>” [2] ... To zresztą oczywista nieprawda, bo pierwsza emisja Obserwatora okazała się sukcesem. Ale też gdyby program nasz utrzymał się na antenie, zawodowi odnowiciele ze stażem w PZPR przestaliby być w telewizji potrzebni, co furię dawnego towarzysza trochę tłumaczy... Trudniej było nam zrozumieć, dlaczego Mazowiecki, Drawicz i Dworak dobrali sobie takiego pomagiera.

Staralem się przekonać redakcyjnego kolegę, że takie inwektywy świadczą wyłącznie o wypowiadających je – ale wiem, jak ciężko Andrzej Dworak przeżył całą tę niełatwą sytuację. Skoro dawni chwalcy Moczara i Kiszczaka zachowywali się tak podle, staraliśmy się przynajmniej być dobrzy dla siebie nawzajem – i lojalni wobec widzów, naszych prawdziwych szefów.

Zero feudalizmu – tak dało się określić nasze wzajemne kontakty. Z czterdziestoletnim Kalbarczykiem wszyscy jego podwładni byli na ty. I nikt nikogo nie ograniczał w jego aspiracjach, jeśli były uzasadnione.

Absolwentka geologii Dorota Romanowska przyszła do nas przygotowywać prognozy pogody. Zajmowało jej to może pół godziny. Obowiązkowa w typie prymuski pojawiała się grzecznie rano i przez resztę dnia nudziła się okropnie. Kiedyś zrobiło mi się jej żal.

– Pojedziesz ze mną na zdjęcia? Mam wolne miejsce w samochodzie.

Dorota przystała z ochotą na niespodziewaną odmianę losu. Razem byliśmy z ekipą w Belwederze, Sejmie, siedzibie Unii Demokratycznej w alejach Jerozolimskich, a nawet w pozaparlamentarnym wtedy PPS-ie przy Krakowskim Przedmieściu z wejściem z bramy przy cukierniku Pomianowskim. Po powrocie zasiedliśmy do przeglądarki. Zwykle przed montażem – jeśli bardzo się nie spieszymy – spisuje się kody czasowe fragmentów wypowiedzi i ujęć do wykorzystania w materiale. Zobaczyłem, że Dorota też notuje. Zerknąłem na jej kartkę. Wybrała trochę inne fragmenty, niż ja.

– Wiesz co, mamy dużo czasu. Spróbujemy to zrobić tak jak ty chcesz, w razie czego *jakby nie stykało, przemontujemy* – zaproponowałem. Wyszło świetnie.

W ten sposób geolożka Romanowska została autorką politycznych relacji do moich wydań. Dostawała ode mnie coraz ważniejsze tematy. Z czasem zaufali jej też inni. Stała się flagową reporterką naszego programu, nie zarzucając przy tym opracowania komunikatów meteo i zachowując pasującą do jej niepozornej powierzchowności ksywę *mżawka*, jaką jej w zespole przypisano.

Pewną cenę za to zapłaciłem. Gdy Bielecki kompletował rząd, Dorota wróciła z Sejmu czy URM-u po szóstej wieczorem i żeby prognoza pogody w ogóle się w Obserwatorze ukazała, jako redaktor wydania musiałem sam zadzwonić do Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej po przewidywane temperatury, które graficy naprędce nanosili potem na mapę. W roli dyżurnego synoptyka wystąpiłem po raz pierwszy i na razie ostatni, ku rozbawieniu całego zespołu.

Nie zawsze było nam do śmiechu. Właśnie trwała pierwsza wojna w Zatoce Perskiej i międzynarodowa koalicja pod wodzą USA wyparła Saddama Husajna z Kuwejtu, który iracki dyktator najechał pół roku wcześniej. Wydawałem, więc wspólnie z szefem zagranicy Mirosławem Machnackim przeglądałem przekazy światowych stacji ze zdjęciami zbombardowanego przez Amerykanów schronu w Bagdadzie, pełnego cywilów. Wcześniej Mirek słynął z zamiłowania do makabrycznych ujęć: w serwisach zagranicznych chętnie umieszczał bebechy, urwane ręce i nogi, za co często go krytykowaliśmy. Ale teraz, gdy patrzyliśmy na zdjęcia odkopywanych spod gruzów ciał dzieci – dostrzegałem, jak twarz kolegi z każdą minutą kolejnych okropności stopniowo szarzeje. Zastanawiałem się, czy redakcyjnemu twardzielowi nie przynieść szklanki wody, bo inaczej mi zaraz zemdleje. Po chwili Machnacki jakby się ocknął i spokojnie wybrał do serwisu najmniej drastyczne kadry... Na montażu w telewizji poznaje się człowieka najlepiej.

Problem zagranicy stanowiło to, jak pokazywać martwe ciała. Za to w kraju szukaliśmy żywych tematów, objaśnialiśmy zbiorowe emocje. – Dlaczego ten telefon nazywają spluwaczką? – wypytywał przed kamerą reporter Grzegorz Górny prowadzącą w „Gazecie Wyborczej” Telefoniczną Opinię Publiczną Grażynę Skibicką. Absolwent architektury Sławomir Koehler do mojego wyda-

nia przygotował materiał o zmianach w przestrzeni publicznej, przenikaniu się w Warszawie dawnego socjalistycznego stylu i nowych budowli triumfującego kapitalizmu. Dziś pasjonuje to niezliczone ruchy miejskie, eseistów i publicystów. Dariusz Zawrotny indagował księży i filozofów dlaczego w katolickim kraju przy każdym przełomie odżywają antysemickie klisze i resentymenty. Prognozowaniem w jakim kierunku pójdą przemiany za naszą wschodnią granicą i co oznaczają dla Polski zajmowała się w ostatnim roku istnienia Związku Radzieckiego Natasza Bryzko – półkrwi Rosjanka, bohaterka polskiej antykomunistycznej opozycji i kongenialna tłumaczka wierszy Iriny Ratuszyńskiej. Nie trzeba dodawać, że usłużne wobec władzy i ostrożne Wiadomości nawet takich tematów nie dotykały. Ich żurnalistów interesowało, co dzieje się w gabinetach. My pokazywaliśmy, czym żyje ulica.

W telewizji noc zapada w kwadrans

Rosjanie wkroczyli na Litwę, o czym była już tu mowa – a polskie ugrupowania demokratyczne zorganizowały demonstrację protestu przed ambasadą radziecką na Belwederskiej. Mały temat, na trzy długie ujęcia, góra 30 sekund tekstu. A w lutym zmierzch zapada wciąż wcześniej... i błyskawicznie. Operatorzy lubili mnie od czasu zdjęć do wydań próbnych, bo zakodowali, że zawsze pytam ich o zdanie, gdy tylko czegoś nie wiem. W mig się dogadałem i tym razem – z operatorem Stanisławem Holnickim. Wiedział, czego chce na zdjęciach i... nie przebierał w słowach. Zupełnie jak ja... Doszło do pewnej próby sił na samym początku. Na zdjęcia wyruszałem w pośpiechu, pokazałem więc mistrzowi kamery nie przewiniętą kasetę (graliśmy wtedy na *betach*), by nie tracić czasu na szukanie innych.

- Zmieści się tu jeszcze krótkie nagranie?
- Ma pan tu jeszcze od *ch...* miejsca – rzucił operator.
- To będziemy grali od *ch...* pikiety pod ruską ambasadą – odparowałem w tym samym stylu.

Wyszczerzył się w uśmiechu. Pewnie sobie pomyślał: ten eseista z „Res Publici” to całkiem normalny gość. Można powiedzieć, że znaleźliśmy wspólny język, choć nie pochodził on wcale ze słownika profesora Doroszewskiego.

Kupił mnie więc ceniony operator Holnicki i postarał się naprawdę. A wie-

dział o telewizji wszystko. Tekst „przez wiele godzin demonstranci przed ambasadą radziecką...” itd. zilustrowałem trzema długimi ujęciami, zrobionymi w odstępie kwadransa, w trakcie których z wolna zapadała noc.

Potem ktoś z branży szczerze mnie podziwiał: – Łuki, że też ci się chciało na mrozie sterczeć pod tymi Ruskimi cały dzień dla jednego krótkiego materiału...

Tyle, że ja ekipę z Placu Powstańców wzięłem raptem na godzinę...

O losie programu Obserwator przesądził jednak nie nasz profesjonalizm ani artyzm, lecz materiał, relacjonujący protest górników przed Belwederem. Wiadomości go zignorowały. U nas ukazał się felieton Tomasza Drozdowicza, poprzedzony rozbudowaną zapowiedzią studyjną, czego spór dotyczy. W samym materiale filmowym ani słowa z *offu*: tylko okrzyki manifestantów, skandowane hasła. Telewidzowie mogli ocenić sami, co się dzieje i kto ma rację. Takie sto procent obiektywizmu oznaczało podobną pewność, że to jedno z ostatnich naszych wydań.

Bo cię wyprowadzę strażnikiem...

Rok później premier Jan Krzysztof Bielecki powiedział nam w trakcie zamkniętego spotkania z kierownikami działów gazety, która kontynuowała tradycję programu, że on wcale nie chciał zdejmować Obserwatora.

Nic nie wskazuje na to, żeby Bielecki – niewątpliwie jeden z lepszych szefów rządu, jakich Polska miała – mijał się z prawdą na tym spotkaniu *off the record* z szefami gazety „Obserwator Codzienny” w którym jako kierownik działu krajowego miałem okazję uczestniczyć. Ojcem likwidatorskiej decyzji nie był też rzecznik Andrzej Zarębski, choć charakter ma fatalny. Ani uchodzący jeszcze wtedy za wszechwładnego Lech Wałęsa. Wszystko wskazywało na to, że impuls przyszedł z kręgu prezydenckiej kancelarii. Rywalizujący z byłym kierowcą Wałęsy Mieczysławem Wachowskim o rolę jego głównego kapciowego nominalnie antykomunistyczni politycy mieli przyczynić się do likwidacji pierwszego programu bez komunistów w Telewizji Polskiej.

Szefowi Radiokomiteu Marianowi Terleckiemu i jego zastępcy do spraw telewizji Markowi Markiewiczowi przypadła już tylko prosta egzekucja tej decyzji.

Formalnie postanowiono, że Obserwator, do tej pory pozostający w strukturach programu drugiego – podporządkowany zostanie Dyrekcji Programów Informacyjnych, postkomunistycznemu potworkowi zawiadującemu m.in. serwilistycznymi wtedy Wiadomościami. Z równym skutkiem mogliby próbować podporządkować nas „Trybunie Ludu” albo „Nowym Drogom” – nie, te ostatnie przestały już wychodzić, bo rok przedtem PZPR rozwiązano. Decydenci wiedzieli, jak zareagujemy.

Zaprotestowaliśmy i ogłosiliśmy nasz sprzeciw na antenie.

Następnego dnia wróciłem ze zdjęć – w Polsce przebywał akurat prezes Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju Jacques Attali – i zasiadłem do montażu materiału. Grubo po szesnastej ktoś otworzył drzwi i mnie zawołał. Wróciłem po chwili.

– Program dziś się nie ukaże – oznajmiłem montażystce. – W tej sytuacji od pani zależy, czy montujemy dalej.

– Tak, oczywiście, robimy do końca – starsza pani nie miała wątpliwości. Przy wbijaniu ostatnich planów tematu o Attalim spostrzegłem łzy w jej oczach. Znowu montowała dobry temat dla archiwum, a nie dla telewizorów. Jak przed 10 laty za sprawą komunistów, którzy wprowadzili stan wojenny – tak teraz dzięki tym, co nazywali siebie ich przeciwnikami. Pocałowałem w rękę, podziękowałem, ale nie wiedziałem, co więcej mam jej powiedzieć...

Zostaliśmy w telewizji. Na pierwszym w jej historii strajku. Trwał całe 10 dni.

Marian Terlecki, chociaż był wtedy prezesem radiokomiteu, w odróżnieniu od nas do historii nie przeszedł. Kiedyś człowiek dzielny, organizator studia video w Gdańsku pod auspicjami Kościoła, więzień polityczny PRL i współautor (z poetą Antonim Pawlakiem) książki „Każdy z was jest Wałęsą” – miał teraz kłopoty z udźwignięciem nowej roli. Gdy na szosie katowickiej rozbił samochód – Jerzy Urban dał relacji z tego zdarzenia w swoim „Nie” tytuł: „Prezes wpadł na lody”. Bo Terlecki rzeczywiście wpakował się na budynek lodziarni... Tacy byli wtedy ludzie Solidarności w radiu i telewizji.

Częściej pojawiał się u nas Marek Markiewicz, którego przeważaliśmy Makarenką. Bo wzorem radzieckiego pedagoga kolektywistycznego – lepiej od telewizorów i dziennikarzy wiedział, co dla nich dobre. Przekonywał spokojnie,

perorując bez końca, a z jego pięknych i kwiecistych słów wynikało, że właściwie powinniśmy być zadowoleni z decyzji władz o zdjęciu nas z anteny.

Świetny poeta i zasłużony opozycjonista Lech Dymarski z rolą szefa Dyrekcji Programów Informacyjnych nie poradził sobie zupełnie. Rychło władze musiały go zastąpić Sławomirem Zielińskim – żeby zagwarantować profesjonalną obsługę wiosennej pielgrzymki Jana Pawła II, bo groziła międzynarodowa katastrofa. W trakcie strajku Dymarski przychodził i otwarcie nas obrażał: Obserwatora nazywał ironicznie „dzielkiem”, o Kalbarczyku mawiał, że skrzyknął „kolegów z podwórka” i tak powstał program. Do Rafała Zakrzewskiego od nas w trakcie wymiany zdań w bufecie zwrócił się mało poetycko: – *Smyku, bo cię wyprowadzę strażnikiem*. Dodajmy, że smyk Zakrzewski liczył już sobie wtedy 35 wiosen, raptem parę mniej niż dystyngowany poznański literat, którego rola szefa informacji telewizji państwowej wyraźnie przerosła.

Stajnia i... *why not*

Nie udało się im nas sprowokować ani kupić. Ani też skorumpować, bo w międzyczasie wypłynęła nieoficjalnie oferta, że jeśli strajk przerwiemy – będziemy mogli za niezłą kasę przygotowywać pomniejsze tematy dla Wiadomości. Przekazująca nam tę niemoralną propozycję osoba miała już nawet gotową nazwę procederu: – *Stajnia Kalbarczyka*. Zawodowo oferta podła, mogła być finansowo atrakcyjna dla osób samotnych, zadłużonych czy zmuszonych szybko zapłacić za wynajmowane mieszkanie. Odmówili jednak solidarnie wszyscy. Nagabywani odpowiadaliśmy, że *w stajni pachnie łajnem*... Wystarczyło zresztą spojrzeć na łajdactwa niektórych dziennikarzy Wiadomości, by nie chcieć takich kolegów redakcyjnych. Jednym z nielicznych sukcesów Terleckiego w roli prezesa było trafne scharakteryzowanie tej załogi: publicznie powiedział, że dziennikarze Wiadomości licytują się między sobą, kto jest z frakcji Moczara, a kto od Kiszczaka... Wywołało to ogromne oburzenie, choć nominat Wałęsy wcale nie skłamał... Oni naprawdę tacy byli.

Wzorem propagandy komunistycznej telewizja Terleckiego utrzymywała tzw. *dziesiątki* po Wiadomościach. Dziesięciominutowe, czasem dłuższe materiały zwykle wychwalały władze i opluwały opozycję. Jedną z takich *dziesiątek* poświęcono nam. Wyliczano, ile kosztował Obserwator. A kosztować musiał, bo

mieliśmy stanowić alternatywę dla przaśnych Wiadomości, poza tym w Obserwatorze nie pracowali żurnaliści byle jacy, jak tam – i trzeba im było porządnie zapłacić. Wśród nas byli przecież reżyserzy, eseści, recenzenci, tłumacze i historycy, zdolni do zarobkowania w swoich macierzystych zawodach.

Po emisji tego paszkwilu pracownicy Wiadomości z Tomaszem Lisem na czele podrażłowali do nas do redakcji – wypłakiwać się, że musieli. Żebrać o zrozumienie czy przebaczenie.

Strajkujący zespół nieformalnie podzielił się na dwie frakcje. Jedna wdała się z przybyłymi w polemikę. Inna udawała, że... nikt do nas nie przyszedł. Jak się pewnie Państwo domyślają, znalazłem się w tej drugiej. Przysiadłem w najodleglejszym kącie, zasłoniłem gazetą, by na tę nędzę moralną nawet nie patrzeć. Poczekiałem spokojnie, aż sobie pójdą... Warto dziś redaktorowi Lisowi przypomnieć, gdy występuje jako obrońca polskiej demokracji, w tym wolności mediów – od czego karierę zaczynał... paskudnie. Chociaż oczywiście nawet lalce Barbie nie powinno się odmawiać miejsca w obozie wolności, co więcej: kilkanaście lat temu w trakcie demonstracji w Belgradzie przeciw dyktatorowi Slobodanowi Milosevicowi blondynki niosły własny transparent z hasłem: *Nawet my wiemy, o co chodzi*.

Nauczyłem się nie uprzedzać do ludzi. Sześć lat później jako dziennikarz „Sztandaru” stanowczo wziąłem w obronę Lecha Dymarskiego, gdy wraz z programem „W centrum uwagi” tym razem jego z telewizji wyrzucali komuniści, czyszczący sobie przedpole przed przewidywanym wyborczym zwycięstwem AWS. Po dłuższym czasie do mnie na komórkę zadzwonił i podziękował, chociaż zrobiłem to nie dla niego, tylko dla wolności słowa w Polsce. Również z Markiem Markiewiczem miałem wiele do czynienia, gdy kierował Krajową Radą Radiofonii i Telewizji, tym razem walcząc z Wałęsą, w którego imieniu wcześniej telewizją zarządzał. Zawodowo bez uprzedzeń kontaktowałem się z rzecznikiem Zarębskim, później sekretarzem tejże rady, niezatapialnym skoro przeżył aferę Lwa Rywina, chociaż na początku był przez niego wymieniany jako współwinny obok Roberta Kwiatkowskiego. Zaś Lis i Modlinger – w zmienionej bez porównania sytuacji – zostali moimi redakcyjnymi kolegami w Wiadomościach w latach 1992-97. Zresztą z tym drugim pracowało się znakomicie, obok Renaty Łęskiej, Grzegorza Miecugowa i Jolanty Łopuszyńskiej

właśnie Jurek zaliczał bowiem się do czwórki najlepszych wydawców flagowego programu TVP. O Janie Krzysztofie Bieleckim już była mowa: przy kawie *off the record* w naszej kolejnej redakcji, po roku sumitował się, że on wcale nie chciał zdejmować Obserwatora. Ale też w pewnym momencie niespodziewanie posądził naszą koleżankę, że go potajemnie nagrywa, z czego wnosić można, że zależało mu na dobrej opinii u nas, a nie na upowszechnieniu tego przekonania w szerszych kręgach. Z samym Lechem Wałęsą przyszło mi rozmawiać wiele razy na rozmaite tematy, ale akurat o Obserwatorze – nigdy.

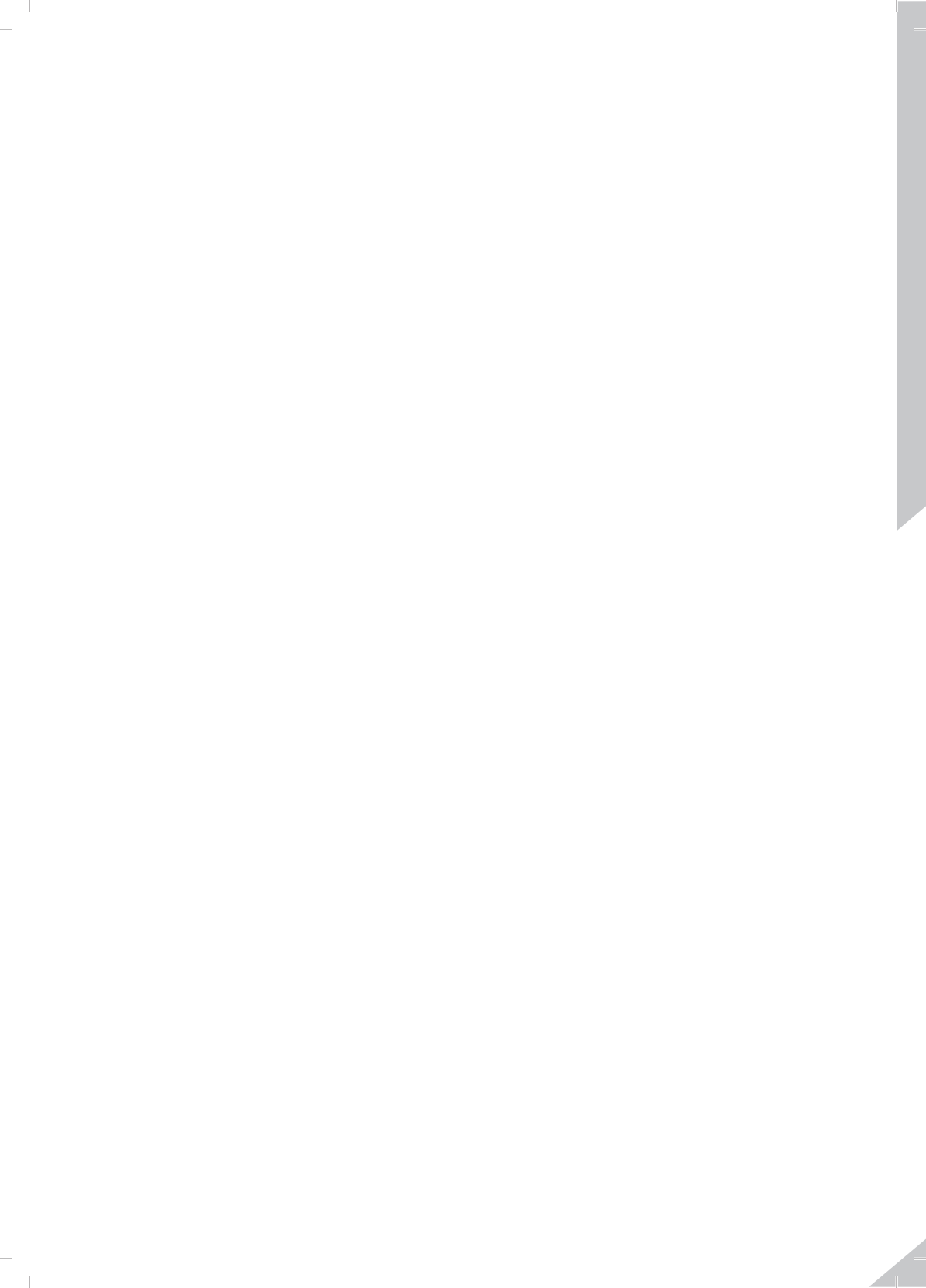
Przeszłście do historii – powiedział mi napotkany na jakiejś konferencji Edward Krzemiński z „Gazety Wyborczej”. Było przedwiośnie 1991 roku.

Strajku wygrać oczywiście nie mogliśmy. Gdy kończyliśmy protest, udzieliłem wywiadu „Kurierowi Lubelskiemu” – bo nasz pierwszy w historii TVP strajk zainteresował również regionalne gazety. I w nim podkreśliłem, że wychodzimy z telewizji po to, by do niej wrócić. Rzeczywiście po półtora roku kolejna okazja, już na dłużej, się nadarzyła, za sprawą nowego, charyzmatycznego szefa Wiadomości Karola Małcużyńskiego. Ale to już zupełnie inna historia...

[1] Łukasz Perzyna. Człowiek więzi i solidarności. Kwartalnik „In Green” nr 1 z 2014, s. 10

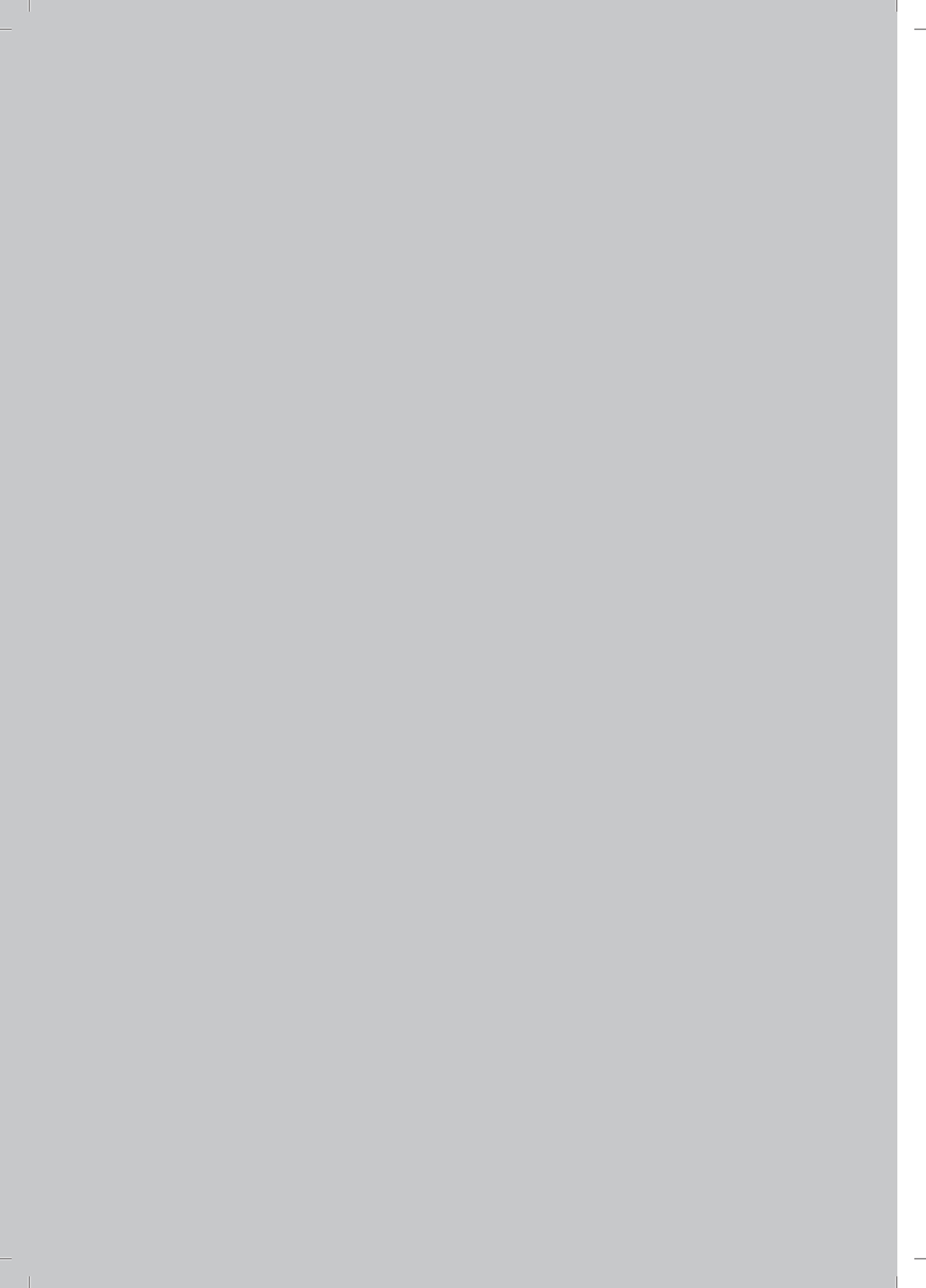
[2] Aleksandra Jakubowska, Jacek Snopkiewicz. Telewizja naga. Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1991, s. 23

Szkic o programie informacyjnym Telewizji Polskiej „Obserwator” stanowi fragment powstającej książki „Dziennikarz to jest ktoś”, w której Łukasz Perzyna zastanawia się, dlaczego media nie potrafią skutecznie bronić demokracji w Polsce ani własnej niezależności.





HISTORIA



STANISŁAW LIKIERNIK

DIABELNE SZCZĘŚCIE CZY PALEC BOŻY? Cz. I

14 czerwca 1978

(Na prośbę mego syna zaczynam pisać te wspomnienia)

SZCZĘŚLIWE LATA

„Kiedy wykopiesz dołek – znajdziesz pomarańczę, zaś po drugiej stronie pomarańczy jest Australia”. Oto co zostało ze słów ojca w mojej głowie trzylatka. „Ziemia jest okrągła jak pomarańcza”. Wykopałem dołek co najmniej dwudziestocentymetrowej głębokości i zrezygnowałem: pomarańczy nie było.

Ta scenka, zapach koni, widok ogolonych żołnierzy i oficerów z pięknymi szablami i dzwoniącymi ostrogami – to moje najdawniejsze wspomnienia. Pierwszy Pułk Strzelców Konnych z Garwolina był świadkiem mych narodzin i stał się nieodłączną częścią zachowanego w pamięci obrazu dzieciństwa.

Z tych czasów pamiętam jeszcze jedno. Mieszkaliśmy w parku, w budynku dla oficerów. Tuż obok zabudowań mieszkalnych rozciągał się duży plac ćwiczebny i ogromna ujeżdżalnia. Właśnie ona – spora, prostokątna budowla – była częstym celem naszych wizyt; oglądaliśmy tam ewolucje kawalerzystów:

ujeżdżanie, skoki przez przeszkody, przeróżne ćwiczenia, w których niejednokrotnie brali udział nasi ojcowie. Pewnego październikowego popołudnia ja i mój czteroletni kolega bawiliśmy się w przedsionku ujeżdżalni, w przestrzeni między wielkimi wrotami a palisadą ogradzającą teren wydzielony dla jeźdźców. Kolega mój, jako „lekarz”, rozebrał mnie do naga. Po zabawie musiałem się ubrać... szybko zmarzłem. Nie umiałem zrobić tego sam. Mój kolega także. Ratował się ucieczką i w pośpiechu zatrzasnął za sobą wielkie, ciężkie drzwi wejściowe. Stałem nagi, drżałem z zimna, w pobliżu nie było nikogo. Zacząłem płakać. Całkiem przypadkowo pani Chojnacka, żona jednego z oficerów, wracając do domu, usłyszała płacz dochodzący z ujeżdżalni. Sądziła, że słuch ją myli, i już miała odchodzić. Jednak w końcu zawróciła i odnalazła mnie – zmarniętego golasia.

Diabelne szczęście lub palec Boży po raz pierwszy dały znać o sobie – po raz pierwszy, ale nie ostatni w moim życiu. O palcu Bożym powie dużo później Tina Strasburger, dziś matka przełożona siostr niepokalanek w Szymanowie.

Ćwiczenia wojskowe, żarty żołnierzy, które powtarzałem służącej, nie rozumiejąc ich wcale, za co płaciłem – nierozumiałym dla mnie – kłapsem, wreszcie małe pudełko stojące na oknie i opowiadające bajkę o wróblach – pierwsze radio w moim życiu – wszystko to miesza mi się przed oczyma w cudowny sposób, niczym kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Piękne, dobrze pachnące kobiety zwracały już wówczas moją uwagę. Jedna z nich, bardzo ładna (jak zapewniał później ojciec), została moją wielką przyjaciółką. Miałem dwa lata. Biegłem za nią, powtarzając: „Ładna pani, ładna pani”... Uległa i wzięła mnie na ręce.

Szczęśliwe, bezchmurne dzieciństwo. Mundur ojca, jego piękne wąsy, koń – wszystko to zachwycało i wywierało ogromne wrażenie.

Ówczesna armia polska (1925–1927) składała się w większości z oficerów, o których karierze wojskowej zadecydował przypadek: prawnicy, agronomowie (jak mój ojciec) itd., po zakończeniu pierwszej wojny światowej i po wojnie z bolszewikami w 1920 roku – zostali w dopiero co stworzonej armii. W tym środowisku poziom kulturalny był bardzo wysoki.

Życie upływało wśród przyjemności – ojczyzna wolna, armia prezentowała się pięknie, niemal tak samo jak w czasach napoleońskich. Bale przy świecach, kończone białym mazurem o świcie; z dzisiejszej perspektywy przypomina to

bardziej czasy *Wojny i pokoju*. Moi rodzice byli ludźmi o ugruntowanych przekonaniach, mój świat – pozbawiony problemów – jasny; czułem się w nim na swoim miejscu.

Z tego okresu nie pamiętam więcej; została mi z niego miłość do koni, do zapachu stajni i – trochę się tego wstydzę – uczucie przyjemności, gdy słyszę wojskowy marsz.

W całej mojej edukacji ogromne znaczenie odgrywało zawsze słowo „honor”. Kiedy miałem około dwóch lat, ojciec nauczył mnie: „Odwaga zdobi młodzieńca i dziewicę”. Przed każdym niebezpiecznym wyczynem powtarzałem te słowa jak zaklęcie, a śmiech, który to zdanie wywoływało u dorosłych, dawał mi dodatkową satysfakcję.

Przygody Desdemonki i dręczącego ją Otellunia, koń (raz jeszcze), w którym skrył się niejaki Ulissesek – to drobna część bogatego repertuaru opowieści mego ojca. Sztuki Szekspira, *Iliada* i *Odyseja*, które przerabiał na mój użytek, na długo utkwily w dziecięcej pamięci: nie wiedziałem, czy to prawda, czy bajka, te dziwne historie zachwycaly mnie i przerażały zarazem, i przyprawiały niemal o zawrót głowy.

W tym okresie zacząłem się przyjaźnić z Romanem Mularczykiem, synem majora Mularczyka, przyjaciela ojca, starszym ode mnie o dwa lata. Roman odegrał później ważną rolę w moim życiu, zwłaszcza podczas wojny.

Nasze życie „wojskowe” skończyło się w roku 1928, kiedy ojciec został przeniesiony do Drugiego Oddziału Sztabu Generalnego w Warszawie. Przeprowadziliśmy się więc do Konstancina pod Warszawą. Wille stały wśród sosen, blisko sadów i pól zboża i ziemniaków. Do szkoły chodziliśmy tylko rano, popołudniowe „wakacje” trwały przez cały rok. Miejsca do zabaw mieliśmy pod dostatkiem. Samochód był wówczas jeszcze rzadkim luksusem, nawet dla ludzi zasobnych. Mój ojciec zachował natomiast swoją klacz, Gondolę, ja – swą małą Baśkę. Jeździliśmy na nich z ojcem na spacer, bo obaj znajdowaliśmy pod wieczór wolny czas.

Nie pisałem dotąd o matce. Była to kobieta bardzo piękna, energiczna, o zdecydowanych poglądach w każdej dziedzinie życia. Swe władcze zapędy wyładowywała przede wszystkim na służącej, naszym ordynansie i na mnie. Miałem więc z tą dwójką dobre stosunki. Oczywiście, matka trzymała też pod

pantoflem ojca. Krytykowała ostro jego zwyczaj picia szklanki wody do każdej niemal potrawy:

– Powinno się pić szklankę herbaty po posiłku, a nie podczas jedzenia. Chcesz się rozchorować?

Dziś we Francji – gdzie bez wody czy wina nie ma dobrego menu – te „rady” brzmią bardzo zabawnie.

Imieniny, urodziny, Boże Narodzenie i Wielkanoc odgrywały w życiu mojej rodziny dużą rolę. Wizyty znajomych, brydż, spacer, zimowa sanna, narty. Mimo że żołd kapitański był dość skromny, żyło się nam przyjemnie, wesoło, beztrosko – przynajmniej w mojej pamięci...

Uczęszczałem do dość szczególnej szkoły. Panny Domańskie, które ją prowadziły, były niezamężnymi, dobrze wykształconymi i bardzo kulturalnymi nauczycielkami, doskonale mówiącymi po francusku i religijnymi aż do przesady. Moja formacja „naukowa” omal nie legła w gruzach na widok jednej z pań Domańskich, biegającej wokół szkoły przed burzą z małym dzwonkiem w ręku (dzwonek pochodził z Notre Dame de Loretto). Metoda jednak okazała się skuteczna: piorun ani razu nie uderzył w szkołę.

Pamiętnym wydarzeniem był przyjazd do Konstancina Benjamina Hiliarda, młodego Amerykanina, który mówił jedynie po angielsku. Ten młody, dziesięcioletni chłopak, pełen inicjatywy i dziwnych pomysłów, aby uczcić swe przybycie, wspiął się na dach ogrodowej altany i nie chciał z niej zejść za nic w świecie, udając, że nie rozumie błagań pań Domańskich, przerażonych wyczynem dziecka-małpy. Naturalnie, sława „młodzieńca” rozniosła się szybko po okolicy. Benjamin przywiózł w swych bagażach szklane kulki, całkowicie jeszcze wówczas nie znane w naszych stronach. Nasz zachwyt wobec tych stu różnych, mieniających się kolorami kulek nie miał granic. Zabawy nimi nie mogły się z niczym równać – bo ich liczba była raz na zawsze ograniczona... Nasz nowy przyjaciel dość szybko nauczył się polskiego, nadal jednak jego rozrywki i poczucie humoru różniły się od naszych: Amerykanin musiał walczyć o prestiż swego kraju, wymyślając coraz to nowe, bardziej szalone zabawy, wykazując się przy tym niespotykaną brawurą.

Jedną z naszych nauczycielek była mała, garbata *mademoiselle*, Francuzka, która przybyła do Polski jeszcze jako młoda dziewczyna, prawdopodobnie na

krótko, i tak jakoś została. Marzyła o powrocie do Francji, opowiadała o swej ojczyźnie z nostalgią, którą niezbyt dobrze rozumieliśmy. Jadała rzeczy, zdawałoby się, niejadalne: np. liście mlecza. Francuzi, z ich żabami, ślimakami i Bóg wie czym jeszcze, wydawali mi się wtedy ludźmi o dziwnych upodobaniach.

Mój ojciec był kiedyś w Paryżu z oficjalną delegacją polską. Wrócił z suknią dla matki, prezentami dla mnie i niejedną opowieścią, m.in. o „ostrzygach z szabli”. Zapytałem, co znaczy słowo „ostrzyga”. Odpowiedział: „To małe zwierzątko, które połyka się żywe”. I żeby ubarwić swą historyjkę, dorzucił: „Kiedy się je połyka, zwierzątko piszczy”. Nie pytałem, co znaczy słowo „szabla”, bo je rozumiałem. Wyobrażałem to sobie tak: zwierzątko nakłuwa się na szablę i połyka. Pozostawała kwestia techniczna: biorąc pod uwagę długość szabli, w jaki sposób można było posługiwać się nią jako widelcem?... Wstydziłem się jednak prosić o dalsze wyjaśnienie i powoli zapomniałem o tej zagadce.

W roku 1946 siedziałem w restauracji „Dupont-Latin” na Boulevard St. Michel w Paryżu, kiedy ktoś spytał:

– Jadłeś już ostrzygi?

– Nie, nigdy.

– Więc spróbuj! *Garson*, dwanaście ostrzyg i butelkę *chablis*! Na dźwięk słowa *chablis* dziecięce wspomnienie ożyło w mej pamięci: zrozumiałem, że „z szabli” dotyczyło doskonałego wina *chablis*, które jest niezastąpione przy jedzeniu ostrzyg...

Moi rodzice i ich znajomi mówili po francusku, gdy nie chcieli, by rozumiały ich dzieci. Rozmawiali też po rosyjsku i po niemiecku. Znajomość języków obcych uważano w środowisku inteligenckim za rzecz niezbędną; francuskiego zaczynaliśmy się uczyć mając pięć–sześć lat. To było dla mnie czymś naturalnym, ale niełatwym. W wielu bogatych rodzinach opiekę nad dziećmi sprawowały młode Francuzki lub Niemki. Angielskiego uczono się rzadziej. Rosyjskiego, obowiązkowego w szkole carskiej za czasów mych rodziców, moja generacja – jako całkowicie obcego – systematycznie unikała.

Szkoła zajmowała mi trochę czasu, ale uczęszczanie do niej nie oznaczało rezygnacji z rozrywek. Zawiazaliśmy własne „tajne stowarzyszenie”, które składało się głównie z chłopców – była wśród nas jedna dziewczyna, która wymyślała zresztą najciekawsze zabawy. Do odparcia nieprzyjaciela używaliśmy

bomb z kurzu (wynałazł je Edzio Strasburger, starszy ode mnie o dwa lata). Bomby te produkowaliśmy z papierowych torebek i kurzu polnego, zbieranego na wiejskich, piaszczystych drogach. Wybuchając, bomba taka okrywała wroga tumanem kurzu, w którym ciężko było oddychać. Aby nas samych chronić przed uduszeniem, Edzio wymyślił „maskę przeciwkurzową”, podobną do maski gazowej; rolę filtra miał spełniać pokruszony na drobne kawałki węgiel, podkradany z kuchni – bo coś słyszeliśmy, że w maskach gazowych używa się węgla, no a znaliśmy tylko ten na opał.

Maska nie była najwygodniejsza. Pewnego razu przyjechał do nas chłopiec z Warszawy. Pełen animuszu, chciał się przyłączyć do naszej zabawy w wojnę. Zapał jego stygł z każdą chwilą, choć początkowo wszystko grało: biegał, rzucał „bomby”. Dopiero po „zwycięstwie” zrozumieliśmy, co się stało: biedny żołnierz dusił się w swojej masce, a nawet zwymiotował. Bohatersko wytrwał jednak do końca.

Jeśli opowiadam tu anegdoty ważne jedynie dla mnie, to tylko dlatego, że później, w odmiennych okolicznościach, wszystkie te wojny na niby, „heroiczny opór wrogom”, okupantom z XIX wieku, miały okazać się doskonałym przygotowaniem na przyszłość.

Nasz kodeks honorowy brzmiał:

„Jeśli ktoś obraża twą ojczyznę, rodziców czy ciebie – bij w mordę”.

„Silniejszy nie bije nigdy słabszego”.

„Kobiety nie bije się nawet kwiatem”.

„Wydanie kolegi jest zbrodnią – karę należy wziąć na siebie”.

Mój ojciec wpoił mi te zasady na zawsze.

Z dzisiejszej perspektywy całe nasze wychowanie było nader romantyczne i pełne patriotycznych frazesów. Tłumaczyć to można niedawno odzyskaną niepodległością, silnymi wpływami literatury XIX wieku, stu dwudziestu trzema latami niewoli. Mając osiem lat, recytowałem na akademii z okazji Święta Niepodległości wiersz o *Obrońcach Lwowa*: „O, mamo, otrzyj oczy, / Z uśmiechem do mnie mów./ Ta krew, co z piersi broczy, / To za nasz Lwów” – itd. Dostałem entuzjastyczne brawa, matki płakały, a ich mężowie byli bliscy łez.

Środowisko, w którym żyliśmy, nie stawiało sobie poważniejszych pytań. Nęda i przeludnienie wsi, słabość przemysłu i niskie zarobki robotników – to

dziedzictwo po zaborach. Wolna Polska potrzebowała jedynie czasu. Utrudniał zadanie kryzys gospodarczy, ale ukochany Marszałek zrobi, co trzeba. Dorosli nie myśleli, rzecz jasna, dokładnie w ten sposób, ale ja sam nie miałem wówczas żadnych wątpliwości...

W 1935 roku zmieniłem szkołę i poszedłem do pierwszej klasy gimnazjum w Warszawie. Zdałem egzamin wstępny i, tak jak ojciec, codziennie jeździłem do Warszawy. Moje Liceum imienia Czackiego mieściło się niedaleko Starego Miasta i podróż trwała więcej niż godzinę. Tak więc jeszcze tego samego roku rodzice postanowili przenieść się do Warszawy.

Zanim opowiem o przeprowadzce, muszę wspomnieć o Włodzimierzu Gordyjcuku. Ten dwudziestojednoletni żołnierz, żonaty i mający już dziecko, odbywał służbę w Warszawie i przydzielony był memu ojcu jako ordynans. Pochodził z dalekiego Polesia, ze wsi Stare Konie, jak pamiętam, z okolic bagnistych i pokrytych lasami, gdzie chłopci, w większości białoruscy, częściej posługiwali się łodzią niż wozem. Władek bardzo mnie lubił. Wspominam go jako kogoś bardzo dobrego, radosnego i naiwnego. Pamiętam, jak niebywały entuzjazm wzbudzały w nim zimne ognie zapalane na choince. Władek dostawał listy od swego dziadka – jedyne go piśmiennego w rodzinie. Nie widział dla siebie potrzeby nauki pisania, bo „dziadek umiał” – to wystarczy. Ja byłem innego zdania i przyrzekłem sobie, że go nauczę pisać. Sukces odniosłem częściowy: nauczył się tylko podpisywania. Nazajutrz rano ściany kuchni pokrywały podpisy: „W. Gordyjcuk” – na szczęście ołówkiem. Ścierał je później przez kilka godzin na rozkaz mojej matki, mniej zachwyconej efektem nauki niż ja. Większy sukces Władek odniósł w pułku, kiedy zastąpił urzędowy krzyżek własnym imieniem i nazwiskiem. „Jawor mnie tego nauczył” ... – wytłumażył zdumionemu sierżantowi. Nie wiem, skąd u niego to przezwisko...

W tym czasie nie jeździliśmy w ogóle na wakacje, nie potrzebowaliśmy tego. Ojciec miał swą klacz Gondolę, ja – Baškę, obok był las, w pobliskiej rzece Jeziorce – kąpiel. Władek cudownie pływał, nauczył i mnie na trzech metrach kwadratowych, wystarczająco głębokich.

Choć nie miałem rodzeństwa, nie odczuwałem samotności. Przez dwa lata matka zajmowała się Janką, dziesięcioletnią dziewczynką, której rodzice się rozeszli, później zaś chłopcem w moim wieku, sierotą, Jankiem Srebrnym. Janek

mieszkał z nami ponad rok. O ile żywo protestowałem przeciw „dzieweczce” (mając dziesięć lat, nie interesowałem się jeszcze płcią piękną), o tyle z Jankiem bardzo szybko byliśmy w znakomitej komitywie. Mieliśmy dużo różnych pomysłów, między innymi – mniej lub bardziej delikatne żarty. Oto przykład: Janek, pełen niepokoju, pobiegł do mej matki: „Proszę szybko pójść do łazienki. Stach się poślizgnął i leży na ziemi bez ruchu”. Matka rzuciła się biegiem na pierwsze piętro. Podstęp udał się znakomicie: ucieszony, ze śmiechem wstałem z podłogi. Zdumieliliśmy się ogromnie, gdy matka, pozbawiona według nas wszelkiego poczucia humoru, dała nam poważne lanie.

Opuszczałem Konstancin z takim samym bólem, z jakim zostawiałem tam wszystkie wspomnienia. Szybko zapominałem o najgorszym: o lekcjach tańca pana Sobiszewskiego, które odbywały się w salonach eleganckich willi przyjaciół. Nie mogłem przestać myśleć o chłopcach ze wsi, o stajniach i lasach. Pierwsze miesiące na Żoliborzu nie były łatwe.

Nasze mieszkanie – w „dużym”, trzypiętrowym bloku – składało się z trzech pokoi i łazienki. Było to lokum wygodne, choć, jak na dzisiejsze wymagania, nieco skromne. Dostałem własny pokój z balkonem, miasto mi się podobało. Liceum znajdowało się, jak już wspomniałem, w pobliżu Starego Miasta, na końcu ulicy Kapucyńskiej – obok gmachu Hipoteki. Na Żoliborzu nie miałem żadnych kolegów. Nie interesował mnie ani park miejski po drugiej stronie ulicy, ani też otwarta zimą ślizgawka. Ten niezbyt przyjemny okres trwał jednak dość krótko.

Wszystkie me ówczesne zajęcia skupiały się wokół gimnazjum. Dziś, kiedy moje dzieci skończyły już studia, mogę przyznać, że nauczyciele uważali mnie za ucznia szczególnie żywego i gadatliwego, ale w gruncie rzeczy cieszyłem się ich sympatią, chociaż te powierzchowne cechy mego charakteru wyraźnie wpływały na codzienne szkolne życie; byłem dość często strofowany, stawiany do kąta itd. Ogólnie biorąc, stosunki z nauczycielami układały się dobrze, z jednym, za to poważnym, wyjątkiem – panią Klimaszewską, nauczycielką francuskiego, zwaną Piramidą. Przewisko to zawdzięczała swej sylwetce o ciężkiej „bazie”; po francusku mówiła z akcentem polskim, ale bezbłędnie. Jej dyktanda rodziły między nami poważne konflikty, zresztą uzasadnione, bo mimo iż spędziłem przeszło czterdzieści lat we Francji – do dziś nie lubię francuskiej ortografii.

Z tego, co dotąd napisałem, wyłania się dość ograniczony obraz Polski. Żyłem w środowisku, które podziwiała Piłsudskiego i akceptowało jego następców. Ojciec mój, choć często krytyczny wobec rządu, nie widział możliwości zmiany systemu na lepszy. Zupełnie inaczej wyglądało położenie robotników, w owym czasie stosunkowo nielicznych. Prawdziwa nędza, wynikająca z kryzysu światowego, panowała na przeludnionej wsi. Ponad dwie trzecie ludności żyło z ziemi. Duża liczba chłopów nie posiadała własnej roli albo też wegetowała na marnym, nie wystarczającym skrawku ziemi. Wielkie posiadłości ziemskie (czasem dochodzące do tysiąca lub więcej hektarów) były częścią struktury niemalże feudalnej, której reformy rolne nigdy nie zlikwidowały. Kościół i kler, wyjątkowo zacofany, odgrywał – podobnie jak w Hiszpanii – rolę, która nie miała nic wspólnego z postępowym Kościołem z okresu PRL-u.

Nie bardzo wtedy zdawałem sobie sprawę z tej sytuacji. Żyłem u siebie, w niepodległej Polsce: na tym polegała szansa mego pokolenia. To nam wpajano bez przerwy. Nasi rodzice musieli walczyć o ojczyznę. Po stu dwudziestu trzech latach odzyskaliśmy nareszcie wolność. ZSRR był dla nas zniechęconym wrogiem: bolszewicy w 1920 roku niemalże nas zniszczyli. „Cud nad Wisłą” (15 sierpnia) sprawił, że zostali odparci daleko na wschód. Czego nie dokonał Piłsudski, dokonała Matka Boska, szczególnie – to było jasne – zainteresowana losami naszego wojska.

Kilka czarnych punktów na tym idyllicznym obrazie: czasem strajki, żywo krytykowane przez ojca, marazm gospodarczy, bezrobocie. A z drugiej strony Gdynia, nowy port zbudowany nad Bałtykiem, potężna armia ze wspaniałą kawalerią, lotnictwem itd.

Przeżyłem wielki szok, kiedy pewnego dnia zacząłem rozmawiać z młodym robotnikiem żydowskim, który naprawiał u nas jakiś mebel. Jakże się zdumiałem, kiedy ten człowiek zaczął mi tłumaczyć, dlaczego tak bardzo podziwiał ZSRR i nie znosi rządu polskiego. Próbowałem z nim dyskutować, ale miał zbyt solidne podstawy swych przekonań; wiedział, o czym mówi. Ja nie bardzo i obrona naszego rządu nie wystarczała, by wpłynąć na jego opinię i zmianę poglądów. On też mnie nie nawrócił... Ale w mojej głowie zrodziła się wątpliwość – nie wszyscy myśleli tak samo jak my, nie wszystko, być może, było tak doskonałe, jak mi się wydawało.

O ile pamiętam, gazety dostępne w domu, zwłaszcza zaś „Kurier Warszawski”, nie przedstawiały sytuacji kraju w świetle nazbyt krytycznym. Nasi znajomi mieli podobne poglądy. Oczywiście istniała opozycja w postaci endecji, jeszcze bardziej konserwatywnej niż ludzie u władzy. Partia socjalistyczna działała legalnie, choć jej wpływy były minimalne.

Nie chodzi mi tu o wyczerpujące przedstawienie obrazu przedwojennej Polski. Na mój sąd ma dziś wpływ zarówno wojna, jak też studia i ponad trzydzieści lat życia we Francji. Nie da się już spojrzeć na świat ówczesny oczyma chłopca trzynastoletniego. Podobnie o problemie żydowskim – tak ważnym przed wojną, w czasie wojny i po niej – nie da się pisać w roku 1978 tak, jakbym nie wiedział, co stało się potem.

Tak czy owak, mieszkało w Polsce sporo Żydów (około trzech milionów, tj. dziesięć procent ludności), większość z nich w miastach, wykonując najróżniejsze zawody. W handlu, rzemiośle (krawcy, szewcy, zegarmistrze) czy też w wolnych zawodach – liczba zatrudnionych Żydów była często sporo większa niż te dziesięć procent. Z kolei w rolnictwie, w którym pracowało siedemdziesiąt procent ludności, Żydów niemal się nie spotykało. Ludność żydowska żyła osobno, nie tylko z powodu nastawienia Polaków, ale też dlatego, że nie chciała mieszać się z gojami, tzn. nie-Żydami. Pewna ich liczba – względnie niewielka, ale za to postaci znaczących – była zakochana w kulturze polskiej, sposobie bycia, języku, literaturze. Wielcy pisarze i poeci pochodzenia żydowskiego, jak Tuwim czy Słonimski, mistrzowsko posługiwali się językiem polskim. Nie należy zapominać, że większość polskich Żydów porozumiewała się żargonem, najpobożniejsi zaś – po hebrajsku. Po polsku mówili często bardzo źle (z charakterystycznym, mocnym akcentem). Intelktualiści tej narodowości, asymilując się, wzbogacali kulturę polską o własne tradycje. Jeden z francuskich przyjaciół mego ojca uważał, że owi „Judosłowianie” stanowili wielce udaną mieszaninę. Kilku oficerom pochodzenia żydowskiego udało się zrobić karierę w armii pomimo jej wyrażnie antysemitckiego nastawienia. Moje stosunki z Żydami ograniczały się do wizyt w małym miasteczku Jeziorna, około trzech kilometrów od Konstancina, w sklepie, u krawcy, szewca itd.

Pan Dębski nosił nazwisko polskie, ale był typowym rzemieślnikiem żydowskim, poważnym i tradycyjnym. On właśnie skrocił mój pierwszy licealny

mundurek (granatowy ze srebrnymi guzikami). W jednym pokoju pracowali: właściciel i dwóch, trzech uczniów, w tym syn; od czasu do czasu pokazywała się matka – z peruką na ogolonej głowie (nie zdawałem sobie z tego sprawy – nie znając zwyczaju). Sam pan Dębski musiał mieć około siedemdziesiątki. Jego siwa broda, opadająca na pierś, sprawiała, że wyglądał jak biblijny patriarcha. Sam jako dziecko pomagał swemu ojcu – również krawcowi – szyc mundury dla powstańców z 1863 roku. Ten człowiek o wielkiej godności wzbudzał we mnie naturalny szacunek.

Znałem i odwiedzałem dom państwa Morgensternów, mieszkających w jednej z najpiękniejszych willi w Konstancinie. Ich syn Ryszard miał francuską guwernantkę i jeździł nawet raz na wakacje na Côte d'Azur we Francji, co nam wszystkim bardzo imponowało. Była to rodzina bardzo kulturalna. O ile wiem, pan Morgenstern pracował jako bankier. Jego bardzo piękna żona, on sam i ich dwoje dzieci zostali zamordowani przez hitlerowców.

Mówię tak dużo na ten temat, bowiem tuż przed opuszczeniem Konstanciny, a może już w Warszawie, spotkało mnie coś, co mną wstrząsnęło i wpłynęło na całe moje życie, w tej opowieści zaś będzie miało szczególne znaczenie. Zanim przejdę do szczegółów, muszę wspomnieć szerzej o mej rodzinie.

Nie znałem nikogo z pokolenia mego dziadka oprócz jego brata, Artura Likiernika: doktora chemii Politechniki w Zurychu, ważnej osobistości na Śląsku, dyrektora wielkiej fabryki, przewodniczącego Śląskiej Izby Handlowej i osobistego przyjaciela prezydenta Mościckiego. Artur Likiernik wywarł na mnie tym większe wrażenie, że mój ojciec darzył go specjalnym szacunkiem.

Mój pradziadek, Adolf, miał trzech synów: Artura, o którym przed chwilą pisałem; Maurycego, znanego lekarza oftalmologa i mego dziadka, Stanisława, przemysłowca. Posiadam testament mego pradziadka z roku 1882. Urodził się on w 1817 roku i uczestniczył w Powstaniu Styczniowym. Poczucie przynależności do narodu polskiego sięga więc w mej rodzinie co najmniej do trzeciego pokolenia wstecz, mnie nie licząc.

Brat mego ojca, młodszy o dziesięć lat Kazimierz Szczerba-Likiernik, przyłączył się w roku 1914 do Legionów Piłsudskiego. Po wojnie przez lata był dyrektorem Departamentu Nauk Społecznych przy UNESCO w Paryżu. Zmarł tamże w roku 1969.

Ciotka ze strony ojca, Alina Wojecka, kobieta piękna, bardzo snobistyczna, podróżowała za granicę i kupowała ubranka dla dzieci w Paryżu (ku mej rozpaczcy przechodziły one na mnie, ja zaś nie chciałem nosić „dziewczęcych” strojów, nawet modnych i z Paryża...). Ciotka Alina była miła, ale egoistyczna i egocentryczna. Jej stosunki z moim ojcem można określić jako chłodne.

Rodzina mej matki to trzy siostry, z których dwie były dentystkami w Warszawie, oraz brat, którego widziałem raz w życiu. Trzecia z sióstr, zapalona esperantystka, wyszła za mąż w Czechosłowacji. Z nią nie widywaliśmy się prawie wcale. Wizyty u moich ciotek w Warszawie miały podwójny charakter (pół odwiedziny, pół plombowanie), więc nie bardzo je lubilem...

O dziadku ze strony matki nie mówiło się nigdy (babcia umarła mając trzydzieści lat, moja mama została sierotą w wieku lat jedenastu). Dziadek Likiernik, po którym odziedziczyłem jego wizytówki (nazywał się tak jak ja – Stanisław), nosił piękne wąsy, miał spory brzuszek i niezłą fortunę, którą w chwili śmierci w roku 1911 (w wieku pięćdziesięciu sześciu lat) pozostawił memu ojcu. Był właścicielem pięknego zaprzęgu, wiele podróżował do Francji, Włoch i gdzie indziej, zabierając często ze sobą córkę, a czasem i mego ojca. Sądzę, że jego stosunki z żoną nie układały się dobrze. Babcia zmarła w roku 1914, mając czterdzieści sześć lat, w Berlinie, podczas podróży do tego miasta, tuż przed wybuchem I wojny światowej.

Tadeusz, mój ojciec, sprawiał w młodości wiele kłopotów swym rodzicom. Wyrzucono go z rosyjskiego gimnazjum za udział w manifestacjach patriotycznych, karano go za inne, mniej chwalebne wybryki. Był chłopcem niewysokim, ale wyjątkowo silnym i odważnym ponad wszelką miarę. Tak na przykład zrobił raz zakład z kolegami, że położy się na torach i zaczeka, aż pociąg przejedzie nad nim. Zakład wygrał; skończyło się na dziurach w spodniach, no i naturalnie na laniu – po odkryciu przyczyny dziur.

Pierwszy młodzieńczy pojedynek mego ojca – powodem była dziewczyna – przypadł na rok 1898: trzynastolatkwie toczyli pojedynek na florety „do pierwszej krwi”. Krew nie chciała płynąć, świadkowie nie zgadzali się więc na przerwanie walki. Wszystko to odbywało się w suszarni garbarni Pfeiffra, znajomego mego dziadka. Skończyło się na tym, że właściciel włączył parowe ogrzewanie suszarni i upał powstrzymał masakrę. Później, kiedy ojciec stu-

diował w szkole rolniczej we Wrocławiu, odbywały się poważniejsze pojedynki i miały miejsce różne przygody, dobrze znane mym dzieciom z opowiadań dziadka.

Wspomnienia ojca sięgają lat sprzed 1914 roku: pierwszy samochód w Warszawie, pierwszy samolot, potem – podczas wojny i rewolucji – Rosja. Moje dzieci, ich koledzy i koleżanki, a także co piękniejsze mamy, wysłuchiwały w Marly-le-Roi opowieści mego ojca, wówczas już blisko osiemdziesięcioletniego. Zmarł – tak jak matka – w Marly-le-Roi. Wspominam tu zaledwie niektóre z jego historii; szkoda, że ich nigdy nie spisał.

Po mobilizacji w 1915 roku udało mu się dostać do Szkoły Oficerskiej Gwardii Cesarskiej. Był dobrym jeźdźcem, w latach 1906-1914 uczestniczył w wielu konkursach hipicznych. Przez trzy miesiące był stażystą w Hiszpańskiej Szkole Jazdy w Wiedniu, gdzie dostanie się było prawie niemożliwe dla cudzoziemca. Cesarz Franz Josef raz w tygodniu przyjmował na audiencji każdego, kto składał o to prośbę. Ojciec otrzymał audiencję i poprosił cesarza Austrii o pozwolenie na udział w kursie; mając polecenie cesarskie, dostał się do najśłynniejszej szkoły jeździeckiej świata.

Wracam do roku 1915. Ukończywszy Szkołę Oficerską, ojciec został wcielony do pułku Gwardii Konnej. Wysłano ich na Kaukaz, a stamtąd po nowe konie, aż do Harbina w Mandżurii, na granicy Chin. Ten mały „spacerek” liczył blisko siedem tysięcy kilometrów. Podczas przejazdu przez Mongolię (zimą, przy czterdziestostopniowym mrozie) śnieg padał tak gęsty, że nikt nic nie widział: wszyscy czuli się jak zamknięci w butelce z mlekiem. Szukając noclegu, miejscowy przewodnik zawsze umiał znaleźć drogę do wsi, co graniczyło niemal z cudem. Z czasów późniejszych, już z lat rewolucji, pochodzi opowieść, jak ojciec na Ukrainie, konno, uciekał nocą przed wilkami. Od samego początku rewolucji Polacy walczący w szeregach armii rosyjskiej starali się zgrupować i w ten sposób stworzyli Armię Polską pod dowództwem generała Dowbór-Muśnickiego. Z tą właśnie armią mój ojciec powrócił do Polski, biorąc przedtem udział w bitwie z Niemcami, którą Pierwszy Pułk Ułanów stoczył w drodze do Polski pod Krechowcami. Przyjął stąd nazwę Pierwszego Pułku Ułanów Krechowieckich. Szarża, by się przebić, była wielkim wspomnieniem ojca.

W czasie wojny 1920 roku został adiutantem generała Dreszera. Znów wojna na koniu, tym razem zakończona dlań postrzałem w pierś: kula ominęła serce, zmieniając kierunek dzięki metalowemu krzyżykowi, odznace armii Dobrowora, którą ojciec wtedy nosił na piersi. Krzyżyk zaginął w czasie wojny, ale pamiętam go, skrzywionego przez kulę.

Podsumowując zatem pokrótce dzieje mej rodziny, można zauważyć, że jest to historia bogata, wręcz heroiczna, niemal napoleońska, pełna koni, szarż i pojedynków. Zresztą opowieści z wojen napoleońskich, o perypetiach pułków polskich w tych wojnach uczestniczących, były w mej rodzinie wciąż żywe. Ojciec podziwiał Napoleona aż do śmierci, znał dzieje napoleońskie w najmniejszych szczegółach, w czym pomagała mu fenomenalna pamięć.

Wracam teraz do moich własnych wspomnień. Sądzę, że w chwili, gdy nagle dowiedziałem się – nie wiem już, w jaki sposób – że nasza rodzina jest pochodzenia żydowskiego, przeżyłem ogromny i trwały szok. Ochrzczony jako niemowlę, wychowywany religijnie, jak wszystkie dzieci w Konstancinie, odbyłem Pierwszą Komunię Świętą, mając dziesięć lat. Bez wielkiego entuzjazmu, raczej z obowiązku, co niedzielę chodziłem do kościoła. Moi rodzice byli katolikami i w 1921 roku wzięli ślub kościelny. Na mszę chodzili tylko z okazji Wielkiej nocy, Bożego Narodzenia, Pierwszej Komunii itp.

Nagle cały ten mój misternie budowany system zawalił się. Ukryty antysemityzm, na który dotąd nie zwracałem uwagi, zaczynał się nasilać. Studenci nacjonaści stawali się coraz bardziej aktywni, podżegani i niekiedy finansowani przez niemiecką partię nazistowską. Kilku uczniów z naszego liceum należało do takich organizacji – jeden z nich prenumerował nawet „Sturmera”, hitlerowską gazetę niemiecką (został potem zastrzelony za kolaborację). Dla tych ludzi moje pochodzenie miało znaczenie. Ja jednak chciałem być taki sam jak inni i nie umiałem pogodzić się z nową sytuacją; nawet nie myślałem o przynależności do innej wspólnoty niż polska. Tym bardziej, że mój ojciec – zarówno tym, co opowiadał, jak i całą swoją postawą – zawsze podkreślał polskość rodziny. Sądzę zresztą, że właśnie „pochodzenie” nadało naszemu patriotyzmowi tak intensywny charakter, zaś odwaga mego ojca i stryja podczas obu wojen miała świadczyć o tym, że już nie byli Żydami. W owych czasach,

przynajmniej w Polsce, słowa „Żyd” i „tchórz” brzmiały jak synonimy, a Izrael jeszcze nie istniał, by wykazać błędność tej opinii.

Znalazłem się więc w sytuacji niezbyt wygodnej; choć dzięki zachowaniu przyjaciół, którzy oczywiście nie brali sprawy pochodzenia pod uwagę, dość szybko się uspokoiłem. Przyzwyczailem się do tej odrębności, która później, pod okupacją, nabrała innego znaczenia. Zaakceptowałem ją, ale nie zmieniłem poglądów i nie odczuwałem najmniejszej solidarności ze wspólnotą żydowską.

Pewnego dnia odwiedziliśmy jedną z moich ciotek, Zosię. Po chwili do mieszkania wpadł rozgorączkowany żydowski student, którego napadli narodowcy, pobili go i podarli mu indeks uniwersytecki. Po wyjściu studenta próbowałem bronić polskiego punktu widzenia: liczba Żydów na uniwersytecie przewyższała liczbę Żydów w Polsce itp. Ciotka nazwała mnie chuliganem i na kilka miesięcy nasze stosunki zostały zerwane. Mój ojciec był tego samego zdania co ja i razem manifestacyjnie opuściliśmy mieszkanie. Dziś myślę, że rację miała ciotka.

Kiedy indziej, pozostając pod wpływem ogólnej atmosfery, oświadczyłem wobec jednego z przyjaciół ojca, że „na całe szczęście alkazar w Toledo nadal się broni” (była to forteca okupowana przez frankistów). To, czego wysłuchałem – przyjaciel był dziennikarzem przybyłym właśnie z Hiszpanii – wbiłem sobie do głowy na długo. Zrozumiałem, kim był Franco, sojusznik Hitlera. O ile Hiszpania leżała daleko, to o tym, co działo się w Niemczech, w mojej rodzinie wiadomo dobrze. Praca ojca w Drugim Oddziale Sztabu Głównego, w wydziale zajmującym się Niemcami, dawała mu możliwość orientowania się znakomicie w sytuacji, ja natomiast łowiłem strzępy jego rozmów z matką i innymi.

Ojciec przygotowywał nawet precyzyjne, alarmujące – jak zapewniał – raporty na temat armii niemieckiej, których szef sztabu nigdy nie przekazał wyżej. Już więc w 1937 roku wiedziałem o istnieniu Dachau. Pamiętam, jak odwiedził nas mężczyzna, zatrzymany w Niemczech jako agent polski. Wymieniono go za szpiega niemieckiego i teraz wracał z obozu. Miał wybite wszystkie zęby – pamiętam to jak dziś. Ojciec pomógł też osiedlić się w Polsce oficerowi niemieckiemu pochodzenia żydowskiego, który zmuszony był do ucieczki ze swego kraju.

Coraz wyraźniej czuło się zbliżanie wojny i wzrost zagrożenia ze strony Niemców. Życie jednak toczyło się normalnym trybem. Od dawna już należałem do harcerstwa, zaś w 1938 roku zostałem drużynowym zuchów. Nie cieszyła mnie specjalnie ta nominacja – wolałbym prowadzić grupę starszą (dziesięć–jedenaście lat). W końcu jednak spodobało mi się organizowanie gier i wycieczek dla tych siedmio-, ośmiolatków. Było to moje pierwsze doświadczenie odpowiedzialności i „dowodzenia”.

W roku 1936 spędziłem wakacje wraz z rodzicami w Carmen Silva w Rumunii. Ogromne wrażenie wywarły na mnie Bukareszt i Konstanca. Na cztery dni pojechaliśmy nawet do Stambułu. Ten pierwszy wyjazd poza Polskę bardzo mi się spodobał. Spotkania z młodymi Rumunami i ładną rówieśnicą rumuńską siłą rzeczy poprawiły mój francuski (bo młodzi Rumuni mówili po francusku doskonale, jak większość ich wykształconych rodaków).

Rok później wolałem jednak pojechać na Huculszczyznę, na obóz harcerski. Rumunię zostawiłem rodzicom, chociaż nęciła sama podróż samolotem aż do Bukaresztu, co wówczas było rzadkością.

Od chwili przenosin do Warszawy spędzaliśmy wakacje zawsze poza domem, niemal zawsze w Polsce, najczęściej na wsi, w dworach, jako „płacący goście”. W ten sposób mogłem poznać życie wiejskie, a zwłaszcza życie ziemian. Choć letniskowe posiadłości były dość duże (400–500 ha i więcej), trudności gospodarcze dziedziców również. Ceny produktów rolnych utrzymywały się na niskim poziomie i sądzę, że – pomimo licznej i taniej siły roboczej – większość właścicieli ziemskich tonęła w długach i ciężko im było wiązać koniec z końcem.

Najbardziej, oprócz jazdy konnej, lubiłem narty. Jeździliśmy w góry, najczęściej do Wisły. Pamiętam spacer po świeżym, puszystym śniegu, podejścia trwające godzinami (nie było wyciągów), pokryte szronem świerkowe lasy. Zatrzymywaliśmy się w dużej willi, przebudowanej na pensjonat, osiem kilometrów od miasteczka Wiśla. Całodniowe wycieczki odbywałem z miejscowym młodym zawodnikiem. Kiedy wracałem z takiej wyprawy, ojciec często jechał saniami „do centrum”, do kawiarni. Nie było miejsca w saniach, więc pokonywałem jeszcze szesnaście kilometrów skikjöringiem za nimi, tam i z powrotem, po ośnieżonej drodze. Pod koniec pobytu (był przełom roku 1937/1938) nie mogłem prawie chodzić! Podczas jazdy na nartach ból w ko-

lanach na szczęście mijał. Kiedy wróciłem do szkoły, nauczyciel gimnastyki wpadł w szal: zostałem zwolniony z lekcji z powodu wysięku w stawach kolanowych – efekt nadużywania nart. Ale ferie miałem udane! Mniejsza o kolana!

Wydarzenia historyczne po roku 1936 – wkroczenie do Nadrenii, *Anschluss* Austrii, zajęcie Sudetów i wreszcie Monachium – stały się na tyle głośnie, że nawet my, młodzież, mieliśmy świadomość ich wagi. W rozmowach mego ojca wyczuwało się niepokój o stan naszych przygotowań do wojny – wiedziałem o tym, ale nie przejmowałem się zbytnio. Duże wrażenie wywarł na mnie film o armii francuskiej, o linii Maginota, o ich potężnej flocie itp. Nie dość, że byliśmy silni sami, to jeszcze mieliśmy tak wspaniałego Sojusznika. Wizytę angielskiego generała Ironside’a w Polsce (który wyraził, jak się zdaje, wątpliwości co do ewentualnej skuteczności naszej kawalerii w nowoczesnej wojnie) mocno krytykowano. Popularność Anglii, kraju mniej znanego w porównaniu z Francją, spadała. W roku 1938, w chwili kryzysu sudeckiego, wojsko polskie zajęło Zaolzie – terytorium zamieszkane przez ludność polską i okupowane przez Czechy od 1920 roku. Moment odbicia tych ziem wybrano źle: lotnictwo czeskie (ponad tysiąc samolotów), zamiast schronić się w Polsce, wpadło nietknięte w ręce Niemców. Dominował entuzjazm, ja natomiast nie mogłem się cieszyć z innymi, bowiem ojciec mój potępiał tę akcję. Marszałek Rydz-Śmigły był bardzo popularny, zaś powszechna nieświadomość niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowaliśmy, graniczyła z głupotą.

W takiej atmosferze wyjeżdżałem latem 1939 roku na wakacje, nad jezioro Dryświaty, tuż nad granicę łotewską. Po długiej podróży pociągami trzeba było jechać bryczką około dwudziestu–dwudziestu pięciu kilometrów. W sosnowym lesie, nad rozległym jeziorem, położona była wieś Bobrusz, a w niej mały pensjonat dla około dwudziestu osób. Panowała w nim rodzinna atmosfera, odbywały się wspólne posiłki przy ogromnym stole, kąpiele, spacery konne, mecze siatkówki przeciwko „Tumolinowi” (pensjonat o kilka kilometrów dalej) – wszystko nader przyjemne. Właśnie w Bobruszu dowiedziałem się po raz pierwszy, że można pływać godzinę bez przerwy, a nawet i dłużej. Przepłynięcie dwustu metrów wydawało mi się przed tym doświadczeniem wyczynem nie lada. Wieczorem, w dniu przyjazdu, gospodarz (miał amputowaną rękę po wojnie 1920 roku) zaproponował nam przemierzenie wpław

jeziora aż do miejsca, którego nazwy nie pamiętam. Popłynąłem z innymi, asekurowany, chwala Bogu, przez łódkę. Gdzieś po półgodzinie dotarliśmy do celu; woda sięgała tam tylko do piersi. Potem powrót: ja tym razem łódką.

Nie mieliśmy naturalnie elektryczności. Pokoje oświetlano lampami naftowymi. Stare radio grało dzięki akumulatorom.

Jak dotąd nie mówiłem jeszcze o mych spotkaniach z dziewczynami. W wieku szesnastu lat już trochę flirtowałem, ale dziewczęta były dla mnie niczym anioły i jak one pozbawione pożądań. Nie przychodziło mi do głowy, że mogą mieć ochotę na całowanie chłopców. Dlatego też w moich flirtach, przejażdżkach rowerowych, pocałunkach w rękę nie posuwałem się zbyt daleko. Tym bardziej, że jedna z panien, którą się interesowałem, rzekła mi pewnego razu: „Pocałunek jest ślubem dla dziewczyny”. Na myśl o „ślubie” zrezygnowałem. W Bobruszu bardzo ładne dziewczyny wiejskie podawały do stołu, sprzątały. Spały w stodole - stąd więc pomysł, aby... Wiedzieliśmy, że ryzyko ciąży mogło być przeszkodą dla niewiast, należało zatem postarać się o przerwy. Ale jak? Kupienie ich „po prostu” w aptecę w sąsiednim miasteczku nie wydawało się możliwe - zbyt krępujące w roku 1939 (to nie dziś). W końcu znaleźliśmy rozwiązanie: jak najbardziej „dorosłym” pismem napisaliśmy do aptekarza: „Szanowny Panie Magistrze! Uprzejmie proszę o wręczenie posłańcowi paczki..., ale naturalnie tak, by nie wiedział, co kupuje. Z podziękowaniem”... Los chciał, że to ja byłem posłańcem. Wszystko odbyło się bez trudności. Pan magister wręczył mi gotową paczkę „z lekarstwem” i byliśmy gotowi do akcji. Dalszy ciąg nie był już tak pomyślny. Mieliśmy pecha, bowiem w stodole, dokąd wleźliśmy po drabinie w kompletnej ciemności, gdy już byliśmy blisko naszych „pięknych ofiar”, pojawił się nagle właściciel pensjonatu, przypuszczalnie szukający syna (który zresztą był z nami). Dziewczęta nie pisnęły ani słowa, choć nie wydaje mi się, że były „chętne” i tak. Krótko mówiąc, trzeba było skapitulować.

Tak więc sierpień 1939 roku wspominam dobrze, mimo odgłosów wojny na horyzoncie. Napisałem do Warszawy do ojca, żeby postarał się o przyjęcie mnie jako ochotnika do Pierwszego Pułku Artylerii Konnej. Konie, artyleria, szalone galopy, ustawianie baterii – przecież to prawie jak pod Austerlitz. W Bobruszu spędzała wakacje bardzo piękna pani, o cztery lata starsza ode

mnie, blondynka o niebieskich oczach – typowa Polka z XIX-wiecznych obrazów romantycznych. Chciałem się jej podobać, więc zabierałem ją na spacerki kajakiem po Dryświatach. Była to córka astronoma z Uniwersytetu Wileńskiego, profesora Dziewulskiego, który został deportowany w 1940 roku przez Rosjan. Udało mu się jednak powrócić do kraju; objął później katedrę astronomii na Uniwersytecie w Toruniu.

Listy od mego ojca były coraz bardziej niepokojące. Nakazywał w nich zostanie w Bobruszu i nalegał, byśmy nie wracali do Warszawy bez jego zgody. Rozpoczęcie roku szkolnego z 4 września zostało przesunięte na 15 – zły znak, ale ja osobiście z zadowoleniem przyjąłem przedłużenie wakacji.

Naturalnie słuchaliśmy radia – lecz było to bardzo utrudnione, bo wysiadły akumulatory. Pamiętam, że 23 sierpnia 1939 roku ledwo, ledwo, ale usłyszeliśmy, że został podpisany „pakt o nieagresji” między Związkiem Radzieckim a Niemcami. Pamiętam, że powiedziałem wtedy: „Jeśli Rosja zagwarantowała neutralność, to nasza sytuacja jest beznadziejna”.

Oczywiście wszyscy mówili o wojnie. Dorośli – którzy przeżyli poprzednią – starali się nas przekonać, że „wojna jest straszna”, ale my, młodzi, mieliśmy nadzieję, że uda się nam pokazać, iż jesteśmy godnymi spadkobiercami naszych ojców i – jak oni – „będziemy bohatersko walczyli”.

Pomimo nakazów matka zdecydowała, że wracamy. Przedtem Wanda Dziewulska zaprosiła mnie na jeden dzień do Wilna – do domu swych rodziców. „Zobaczysz miasto” – dodała. Pamiętam, jak powiedziałem do matki: „Skoro Rosjanie są sprzymierzeńcami Niemców, to nie wiadomo, czy to nie ostatnia okazja zobaczenia Wilna”. Niestety, miałem rację (choć nie do końca; w czerwcu 2003 roku zwiedzałem Wilno przez trzy dni i w ten sposób unieważniłem „przepowiednię”). Wyjechałem więc 29 sierpnia i 30 zwiedzałem miasto. 31 wróciłem, aby spotkać się z matką w Święcianach, gdzie wsiadało się do pociągu, jadąc z Bobrusza. Musiałem czekać tam parę godzin wśród młodych, właśnie zmobilizowanych chłopów. Patrzyłem i słuchałem ich śpiewnego akcentu kresowego. Wszyscy wyjeżdżali na wojnę, kompletnie nie wiedząc, czym jest. Udawali zuchów przed swymi płaczącymi matkami, żonami, narzeczonymi. „Przywiozę ci zegarek z Berlina. Nie jeden, kilka... Ogromny zegar”. Wydawało się, że ci młodzi ludzie pragnęli tylko zegarków. Nie myśleli o sa-

mochodach, o biżuterii, bo te w ich świecie w ogóle nie istniały. Byłoby więc niemal wesoło, gdyby nie kobiety, które nie mogły zrozumieć... albo rozumiały zbyt dobrze.

Koniec końców, mieliśmy z matką dużo szczęścia z dotarciem do Warszawy, jeśli wziąć pod uwagę zakłócony ruch pociągów. Ojciec wpadł w złość: uważał, że szaleństwem był powrót do miasta, przecież pisał nam, że nie potrzebuje nas tutaj. Ale okazało się, że wróciliśmy na nasze szczęście. Wszyscy, którzy zostali w Bobruszu, po wejściu Sowietów pojechali – jedni do Archangielska, inni do Samarkandy.

WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Wszystko wyglądało na pierwszy rzut oka normalnie. Pułkownik Beck w swej pięknej mowie nie zgodził się na utworzenie „korytarza” między Niemcami a Prusami Wschodnimi. „Nie ustąpimy”. Incydent graniczny zorganizowany przez Niemców przebranych za Polaków był pretekstem do rozpoczęcia wojny. 1 września o świcie wojska niemieckie wkroczyły do Polski.

Ledwo się obudziłem, zobaczyłem przez okno nisko lecący samolot i za chwilę – pierwsza bomba w moim życiu: hałas wybuchu. Początkowo nie skojarzyłem samolotu z wybuchem. Ogłaszają alarm, wyją po raz pierwszy syreny. Schodzę do ogrodu – kilka rozbitych szyb, wielu bardzo zaniepokojonych sąsiadów. Ja jakoś się nie bałem, chyba z braku wyobraźni... Później, w sytuacjach o wiele groźniejszych, też sobie niczego nie wyobrażałem – nie widziałem siebie ani rannego, ani krwawiącego, ani cierpiącego. Pierwszy kontakt z wojną niczym mnie nie zaskoczył; ten jeden samolot, który widziałem, bardzo mgliście zapowiadał to, co mieliśmy później przeżyć.

Ojciec mój przeszedł w stan spoczynku w roku 1936, ale nie porzucił do końca pracy w Drugim Oddziale Sztabu Głównego. Teraz został zmobilizowany i, ku jego rozpacz, przydzielono go do organizacji Biura Cenzury Poczty, stworzonego na czas wojny. Próbował uzyskać inny przydział, ale wypadki potoczyły

się za szybko, by mogło się to udać. Tymczasem zorganizował nową instytucję, która od razu zaczęła działać, choć była całkowicie bezużyteczna wobec rozwoju sytuacji.

Ja i mój wielki przyjaciel Olek Tyrawski zostaliśmy gońcami w biurze ojca. Mogliśmy dzięki temu nosić spodnie do jazdy konnej, buty z cholewami oraz zieloną bluzę „przysposobienia wojskowego”. Paradowaliśmy w tym niby-wojskowym stroju, wypełniając – nie pamiętam już jakie – misje. Przez kilka dni, dosłownie – kilka, wszystko wyglądało normalnie. 3 września, wielka, radosna manifestacja świętowała przystąpienie Anglii i Francji do wojny. Wszędzie panował optymizm, wątpliwości mieli tylko ci najlepiej poinformowani, to znaczy prawie nikt. Bombardowania trwały. Przypominam sobie kilka srebrnych samolotów pikujących na most Poniatowskiego – z daleka nie wywoływało to wielkiego wrażenia. Nasza artyleria przeciwlotnicza robiła wiele hałasu. Podczas alarmu szedłem ulicą z ojcem, gdy nagle odłamek z pocisku przeciwlotniczego uderzył tuż obok nas, odcinając dużą gałąź. Ojciec ani drgnął, z czego później brałem przykład.

Dni poprzedzających mój wyjazd z Warszawy nie pamiętam zbyt dokładnie. Błękit nieba, ciepło jak w lecie. Niemieckie wozy pancerne atakowały i pomimo – często bohaterskich – wysiłków naszych oddziałów była to walka nieco nowocześniejszej armii napoleońskiej z armią XX wieku. Warunki atmosferyczne sprzyjały Niemcom, od dawna zmobilizowanym i przygotowanym. Mieli oni przed sobą wojska walczące bohatersko, ale często w trakcie grupowania i nie przeszkolone. Powszechna mobilizacja ogłoszona została zbyt późno, by (jak sądzę) nie prowokować przedwcześnie Niemców.

Nie wiedzieliśmy o tym ani ja, ani Olek, ciągle więc żyliśmy nadzieją na dołączenie do walczących jednostek, co uważaliśmy za jedyny godny nas cel. Moja przyjaźń z Olkiem zaczęła się w szóstej klasie. Był on niskim chłopcem o dużej głowie i wielkich, niebieskich oczach. W naszej klasie utworzyła się grupa, do której oprócz mnie należeli: Olek, Wacek Koc, Janek Brumer, Jurek Soiński i inni. Z Olkiem zbliżyłem się bardziej, gdy jego matka (ojca stracił w dzieciństwie) przeniosła się z dwoma synami i córką na Żoliborz i zamieszkała niedaleko nas. Nasza znajomość szybko zmieniła się w wielką przyjaźń. Przed wojną kąpaliśmy się razem w Wiśle, jeździliśmy na rowerach i pływa-

liśmy kajakiem (miałem kajak kauczukowy, rozbieralny, który złożony mieścił się w dużej torbie). Pierwszy miesiąc wojny spędzaliśmy wspólnie. Dla uzupełnienia krótkiego portretu rodziny Tyrawskich należy dodać, że starszy brat Olka, oficer rezerwy, studiował weterynarię, siostra zdała właśnie maturę. Olek, najmłodszy z rodzeństwa, był bardzo inteligentny, nader wrażliwy, uczciwy i prawy.

7 WRZEŚNIA 1939 APEL PUŁKOWNIKA UMIASTOWSKIEGO

Zupełnie nie pamiętam pierwszego tygodnia wojny. Dokładnie za to przypominam sobie dzień 7 września i radiowy apel pułkownika Umiastowskiego, jego podniosły i posępny głos. Nakazywał on, żeby zdolna do poruszania się ludność Warszawy opuściła miasto i kierowała się na wschód, aby tam dołączyć do przegrupowujących się wojsk. Nie wiem do dziś, kto podjął tę nieprzemysłaną decyzję, jej rezultat był wszakże opłakany. Drogi wypełniły się tłumami uciekinierów. Z powodu małej liczby samochodów ludzie poruszali się głównie wozami konnymi lub po prostu szli na piechotę. Dzielnice żydowskie opustoszały i wszyscy ci nieszczęśnicy w długich, czarnych płaszczach, małych, czarnych kaszkietach, zamknięci najczęściej całymi dniami w swych sklepikach, warsztatach itp., nagle znaleźli się na szosie lubelskiej z całym swoim dobytkiem i liczną rodziną, w rozpaczliwym pochodzie na wschód.

Nie trzeba dodawać, że wojsko nie mogło już korzystać z tak zablokowanych dróg. Jednostka mojego ojca, Biuro Cenzury, również musiała się ewakuować. Nie pamiętam już, jak to się miało odbywać. Myślę, że było kilka samochodów, ale i konne wozy. Ojciec kupił po drodze parę koni i powóz. W każdym razie ja z Olkiem wyruszyliśmy w stronę Garwolina na rowerach. Tam mieliśmy czekać na rodziców. Ponieważ w Biurze Cenzury pracowało kilka kobiet, ojciec mógł zabrać ze sobą żonę. Słowem, cała nasza rodzina opuściła Warszawę.

Podróż rowerem pozwoliła mi obserwować cały ten tragiczny tłum uciekinierów i dramaty, jakie rozgrywały się, gdy samoloty niemieckie rzucały bomby w sam środek zbitej ludzkiej masy. Filmy i powieści nieraz opisywały te sceny – identyczne we wszystkich krajach – ale my odkryliśmy wówczas wojnę w postaci, jakiej sobie nie wyobrażaliśmy. Pomysł spotkania w Garwolinie był, z uwagi na sytuację, dość absurdalny. Zatrzymaliśmy się u wejścia do miasta i śledziliśmy ruch na szosie, aż do przyjazdu moich rodziców. Czekaliśmy beztrosko, siedząc na skarpie. Jak ich zauważyliśmy? Pozostanie to na zawsze tajemnicą. Nie przypominam sobie zresztą, czy jechali bryczką, czy samochodem, ale Olek spostrzegł ich w tłumie. Nieważne. Już razem zboczyliśmy z głównej drogi, aby uniknąć zatorów i bombardowań. Tak posuwaliśmy się powoli na wschód. Nie mieliśmy żadnych wieści o tym, co się dzieje. Tranzystorów jeszcze nie było. Chcieliśmy przeprawić się przez Bug, a następnie „dołączyć do armii, aby walczyć dalej i odbić utracone tereny”. Nawet dorośli myśleli podobnie: „Nie możemy przegrać”. Klęska nie wchodziła w grę.

Niektóre obrazy mam wciąż przed oczyma: przejazd przez spalone miasteczka z ceglanymi kominami, sterczącymi pośród zgliszczy drewnianych, spalonych do gruntu domów; widziane w oddali wsie w ogniu, w nocy przypominające ogniska z obozu harcerskiego; noce na wozie – w północy, podczas którego trzeba jednak uważać i tak powozić, aby nikogo nie rozjechać. W jednej z mijanych wsi Olek i ja ruszyliśmy na poszukiwanie jedzenia. Nagle nadleciał niemiecki samolot. Na placu byliśmy sami, samolot zniżył lot i posłał serię z karabinu maszynowego celując w nas. Widziałem, jak kule uderzają w ziemię przed nami i za nami, ale żadna nie trafiła celu. Prawdę mówiąc, nawet nie mieliśmy czasu się bać.

W końcu dotarliśmy do Bugu. Osiągnęliśmy ostatnią linię oporu wojsk polskich. Jednostka ojca również dotarła do przewidzianego punktu zbornego, ale okazało się, że cała podróż... była bezcelowa: nie chodziła już żadna poczta. Wypadki toczyły się szybko i nie było możliwości nawiązania kontaktu z jakąkolwiek jednostką wojskową.

Byliśmy po zachodniej stronie Bugu, gdy nagle dano znać, że przed nami są czołgi niemieckie. Nie wiem, skąd ojciec zdobył konia, ale po chwili ujrzałem go galopującego na zwiady w stronę sygnalizowanych czołgów. Nie mieliśmy

bronii, mogliśmy tylko zmienić kierunek marszu. Ruszyliśmy więc z powrotem w stronę Bugu, ale czołgi znajdowały się już zbyt blisko. Ojciec rozkazał nam bieć ku stromemu brzegowi rzeki. Sam zaś, w mundurze oficera kawalerii, szedł w tym samym kierunku, lecz krokiem spacerowym. Niemiecki czołg strzelał do nas. Biegłem, ale kiedy zobaczyłem ojca idącego tak wolno, zawróciłem ku niemu z prośbą, by przyspieszył. Ostрым tonem odesłał mnie z powrotem. W końcu ukryliśmy się za wysokim, piaszczystym brzegiem. Czuliśmy się niepewnie i po kilku minutach znów ujrzelśmy czołg, który nadjechał od strony zakrętu rzeki i miał nas na celowniku.

Zostaliśmy otoczeni. Niemcy podeszli pieszo i kazali wydostać się na górę – karabiny odbezpieczyli i wycelowali w nas. Ja i Olek mieliśmy na sobie bluzy „przysposobienia wojskowego”, które wyglądały na wojskowe, ojciec – mundur, reszta – po cywilnemu. Niemiecki znałem bardzo słabo, ale chciałem jakoś zamanifestować swą rozpacz. Wydawało mi się też, że Niemcy mają zamiar nas rozstrzelać. Spytałem więc ojca, jak się mówi „strzelać”? – *Schissen*. – Wówczas z poważną miną (dziś myślę, że scena była raczej tragicomiczna), powiedziałem: – *Bitte schissen* (Proszę strzelać). – *Nein, nein* – odpowiedział żołnierz i opuścił lufę. Zabrali nas do szkoły, gdzie przebywali już inni ludzie, wśród nich kilku rannych. Ojciec odnalazł niemieckiego dowódcę, a że mówił wspólnie po niemiecku, nawiązał z nim kontakt. Niemiec zachowywał się uprzejmie i rozmowa odbyła się spokojnie, niemal z kurtuazją. Niemiecki oficer nie chciał nas zatrzymywać i powiedział nawet: – My jesteśmy wojskiem, puścimy was wolno, ale strzeżcie się tych, co idą za nami, gestapowców. – Tak skończyło się moje pierwsze spotkanie z Niemcami. Jeden z żołnierzy wziął mnie na stronę i spytał, czy jestem wojskowym. Chcąc mu odpowiedzieć, z braku słów wykonałem gest znaczący nawet dla Niemców: zakreśliłem palcem kółko na skroni. – *Deutsche Soldat verrückt!* (Niemiecki żołnierz wariatem!) – krzyknął pilnujący nas żołnierz. Incydent załagodził inny Niemiec, który odezwał się po niemiecku: – Zostaw go. My i oni nie chcieliśmy tej wojny. To sprawa naszych przeklętych rządów.

Aż do 1944 roku było to chyba najdłuższe spotkanie z Niemcami. Później pamiętam tylko komendy typu *Hände hoch*, kilka inwektyw podczas sprawdzania papierów na ulicach Warszawy...

Tymczasem znajdowaliśmy się na brzegu Bugu, zrozpaczeni z powodu obecności Niemców poza „linią obrony” Armii Polskiej. Po uwolnieniu postanowiliśmy przekroczyć Bug i szukać dalej jakiejś walczącej jednostki. Warszawa broniła się jeszcze, może więc wojska przegrupowują się, aby pójść jej na odsiecz? Przez Bug przeprawialiśmy się z powrotem 17 września, przy pogodzie i upale jak w lecie. Nagle ktoś podbiega do mego ojca i przerażony komunikuje: – Rosjanie weszli do Polski i spotykają się pokojowo z Niemcami. – Nie chcieliśmy wierzyć temu człowiekowi, posądzając go o rozpowsiadanie fałszywych wiadomości.

By nie wchodzić już w szczegóły: pamiętam jedynie, że w końcu odnaleźliśmy jakiś oddział, a ojciec nawiązał kontakt z jego sztabem, oferując swe usługi. Wrócił zrozpaczony: nie planowano żadnej obrony, spotkani dowódcy nie mieli ani rozkazów, ani amunicji. Słowem, należało uznać to, co stało się oczywiście: wojnę przegraliśmy. Rosjanie rzeczywiście zajmowali wschodnie terytoria Polski, nie atakując Niemców. Najgorsze wieści sprawdziły się... Był to czwarty rozbiór w historii Polski: została podzielona, tym razem między Hitlera i Stalina.

Postanowiliśmy wracać do Warszawy, by uczestniczyć w jej obronie albo też organizować wyjazd za granicę. Może pomysł wyjazdu pojawił się zresztą później. O wyborze powrotu do Warszawy zdecydował ojciec. Decyzja okazała się słuszna: uchodźcy schwytani przez Rosjan byli systematycznie wywożeni w głąb ZSRR, oficerów uwięziono w obozach...

POWRÓT DO WARSZAWY. ARESztOWANIE OJCA

Do Warszawy wróciliśmy zbyt późno. Miasto, po bohaterskiej obronie, skapitulowało 27 września. Zniszczenia wyglądały strasznie. Nie wiedzieliśmy, że najgorsze dopiero przed nami. Nasz dom był nietknięty. Służąca Jasia została w mieszkaniu, nie spodziewała się nas tak szybko i większość rzeczy

ukryła u pani Tyrawskiej. Ojciec nie chciał wracać do domu, tłumaczył: – Niemcy będą chcieli mnie aresztować, nie możemy mieszkać u siebie. – Pomimo protestów matki zostaliśmy w Konstancinie, u pani Strasburgerowej (tuż obok willi zbudowanej przez ojca, ale należącej już do kogoś innego).

Ojciec postanowił, że pojedziemy do Francji, on i ja, w celu dołączenia do Armii Polskiej. Starał się o zdobycie fałszywego paszportu. Wiem, że spotykał się w tej sprawie z honorowym konsulem Peru, poznanym zapewne za pośrednictwem brata, który wcześniej pełnił tę funkcję. Te dwa, trzy tygodnie od naszego powrotu zacieraają mi się w pamięci. Przypominam sobie znajomą starszą panią, która czyniła ostre wyrzuty ojcu, mnie i wszystkim, którzy wcześniej byli zwolennikami rozlatującego się teraz tak żałośnie reżimu. Ja też przeżywałem to bardzo. Cały mój świat rozpadł się jak domek z kart. Powoli docierały do nas wieści o losie przyjaciół. Wrócił mój kolega, Roman Mularczyk. Schwytany przez Rosjan, miał wytłumaczyć im, że ręce ma białe i nie spracowane z powodu operacji; mówił zresztą prawdę. W sierpniu 1939 roku służył w „Junakach”, w obowiązkowym obozie pracy po maturze. Przez cały miesiąc budowali fortyfikacje na granicy wschodniej (tego Rosjanom nie powiedział). Dostał wtedy od łopaty ropnego zapalenia obu dłoni, co należało operować. To go uratowało i pozwoliło mu być czarnoroboczym o białych rączkach.

Niecierpliwie oczekiwałem na wyjazd do Francji. Z początkiem października wyglądało to na sprawę kilku dni. Pojechaliśmy nawet do miasta, żeby kupić parę rzeczy niezbędnych do podróży. 20 października ojciec udał się sam do Warszawy, my zostaliśmy w Konstancinie. Około trzeciej po południu przed domem zatrzymał się samochód. Weszło dwóch Niemców – w czapkach z literami SD i czaszką. Spyтали:

- Gdzie jest rotmistrz Likiernik?
- W Warszawie.
- Czy wróci?
- Tak.
- No to zaczekamy na niego.

Siedli w fotelach, ale, nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Ani oni, ani my nie mieliśmy jeszcze wprawy. Pozwolili mi więc wyjść, co było później nie

do pomyślenia. Skorzystałem z tego, by natychmiast posłać gońca do Jeziorny (dwa kilometry od nas), gdzie ojciec wysiadał z kolejki, z prośbą o ostrzeżenie go, aby nie wracał do domu. Niemcom wskazałem ostatnią stację w Konstancinie, wiedząc, że tam ojciec nigdy nie wysiadał. Około osiemnastej dwóch gestapowców zabrało mnie tam – miałem wskazać im ojca. Niemcy zatrzymywali wszystkich mężczyzn podobnych do niego, ale, rzecz jasna, bez skutku. Wróciliśmy do domu. Już zbyt późno, by ojciec mógł przyjechać... Całkiem uspokojony, zobaczyłem nagle, jak otwierają się drzwi i staje w nich... ojciec. Mówi do matki: – Widzisz, kto miał rację? – a potem: – Panowie, jestem do waszej dyspozycji. – Do nas powiedział: – Dajcie mi płaszcz zimowy. – Ucałował nas. Niemcy wzięli go pod ręce z obu stron i wyszli.

Dowiedziałem się potem, że mój posłaniec, niezbyt jeszcze doświadczony, nie czekał na drugi pociąg. Ojciec, widząc samochód przed willą, zrozumiał, że przyjechali po niego.

Wszedł od tyłu domu, przez stajnię. Zawołał służącą, która tam pracowała. – Tak, przyszedł po pana! – Idę się gdzieś schować – zdecydował w pierwszej chwili. – Ale oni powiedzieli, że zabiorą pańską żonę i syna. – W takim razie zostaję – i wszedł do domu.

Nazajutrz, nic nie mówiąc matce, pojechałem do Warszawy i udałem się – rzecz nie do pomyślenia po jakimś czasie – prosto do siedziby gestapo, na Szucha. Wszedłem po ogromnych schodach. Na straży stał esesman. – Czego chcesz? – Przyszedłem dowiedzieć się, gdzie jest mój ojciec, wczoraj aresztowany. – *Raus!* – złapał mnie za plecy i kopniakiem zepchnął na dół. Tego samego dnia matka odbyła tę samą trasę, zabierając ze sobą mydło, szczoteczkę do zębów, ręcznik itp. Odpowiedź, tym razem grzeczna, brzmiała: – On już niczego nie potrzebuje. – Wyglądało to groźnie, zwłaszcza że na dłuższy czas zapadła głucha cisza. Przez całe miesiące żadnej wiadomości.

Po aresztowaniu ojca zdecydowaliśmy się wrócić do naszego mieszkania na Żoliborzu. Wydawało się nam, że ryzyko minęło, katastrofa już się wydarzyła. Mieszkanie, pomimo wybitych szyb, nadawało się do użytku. Po zabiciu okien dyktą mogliśmy w nim zamieszkać (szyb nie zdobyliśmy).

Odzyskawszy więc rzeczy, zaczęliśmy „nowe” życie. Złotówka pozostawała

w obiegu, mieliśmy więc ciągle trochę pieniędzy. Sami Niemcy nie byli jeszcze zadowoleni. W uboższych dzielnicach rozdawali nawet darmową zupę. Zaczęły się już jednak pojawiać pierwsze plakaty z „rozporządzeniami”:

1) Zajęcia szkolne dla dzieci powyżej dwunastu lat zostają zawieszone.

Nic więcej. Pretekst – ryzyko tyfusu... Miała to być krótka przerwa, a trwała do 1945 roku.

2) W ciągu trzech dni należy oddać do komisariatów policji wszystkie odbiorniki radiowe. Za ich posiadanie grozi kara śmierci.

Dziwiliśmy się, ale co było robić? Zepsułem, co mogłem, we wnętrzu radia amerykańskiego, kupionego kilka miesięcy wcześniej, i samo pudło bez lamp (te także zbiłem) zaniósłem na policję. Godzinę później zapukał do nas sprzedawca odbiorników radiowych, oferując stare radio na wymianę. Chciał przechować nasze – bardzo nowoczesne i drogie. Zaczynała się konspiracja... Życie codzienne nie było łatwe. Polska Rada Główna Opiekuńcza (RGO) działała legalnie. Wydawała ona świadectwa pracy. Należało mieć przy sobie, o ile możliwe, dokument potwierdzający wykonywanie zawodu użytecznego dla okupanta. I ja dostałem legitymację RGO, ale ten paperek miał niewielką wartość.

Tak dotrwaliśmy do Bożego Narodzenia 1939 roku. Francja i Anglia włączyły się do wojny, mieliśmy więc nadzieję na bliską ofensywę aliantów. „Dziwna wojna”, jak okres 1939/1940 nazywają we Francji, nie dla wszystkich była dziwna, nie podejrzewaliśmy więc, że właśnie tak wygląda ona gdzie indziej. Zajmowaliśmy się z przyjaciółmi głównie przygotowaniami do ucieczki: przez Węgry i Jugosławię chcieliśmy dotrzeć do Francji i tam dołączyć do armii tworzonej – jak chodziły słuchy – przez generała Sikorskiego. Uciekać zamierzaliśmy całą grupą: Janek Brumer, Jurek Soiński, Wacek Koc i Olek Tyrawski. Wuj Janka mógł dać mu kilka złotych monet dolarowych, których potrzebowaliśmy do zrealizowania przedsięwzięcia. Zapanowało wśród nas wielkie podniecenie, kiedy Janek oświadczył nam, że nawiązał kontakt i że ruszamy do Zakopanego w przyszłym tygodniu.

Roman Mularczyk, o którym już wspomniałem, był bardzo sceptycznie nastawiony do projektu. Kontakty Janka Brumera nie były zbyt pewne; znaliśmy jego skłonność do łatwego entuzjazmu. Roman miał argumenty: 1) Dlaczego uciekać do Francji? Na miejscu jest przecież tyle do roboty. 2) Jeśli tak, to

pozwólmy wyjechać pierwszej grupie; po otrzymaniu pomyślnych wieści pojedziemy za nimi. Przekonał mnie.

Soiński i Brumer pojechali. Długo nie mieliśmy od nich wiadomości, aż w końcu je dostaliśmy z... Oświęcimia, gdzie akurat budowano obóz. Nasi koledzy byli wśród pierwszych więźniów i brali udział w budowie.

Po zebraniu się w Zakopanem ich grupa miała przejść granicę na nartach. Niemcy albo bezpośrednio nadzorowali tę operację, albo też doskonale o niej wiedzieli. Rankiem, w dniu wyjazdu, czekało na nich gestapo, wszyscy zostali aresztowani i odstawieni do obozu „w budowie”. Kilka miesięcy później Soiński zmarł tam na tyfus; telegram tej treści dostali jego rodzice. Całą historię opowiadał mi w Warszawie Janek Brumer, który po dwóch latach został zwolniony. Niebawem aresztowano go ponownie i znów trafił do Oświęcimia. Niski numer wytatuowany na ramieniu (jako stary więzień był mniej prześladowany – tajemnica mentalności gestapo) sprawił, że Janek przeżył w obozie do końca wojny. Potem straciłem z nim kontakt.

Rada Romana uratowała więc życie Olkowi Tyrawskiemu, Wackowi Kocowi i mnie.

Przez cały ten czas nie otrzymywaliśmy żadnych wieści od ojca. Pewnego dnia za radą znajomej matka udała się do wróżki. Wzięła zdjęcie i jakiś przedmiot należący do ojca. Kpiłem trochę z mamy, ale w końcu co mieliśmy robić? Wróżka mówiła najpierw o ucieczce na wschód, potem nagle zmieniła zdanie: ojciec jedzie na zachód, żyje, znajduje się na dawnej granicy Polski z Niemcami. Czy rzeczywiście? Jak to sprawdzić? Odżyła nadzieja. Miesiąc później zjawił się u nas nieznajomy mężczyzna i pokazał na wstępie monogram ojca: TL narysowany w notatniku w sposób doskonale nam znany i jedyny w swoim rodzaju. Następnie opowiedział, że ojca przewieziono po aresztowaniu do małego obozu koncentracyjnego w Pile. Trafił tam w październiku i pozostawał około miesiąca. Jako oficer odmawiał wszelkiej pracy. Dał się poznać swym towarzyszom jako ten, który podtrzymywał morale więźniów, opowiadając najrozmaitsze historie, dowcipy, kawały. Nie chciał jeść jedzenia obozowego, pracujący koledzy przynosili – w miarę możliwości – żywność z zewnątrz, mimo iż ryzykowali chłostę. Kiedy jeden ze strażników zwrócił się do ojca per „ty”, ten zareagował tak, że mogło się to dlań źle skończyć. Strażnik zamierzył się na

niego, on zaś wyrwał metalowe drzwiczki z kaflowego piecyka i zagroził nimi esesmanowi. Nie został zabity na miejscu tylko dlatego, że z jakichś przyczyn przebywał w tym obozie tranzytem. Mieli go – dowiedzieliśmy się o tym dużo później – przetransportować najpierw do Polizei Presidium na Alexanderplatz w Berlinie, potem do słynnego więzienia w Moabicie. Nie wiedzieliśmy, co stało się z ojcem potem. Byłem do ojca bardzo przywiązany – jego aresztowanie dodawało mu w mych oczach nimbu bohatera. W tym czasie nie utraciłem jeszcze wiary i często się za ojca modliłem. W wieku szesnastu lat odkrywałem życie erotyczne. Nasza służąca, Jasia, bardzo ładna, młoda dziewczyna, chętnie mi w tych studiach pomagała. Podczas uwięzienia ojca przerwałem te przyjemne lekcje, nie chciałem bowiem „grzeszyć” i osłabiać efektów modlitwy. Myślę, że gdyby ojciec o tym wiedział, odradziłby mi tę metodę jego uwalniania. Ja jednak robiłem to, co uważałem za słuszne.

Wtedy też zacząłem pracować w małym warsztacie mechanicznym, prowadzonym przez jednego ze znajomych ojca. Było to moje pierwsze doświadczenie pracy. W dość prowizorycznym budynku stało kilka maszyn. Fabrykowaliśmy – w tym momencie – kłódki. Pierwszego dnia oliwiłem kawałki blachy, które podawałem robotnikowi przy prasie. Następnego trzymałem – by się nie gwał – koniec żelaznego pręta, z którego robiono ucho kłódki. W pewnym momencie (gdy odszedłem gdzie indziej) majster zastąpił mnie taborettem. Przeżyłem szok. Moja kariera skończona. W następną niedzielę dyskutowałem o tym afroncie z Romanem w Konstancinie. Do pracy nie wróciłem.

TAJNE KOMPLETY

Gdzieś na przełomie października i listopada 1939 roku, gdy stało się jasne, że gimnazja nie będą otwarte, zaczęto organizować tajne nauczanie; przedsięwzięcie naprawdę ogromne i mało znane poza Polską. Wydaje mi się, że żywe były jeszcze tradycje z czasów zaborów, nielegalnej nauki polskiego w Rosji carskiej itp. Znowu należało stawić czoło sytuacji! Wróciliśmy więc do znanych przez nauczycieli,

rodziców i młodzież metod: podziemna szkoła zaczęła funkcjonować w sposób prawie naturalny. Nie pozostawało nic innego, niż pójść w ślady poprzedniego pokolenia. Niemcy stawiali sprawę jasno: każde zgromadzenie młodzieży groziło obozem. Uczniowie musieli więc zbierać się niepostrzeżenie. Umawiano się w mieszkaniach prywatnych w grupach po pięciu uczniów. Przychodzono pojedynczo, co kwadrans, zaczynając od godziny ósmej – o dziewiętej gromadziliśmy się w komplecie. Ostatni zjawiał się profesor, prowadził lekcję i wychodził do następnego mieszkania. Za pół godziny przychodził następny i tak dookoła. Mieliśmy po szesnaście lat i byliśmy po tak zwanej małej maturze. Do dużej matury brakowało nam dwa lata nauki. Nasi profesorowie w nowych okolicznościach zmienili się w naszych oczach: na przykład pan Kociejowski, który absolutnie nie umiał sobie radzić z czterdziestoma „potworami” (naprawdę rozrabialiśmy na jego lekcjach). Teraz odkryliśmy w nim człowieka wykształconego, wręcz pasjonującego – gdy opowiadał nam o Darwinie, Lamarcku itd. Poprawiły się też moje stosunki z nauczycielką francuskiego, panią Klimaszewską. Nauka stała się czymś w rodzaju obowiązku patriotycznego, całkiem inaczej niż przed wojną. Kierowaliśmy ją teraz przeciwko Niemcom, którzy jej zakazywali.

Nie pamiętam wielu szczegółów z tego pierwszego roku okupacji. Zima minęła na organizowaniu tajnych kompletów, zdobywaniu wiadomości o bliższych, szukaniu kontaktów. Krążyły słuchy o armii podziemnej, o broni ukrytej w 1939 roku przez nasze wojska tuż przed kapitulacją, jednak nie było żadnych realnych możliwości działania.

Po wkroczeniu do Warszawy Niemcy wydali restrykcyjne nakazy przeciw Żydom. Nie braliśmy, matka i ja, pod uwagę tych zarządzeń. Od administratora domu dowiedzieliśmy się, że sprawdzano mieszkańców i jakoby musimy opuścić nasz lokal. Administrator, starej daty socjalista i znajomy ojca z roku 1905 (razem walczyli z caratem), na prośbę matki wymazał odpowiednią adnotację przy nazwisku; to pierwszy z „cudów”, które się nam zdarzyły i dzięki którym żyliśmy jak gdyby nigdy nic. Nikomu nie było łatwo, ale my mieliśmy dodatkowe „obciążenie”. Nigdy oczywiście nie przyszło nam do głowy, aby nosić obowiązkową opaskę dla ludzi nie posiadających czterech dziadków aryjskich. Ignorowaliśmy po prostu hitlerowskie ustawy norymberskie i nie uznawaliśmy ich.

Umożliwiał to nasz wygląd, ale pewności nie mieliśmy żadnej. Naszą rodzinę znano i to też stwarzało dodatkowe zagrożenie. Podobnie zachowali się ciotka Alina, jej mąż i dzieci. Ich syn, Stanisław Wojecki, w 1939 studiował na szóstym roku medycyny, córka Maria, nieco starsza, zrobiła magisterium na romanistyce, poza tym mówiła jeszcze po angielsku i hiszpańsku. Piotr, najmłodszy, przebywał poza Polską.

Z kolei rodzina matki znalazła się w getcie. Na początku muru nie było, więc komunikowaliśmy się z nimi bez przeszkód.

Mój przyjaciel, Wacek Koc, przed wojną mieszkający z ojcem (rodzice rozeszli się), zamieszkał teraz u swej matki, niedaleko od nas. Willa pani Kocowej szybko stała się moim drugim domem. Pani Kocowa mieszkała tu ze swoją córką Jagą, synami Andrzejem i Wackiem. Z Wackiem znaliśmy się już w gimnazjum, ale teraz nasze kontakty zacieśniły się bardzo. Pani Kocowa była nie tylko miłą i piękną, ale również gruntownie wykształconą kobietą: wykładała literaturę polską w żeńskim gimnazjum Emilii Plater. Uczennice ją uwielbiały. Wacek w pośredni sposób korzystał z owoców tej adoracji: dziewczęta chętnie zastępowały mamę – synem. Rodzina Koców miała wielkie tradycje patriotyczne: pułkownik Leon Koc i jego brat Adam, minister i polityk, służyli w Legionach. Wacek dobrze znał środowisko wojskowe i dzięki temu mógł nawiązać kontakty z podziemiem.

PIERWSZE KONTAKTY Z PODZIEMIEM

W lecie 1940 roku – miałem siedemnaście lat – Wacek skontaktował nas ze swoim kuzynem (w cywilu nauczycielem gimnastyki), podporucznikiem rezerwy. Pan ten, Edmund Gurda, żonaty, ojciec małej dziewczynki, potrzebował młodych pomocników. Zajmował się kontrwywiadem i zaczynał organizować siatkę szpiegowską – nic więcej nie wiedziałem.

Wacek przedstawił mnie i to był mój pierwszy poważny „kontakt”. Z Olkiem Tyrawskim uczestniczyłem już wcześniej w konspiracyjnym spotkaniu.

Zamiast o bombach, zamachach i broni usłyszeliśmy o jakimś Salazarze, wzorowym przywódcy. Nieświadomie trafiliśmy na zebranie narodowców. Choć brakowało nam jakiejkolwiek kultury politycznej, dostrzegliśmy obaj absurd całej sytuacji: my pragniemy się bić, a tu Salazar. Spontanicznie nie chcieliśmy mieć z tym nic wspólnego.

Całkiem inaczej z Mundkiem. Około trzydziestki, muskularny i silny, nie miał w sobie nic z polityka. Pierwsze nasze zadanie – nigdy go nie zapomnę – polegało na tym, aby czekać na Marymoncie, na ostatnim przystanku tramwajowym: w okolicy mieszkał pan X, ścigało go podziemie i podobno został ranny. Należało sprawdzić, czy przypadkiem nie znajduje się w okolicy swego domu. Około siódmej rano stanęliśmy już na posterunku. Czekaliśmy do czternastej na „Kulawego”, ale nikt podejrzany nie pojawił się na horyzoncie. „Niewidoczni” byliśmy chyba tylko dla samych siebie. Nic się nam wówczas nie stało, a zadanie, choć nudne jak diabli, zostało wykonane.

Ponieważ Mundek szukał lokalu, matka od razu, bez wypytywania o szczegóły, wynajęła mu jeden pokój w naszym mieszkaniu na Mickiewicza. Pewnego dnia z pokoju, w którym znajdował się Mundek i ktoś, kogo nie znałem, usłyszałem charakterystyczne, mechaniczne odgłosy: przed wojną często rozkładałem pistolet ojca i umiałem strzelać. Domyśliłem się, o co chodzi, ale zapytać wprost nie wypadało – było to niezgodne z regułami konspiracji. W końcu Mundek zaprosił mnie do swego „sanktuarium”, gdzie czyścił i oliwił broń wykopaną gdzieś w Warszawie. Powoli zaczynał mi ufać. Pewnego dnia podał mi adres na Żoliborzu – miałem stamtąd przynieść walizkę z bronią. Zadzwoiłem: dwa krótkie, jeden długi dzwonek. Otworzyła młoda, ładna kobieta (była to, jak się później dowiedziałem, żona Mundka). Podałem jej hasło, po czym ona wyciągnęła małą, lecz ciężką walizkę oraz pistolet bębnowy. Spytała, czy umiem się nim posługiwać. Czy, mając siedemnaście lat, mogłem odpowiedzieć pięknej pani: „Nie, nigdy nie strzelałem z pistoletu tego modelu”? Odpowiedziałem oczywiście: „Naturalnie, że tak!” Wsadziłem pistolet za pasek (tak go było najłatwiej ukryć pod marynarką, nie miałem wówczas brzucha). W ten sposób uzbrojony ruszyłem z powrotem w kierunku parku Żeromskiego, który zaczynał się niedaleko i ciągnął niemal do mojego domu. Zanim jednak dotarłem do parku, między willami stanąłem nos w nos z granatowym policjantem. Mijam go spokojnie, kiedy ten się odzywa:

- Chwileczkę, proszę pana.
- Czego pan chce?
- Niech pan otworzy walizkę.

Wiedziałem, że pistolety owinięte są tłustym papierem. Zaryzykowałem więc i ją otworzyłem. Głina pomacał papier i stwierdził:

- No dobra. Pójdzie pan ze mną.
- Dokąd?
- Na komisariat.

Dystans był dość długi, policjant jest sam, więc myślę sobie: „Zobaczmy, mam w końcu rewolwer”. Ruszamy, spokojnie rozmawiając: – Co tam pan ukrył w tej walizce? – Niech pan sam zgadnie. – Co wyczuł pod palcami? Szliśmy dalej powoli. W końcu, mniej więcej w połowie drogi do komisariatu, policjant mówi: – To sacharyna. Czarny rynek... – Zatrzymałem się przed nim z myślą, że teraz muszę go sprzątnąć (sądziłem, że rewolwer jest odbezpieczony, ale diabli wiedzą, nigdy już tego nie sprawdzę), i patrząc mu w oczy powiedziałem wolno, cedząc słowo po słowie:

- Panie, nie radzę panu słodzić herbaty taką sacharyną...
- Panie, coś pan... Takiś pan dziwny. – Zrozumiał. – Daj mi pan coś i idź sobie.

Dałem mu dwadzieścia złotych, tyle miałem, prawie nic, ale wziął i chyba odetchnął z ulgą. Ja też.

Nic oczywiście nie powiedziałem Mundkowi, bałem się, że nie dostanę następnego zadania. Nareszcie robiłem to, o czym marzyłem: jeszcze nie strzelałem, ale przynajmniej przygotowywałem broń. Jakiś czas potem złożyliśmy wraz z Olkiem przysięgę przed Mundkiem i jakimś Aleksandrem (którego nie znałem). Nareszcie należeliśmy do ZWZ, Związku Walki Zbrojnej, podległemu rządowi w Londynie. Za sprawą Mundka nasze mieszkanie szybko stało się prawdziwą meliną. Byłem szczęśliwy, że działałem.

Niewiele wcześniej, na początku roku 1940 roku, dostaliśmy list od adwokata z Berlina, Paula Szczygiela. Prosił o dowód na to, że ojciec w chwili wybuchu wojny nie służył już w czynnej armii. Była to pierwsza od dawna wiadomość. Znaleźliśmy odpowiednie dokumenty i natychmiast wysłaliśmy. I znowu cisza.

Pewnego ranka matka sprząta mieszkanie, wtem słyszę dzwonek u drzwi. Otwieram, stoi przede mną gestapowiec w mundurze (dobrze mi znanym z aresztowania ojca) i tajniak w ceratowym płaszczu. – *Das ist der Sohn* (to syn) – powiedział ten w mundurze i, odpychając mnie, wszedł do jadalni. – Gdzie matka? – Była obok, i widząc obu Niemców, doszła zapewne do tego samego wniosku co ja: „Koniec z nami”. – Czy pani Likiernik? Przychodzę z polecenia pani męża. Przebywa u mnie, w Moabicie. Potrzebuje pieniędzy. Pani da mi złotówki, ja oddam mu marki. – Dalsza rozmowa była już niemal salonowa. – Pani mąż nie chce jeść jedzenia więziennego, muszę mu je przynosić z zewnątrz. Nie jest to łatwe – chce głównie słodczy. A co do pana, to ojciec kazał panu nie robić głupstw. *Keine Dumheiten machen*. – Oczywiście zrozumiałem. – Ależ skąd, ja pracuję, by utrzymać mamę. – Wizyta się skończyła. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że pieniądze zostały doręczone. Ojciec umiał nawiązywać kontakty z ludźmi. Mówił doskonale po niemiecku i „oswoił” jednego ze swych strażników...

W pierwszym okresie okupacji prześladowania zarówno Polaków, jak i Polaków pochodzenia żydowskiego, nie były jeszcze tak systematyczne jak później. Terror rozwijał się stopniowo, powoli, zgodnie ze z góry przygotowanym planem. Najpierw bowiem należało wdrożyć społeczeństwo do posłuszeństwa. Każde z zarządzeń przygotowywało następne. Odbывały się aresztowania. Przypadkiem dowiadывaliśmy się, że ten czy ten (adwokat, lekarz...) jest w więzieniu. Na razie represje dotyczyły pojedynczych, wybranych osób.

W środku zimy zaczęły się masowe wywózki Polaków z Poznania i zachodniej Polski (włączonej teraz do Rzeszy). Całe rodziny wyrzucano na ulice i wysyłano do Generalnej Guberni, rządzonej przez gubernatora Franka. Wilk pokazywał zęby, a my nie mieliśmy pojęcia, do czego jeszcze jest zdolny.

Pozytywna wiadomość w takich warunkach bardzo mnie zaskoczyła: otwarto trzy nowe szkoły zawodowe, w których istniała możliwość uzyskania matury technicznej: kolejowej, chemicznej i ceramicznej. Zapisalem się – wraz z wieloma kolegami, między innymi Olkiem Tyrawskim – do szkoły chemicznej. Inaugurację wyznaczono na 19 września 1940 roku i było to duże wydarzenie. Ranek jednak zaczął się całkiem inaczej i to, co się działo, zapamiętaliśmy jeszcze lepiej. Wstałem jak zwykle wcześniej i przygotowywałem się do wyjścia, gdy na-

gle zauważyłem, że ulicę zablokowano. Rozstawieni co sto metrów żołnierze nie pozwalają ludziom, nielicznym jeszcze, przechodzić na drugą stronę. Przyzwalali iść tylko w kierunku placu Wilsona i do placu Inwalidów. Dziwne... Po chwili na ulicę wjechały ciężarówki wypełnione mężczyznami w cywilu. Myśleliśmy z matką, że to może transport więźniów. Ale ciężarówek przyjechało jakoś za dużo... Co robić. Postanowiłem zachować się jakby nigdy nic i wyszedłem na ulicę z zamiarem udania się do szkoły. Ruszam w stronę przystanku tramwajowego przy placu Inwalidów, ale na rogu słyszę: – *Hände hoch!* – Szybka rewizja i każą mi iść na plac, gdzie na trawie grupami siedzą już dziesiątki mężczyzn. Niemcy otaczają te grupy, celując w nie z karabinów. Po dość długim czasie prowadzą nas trójkami do placu Wilsona. Mijając mój dom, zdjąłem kapelusz i zamachałem nim nad głową. Nasza sąsiadka, pani Hetlingerowa, żona adwokata – jeńca wojennego w Niemczech, zauważyła mnie i zawiadomiła matkę. Jeden z eskortujących żołnierzy widząc, jak macham kapeluszem, roześmiał się głośno...

Na placu, nadal trójkami, stoimy w kolejce do ciężarówek. Kilka strzałów... Młody, uciekający chłopak pada... Jakieś dziewczyny – tym razem ich to nie dotyczy – podchodzą do ciężarówek, zaglądają, by ewentualnie uprzedzić rodzinę. Nikt nie wiedział, o co chodzi. W końcu moja kolej: po sprawdzeniu papierów Polskiej Rady Opiekuńczej załadowano mnie na ciężarówkę, gdzie na ławach siedziało tylko kilka osób. Ceremonia trwała dalej. Nagle słyszę, jak ktoś woła do siedzącego obok chłopaka: – *Du, papieren!* – Oficer przegląda je i komenderuje: – *Raus!* – Zdawało mi się, że była mowa o szesnastu latach. Ja miałem siedemnaście. Co będzie ze mną? Zaczynam po niemiecku: – Ja też... – Sąsiad z ciężarówki tłumaczy: – On ma siedemnaście lat. – Oficer sprawdził jeszcze raz dokumenty i mówi do stojącego obok żołnierza: – Od osiemnastu lat. – a ten do mnie po polsku ze śląskim akcentem: – Wracaj do domu.

Kolejne szczęście! Niemcy wyłapali na połowie terytorium Żoliborza mężczyzn od piętnastu do sześćdziesięciu lat. Weszli do każdego mieszkania, do naszego też. Zabrali również chłopców w moim wieku i młodszych. „Mój” oficer może się omylił. Dla niego było się „winnym” po osiemnastce. Słyszałem, że wywieziono wtedy około trzydziestu tysięcy mężczyzn do Oświęcimia, gdzie nowo zbudowany obóz czekał na zapelnienie. Trzy miesiące później tysiące telegramów podobnej treści: „Syn, mąż – zmarł na tyfus...”

Zaczęły się lekcje w szkole chemicznej. Mieliśmy doskonałych profesorów, niektórych uniwersyteckich, wyższe uczelnie zamknięto. Poznałem wtedy Zygmunta Brzosko i jego narzeczoną, Zosię Laskowską. Wspominam tu o nich, bo ich groby na Powązkach do dziś wywołują mój bunt. Zygmunt przodował we wszystkim: od matematyki do gimnastyki. Zosia, wysoka blondynka, wyższa od niego (wielki dla niej problem), pełna wdzięku i życia, podziemne studia medyczne łączyła z konspiracją w AK. Aby trochę zarobić, hodowała na udzie wszy – w pudełku tam umocowanym. Wszy wykorzystywano do produkcji szczepionki przeciwko tyfusowi. Dobrze za tę „hodowlę” płacono, ale śwędzenie było nieznosne. W 1940 roku Zosia i Zygmunt mieli jeszcze przed sobą cztery lata życia. Nie mogę myśleć o nich inaczej, niż jak o moich dzieciach: w dniu śmierci byli młodszy niż one dzisiaj (w roku 1978).

Niełatwo jest mi teraz uświadomić sobie czas trwania wojny. Kiedy myślę o okresie 1939–45 jako o całości, wygląda to różnie: pięć lat, które mijały tak wolno... trwały one bardzo, bardzo długo. Ale kiedy próbuję o nich opowiadać, nie umiem ich odtworzyć – przychodzą mi do głowy tylko pojedyncze, ważne zdarzenia. Trzeba by było co dzień robić notatki, które i tak stracilibyśmy jak resztę naszego mienia. Dziś to rozumiem: szara codzienność stała się czymś w rodzaju ziemi niczyjej – między wydarzeniami osobistymi lub ogólnymi, które nas mocniej piętnowały. Każdy dzień mógł być ostatni, ale wcale nie musiał być dniem godnym zapamiętania.

Znów byliśmy w jednej szkole z Olkiem. Tym razem – zadowoleni z możliwości nauki. Jednocześnie uczęszczaliśmy obaj do tajnej podchorążówki, gdzie nas wydelegował Mundek Gurda. Ruszyło więc i szkolenie wojskowe. Lekcje odbywały się po kolei u każdego z piątki uczniów. Naszym nauczycielem został kapitan kawalerii, Junosza. W piwnicy Zygmunta Zabierzowskiego (dużo później trenera lekkoatletów kubańskich na olimpiadę w Montrealu, dziś już nieżyjącego) zbudowaliśmy z piasku stół do „gry wojennej”, który, udając teren, pozwalał na symulowanie akcji wojennych. Czasami jeździliśmy do lasu na ćwiczenia z orientacji w terenie. Nasz rotmistrz musiał pięknie nosić mundur, wyglądał jak arystokrata. Niestety, nowe pokolenie oficerów nie miało tej kultury ogólnej, którą posiadali ich poprzednicy (pokolenie mego ojca). Teorie w rodzaju: „Po co uczyć się języków, niech inni uczą się polskiego” –

robiły na nas smutne wrażenie. Jedna z lekcji dotyczyła *Kodeksu honorowego* Bożewicza (co świadczy, jak dokładnie realizowano program studiów – i to w roku 1941/42). Dowiedzieliśmy się na przykład, że kodeks uważa za karygodny uzus podnoszenia kołnierza marynarki przy pojedynku na pistolety, by przykryć biały kołnierzyk. To jest „absolutnie zakazane” – *Kodeks* nie pozwalał na odstępstwa. Niełatwo nam było powstrzymać się od śmiechu. Po takich lekcjach byliśmy już absolutnie przygotowani do walki z Niemcami...

Mniej więcej w tym samym okresie Mundek zwierzył się mojej matce, że jest śledzony. „Tym razem zgubiłem ich, ale nie mogę już tu mieszkać”. Nie mylił się. Dwa, trzy dni potem dowiedzieliśmy się, że Niemcy czekali na niego w mieszkaniu, gdzie się z kimś umówił. Mundek zorientował się, że to zasadzka, zbiegł ze schodów i uciekłby... Niemcy spytali jednak małego chłopca, w którym kierunku pobiegł złodziej, a malec im pokazał, nie rozumiejąc, co robi (był to początek okupacji, później nikt już niczego nie widział... nawet dzieci). Niemcy dogonili Mundka i zastrzelili na ulicy. Została żona z kilkumiesięczną córeczką.

Zauważyłem, że pominąłem wiosnę 1940 roku, a przecież dobrze ją pamiętam. Niemcy zaatakowali na Zachodzie. My czekaliśmy na ofensywę aliantów. Ufaliśmy w potęgę Francji i Anglii i nie mieliśmy pojęcia o „dziwnej wojnie”. Wiadomości w gadzinówce (gazecie wydawanej przez okupanta po polsku) były złe, ale im nie dowierzaliśmy. Radia nie mieliśmy. Gazety podziemne dopiero zaczynały kursować. Jednak, niestety, to, co wydawało się przesadą, okazało się prawdą: Dunkierka, Paryż, zawieszenie broni. Pamiętam, że wiadomość o kapitulacji Francji uderzyła w nas jak grom z jasnego nieba. Siedzieliśmy u mnie w domu z Romkiem Mularczykiem.

– Jeśli Francja upadła – już po nas.

– Jak to możliwe? Wiedzieli, co się działo w Polsce. Czyżby wcale nie byli silniejsi od nas?

Wszystko się waliło. Rozpaczaliśmy, ale w głębi duszy wierzyłem (niezbyt racjonalnie), że nie wszystko skończone. Mówiłem, że chyba to definitywna klęska, ale się z tym jednocześnie w głębi duszy nie godziłem. Nie mogłem sobie zarazem wyobrazić, że Anglia sama będzie zdolna do oporu. Francja – nasz sojusznik, ojczyzna Napoleona – rozpadła się jak domek z kart. Może Ameryka...

Dzień ten był najsmutniejszy i najbardziej trudny moralnie do zniesienia. Wszechpotęga Niemców wydawała się ugruntowana. Nie wiem, jak dowiedzieliśmy się o bohaterskiej obronie Anglii (o bombardowaniach rozpisывała się prasa niemiecka). Echa bitwy powietrznej jakoś do nas docierały. Wtedy zrodził się mój podziw dla Wielkiej Brytanii i Churchilla. Bez Anglii ponieśliśmy prawdziwą i ostateczną klęskę. O istnieniu de Gaulle'a nie wiedzieliśmy. Natomiast dotarła wiadomość, że do Londynu przybył generał Sikorski i rząd polski. Polskie podziemie działało coraz sprawniej, choć nie umiano uniknąć wielu błędów. Pamiętam wyraz twarzy Mundka, kiedy pani Szwedowa (żona pułkownika, jeńca w Niemczech), wynajmująca u nas pokój, powiedziała doń pewnego dnia: – Wiem, że podziemiem kieruje generał Rowecki. – Niedługo potem generała aresztowano i rozstrzelano. Skąd nasza urocza lokatorka mogła znać jego funkcję – pozostanie dla mnie tajemnicą. Konspiracji nie przestrzegano dosyć dokładnie...

Oprócz nauki w podchorążówce zbieraliśmy dane o ruchach oddziałów niemieckich i kolportowaliśmy „Biuletyn Informacyjny”. Kilka dni po przygodzie z granatowym policjantem musiałem pójść na Powązki i doręczyć gazetę jednemu z naszych informatorów: podoficerowi Armii Polskiej, znakomitemu rusznikarzowi. Pan Artysiewicz (nazwisko poznałem później) pracował „dla Niemców” w rusznikarni, dość blisko swego domu. Naprawiał broń. Miał też dostęp do informacji. Mężczyzna koło pięćdziesiątki, żył bardzo skromnie z żoną w jednym pokoiku. Żywili się głównie ziemniakami. Treścią jego życia była walka z Niemcami. Jego jedyny syn został przez nich zamordowany w 1939 roku, w wieku osiemnastu lat. Artysiewicz żył, by go pomścić. Dla mnie i dla kolegów stał się wzorem odwagi i wyrzeczenia. Człowiek ten wynosił codziennie z fabryki, pod okiem strażnika i mimo codziennej rewizji, amunicję, części zamienne i całe rewolwery. Ryzykował ogromnie. Broń oddawał podziemi. Mógłby ją sprzedawać, choćby od czasu do czasu. Artysiewicz głodował razem z żoną, odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek pomocy AK – a broń dostarczał zawsze bezpłatnie. Moje wizyty u niego (przynosiłem gazetę, chowałem przy sobie spisane na bibułce do papierosów informacje, chwilę rozmawiałem – i z powrotem) dawały mi radość spełnionego obowiązku. Pewnego dnia, zimą 1941 roku szedłem pod mocny wiatr i śnieg – temperatura spadła do

minus piętnastu stopni – z gazetką w kieszeni, szczęśliwy. Czułem się potrzebny, w coś zaangażowany i to napawało mnie radością. Tym razem chciałem odwiedzić Artysiewicza i opowiedzieć mu o przejściu z policjantem. Artysiewicz też miał coś dla mnie... Nie wiem, czy prezent był wcześniej przygotowany, czy też decyzja zrodziła się pod wpływem mej opowieści, dość, że podarował mi wspaniały rewolwer – parabellum. Zachowałem go aż do Powstania i do dziś czuję wdzięczność i podziw dla tego Wspaniałego Człowieka.

Inne adresy, inne wizyty... Na przykład u szefa kontrwywiadu (nie pamiętam już ani nazwiska, ani nawet pseudonimu), któremu dostarczaliśmy informacje. Janek Barszczewski, trzy lata starszy od nas kolega z podchorążówki, ze wszystkich bibułek sporządzał raport o ruchach wojsk niemieckich i na specjalnym, cieniutkim papierze robił zestawienia pułków, oddziałów, liczby ciężarówek, znaków rozpoznawczych na nich malowanych.

Na terenie Cytadeli Warszawskiej, zajmowanej teraz przez Niemców, mieszkało kilka polskich rodzin, wśród nich mój kolega szkolny. Mogliśmy być u niego w domu i pod takim pretekstem udawało się nam notować oznaczenia na ciężarówkach. To alibi uratowało nam kiedyś życie, gdy pewnego razu wartownik zaskoczył nas przy ciężarówkach. Później nasz kolega sam zbierał potrzebne informacje i przekazywał je komu trzeba na bibułkach.

Niemcy urządzali coraz więcej łapanek i kontroli na ulicach. Właśnie wracałem z Cytadeli i czekałem na tramwaj na wiadukcie przy Dworcu Gdańskim. Zbliży się kilku żołnierzy, ale wyglądają na spacerujących. Gdy się zrównaliśmy, oni nagle zmienili styl. Trzymając mnie pod pistoletem, zrewidowali od stóp do głów. Moją bibułkę schowałem do małej kieszonki na drobne, wewnątrz prawej kieszeni marynarki. Najczęściej wkładałem ją do kieszonki na zegarek w spodniach i tę właśnie sprawdzili. Znaleźli prezerwatywę i to ich rozbawiło. Zanotowali tylko numer mej karty pracy (*Arbeitskarte*) – fałszywej, ale dobrze podrobionej. Mogłem odejść. Nie znaleźli bibułki. Uff!...

Otrzymaliśmy wiadomości od ojca, możliwie dobre: w trakcie procesu (szczegółów dowiedzieliśmy się po wojnie, w Paryżu) został uwolniony z zarzutu o „zdradę państwa”. Proces toczył się przed sądem wojskowym, z zachowaniem prawa i w obecności adwokata. Kilka dni przedtem oficer gestapo proponował ojcu podpisanie prośby o zaniechanie postępowania sądowego.

Miałby być wtedy pod „opieką” gestapo. Ostrzegał ojca: – Proces może się skończyć karą śmierci. – Niech i tak będzie – tylu polskich oficerów już zginęło, jeden więcej nic nie znaczy. Po rozprawie i uniewinnieniu wreszcie nadszedł list, pisany na specjalnym formularzu, z obozu w górach, na granicy niemiecko–czeskiej. Kilka zdjęć pozwoliło mi potem wyobrazić sobie lepiej to miejsce, przeznaczone dla oficerów szczególnie „niebezpiecznych”. Ojca przenoszono, ze względu na środki bezpieczeństwa, z obozu do obozu.

W jednym z listów (pisanych raz na dwa tygodnie) ojciec dał nam adres pani Ładosiowej, żony oficera przebywającego razem z nim w obozie. Dzięki kontaktowi z młodą panią Ładosiową, a później z całą jej rodziną, poznałem jednego z najbardziej odważnych mych kolegów, Janka Płachtowskiego. Jego ojciec był adwokatem wojskowym w Grudziądzu. Wyrzucony z rodzinnego miasta, przeniósł się do mieszkania wuja swego zięcia, ambasadora Ładosia. Dom Ładosiów na Gomółki, na Żoliborzu, miał stać się jedną z naszych najważniejszych melin.

Ale wyprzedzam fakty. Na razie dzieliłem czas między szkołę chemiczną, podchorążówkę, kolportaż prasy podziemnej i zbieranie informacji. Wszystko to było bardzo czasochłonne, ale nie dawało mi satysfakcji. Któregoś dnia, wiosną, zauważyłem kłęby czarnego dymu bijące w niebieskie niebo. Płonęły niemieckie zbiorniki paliw na ulicy Gniewkowskiej. Grupa sabotażu wysadziła je w powietrze za pomocą „plastiku”. Właśnie to chciałem robić, ale nie wiedziałem, jak dotrzeć do tych ludzi.

Codzienne życie płynęło dość normalnie. Do szkoły jeździłem tramwajem, pracowałem sam albo z Olkiem, popołudnia spędzałem w domu. W tramwaju spotykaliśmy koleżanki z tej samej szkoły: Renię Wiączek, Elżkę Majkowską, Zosię Czechowską. Olek podkochał się w Reni, ja – w Elżce, pięknie zbudowanej brunetce.

Tę normalność zakłócały jednak to łapanki tu, to rozstrzeliwania tam. Niemcy zaczęli też izolować getto. Tramwaj, który jechał z Żoliborza do Śródmieścia, przejeżdżał przez nie: żołnierz niemiecki stał na stopniach wagonu, by uniemożliwić wskoczenie do pojazdu. Przejeżdżało się zresztą bardzo szybko.

Łapanki i rewizje zaczynały się od zablokowania ulicy. Zatrzymywano tramwaje i przechodniów, sprawdzano dokumenty i rewidowano wszystkich po kolei.

Do uciekających strzelano bez ostrzeżenia. Widziałem raz chłopca z przestrzeloną wątrobą, umierającego w bramie domu. Trzeba więc było zachowywać czujność. Podczas jednej z takich łapanek na wiadukcie żoliborskim, zawczasu uprzedzeni, opuściliśmy tramwaj w samą porę. Schroniliśmy się w domu pani Kocowej. Przybywało coraz więcej młodych ludzi, tak samo jak my ostrzeżonych. W sumie zebrało się około piętnastu osób. Elektryczny adapter, należący kiedyś do Adama Koca (przed wojną ministra), działał znakomicie. W dodatku Andrzej Koc ukrył w nim radio. Płyty nam odpowiadały, zaczęliśmy więc tańczyć. W trakcie tego balu zadzwoniła moja ciotka, Alina Wojecka, pytając, czy tam jestem. – Szukam cię. Nie zapomnij o płaszczu. W centrum trwa burza, bądź ostrożny. – Ten szyfr miał zmylić niemiecki podsłuch. Nagłe aresztowania na ulicy stały się od-tąd częścią naszej codzienności. W tym pamiętnym dniu zostało wywiezionych do Majdanka około dwustu tysięcy osób (tak jak we wrześniu 1940 roku do Oświęcimia). Trzeba było znów zappełnić nowo zbudowany obóz. Nadal trwały pojedyncze aresztowania – ludzi znanych i wykształconych bądź podejrzanych o terroryzm, czyli walkę podziemną.

Życie biegło dalej. Mieliśmy po siedemnaście lat i kiedy tylko czas pozwalał, w miarę możliwości staraliśmy się zabawić. Jedną z takich rozrywek była kąpiel w Wiśle, na dzikiej plaży. Wyciągnąłem nawet na wodę mój kauczukowy kajak. Poznaliśmy prawdziwego żeglarsza, Krzysztofa (później znanego jako Kolumb), który mieszkał w domku na plaży i remontował łódki. Pewnego razu spotkała nas nad Wisłą niemiła przygoda. Ktoś rzucił pomysł, aby przepłynąć na drugą stronę. Rzeka jest szeroka, silny prąd i wiry. Sprzeciwiłem się: w porządku, jeśli idzie o chłopaków, ale ponieważ brakowało łódek do asekuracji, Renia zostanie ze mną na brzegu (nie miałem zaufania do moich pływackich umiejętności). Zrobiliśmy, jak postanowiłem.

Po jakimś czasie niedaleko od brzegu zauważyłem głowę pływaka, która pojawiała się i znikwała znów pod wodą: ktoś się najwyraźniej topił. Jak idiota rzuciłem się do wody i, nieco pod prąd, zacząłem płynąć na ratunek. Kiedy znalazłem się obok chłopca, kazałem mu złapać za moje plecy. Ale nim skończyłem mówić, owinęły mnie ramiona i nogi topielca i szliśmy na dno już razem. Zdążyłem jeszcze pomyśleć: „Oni popłynęli na drugi brzeg, a ja utopię się tutaj”. Rozpaczliwym wysiłkiem uwolniłem się z uścisku. Na szczęście ktoś na

kajaku widział, co się dzieje, i zdążył przyjść z pomocą. Topielca wyciągnięto na kajak, topielec numer dwa – czyli ja – dopłynął do brzegu sam, ale kompletnie wyczerpany.

Ktoregoś dnia, kiedy po kąpieli wracaliśmy do domu, spotkaliśmy równieśnicę Reni, która uśmiechnęła się do niej i zamieniła z nią parę słów. Byłem zupełnie urzeczony tym uśmiechem i urodą – jakby piorun we mnie strzelił (panienka przypominała włoską aktorkę Antonellę Lualdi). Pożegnaliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Renia powiedziała mi, że koleżanka ta nazywa się Danka Babińska.

Raz jeszcze pamięć płata mi figła. Doskonale przypominam sobie chwilę spotkania, ale nic poza tym. W krótkim czasie stałem się bywalcem w domu trzech pięknych kobiet, tj. pani Babińskiej i jej dwóch córek: złotej blondyny Zosi i czarnej jak kruk Danki. Jak to się stało? Wiem tylko tyle, że nie ma mowy o przypadku. W moim życiu osiemnastolatka pojawiło się coś nowego: wspaniała dziewczyna, którą pokochałem. Dotychczas interesowałem się płcią piękną, ale nie wiedziałem, że można się tak zakochać. Wielu moim kolegom przytrafiło się to często. Kochali – wciąż zmieniając obiekt miłości.

Jak już wspomniałem, moja podziemna robota nie dawała mi satysfakcji. To, co nazywano szumnie szpiegostwem lub kontrwywiadem, było zapewne zajęciem użytecznym i niebezpiecznym, ale mnie nie wystarczało. Za dużo w tym biurokracji; jeszcze dziś widzę, jak Janek Barszczewski przepisuje i porządkuje informacje przekazywane nam na bibułkach. Chciał kiedyś, bym mu pomógł, ale wykręciłem się. Ku jego oburzeniu poszedłem na plażę.

Rok 1942 – jesteśmy jeszcze w podchorążówce i już w szkole chemicznej. Zajęcia szkolne zajmowały mi sporo czasu. Znajdowałem się w dość szczególnej sytuacji. Do szkoły chodziłem pod własnym nazwiskiem, nie biorąc pod uwagę praw niemieckich. Nie dowiem się nigdy, kto z moich kolegów czy profesorów wiedział o moim pochodzeniu; prawdopodobnie wielu, bo moja rodzina była w Warszawie znana. Przez dwa lata w szkole nie miałem żadnych problemów, nikt mnie nie zadenuncjował ani nie wspomniął nic na ten temat – nawet w prywatnej rozmowie. Także w dzielnicy, w której mieszkaliśmy, wiele osób „wiedziało”, mimo to zachowaliśmy nasze mieszkanie aż do 1944 roku. O tym jednak będzie znacznie dalej.

Do naszej szkoły chodziła między innymi Zosia Czechowska. Miała długie jasnoblonde włosy i korpulentną sylwetkę, która dobrze współgrała z jej wyraźnie już dorosłym biustem. Swą radością życia, wesołością wносиła element kontrastu do naszej codziennej szarzyzny. Adorował ją Antek Wojciechowski. Nie wiem już, czy Antka poznałem przez Zosię, czy też może przez Janka. Wszyscy nosiliśmy się wówczas bardzo starannie, on ubierał się jak traktorzysta, którym, zdaje się, był jakiś czas pod okupacją sowiecką po 1939 roku. Wyprzedzał w ten sposób swoje czasy; bardziej przypominał dzisiejszą młodzież niż my wówczas. Większość młodych ludzi nosiła wtedy długie marynarki, do tego bryczesy i buty z cholewami. Ten niemal mundur przypominał nieco strój wojskowy i władze podziemne go zabroniły, bo mógł się wydać zbyt prowokacyjny Niemcom.

Piszę tu o Antku, bo spotkanie z nim miało związek z moim dostaniem się później do Kedywu (Kierownictwa Dywersji). Przyczynił się do tego również Zygmunt Zabierzowski, były mistrz uniwersytecki w biegach (był bratem wdowy po Mundku Gurdzie i krewnym Wacka Koca – dużo spraw załatwiał się „w rodzinie”).

Nie pamiętam już, w jaki sposób Janek dał mi do zrozumienia, że nawiązał kontakt z grupą, która wysadziła składy paliwa Wehrmachtu. Natychmiast poprosiłem go, aby zaproponował moją kandydaturę. Nie powiedzieli „nie”, ale... czas mijał i nic się nie działo. Zygmunt zaznajomił się z jednym z głównych członków tej grupy, Kazikiem Jakubowskim. Nie znałem wtedy nazwiska kumpla Zygmunta – ale użyłem jego protekcji. Jakie to było trudne! Ciągłe cisza! Niemal jak dziś zdobycie znakomitej pracy.

Wreszcie, po kilku miesiącach, dobra nowina: mam jechać z grupą Kedywu na wysadzenie pociągu zmierzającego na front rosyjski. Akcja miała się odbyć w okolicy Zalesia Górnego, małej miejscowości w pobliżu Warszawy. Data – 27 września 1943. Nie wiedziałem o tym – było to coś w rodzaju próby...

Janek Barszczewski kazał mi zjawić się na małej uliczce na Żoliborzu. Ciężarówka z plandeką. Piętnastu chłopców najszybciej jak można wskoczyło na nią i w drogę. Rewolwer trzymałem pod paskiem. Miałem też stena, którego zawiesiłem na szyi w ten sposób, by dość długi magazynek mieścił się między nogami. Mogłeś wówczas spacerować w szerokim płaszczu po ulicy i nikt nie

domyślał się, że ukrywasz broń. Chyba że wpadło się na patrol niemiecki, ale wtedy trzeba było szybko rozchylić palto i strzelać póki czas...

Podróż ciężarówką była, wbrew pozorom, najbardziej niebezpiecznym etapem w całej operacji. Polacy nie mieli samochodów ani ciężarówek. Ponadto Niemcy organizowali kontrole na drogach: dobrze ukryci żandarmi otwierali ogień do podejrzanych pojazdów. Dużą rolę pełnił więc kierowca – musiał bardzo uważać, by nie wpaść w pułapkę. Pozostali, schowani pod plandeką, mimo że śledzili drogę przez otwór nad budą kierowcy, nie mogli w razie potrzeby szybko reagować. Tym razem wszystko poszło dobrze: około dziesiątej wieczorem dotarliśmy do lasu. Wyskakujemy z samochodu i dalej udajemy się piechotą, jeden za drugim. Po półgodzinnym marszu dochodzimy do leśnej polany; słyszymy: – Stać. Kto idzie? Hasło! – Odzew i oto stoimy przed grupą pięćdziesięciu żołnierzy w polowych mundurach i hełmach polskich: ciemno, szczegółów nie widać. Kilka rozkazów. Szef grupy „leśnych” salutuje i razem ruszamy w kierunku torów. Opis nie oddaje ogromnej emocji, jaką odczuwałem. Jeszcze dziś na wspomnienie tych chwil włosy mej ogolonej twarzy stają dęba. OKUPACJA wokół, a JA JESTEM WOLNY. Armia Polska istnieje i za chwilę dokonamy czegoś wspaniałego: zniszczymy sprzęt przeznaczony dla żołnierzy niemieckich na froncie rosyjskim. Już nie jesteśmy zającami, na które polują Niemcy na ulicach Warszawy. My też umiemy pokazać zęby. Nigdy nie czułem z taką siłą, co znaczy WOLNOŚĆ. Przez kontrast nabierała ona dla mnie wyjątkowego sensu. Bez patosu, chwila była warta wszelkiego ryzyka; nawet zginąć lekko w stanie takiego uniesienia.

Czekaliśmy, leżąc na ziemi, w pewnej odległości od nasypu. Kilku specjalistów umocowało „plastik” na szynach. Małe dynamo spowoduje wybuch w odpowiednim momencie. Pierwszy pociąg przejeżdża i nic. Niedobrze! Drugi... Co jest? Urządzenie nie działa czy co? Wreszcie trzeci... Wybuch. Lokomotywa kładzie się na torze. Hałas uciekającej pary zagłusza wszystko. Rzucamy się w kierunku pociągu. Wskakuję na towarowy wagon i ciskam butelkę z benzyną na ciężarówkę stojącą na platformie. Pali się. Potem następną. Chcę zostać jeszcze chwilę, ale nie mam już butelek. Wołają na mnie: – Stachu! Wycofujemy się! – Eskorta pociągu otwiera ogień. Kule gwizdzą. To bez znaczenia. Żadna zresztą nie trafia. Jestem szczęśliwy. Moją posta-

wę w czasie akcji oceniono pozytywnie, zdałem egzamin wstępny i zostałem przyjęty do Kedywu.

Później dowiedziałem się, że tę pierwszą akcję opóźniano z powodu Antka Wojciechowskiego. Spotkaliśmy się któregoś dnia na ulicy, ale z powodów konspiracyjnych „nie poznałem” go i nie przywitałem. Antek się obraził. Mógł potem stwierdzić: – Ten chłopak się nie nadaje. Nie powiedział mi „dzień dobry”. – Nie wiem, czy to prawda, ale gdy się zna Antka, historyjka musi się wydać surrealistyczna.

Naszą żoliborską grupą dowodził Stasinek Sosabowski (nazwisko poznałem oczywiście później), syn generała, który stał na czele brygady spadochronowej w Wielkiej Brytanii. Skończył wojskową szkołę medyczną i był chirurgiem. Oficerem zawodowym nie został tylko dlatego, że jako dziecko stracił w wypadku oko. Niezbyt wysoki, nie patrzył w oczy i schylał lekko głowę przy podawaniu ręki (zapewne chciał ukryć szklane oko). On i Kazik Jakubowski porozumiewali się krótkimi zdaniami, charakterystycznie je akcentując. Po jakimś czasie, który spędziłem z nimi, ktoś zwrócił mi uwagę: – Musisz znać Kazika, bo mówisz tak jak on. – Początkowo nie widywałem Stasinka zbyt często. Kontaktowałem się raczej z Jankiem, Kazikiem, a zwłaszcza z łączniczkami – Zosią Czechowską i Danką Mancewicz, naszą drugą łączniczką i sanitariuszką. Danusia, panienka mała, uroczą, zawsze uśmiechniętą i bardzo energiczną, kochała się w jednym chłopcu z naszej grupy, niestety zajętym. Między innymi kolegami odnalazłem w Kedywie Kolumba – Krzysztofa Sobieszczańskiego, zapalonego żeglarza. Remontował on łódki na brzegu Wisły i już o nim wyżej wspominałem. Krzysztof był o kilka lat starszy ode mnie, miał masę uroku i bardzo podobał się paniom.

Początkowo nie wiedzieliśmy o sobie wzajemnie zbyt wiele. W zasadzie nie powinniśmy byli ujawniać swoich adresów, ale dość szybko trafiłem do willi Stasinka, a także do mieszkania Kazika, który – jak się okazało – mieszkał kilkadziesiąt metrów ode mnie. Nowych kolegów nie znałem sprzed wojny. Pozostali kolegowali się dużo wcześniej, bo uczyli się razem w gimnazjum Poniatowskiego na Żoliborzu. Powoli, stopniowo, poznawaliśmy się i doceniali nawzajem, ale głębsza znajomość nawiązała się dopiero podczas Powstania, kiedy to przez dwa miesiące przebywaliśmy wciąż razem.

Trudno mi dziś odtworzyć precyzyjne portrety tych, którzy – jak Kazik – zginęli wcześniej. On sam, bardzo przystojny, wysoki młodzieniec, wielki patriota, odważny i skuteczny w działaniu, stał się dla mnie, obok Stasinka, kimś w rodzaju bohatera. Brał udział w wielu akcjach, między innymi wysadzał zbiorniki z benzyną na Gniewkowskiej. Dużo lepiej znałem Janka Barszczewskiego. Działaliśmy razem wcześniej, jak już pisałem, w kontrwywiadzie. Poważny, dobrze zorganizowany, pracował w Zakładzie Transportowym Hartwiga, gdzie nauczył się zapewne owego metodycznego podejścia do rzeczy. Widać to było po sposobie, w jaki sporządzał wyżej wspomniane raporty. Mieszkał z rodzicami i dwiema siostrami też blisko nas. Cokolwiek robił, traktował poważnie, zarówno w szkole czy biurze, jak i w podziemiu.

Antek i Krzysztof umieli zrobić i naprawić wszystko: od broni do samochodu czy zagłówki. Przyjaźnili się bardzo, stanowili niezwykle dobraną parę przyjaciół. Antek znalazł się w 1939 ro-ku w strefie rosyjskiej i pracował jako traktorzysta; lubił potem przedstawiać się w ten sposób. On i Krzysztof mieli smykałkę do samochodów i byli obaj znakomitymi kierowcami.

W tym okresie dzieliłem czas między działalność w Kedywie, w kontrwywiadzie (coraz mniej) i pracę w garbarni Pfeiffrow – od ósmej piętnaście do piętnastej. Po ukończeniu szkoły chemicznej i zdaniu matury (otrzymałem dyplom technika chemika) musiałem przejść praktykę zawodową. W dodatku mogłem w ten sposób zdobyć legalne zaświadczenie pracy. Poprosiłem więc pana Pfeiffra, by mnie przyjął. Ta rodzina – prowadząca garbarnię od pokoleń – mieszkała jak my w Konstancinie i przyjaźniła się już z dziadkiem, Stanisławem Likiernikiem, który – o ile wiem – reprezentował na Rosję jakieś firmy zagraniczne sprzedające garbniki i skóry i z tego powodu miał stosunki handlowe z Pfeifframi, Szlenkierami; przerodziły się one z czasem w przyjaźń. Mój ojciec z kolei był przyjacielem następnej generacji: braci Stanisława i Jana. Mimo ryzyka, jakie stanowiło zatrudnienie mnie pod moim nazwiskiem, Pfeiffrowie zgodzili się bez wahania.

Muszę cofnąć się nieco w czasie, zapomniałem bowiem wspomnieć wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku.

W roku 1940, kiedy Anglia walczyła samotnie, nie zdawaliśmy sobie sprawy z jej słabości. Nawet bombardowania Londynu wydawały nam się wymysłem

propagandy niemieckiej. Stosunki niemiecko-sowieckie wyglądały poprawnie: Niemcy dostawali od Moskwy najrozmaitsze surowce, rzadkie metale i żywność. Była nadzieja, że do wojny dołączy rychło Ameryka, ale nie wiedzieliśmy niczego o rzeczywistej sytuacji w USA.

Obserwowaliśmy ruchy wojsk niemieckich w kierunku wschodnim: ich koncentracja była widoczna. Dokładnie pamiętam radość, z jaką przyjąłem wieść o wybuchu wojny – z głośnika na placu Wilsona usłyszałem: – Dziś o świcie armia niemiecka na rozkaz kanclerza Hitlera wkroczyła na terytorium ZSRR. – Zrozumieliśmy od razu, że rozszerzenie działań wojennych będzie mieć dla nas na dłuższą metę pozytywne konsekwencje. Śledziliśmy naturalnie wcześniejsze wypadki w Jugosławii czy Grecji. Związek Radziecki był przeciwnikiem na zupełnie inną skalę. Po dołączeniu do wojny Stanów Zjednoczonych wydawało się nam, że zwycięstwo to tylko kwestia czasu. Każdy kolejny dzień przynosił jednak wiele ofiar i nadzieja na doczekanie końca wojny stopniowo malała.

Tak więc 22 czerwca 1941 roku pogoda była piękna. Biegłem na plażę, aby podzielić się wiadomością z przyjaciółmi. Niedługo już mogliśmy się cieszyć kąpielą w Wiśle. Obawiając się wysadzenia mostów, Niemcy zabronili zbliżania się do brzegów rzeki. Pierwsze wieści z frontu wschodniego nie brzmiały zbyt optymistycznie. Niemcy wchodzili jak w masło, ZSRR nie przygotował się do wojny. Wróciły opowieści, krążące od 1940 roku, na temat wojny sowiecko-fińskiej: żołnierze z karabinami na sznurkach, poddający się tysiącami itd. Rosyjscy jeńcy pojawili się w Warszawie jako siła robocza – widzieliśmy ich, maszerujących kolumnami. Wołali do przechodniów: – *Dawaj kurit'*. – Później z niektórych Rosjan utworzono oddziały własowców... W Konstancinie słyszeliśmy niekiedy tych żołnierzy, służących wrogowi, jak śpiewali wojskowe pieśni nawet na cześć Stalina. „Zdradę” wymuszano na nich w prosty sposób: zamykano ich w obozie, otaczano obóz drutami kolczastymi, ani jedzenia, ani picia. Mieli do wyboru: umrzeć z głodu lub wstąpić „na ochotnika” do armii Własowa. Na początku wojny ta możliwość jeszcze nie istniała. Słyszeliśmy, że w obozach tysiące żołnierzy rzucało się na druty i pomimo ostrzału i ogromnych strat wielu z nich zdołało uciec. Tworzyli potem grupy partyzanckie.

Nie mieliśmy zbyt wielu wieści o sytuacji ogólnej. Brak radia – podziemne

nadajniki-odbiorniki służyły kontaktowi z Zachodem (bardzo mało aparatów chowano prywatnie, ryzyko – kara śmierci – było zbyt duże) – sprawiał, że ogromne znaczenie miała prasa podziemna i wiadomości podawane z ust do ust. Naturalną koleją rzeczy rozpowszechniane nieprawdziwe wiadomości, najczęściej optymistyczne, pozwalały jakoś znosić tę szarą i smutną rzeczywistość.

Stosunki z okupantami sprowadzały się do zera. W tramwajach połowę wagonów zarezerwowano *nur für Deutsche*. Do kawiarni i restauracji Niemcy raczej nie chodzili. Mieli własne sklepy, a w nich wszystko to, czego nie mieliśmy my (poza bardzo aktywnym czarnym rynkiem). Żyliśmy zatem w dwóch oddzielonych od siebie światach. Spotkania – łapanki, rewizje, rozstrzeliwania – były dla większości ludności spotkaniami zająca z myśliwym. Nasza grupa niekiedy zmieniała ten układ, ale tylko czasowo; kiedy mogliśmy się bronić lub nawet atakować.

Patrole na ulicach stawały się coraz częstsze. Otaczały one przechodniów, stawiały twarzą do muru, z rękami na ścianie – i rewidowały, sprawdzały papiery itd. Szukano broni, gazetek – lub po prostu ludzi do zapelnienia obozów albo na zakładników.

Kiedys na Żoliborzu, prawie pod moim domem zostałem zatrzymany. – *Papieren*. – Pokazałem moją – tym razem fałszywą – kenkartę, zrobioną poprzedniego dnia, ze stemplem złęgo koloru (nie mieliśmy odpowiedniego tuszu). Zachowując spokój i patrząc esesmanowi w oczy, myślałem: zauważy czy nie ten defekt? Nie zauważył. Bo gdyby – najprawdopodobniej moje wspomnienia byłyby dużo krótsze...

Nie jest możliwe opisywanie wszystkich perypetii trwających przez lata. Ryzykowaliśmy ogromnie, nawet ci, którzy nie uczestniczyli w działalności podziemnej. Aresztowani bez powodu byli torturowani tym okrutniej, że nie mieli naprawdę nic do powiedzenia. Poruszając się po Warszawie, należało bardzo uważać, zwłaszcza jeśli się miało przy sobie coś zakazanego.

Polityka Niemców wobec Żydów stawiała się coraz brutalniejsza. Getto otoczono murem, zachowano tylko kilka przejść. Potem i te zamknięto i zmniejszono powierzchnię dzielnicy. Tramwaj jechał teraz wzdłuż ceglaneanego muru, poza którym nie było nic widać. Początkowo pozwalano wychodzić stamtąd robotnikom z opaskami na rękawach, pod strażą Niemców. Później i ta forma kontaktów ustała. Komunikowano się, rzecz jasna, potajemnie, z trudem i nieczęsto. Getto żyło swoim życiem, z żydowską policją i władzami – Judenratem. Nikt nie przewidywał, co stanie się z trzystu tysiącami Żydów z Warszawy (liczba ta wzrosła po dołączeniu Żydów z okolic miasta). Naziści opracowali swe metody naukowo. Zawsze pozostawiali trochę nadziei: w getcie Żydzi mogli jakoby rządzić się sami.

Wywożono początkowo chorych, najbiedniejszych. Policja żydowska musiała ściągać kontyngenty, zapewniając sobie i swym bliskim pseudobezpieczeństwo. Ci, których wywożono, myśleli, przynajmniej na początku, że jadą do pracy na wschód. Później głodni, chorzy nieszczęśnicy, załadowywani do wagonów towarowych, nie mieli sił na stawianie oporu uzbrojonym i niesłychanie brutalnym żołnierzom. W ten sposób wywieziono wszystkich Żydów z Jerozolimy. Panu Dębskiemu, memu krawcowi-patriarsze, żołdak wyrwał podobno jego siwą brodę. Andrzej Mularczyk, dziś pisarz, widział jako dziesięciolatek, jak Niemcy kopniakami zatłukli małego żydowskiego chłopca, który próbował uciekać. Andrzej zapamiętał ten widok do końca życia.

Tysiące polskich Żydów ukrywało się poza gettem pod fałszywymi nazwiskami (gdy ich nazwiska były zbyt charakterystycznie żydowskie). Mieszkali u przyjaciół albo u ludzi, którzy niczego nie wiedzieli o swych lokatorach. Ich gospodarze ryzykowali śmiercią całej rodziny. Nadmiernie semicki wygląd mógł przyczynić się do zguby. Wyjście na ulicę nie wchodziło w rachubę, wiele osób żyło latami w zamknięciu. W każdej chwili groziła im rewizja. Marek Edelman (znany bohater powstania w getcie) pisze, że pod koniec Powstania w Warszawie zostało dwanaście tysięcy ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy

przetrwali dzięki pomocy co najmniej stu tysięcy Polaków, co – jak na siedmiuset tysięczne wówczas miasto – jest liczbą bardzo dużą, obejmująca jedną siódmą ludności.

Pani Kocowa miała w swym mieszkaniu wszystko, czego mieć nie powinna. Obaj synowie i córka działali w podziemiu. Trzynastoletni Andrzej przyniósł do domu we wrześniu 1939 roku karabin (ukryto go w piwnicy). Potem zbudował odbiornik radiowy, który schował w adapterze. W małym pokoiku na pierwszym piętrze mieszkał lokator; przyszedł generał Spychalski, wtedy jeden z przywódców komunistycznego ruchu oporu. W piwnicy funkcjonowała mała garbarnia, w której dorabiał sobie pan Balcerzak i jego dwóch synów, moi koledzy od Pfeiffów, których zaprotegowałem. Poza tym co najmniej dziesięciu lokatorów pochodzenia niearyjskiego, bądź mieszkających na miejscu, bądź zapisanych w książce meldunkowej. Żartowaliśmy, że jest to prywatne getto pani Kocowej. Dom ten był swego rodzaju wzorem wśród elity polskich rodzin aktywnych w ruchu oporu. Pani Kocowa, profesor literatury polskiej, pełna uroku i inteligencji, stała się członkiem ruchu oporu jakby tego nie zauważając. Karabin do ukrycia, radio, żydowska przyjaciółka, której trzeba pomóc; należało robić to wszystko, by pozostać sobą, nawet jeśli groziła kara śmierci. Ze wzruszeniem wspominam tę kobietę, kruchą i łagodną, zatroskaną o dzieci, ale w sposób naturalny godzącą się na ich niebezpieczną działalność w podziemiu. Mieszkanie Koców wielu z nas zapamiętało jako cichą i ciepłą przystań, a obecność Jagi, starszej siostry Wacka, dodawała temu schronieniu dodatkowego uroku.

W GARBARNI PFEIFFRÓW

Tak więc po maturze, w 1942 roku, rozpocząłem roczny staż w garbarni Pfeiffra. Miałem poznać wszystkie etapy produkcji jako robotnik. Mój kolega z liceum chemicznego, Stefan Graf, odbywał ten sam staż. Początki były trudne, ale doświadczenie bardzo ciekawe i użyteczne. Po raz pierwszy zetknąłem się

na dłuższy czas z robotnikami, pracą fizyczną i fabryką. Stosunki układały się dobrze, chociaż trudno mi było wytłumaczyć kolegom moje zamiłowanie do czytania. „Książka przydaje się jedynie do tego, aby postawić na niej szklankę” – pełną wódki, rzecz jasna...

Pierwszym moim zadaniem było wyławianie krowich skór z basenu, gdzie po odwłoszeniu się płukały. Podnoszono je na wielkim dragu na powierzchnię. Dwóch robotników (w tym ja) łapało je wtedy – jeden przy ogonie, drugi przy karku. Należało szybko znaleźć odpowiednie miejsce – bo skórę składało się w połowie, od głowy do ogona, a potem przewoziło taczkami do następnej hali fabrycznej. Skóry, złożone w kwadrat, śliskie, niełatwo dawały się utrzymać na taczkach. Norma zakładała wożenie pięciu naraz, specjaliści wozili dziesięć i przyglądali się, jak męczyłem się z moimi trzema, które ześlizgiwały się na ziemię. Robiłem im przyjemność, bo mieli okazję do śmiechu i nabijania się z nowego niedołągi. Ale po kilku dniach nauczyłem się i ja. Przyszła zima – około minus piętnastu, dwudziestu stopni. Pracowaliśmy na dworze, z rękami bez przerwy zamoczonymi przy łowieniu skór. Tuż przedtem miałem odmrożone ręce. I, o dziwo, ta praca pozwoliła mi je wyleczyć. Obok naszego basenu stała beczka, gdzie skraplała się para wodna – woda miała temperaturę bliską stu stopni. Od czasu do czasu biegłem do niej i zanurzałem zmarznięte na kość ręce. Okazało się, że domowa recepta na odmrożenia – zimna i gorąca woda na zmianę – była znakomita.

Po jakimś czasie zostałem przeniesiony do suszarni (tej samej, gdzie się odbywał niegdyś pierwszy pojedynek mego ojca). Połowy skór – od głowy do ogona – przybite do dość grubego draga około trzymetrowej długości, suszyły się tam najpierw na parterze, potem coraz wyżej... Trzeba było, stojąc na desce, podnosić we dwóch ciężką belkę ze skórą, by ją położyć nad głową na następnej kondygnacji. Z pierwszej na drugą podnoszenie nie sprawiało trudności. Ale gdy się to odbywało na samej górze, może z osiem metrów od podłogi, miałem okropnego stracha. Poprosiłem o powrót na dół; mimo niskiej temperatury – minus piętnaście stopni – tam stałem na solidnym gruncie.

Ostatnie miesiące spędziłem w hali, gdzie skóry się wykańczało. Za ich sterami można się było od czasu do czasu ukryć. Ze Stefanem Grafem sprawdzaaliśmy francuskie słówka.

TAJNY UNIWERSYTET

Uczyłem się intensywnie francuskiego i angielskiego po zerwaniu z tajnym uniwersytetem, gdzie Olek Tyrawski, Renia Wiączek, Danka Babińska i inni studiowali też chemię. Wykłady odbywały się w mieszkaniach po południu (tak jak komplety licealne) i spiesząc się, mogłem na nie zdążyć po pracy w garbarni.

Wyższa matematyka i fizyka były bardzo odległe od mych gustów. Zapach garbarni, który z sobą przynosiłem, nie bardzo odpowiadał profesorom, tak jak ich wykłady mnie.

W dzień „zerwania” odbyłem w fabryce libację zakrapianą bimbrem. W nowym warsztacie – zgodnie z tradycją – należało się wkupić. Piło się z butelki, której dolna połowa zastępowała szklankę. Należało otoczyć ją rozpalonym na czerwono drutem i polać zimną wodą: butelka pękała wtedy równo i szklanka była gotowa. Uważając – nie musiało się nawet zaciąć warg. Bimber – tani, ale kiepski – nie smakował mi wcale (zauważam dziś, że koniak ma ten sam smak, czym szokuję Francuzów). Pito za zdrowie kolegów, a potem za naszą przyszłość. Nie wypadało odmawiać...

Po tej uroczystości – wykład matematyki. Oprócz mego zwykłego zapachu czuć było ode mnie tego dnia bimber. Ta mieszanka podobała się jeszcze mniej niż zwykle. W połowie wykładu o „ciągach Maclaurina” pod wpływem alkoholu powiedziałem: – Po co te ciągi są komu potrzebne, nic z tego nie rozumiem, a inni pewnie tak samo. – Nie pozostało mi po tym wystąpieniu nic innego, jak opuścić wykład i... uniwersytet.

Byłem zadowolony. Po co mam się dać mordować matematyce, Niemcy do tego wystarczą. Najprostszy rachunek prawdopodobieństwa wykazywał, że na przeżycie jest mało szans. Postanowiłem – na wszelki wypadek – uczyć się języków. Moi koledzy, Olek i inni, uczyli się dalej, zdawali egzaminy. Jeśli o nich chodzi, mój rachunek okazał się słuszny – prawie wszyscy zginęli. Ja zaś niesprawiedliwie przeżyłem: francuski i angielski były mi później bardzo przydatne.

Po roku pracy miałem dość garbarni. AK zabierało mi coraz więcej czasu, ale jeszcze chodziłem co dzień do pracy. Fabryka mieściła się na ulicy Okopowej, na terenie graniczącym z gettem, wychodziły na nie okna biura. Majster, starszy pan o siwych włosach, nie był w żadnym razie filosemitą. Któregoś dnia wszedł na naszą halę blady jak trup, ledwo trzymając się na nogach. Okazało się, że z okna biura widział, jak Niemcy ustawili grupę Żydów „w ogonku” na kolanach. Kazali im się posuwać do przodu i po kolei zabijał ich esesman. Inni Żydzi odciągali ofiarę i ogonek postępował dalej. Nasz szef trząsał się z wściekłości i obrzydzenia, nie mogąc znieść takiego widoku.

JUŻ TYLKO PODZIEMIE

Wiosną 1943 roku rzuciłem zajęcie w garbarni i studia. Jednak dzięki uprzejmości panów Pfeiffrow miałem dalej świadectwo pracy w firmie produkującej „dla Niemców”: legitymację ze zdjęciem i datą ważności, co odegrało później ważną rolę. Nie pamiętam już, jak to się stało, że zacząłem poświęcać cały czas wyłącznie podziemiu. Dostawałem trochę pieniędzy; tyle, by przeżyć. Nie potrafię odtworzyć dokładnie tego, co robiłem przez całe dni. Wiele z nich spędziłem na jeździe rowerem po Warszawie, spotkaniach, na przekazywaniu i odbieraniu wiadomości zostawianych w zaprzyjaźnionych sklepach czy melinach. Na ogół przygotowałem tak zwaną robotę, zawiadamiałem uczestników, pomagałem w ustalaniu planu akcji. Moje pierwsze samodzielne zadanie polegało na zbudowaniu drewnianego garażu, potrzebnego, by ukryć naszą ciężarówkę. Teren znajdował się na Czerniakowie, gdzieś nad Wisłą. Pamiętam, że zadanie wykonałem i czułem się dumny: niełatwo było wystarać się o belki, deski i robotników, w dodatku budować tak, aby nie budzić podejrzeń.

Miałem jednak sporo wolnego czasu, najczęściej spędzałem go przy telefonie, w tym czy innym mieszkaniu. Czekanie na pierwszy sygnał... Jak strażacy. Wiadomość oczywiście zaszyfrowywano. Pracy przybywało coraz więcej. Na-

wet nie umiałbym już dzisiaj policzyć wszystkich akcji. Nie każda była równie ważna i ciekawa.

Czekając przy telefonie, zdecydowałem, że będę czytał tylko książki francuskie. *Nana* Zoli, znaleziona w bibliotece ojca, poszła mi dość dobrze. Gorzej było z *Au bonheur des dames* tegoż autora, w ładnej okładce, z monogramem mej ciotki: AL na grzbiecie. Co najmniej przez miesiąc czytałem ją ze słownikiem pod ręką. Uparłem się jednak i doczytałem do końca. Telefon stawał się podwójnym wybawieniem: nareszcie akcja i nareszcie koniec czytania. Muszę jednak przyznać, że lektura ta, choć niełatwa, okazała się przydatna. Nieświadomie chłonałem niektóre słówka, wyrażenia i zwroty.

Oczywiście, między dwoma kolejnymi akcjami należało myśleć o problemach organizacyjnych: o schowkach na broń, o mieszkaniach wynajmowanych w miarę potrzeb na różne nazwiska, o produkowaniu fałszywych papierów, ewentualnie prawdziwych na fałszywe nazwisko. Nie było to łatwe, ale konieczne, by przeżyć i kontynuować walkę z należytą wydajnością.

W ten sposób pewnego dnia stałem się Henrykiem Wichowskim. Od świeckiego urzędnika zatrudnionego w kościele na Bielanych otrzymałem świadectwo urodzin dziecka, które zmarło zaraz po urodzeniu: Henryk Wichowski. Dołączyny zdjęcie, złożyłem podanie o kenkartę i tak zdobyłem całkowicie legalny dokument tożsamości – wykonany w dodatku przez samych Niemców. Miałem więc teraz: prawdziwe dokumenty z prawdziwym adresem wystawione na moje nazwisko, kilka kenkart z własnym nazwiskiem, ale z różnymi adresami (w razie rewizji należało ukazać tę z adresem mieszkania, gdzie się spało), i wreszcie kenkartę na nazwisko Wichowski. Na akcję szliśmy bez żadnych papierów: w razie śmierci pozostawało się bezimiennym. Pokazywanie dowodu tożsamości z pistoletem za pasem w ogóle nie wchodziło w rachubę!

Jedną z pierwszych robót po ataku na pociąg było zatrzymanie i rozstrzelanie Polaka, który pracował dla Niemców, dostarczając im nazwiska ukrywających się polskich oficerów. Oficerowie ci powinni byli zarejestrować się na początku wojny (potem wysyłano ich do obozów jenieckich). Niewielu posłuchało tego rozkazu i najczęściej działali w podziemiu. Zdrajca (nazwiska nie pamiętam) mieszkał na Żoliborzu. Zdecydowaliśmy porwać go niespodziewanie i wywieźć poza miasto. Pierwszy raz brałem udział w takiej akcji.

Kiedy zatrzymaliśmy na Mickiewicza samochód skazanego, naturalnie opierał się przed pójściem z nami. Kazik Jakubowski strzelił, więc jak najszybciej musieliśmy zniknąć. Z więźniem w naszym aucie ruszyliśmy do lasu, na północ od Warszawy. W portfelu skazanego znaleźliśmy gotową listę oficerów z nazwiskami i adresami. Należało wypełnić rozkaz i zlikwidować zdrajcę. Na całe szczęście, na mnie przypadł tylko obowiązek pilnowania okolicy, nie musiałem więc uczestniczyć w samej egzekucji. Stosownie do okoliczności, ubrany byłem w mundur policjanta niemieckiego, w hełmie i z przepisowym pistoletem maszynowym. Nasłuchiwałem, przyczajony na ścieżce. Nagle słyszę kroki... Z zarośli wyłania się kilka kobiet z tobołami na plecach. Kury, gęsi, masło, jajka... Właśnie w ten sposób zaopatrywano Warszawę w żywność – oficjalne kartki żywnościowe można było zachować jedynie na pamiątkę. Przez cztery lata Niemcy rozdali żywność wystarczającą może na cztery miesiące. Aby przeżyć, nabywano jedzenie na czarnym rynku.

Krzyczę: – *Halt!* – w końcu „Niemiec” musiał wykonywać swój obowiązek... Prerażone kobieciny błagają mnie po polsku, abym pozwolił im przejść. – *Raus, schnell, verfluchte* – mój niemiecki doskonale pasował do sytuacji. Kobiety nie prosiły już o nic więcej i uciekły, zdziwione dobrocią żandarma, który nie chciał od nich nawet jednej gęsi.

Za transport żywności, hodowlę nie zarejestrowanych świń – niemal za wszystko płaciło się życiem. Normalny żandarm mógł w najlepszym wypadku zabrać towar, w najgorszym zaś – puścić serię z pistoletu. Łapanek w pociągach kończyły się często śmiercią kobiet lub mężczyzn szmuglujących jedzenie.

Jak już wspomniałem, dziesięcio- lub piętnastoosobowe patrole sprawdzały papiery, rewidowały. Nigdy nie było wiadomo, jak taki incydent się skończy. Przypominam sobie epizod z Żoliborza. Idziemy małą uliczką razem z Januszem Płachtowskim. Na zakręcie widzimy, jak około dwustu metrów przed nami grupa żandarmów wychodzi na ulicę z przecznicy. Zatrzymujemy się na chwilę, po czym odwracamy się wolno i... Ktoś z okna daje nam znaki: „Wi dzieli was, będą strzelać...” Znów więc odwracamy się i ruszamy spokojnie przed siebie. Mieliśmy przy sobie kupę pieniędzy AK i już to samo wystarczyłoby Niemcom, aby nas zatrzymać. Trudno. Zmierzamy w ich stronę. Po zwyczajowym *Hände hoch* sięgają po teczkę Janusza i wyciągają z niej... anty-

semickie ulotki: straszny profil plus wesz z podpisem: „wesz=żyd=tyfus”. Ryk śmiechu – mieliśmy przy sobie odpowiednią lekturę. To nas uratowało. Wyjaśnienie: Janusz, by otrzymać dobre papiery i móc poruszać się po mieście po godzinie policyjnej, został strażakiem. W pracy był skład tych ulotek. Drukowano je na papierze, który doskonale zastępował trudny do zdobycia papier toaletowy. Oto dowód, że czasem papier toaletowy może ocalić życie!

Jednym z niebezpieczniejszych zadań był transport amunicji i materiałów wybuchowych. Któregoś dnia dostaliśmy skrzynkę zapalników. Przywieziono ją naszą ciężarówką na Kaniowską, róg Haukego. Samochód odjechał, zostawiając na mych plecach ciężką, drewnianą skrzynkę. Do willi Stasinka Sosabowskiego miałem jakieś dwieście–trzysta metrów. Wyślizgiwała mi się cholera z rąk, ja tymczasem, by nie zwracać niczyjej uwagi, musiałem iść lekko jak gdyby nigdy nic. Zastanawiam się do dziś, co by się stało, gdyby skrzynka spadła na asfalt: wybuchłaby, czy też nie? Nie zostanie to już wyjaśnione: w końcu dotarłem do drzwi domu mego przyjaciela z ładunkiem na plecach.

Przez cały ten okres kochałem się w Dance Babińskiej, która wpadła mi w oko podczas krótkiego spotkania na brzegu Wisły. Chodziliśmy na te same wykłady z chemii na podziemnym uniwersytecie. Zacząłem więc nawiązywać z nią bliższy kontakt. Danką, bardzo zgrabna brunetka, miała śliczne białe zęby i piękny uśmiech plus migdałowe oczy. Uczyliśmy się razem chemii bądź to u mnie, bądź u niej. Wiedziałem jednak, że po tych naszych naukach ktoś na nią czeka. Był pierwszy, ale ja liczyłem na atrakcyjność nowej znajomości. Stałem się w końcu niemal domownikiem u pań Babińskich. Ojciec Danki służył jako pułkownik służby geograficznej Wojska Polskiego w Szkocji. Pani Babińska, ciągle jeszcze piękna, mieszkała w swej willi razem z dwiema córkami: niebieskooką blondynką Zosią i Danką, której uroda wydawała mi się wtedy typowo francuska. Każdą wizytę musiałem oczywiście kończyć przed dwudziestą, kiedy to zaczynała się godzina policyjna.

Dodatkowy punkt zdobyłem, gdy dowiedziałem się, że na parterze w willi Babińskich jest pokój do wynajęcia. Do drzwi właściciela, emerytowanego generała, zapukałem ubrany w niebieską czapkę ze złotą naszywką: takie czapki nosili technicy z gazowni i elektrowni. Posiadałem też prawdziwe świadectwo pracy (ktoś dostawał pensję zamiast mnie, a ja miałem spraw-

dzalny, znakomity dokument urzędnika miejskiego). W ten sposób u generała zamieszkał Henryk Wichowski. Spałem w dzień i wychodziłem w nocy: zawód, który wykonywałem, wyjaśniał wszystko. Generał, niegdyś lojalista w armii austriackiej, był niechętny wobec podziemia – podobał mu się zatem tak przykładowy lokator. Okno wychodzące na ogród dawało możliwość wnoszenia i wynoszenia broni, dzięki czemu nie ryzykowałem przy drzwiach wejściowych, a w dodatku wieczory mogłem spędzać na pierwszym piętrze, ku wielkiej rozpaczy mego rywala. Pani Babińska tolerowała mą częstą obecność, dziewczęta były miłe – słowem, gdyby nie wojna, żyłoby się wspaniale. Tyle tylko, że w miłości szło mi jak po grudzie. Po mojej stronie miałem pewną panią ze Lwowa, ukrywającą się wraz z mężem u Babińskich. Mówiła: – Ona pana kocha i nie chce tamtego. – Gdyby Danka sama to powiedziała...

Miałem więc w tym czasie trzy mieszkania: jedno własne, na moje prawdziwe nazwisko, na Mickiewicza 27; drugie na ulicy Śmiałej 40, wynajmowane na nazwisko Wichowski; trzecie w centrum miasta, na Grzybowskiej, podnajmowane u młodego małżeństwa z małym dzieckiem, biedującego bardzo i żyjącego w nieustannym strachu przed Niemcami. Początkowo cieszyło ich, że mają lokatora spokojnego i często nieobecnego. Ale wszystko ma swój koniec. Dowiedzieli się nagle, że Henryk Wichowski jest naprawdę panem Likiernikiem z Konstancina. Poznała mnie młoda dziewczyna z Konstancina, pracująca w pobliskiej pralni, i powiedziała mej gospodyni: – Ja znam pani lokatora. – Właścicielka bardzo się zaniepokoiła, mimo to nie wymówiła mi mieszkania, choć była pewna, że działałam w AK. Nie wiem, czy ci dzielni ludzie i ich dziecko przeżyli Powstanie.

Przygotowanie kolejnych „robót” zajmowało sporo czasu. Już samo utrzymywanie kontaktów, organizowanie szybkiego systemu mobilizowania całej grupy, i to, o ile możliwe, bez używania telefonu, było zadaniem skomplikowanym. Rower umożliwiał mi szybkie poruszanie. „Słodkie dziurki”, małe cukierienki prowadzone przez żony oficerów, służyły nam jako skrzynki pocztowe. Właścicielki dostawały paczki od mężów z Anglii przez Portugalię i wspólnie wyrabiały doskonałe ciacha: tort mokka, torty z czekoladą, serniki... Pycha! Całymi tygodniami żywiłem się tylko tymi wspaniałymi wyrobami.

Regularnie, raz na miesiąc lub na dwa tygodnie, dostawaliśmy wiadomości

od ojca – listy pisane na specjalnym formularzu. Wspominałem już, że w jednym z nich ojciec przekazał nam adres pani Ładosiowej, żony młodego kapitana (pobrali się tuż przed wojną). Najpierw poznaliśmy tę panią, a później całą jej rodzinę. Pan Płachtowski, jak większość nieniemieckich mieszkańców Pomorza, musiał wynieść się z rodzinnych stron i przyjechał do Warszawy. Jego syn, Janusz, dwa lata młodszy ode mnie, został dzięki mojemu wstawiennictwu przyjęty do naszej grupy Kedywu – na Okręg Warszawski.

Podczas pierwszej akcji – kolejne wysadzenie w powietrze pociągu – Janusz cały czas przebywał ze mną. Po wybuchu i operacji niszczenia sprzętu wracaliśmy w stronę ciężarówki pod ogniem Niemców skrytych za przewróconymi wagonami. Wokół gwizdały kule. Zadanie zostało wykonane. Biegniemy. Nagle czuję, że Janusz łapie mnie za szyję i całuje w policzek. Jest szczęśliwy – był z nami, brał udział w Robocie. Rozumiałem go doskonale.

Po dłuższej przerwie wracam do mych pamiętników. W przeciwieństwie do tego, czego się spodziewałem, wspomnienia wojenne sprawiają więcej trudności niż wspomnienia z czasów dzieciństwa. Oczywiście, bardzo dużo one dla mnie znaczą. Pomimo wielu emocjonujących momentów okres ten z upływem lat ma coraz bardziej gorzki smak. Wobec śmierci tylu chłopców i dziewcząt, wobec olbrzymich zniszczeń, wobec przeszłych i obecnych cierpień milionów ludzi, nasze akcje sabotażowe, „ciekawe anegdoty”, którymi stają się teraz, mogą zniekształcić obraz tego czasu. Poza tym cała moja opowieść o wojnie – choć dla tych, którzy przeżyli, jest tak ważna, przypomina tyle innych wspomnień, książek, filmów. Wedle jakich kryteriów uczynić wybór? Sama pamięć też już dokonała selekcji. Niedawno w Polsce ktoś opowiadał o akcji ochrony transportu „skarbu” podziemia. Przypomniałem sobie ze dwie godziny oczekiwania na rogu ulicy z pistoletem pod płaszczem. Ryzyko było ogromne, ale o tej robocie całkiem zapomniałem, zresztą źle ją zorganizowano.

Pamiętam za to dobrze wysadzenie dwóch innych pociągów (w sumie brałem udział w czterech zadaniach tego typu). Dobór uczestników do jednej z nich wyglądał dość niecodziennie. Do akcji prowadzonej przez inny oddział zaproszono czterech członków Kedywu, wśród nich mnie. Na kilka godzin przed nią udałem się po granaty do Kazika Jakubowskiego, a ten od progu

powiada: – Nie jedziesz, ja idę za ciebie... Niemcy aresztowali mego przyjaciela, Stacha Czechowskiego (brata Zosi), i muszę się zemścić... – Energicznie zaprotestowałem, ale Kazik był moim przełożonym... Ostatecznie zaproponował orla i reszkę. Wypadło na niego. Nie zgodziłem się. – Moja kolej to znaczy moja kolej. – Nawet gdybym mógł przewidzieć niefortunne zakończenie tych przyszłych działań, za nic nie ustąpiłbym miejsca. Znałem adres Stasinka, ruszyłem więc biegiem do niego. Przyszedł on do Kazika, długo dyskutowali i w końcu pojechałem ja.

Nasz kierowca (niestety nie Antek), pseudonim Rymwid, twierdził, że umie świetnie prowadzić. Samochodem osobowym ukradzionym Niemcom ruszyliśmy w drogę. Nie wiedzieć czemu, na tablicy rozdzielczej paliło się czerwone światelko, nawet po uruchomieniu silnika. Kierowca uważał, że to normalne... Ja miałem poważne wątpliwości, ale on „wiedział lepiej”. Co robić? Musieliśmy przejechać przez most Poniatowskiego, dobrze strzeżony, co nawet z Antkiem było niebezpieczne.

Wszystko szło dobrze aż do Saskiej Kępy... Tu stanęliśmy. Silnik zgaśł i nie chciał za nic zapalić ponownie. Trzeba było wysiąść z auta i pchać... Szeroka aleja, ani jednego samochodu (poruszać się nimi mogli praktycznie tylko Niemcy) i dwóch młodych ludzi pchających skradziony wóz... W dodatku mój pistolet, umocowany smyczą na szyi i normalnie ukryty pod paskiem na brzuchu, wyslizgnął się i dyndał mi między nogami.

Na szczęście nie było nikogo... Odjechaliśmy, ale czerwone światelko paliło się nadal. W lesie spotkaliśmy się z zaprzyjaźnionym plutonem i dalsza część akcji przebiegła bez zakłóceń. Vogiel (pseudonim Macieja Ptaszyckiego), znakomity mechanik, został przy aucie, lecz mimo jego starań reperacja okazała się niemożliwa: krótkie spięcie spowodowało całkowite wyładowanie akumulatora. Na piaszczystej leśnej drodze dziesięciu chłopców pcha i pcha nasz samochód. Wreszcie zapala. Każde zatrzymanie lub, co gorsza, awaria silnika mogły zakończyć się katastrofą. Całe szczęście, że za kierownicą siadł teraz Vogiel i o świcie, nie natykając się na patrole, wróciliśmy do Warszawy.

W tym czasie, któregoś wieczora, kiedy wracałem około dziewiętnastej do domu, w mieszkaniu zastałem granatowego policjanta w mundurze i tajniaka, również Polaka.

– Dokumenty... Proszę zdjąć spodnie.

Już po sprawdzeniu policjant pyta:

– Gdzie jest pański ojciec?

– W oficerskim obozie jeńców.

– No dobrze...

Chwila zastanowienia.

– Ma pan lokatorów?

– Tak.

– Proszę uważać, doniesiono nam, że mieszkają tu Żydzi, ale skoro to nie o pana chodzi...

Wyszli. Zawiadomiłem natychmiast lokatora (którego prawdziwego nazwiska nie znałem – bo i po co?). Wyniósł się od razu, a ja sam też opuściłem dom na kilka dni.

Zacząłem opracowywać plan ewentualnej szybkiej ucieczki z mieszkania. Moje ubranie leżało obok łóżka – ułożone tak, bym mógł się ubrać w mgnieniu oka. Nasz balkon był oddzielony od sąsiedniego betonową przegrodą. Przechodząc na zewnątrz, można było dostać się do lokalu sąsiadów i uciekać innymi schodami... Mieszkała tam, pewnie dwudziestopięcioletnia, pani, której mąż został wzięty do niewoli. Pewnego razu, nie uprzedzając sąsiadki, podjąłem próbę takiego wyjścia z domu – miałem nadzieję, że przy okazji zdarzy się może coś jeszcze... po odkryciu tej nowej drogi... Rezultat próby: zgoda sąsiadki na plan ucieczki, poza tym – nic.

SAM W WARSZAWIE

Jakiś czas potem gospoia pana Regirera, kuzyna mojej matki, przyniosła nam wiadomość, że gestapo pytało o nas w czasie jakiejś rewizji. Aresztowanie wisiało w powietrzu... Zdecydowaliśmy się opuścić mieszkanie. Ja byłem zmuszony pozostać w Warszawie, gdzie zresztą wynajmowałem dwa inne lokale, mogłem też spać u Płachtowskich. Matka natomiast musiała wyjechać gdzieś dalej. Stryj

Romana Mularczyka, adwokat warszawski i przyjaciel rodziny, wrócił w swe rodzinne strony – na wschodzie Polski – do Boryczówki, polskiej wsi w okolicy Tarnopola, otoczonej ukraińskimi. Matka postanowiła tam pojechać, tak więc pewnego dnia znalazłem się w Warszawie zupełnie sam.

W Boryczówce matka pilnowała krów, pomagała przy dzieciach żonie Stacha Mularczyka, słowem – żyła życiem kresowej polskiej wsi.

Nasze mieszkanie stało puste poza jednym pokojem, który wynajmowaliśmy. Broń ukryłem w schowku. Co jakiś czas pani Grotkowska – nasza gospoś – przychodziła, by trochę posprzątać.

Czekaliśmy w ten sposób przez kilka miesięcy, ale nic się nie stało. Wróciliśmy zatem do mieszkania: najpierw ja sam, licząc wciąż na możliwość szybkiej ucieczki w razie potrzeby, zaś po pół roku także mama, mając już dość wsi i rozstania, tym bardziej, że i tamta okolica stawała się coraz mniej bezpieczna z powodu nacjonalistów ukraińskich.

W tym czasie dowiedziałem się o aresztowaniu, torturowaniu i śmierci jednego z naszych lokatorów, przyjaciela Mundka, mojego pierwszego dowódcy z podziemia. Był on inżynierem chemikiem, przed wojną pracował w cukrowni. Udało mu się uciec z obozu jeńców. Ruch oporu wykorzystał jego doskonałą znajomość niemieckiego i powierzył mu organizowanie ucieczek oficerów z obozów jenieckich w Niemczech. Jeździł tam wyposażony w niemieckie lub ukraińskie dokumenty. Któregoś dnia wrócił z zadrapaniem na policzku; rezultat bombardowania Berlina. Dla nas nie mogło być pomyślniejszej wiadomości: Berlin nareszcie bombardowany!

Warto opowiedzieć tu o ucieczce tego człowieka z obozu jeńców. Okolicznością pomyślną było to, że znakomicie mówił po niemiecku. Piotr (nadam mu to imię, bowiem nie znałem nigdy jego nazwiska, a pseudonimu nie pamiętam), zdobył czy sfabrykował w jakiś sposób mundur niemiecki, zaś zawodowy rzeźbiarz sporządził znakomitą drewnianą kopię karabinu. Tak ubrany, Piotr miał jakoby konwojować czterech polskich oficerów na proces. Pomagali mu żołnierze jadący na front wschodni i w ten sposób cała piątka bez szwanku dotarła do Polski.

Jego narzeczona sprzedawała ciastka w „słodkiej dziurce” naprzeciwko naszego domu... Często widziałem, jak płakała, ale nie wiedziałem początkowo,

co się stało... Domyśliłem się, że to z powodu śmierci Piotra. Nigdy nie zapytałem jej o niego wprost.

Przypomina mi to banalne zdarzenie, które mogło mieć dla mnie dramatyczne konsekwencje. Mały sabotaż pokrył gęsto mury Warszawy napisem „OCTOBER”, co miało psychicznie oddziaływać na Niemców i zapowiadać tajemniczą akcję wymierzoną przeciwko nim. Rocznicą utworzenia Generalnej Guberni przypadała właśnie w październiku. Napięcie wzrastało z każdym dniem. W dniu rocznicy roіło się od patroli. Ulicą Mickiewicza jechała wolno ciężarówka z platformą: na niej żandarmi w dwóch rzędach, obserwujący obie strony ulicy, z karabinami gotowymi do strzału...

Traf chciał, że stałem akurat w oknie... Nagle widzę, że ciężarówka zatrzymuje się przed naszym domem, żandarmi wyskakują i wpadają do klatki schodowej. Natychmiast wybiegłem z mieszkania, wleciałem na półpiętro, gdzie były drzwi, zamknięte w tej chwili na klucz. Prowadziły one na taras i płaski dach. Pod tym dachem znajdowała się wysoka na metr przestrzeń i wiodące tam włazy. Wiedziałem, że drzwi są zamknięte, ale przez otwarte okno mogłem przeskoczyć (czwarte piętro) na brzeg tarasu, na lewo od okna. Tak też zrobiłem, obserwując cały czas z góry trzy hełmy Niemców, którzy na szczęście niczego nie spostrzegli. Reszta wbiegała po schodach... Rewidowali wszystkie mieszkania, również nasze, szukając młodego człowieka, który stojąc przed domem, zagwizdał na nich czy pogroził ręką. Przesuwałem się po dachu, zgięty wpół, w kierunku wjazdu na stryszek. Nie zauważony wślizgnąłem się do niego; po półgodzinie wróciłem ostrożnie do domu tą samą drogą. Żandarmi już odjechali. Kiedy tego samego dnia kupowałem ciastko, miła sprzedawczyni powiedziała: – Widziałam pana na dachu. Na szczęście żandarm, który stał na chodniku, nie patrzył w górę... – Byłbym doskonałym celem, gdyby mnie zauważył.

Październik 1992 (Wracam do mych wspomnień)

Po czternastu latach przerwy wracam do pisanie mych wspomnień. Przez te wszystkie lata nie napisałem ani jednego zdania. Teraz zabrałem się znów do roboty z myślą o mych wnukach.

Mój ojciec nigdy nie zdobył się na napisanie swych wspomnień i bardzo

tego żałuję. Razem scharakteryzowalibyśmy cały XX wiek, bo w roku 1900 ojciec miał już czternaście lat.

Do Powstania Warszawskiego zostało jeszcze półtora roku do opisania. Mam w pamięci jedynie wydarzenia ważne: akcje Kedywu czy też wypadki dotyczące matki i mnie. Przypomina to pejzaż w górach: morze chmur, widać tylko szczyty – dominujące nad szarą pustynią.

12 LUTEGO 1944

Kedyw Okręgu Warszawskiego dostał rozkaz egzekucji Ernesta Dürfelda, dyrektora warszawskich gazowni i elektrowni. Od 1940 roku, współpracując z gestapo, spowodował on wiele aresztowań i deportacji Polaków pracujących w jego przedsiębiorstwach. Sąd podziemny skazał go na karę śmierci.

Przestudiowaliśmy ranną trasę Dürfelda: eskortowany przez niemieckiego policjanta, przejeżdżał Bracką w kierunku Alej Jerozolimskich. Plan akcji wyglądał następująco: Antek Wojciechowski i Krzysztof Sobieszczański (Kolumb) rzucają filipinkę (granat eksplodujący od razu po zetknięciu z celem); Stasinek i ja dokańczamy sprawę w zatrzymanym samochodzie. O jakieś dwieście metrów dalej czekaliśmy ukryci w bramie domu. Niestety, Stasinek poszedł sprawdzić, czy u Antka wszystko gra, i zostałem sam. Pod płaszczem ukrywałem thompsona ze świeżego zrzutu, z którego jeszcze nigdy nie strzelałem. Właśnie pod nieobecność Stasinka nadjechał samochód Dürfelda. Nie przypominam już sobie, gdzie spadł granat rzucony przez kolegów, zdaje się, że wylądował koło auta. Zatrzymało się ono naprzeciwko mojej pozycji – po drugiej stronie ulicy. Zacząłem strzelać, ale thompson zaciął się już po pierwszej serii. Pasażerowie wyskoczyli z pojazdu i schronili się do pobliskiego budynku. Za samochodem krył się jedynie policjant w mundurze. Mogłem wtedy rzucić granatem, który miałem w kieszeni. Ale z zaciętym thompsonem, zostawiony sam sobie, zapomniałem o nim. Chciałem przede wszystkim dołączyć do kolegów. Wypadłem z bramy, zacząłem biec w kierunku naszego samochodu.

Odległy o około dwadzieścia metrów Niemiec zauważył mnie i otworzył ogień. Spodziewałem się, że zaraz oberwę, więc biegłem co sił w nogach. Dotarłem cały za róg, gdzie stał nasz wóz. Wskoczyliśmy doń całą czwórką i z piskiem opon ruszyliśmy przed siebie. Wszyscyśmy żyli, ale Dürfeld niestety także. Do dziś nie odżałowałem, że zapomniałem o granacie. Tkwi to we mnie niczym wyrzut sumienia. Kiedy znaleźliśmy się już w melinie, zauważyłem na kapeluszu kawałki tynku: żandarm celował za wysoko, kule trafiały w ścianę budynku nad moją głową i odpadający tynk wbijał się w kapelusz. Dürfeld miał szczęście – następny zamach też się nie udał: po naszej stronie byli zabici. Ten drugi zamach organizował już kto inny. Być może Dürfeld dokończył spokojnie życia w Niemczech? Nie wiem.

NIEMCY NA MICKIEWICZA

Kilka dni przed wspomnianą akcją, 4 lutego 1944 roku, omal nie doszło do naszego aresztowania. Przewidywaliliśmy zresztą jego możliwość od dawna. Tego ranka zostałem w domu – z nikim nie byłem umówiony. W pewnej chwili pomyślałem o moim świadectwie pracy z garbarni Pfeiffra. Trzeba skorzystać z wolnego czasu i przedłużyć legitymację, której ważność kończyła się za miesiąc. Poszedłem więc na Powązki, do garbarni. Najpierw udałem się do biura, gdzie znajomy urzędnik miał mi przystawić odpowiednią pieczęć.

– Dlaczego tak wcześnie? Przecież pana legitymacja ważna jest do 31 marca.

– Pomyliłem się. Przyjdę za miesiąc.

Postanowiłem, korzystając z okazji, odwiedzić byłych przyjaciół z pracy, pana Balcerzaka i jego syna, oraz Stefana Grafa, kolegę z liceum chemicznego, który pracował tam dalej. Wizyta trwała około godziny. Szykowałem się już do wyjścia, gdy raptem zawołano Stefana do telefonu w portierni.

– Czy może jest w fabryce pan Likiernik? To pilne.

– Jest. O co chodzi?

– Niemcy przyszli po niego. Niech nie wraca do domu.

Dzwoniła sąsiadka, pani Hetlingerowa.

Natychmiast zatelefonowałem do niej. – Gdzie jest moja matka? – Nie było jej w mieszkaniu. Robiła gdzieś paczki dla więźniów w Oświęcimiu. Niemcy zastali tylko Grotkoś, która powiedziała, że pracujemy i wrócimy dopiero wieczorem, przed godziną policyjną. Niemcy nie zastawili pułapki, o dziwo, uwierzyli staruszce i wyszli. Grotkosia natychmiast dała znać sąsiadce z drugiego piętra. Obydwie przystąpiły do wynoszenia z mieszkania ubrań i drobnych przedmiotów. Wszystko skończyło się dobrze. Matka znajdowała się na wolności, ja – dzięki pomyłce – także. Miałem inne lokum i papiery. Pożyczyłem tylko od kogoś zimowe palto z futrzanym kołnierzem – dla zmiany wyglądu.

Matka wyjechała do pani Olewińskiej (dawniej Strasburgerowej; wyszła ona za mąż za pana Olewińskiego, jej szefa w AK), do Konstancina, do domu, w którym w 1939 roku gestapo zatrzymało mego ojca. Musiałem zdobyć dla niej nowe papiery. Mój kuzyn, Staś Wojecki, specjalista od produkcji fałszywych dokumentów, przygotował jej kenkartę na nazwisko Wandy Malinowskiej. Zdjęcie miałem dokleić później, już w Konstancinie. Z tą nieukończoną kenkartą wsiadłem do tramwaju jadącego w kierunku placu Narutowicza. Dziwnym trafem całkowicie pustego: byłem ja i motorniczy. Raptem zrozumiałem: jest łapanka na tej linii. Na przystanku nie spotkałem nikogo, kto mógłby mnie ostrzec. Z daleka dostrzegłem żandarmów dających znaki konduktorowi: zatrzymać się! Nie dokończona kenkarta, owinięta w biały papier, leżała pod ławką, widoczna jak na dłoni. Zapłaciłbym za nią torturą, obozem albo po prostu śmiercią. Motorniczy – nie dowiem się nigdy, czy zrobił to dla mnie, czy przypadkiem – przyspieszył. Niemcy odskoczyli na boki i minęliśmy ich na pełnej szybkości. Schowałem kenkartę, ścisnąłem dłoń motorniczemu, wręczając mu wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie. Zrozumieliśmy się bez słowa. Raz jeszcze udało mi się...

W mieszkaniu, prócz rzeczy osobistych, chowałem parabellum – prezent od Artysiewicza, pistolet maszynowy „Sten” i dolary należące do AK. Wszystko to w skrytce zrobionej przez stolarza; starszego pana, specjalistę od takich rzeczy, pracującego dla podziemia. W jednym z pokoi zerwał on kilka klepek posadzki i zrobił pod nimi miejsce, wyjmując gruz i izolację między naszą podłogą i sufitem sąsiadów. Klepki skleił razem, dzięki czemu tworzyły rodzaj przykrywy

na zawiasie, którą można było podnosić za pomocą pilniczka do paznokci. Należało podważyć sprężynkę, która ją blokowała. Z tego co wiem, schowka używano jeszcze trzydzieści lat po wojnie.

Gestapo wróciło wieczorem. Nie znaleźli nikogo, i, wściekli, opieczętowali drzwi wejściowe mieszkania. – Jeśli ktoś je otworzy, to dla was Oświęcim! – powiedzieli dozorczy. Ten pilnował więc schodów. Mieszkaliśmy na trzecim (ostatnim) piętrze, w budynku długim na jakieś pięćset metrów. Do mieszkania można się było dostać przez balkon, zeskakując nań z dachu i stąd – do środka. Kiedy zapadła noc, weszliśmy na dach z drugiego końca i aż nad nasz balkon. Zeskoczyliśmy bez trudu. Oczyszcziliśmy skrytkę z broni i pieniędzy. Przy okazji ocalałem też fotografie sprzed 1939 roku, które mam do dzisiaj, jak również portret mego ojca (zrobiony przez malarza Anglika w obozie jenieckim w Colditz), plus kilka książek z biblioteki, które też zachowałem.

Dla zabawy zablokowaliśmy meblami drzwi wejściowe, otwierające się do środka: na korytarzu pełno teraz było krzeseł, stołów, kanap. Pieczęcie okupantów pozostały nie naruszone i dozorca za nic nie odpowiadał. By wejść do mieszkania, Niemcy musieli wyłamać drzwi.

Uratowane rzeczy ukryłem w dużej skrytce pod schodami, u państwa Płachtowskich na Gomółki. Z domu zabrałem też cały plik listów od ojca, pisanych na specjalnym papierze, z kilku obozów jenieckich. Wsunąłem je do palta, które od kogoś pożyczyłem. Nazajutrz dowiedziałem się, że na ulicy Mickiewicza znaleziono rano pełno tych listów... Kieszeń palta była dziurawa, więc wypadły, po Żoliborzu rozrucił je wiatr...

NAJPIĘKNIEJSZA AKCJA KEDYWU

Niedługo po tym, 4 marca 1944 roku, miała miejsce jedna z najtrudniejszych i najbardziej udanych akcji Kedywu. *Bahnschutz* – strażnik kolejowy nazwiskiem Schmalz, przezywany Panienką, został przez AK skazany na śmierć. Schmalz, wykorzystując swą ładną, młodą twarz, przebierał się za kobietę

i w ten sposób mógł nie zauważony zbliżyć się do dzieci czy niewiast zbierających kawałki węgla ze stojących na torach wagonów. Zabił on w ten sposób ponad sto osób i znany był z okrucieństwa. Wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo (kilka poprzednich zamachów nie udało się), i nie ruszał się ze swojej siedziby, która stała pośrodku torów kolejowych, między Dworcem Głównym a Dworcem Zachodnim. Około dwóch kilometrów stamtąd, na placu Narutowicza, mieściły się koszary policji niemieckiej. Od polskich kolejarzy dostaliśmy plan domu zamieszkanego przez około dziesięciu Bahnschutzów, wśród nich ich szefa – Panienkę. Budynek otaczały druty kolczaste. Należało wymyślić podstęp, by wejść na wachę i wykonać wyrok, unikając własnych strat.

Zanim opowiem o samej akcji, muszę przywołać anegdotę z okresu jej przygotowań. Potrzebowaliśmy dwóch mundurów niemieckich. Jeden, policyjny, już mieliśmy (często go używałem); brakowało uniformu zwykłego żołnierza. Naszym samochodem (ukradzionym Niemcom) pojechaliśmy na Powązki, gdzie mieściły się koszary niemieckie. Janek Barszczewski włożył kurtkę oficera SS, buty do jazdy konnej, jedynie spodnie koloru nieco niewłaściwego; nieważne, przez szybę samochodu widać było tylko górę stroju. Prowadził, o ile pamiętam, Antek Wojciechowski, a w ekipie – prócz mnie – znalazł się też Stasinek. W chwili gdy przejeżdżaliśmy przed budką wartowniczą, przy bramie do koszar niemieckich stanął nam silnik. Maską naszego citroëna otwierała się na dwie strony. Janek, ukryty w ten sposób za nią, starał się go uruchomić. Niemcy w każdej chwili mogli nam zaproponować pomoc... Tylko Janek mówił trochę po niemiecku, zbyt słabo jednak jak na oficera SS. W tej samej chwili słyszymy kroki, przy citroënie zatrzymuje się żołnierz Wehrmachtu: wraca z przepustki, spóźnił się i chce z nami podjechać. Janek krzyczy: – *Raus!* – i biedak, rozczarowany, oddala się. Wtedy silnik zapala. Trzysta metrów dalej widzimy znów naszego żołnierza, który stoi na baczność i salutuje: prosi ponownie o podwiezienie. Tym razem się zgadzamy. Wsiada i ruszamy. Odbieram mu grzecznie karabin, który trzyma między kolanami. Oddaje mi go, zdziwiony nieco gestem tajniaka (miałem na sobie czarny ceratowy płaszcz, podobny do tych, jakie nosiło gestapo). Jedziemy. Janek odzywa się po niemiecku:

– Jesteśmy żołnierzami Wojska Polskiego. Nie zrobimy ci krzywdy. Zabijamy tylko żołnierzy SS, nie Wehrmachtu.

Nie widziałem nigdy tak zaskoczonego człowieka!... Po dwóch, trzech kilometrach stanęliśmy w małym lasku. – Rozbieraj się. – Zabraliśmy mu mundur i buty, zostawiając go na śniegu (był styczeń) w podkoszulku i kałesonach. Żałuję, że nie widziałem jego powrotu do koszar i tego, jak tłumaczy się przed dowódcą.

Teraz posiadaliśmy już dwa mundury i dobrze obmyślony plan działania. Krzysztof Sobieszczański (Kolumb), przebrany za żandarma, i Janek Barszczewski w mundurze żołnierza mieli złapać „polskiego złodzieja” – Antka Wojciechowskiego – ubranego w strój robociarza (Antek zresztą ubierał się tak na co dzień). Pod groźbą pistoletów maszynowych odprowadzali rzekomego złodzieja, by go powierzyć Paniencie. Pozostali (około czternastu osób) odpowiadali za opanowanie zakładu budowlanego, którego ogrodzenie wychodziło na tory kolejowe. Po zajęciu zakładu grupa Kazika – ze Stasinkiem, ze mną i dwoma czy trzema innymi – miała przedostać się przez dziurę w drewnianym ogrodzeniu firmy i dobiec do drutów kolczastych, otaczających dom Bahnschutzów. Po przecięciu drutów (były spore trudności z zakupem nożyc) należało dostać się do budynku tylnym wejściem.

Plan został wykonany punkt po punkcie. Zajechaliśmy ciężarówką na podwórko zakładowe. Pracownicy zebrani i pod kontrolą, w ogrodzeniu zrobiono sporą dziurę, deski odbite, zostawione na miejscu, przejście niewidoczne z wachy. Po chwili obserwujemy, jak wzdłuż torów Krzysztof i Janek prowadzą Antka, solidnymi kopniakami (zbyt realnymi, według Antka, który miał do nich pretensję po skończonej akcji) popychając go w kierunku domu strażników. Włączyliśmy się do akcji tak, aby wskoczyć do środka w tej samej chwili co pozostała trójka. Przecieliśmy druty i tylnym wejściem, zgodnie z planem, dostaliśmy się do budynku. Nagle widzę przed sobą mundur Bahnschutza. Strzelam z bliska – człowiek znika... Wpadamy do głównego pomieszczenia i dostrzegamy od tyłu Panienkę podchodzącego do Antka. W tym momencie Krzysztof i Janek z gotowych „na złodzieja” maszyniaków otwierają ogień; zabijają Panienkę i innych policjantów stojących obok. Jakiś gość w cywilu tłumaczy błagalnie, że znalazł się tu przypadkiem i – niestety – oszczędzamy go. Wacha jest w naszych rękach. Zdobyliśmy jeden ciężki karabin maszynowy, około dwudziestu karabinów i kilka pistoletów maszynowych. Położyłem na ramieniu część zdobyczy

i biegiem ruszyłem w stronę ciężarówki, która tymczasem podjechała do dziury w ogrodzeniu. Przez cały ten czas pociągi przejeżdżały obok i kiedy biegłem z karabinami, widocznymi jak na dłoni, słyszałem radosne okrzyki pasażerów, rozumiejących w lot, co się dzieje.

Nasz plan nie obejmował drogi powrotnej (przez przesąd, by nie zapeszyć). Wskoczyliśmy pod plandekę i jak najszybciej ruszyliśmy na Żoliborz. Żandarmeria mogła zjawić się w każdej chwili. Tam mieliśmy się rozproszyć. Trzeba też było gdzieś ukryć zdobytą broń. Zatrzymaliśmy wóz konny, przewożący drewno na opał. Schowaliśmy pod kłodami niebezpieczny ładunek i z nim zjawiliśmy się u pani Gurdy (tej samej, od której odbierałem kiedyś walizkę z bronią). Mimo ryzyka zgodziła się przechować cały ten niespodziewany łup przez kilka dni w swej piwnicy, aż do znalezienia odpowiedniej skrytki.

Potem świętowaliśmy zwycięstwo u Kazika Jakubowskiego, który tegoż dnia obchodził imieniny.

Wszystko udało się zatem doskonale. Niestety, w kilka dni później ten cywil, którego pozostawiliśmy przy życiu, rozpoznał w tramwaju Kazika i zaalarmował Niemców. W czasie gdy na mieście doszło do aresztowania Kazika, jego żona przebywała razem z Zosią Czechowską w swym mieszkaniu. Oprócz obu kobiet, w mieszkaniu znajdował się roczny synek Jakubowskich. Do mieszkania wpadło gestapo w celu przeprowadzenia rewizji. Zosia oświadczyła, że jest wynajętą opiekunką malca. Wzięła dziecko na ręce i opuściła pomieszczenie wraz z nim. Esesman na straży na parterze nie zwrócił na nią uwagi, bo w willi były jeszcze dwa lokale, skąd mogła wychodzić. Tak więc udało się jej uratować dziecko... (żyje ono dziś w Stanach Zjednoczonych). Niemcy w pewnej chwili zaczęli szukać noworodka (liczyli, że grożąc zabiciem go, będą mogli wymusić na rodzicach zeznania), ale Zosia odeszła już daleko. Kazik i jego żona zginęli zamęczeni przez gestapo. Mimo straszliwych tortur nie wydali nikogo.

Ze względu na pozostawioną w ręku Niemców kenkartę, zawierającą prawdziwy adres zamieszkania, Zosia musiała ukrywać się poza domem do 1. sierpnia 1944 roku, a także przestać chodzić na lekcje w liceum.

15 CZERWCA 1944

Nie pamiętam już dokładnie, co się działo między 4 marca a naszą ostatnią „robotą” przed Powstaniem. 15 czerwca był dniem pracowitym. Wszystkie oddziały sabotażu dostały rozkaz zorganizowania zasadzek i zaatakowania samochodów z numerem rejestracyjnym POL 47 (numer aut gestapo) między godziną jedenastą a dwunastą. W dwunastu punktach Warszawy gestapo miało zapłacić za niedawną śmierć nowej grupy stu więźniów Pawiaka, rozstrzelanych na ulicy.

15 czerwca, o dziesiątej rano, wyszedłem z Januszem Płachtowskim z domu przy Gomółki 16. Szliśmy w kierunku parku nad Wisłą. Ulice były prawie puste. W walizce niosłem jeden pistolet maszynowy, mój własny ukryłem pod płaszczem. W samochodzie osobowym czekali na nas Antek Tuleja i Janek Barszczewski. Zaczynał się pracowity dzień. W tym czasie w wyniku wielu aresztowań straciliśmy niejedną melinę, chcąc więc uniknąć podejrzeń ze strony sąsiadów, zaintrygowanych porannym ruchem młodych ludzi, postanowiliśmy wykonać kilka „robót” jednego dnia. Plan przewidywał – poza atakiem na POL 47 – trzydziestokilometrową podróż poza miasto w celu rozpoznania terenu przyszłego ataku na pociąg z deportowanymi do Niemiec. O szesnastej planowaliśmy powrót do Warszawy i spotkanie z kolegą zatrudnionym w Arbeitsamcie: mógł potwierdzić, czy pracuje tam tego dnia niejaki Block, skazany przez podziemie na karę śmierci. Block wychodził z biura zazwyczaj około osiemnastej. Między szesnastą a osiemnastą mieliśmy podrzucić Janusza na Żoliborz, a zabrać stamtąd Stefana, który znał z widzenia tego Niemca. Wrócimy jednak do poranka.

Janusz i Janek wyciągają z walizek dwa bergmany. Kładziemy naszą broń na kolanach, chowając ją pod płaszczami, tak żeby przechodnie niczego się nie domyślali. Pierwszą zasadzkę zorganizowano na szerokiej ulicy, która prowadziła z Pawiaka, przez ruiny getta, prosto do siedziby gestapo. W tym punkcie prawie na dziewięćdziesiąt procent mogliśmy liczyć na przejazd samochodów POL 47. Janusz Płachtowski i Janek Barszczewski (obydwaj zginęli w Powsta-

niu w sierpniu 1944) stali na ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas, każdy z filipinką w kieszeni. Antek Tuleja i ja mieliśmy strzelać do samochodu unieruchomionego bombami Janusza i Janka. W pewnej chwili zjawia się Kolumb.

– Dwieście pięćdziesiąt metrów stąd, na równoległej ulicy, stoją trzy ciężarówki pełne żandarmów. Pryskamy!

Nie czekając ani chwili, wsiedliśmy do naszego opla (kradzionego, rzecz jasna) i pędem na Żoliborz. Tu, na wiadukcie przy Dworcu Gdańskim, zaczęliśmy się na nowo. Do dwunastej zostało już tylko pół godziny. Niestety, żadnego POL 47. O dwunastej – odjazd. Podróż do Lasów Kabackich sprawiałaby nam dużą przyjemność, gdyby nie niebezpieczeństwo, jakie groziło w razie natknięcia się na Niemców blokujących szosę. Nasi kierowcy musieli być doskonale wyszkoleni... Dojechaliśmy jednak bez kłopotów.

O szesnastej Kostek potwierdził, że Block jest dziś w biurze. – Bądźcie o siedemnastej, ja tu zostanę i będę go pilnował. – Wracamy na Żoliborz, ponownie godzina jazdy po Warszawie – bardzo niebezpieczna. Dzień zaczyna się bardzo dłużyć. Stefan już czekał, wskoczył do auta prawie w biegu i znów... do centrum. Tego dnia rzeczywiście my mieliśmy pecha, a Block szczęście: wyszedł pół godziny wcześniej niż zwykle. Teraz powrót do bazy z pustymi rękami. Zmęczeni i rozczarowani jedziemy Wisłostradą. Już na Żoliborzu Antek zauważa samochód gestapo stojący przed domem na Krasińskiego 5... Mieszkańców tego domu, całą rodzinę Przyweckich, kilka dni wcześniej aresztowano. Zginęli w Oświęcimiu. Janek, który wówczas dowodził, rzucił krótkie: – Robimy? – i odpowiedziało mu jednogłośnie: – Tak! – naszej trójki. Nie była to wprawdzie jedenasta czy dwunasta rano, ale w razie trudności powiemy w raporcie, że nas zaatakowano. (Widziałem ten raport u Hani Rybickiej, córki dowódcy Kedywu na Okręg Warszawski. Przedstawiliśmy w nim wydalenie właśnie w taki sposób. Dopiero w 1992 roku posłałem pani Rybickiej sprawozdanie zgodne z prawdą).

Po chwili zastanowienia mamy plan: samochód gestapo, po skończeniu rewizji, powinien zjechać ulicą Krasińskiego do Wisłostrady. Nasz wóz postawiliśmy za rogiem Krasińskiego i Wisłostrady – w ten sposób z Krasińskiego nie można go było widzieć. Antek i ja ukryliśmy się za nasypem blisko metrowej wysokości. Janek Barszczewski i Stefan Płotka (pseudonim „Mikołaj II”)

schowali się w ogrodach – obok dolnej części ulicy Krasińskiego. Janek i Miłkołaj mieli rzucić filipinkę na samochód gestapo, gdy dojedzie do ich pozycji, my zaś – w razie potrzeby dokończyć, gdyby filipinka nie zrobiła wszystkiego, ewentualnie zabrać broń zabitym Niemcom. Trzeba wspomnieć, że jeździło wtedy sporo samochodów niemieckich, nas zaś nikt nie ubezpieczał. Decyzja zapadła: ryzykujemy!

PRZEBIEG AKCJI

Po dziesięciu–piętnastu minutach oczekiwania samochód rusza. Janek rzuca bombę, ale filipinka wybucha, nie czyniąc żadnej szkody. Gestapowcy zatrzymują się około sześćdziesięciu metrów od nas. Jeden z nich przebiega przez ulicę, obaj strzelamy do niego: pada. Dwaj pozostali Niemcy położyli się na chodniku i otwierają ogień. Widzę, jak ziemia wzbija się obok mnie, i myślę: „Antek celuje za nisko”. Dopiero potem zrozumiałem, że to były kule Niemców. Tymczasem nie wiedzieliśmy, gdzie podzieli się Janek i Stefan. Po wymianie strzałów Antek krzyczy: – Do wozu! – Skaczemy do auta, zawracamy, jedziemy w kierunku Warszawy. Trzysta metrów dalej zobaczyliśmy wysepkę, na której rosło spore drzewo; dość miejsca na zawrócenie.

– Przygotuj się do strzelania.

Gestapowcy myśleli, że już po ataku, i obydwaj wstali. Jedziemy bardzo szybko – lewą stroną ulicy – tuż obok Niemców. Antek opuścił szybę i – kierując lewą ręką – strzela z visa przez okno. Ja ze stena – niestety przez szybę: kule zrobiły w niej dziury, reszta popękała i była biała jak mleko. To samo z tylną szybą. W ten sposób wystrzelałem cały magazynek.

Odwrociłem się do Antka i widzę, że nadal prowadzi lewą ręką. Miał częściowo wyrwane wnętrze prawej dłoni, mocno krwawił. Jechał szybko, wymijając niemieckie samochody, które zatrzymały się na odgłos strzelaniny. Tylko zaskoczeniu zawdzięczaliśmy życie. Później dowiedziałem się, co się stało Antkowi Tulei. Kula niemiecka trafiła w magazynek rewolweru, który wybuchł

mu w ręce. Nie mogliśmy jechać daleko wozem z szybami podziurawionymi kulami. Małymi uliczkami dostaliśmy się na tyły placu Wilsona (około półtora kilometra dalej) i tam zatrzymaliśmy auto. Miałem dwa pistolety maszynowe – Antka i mój, ale musiałem je ukryć. Zatrzymałem przypadkowego przechodnia i zabrałem mu płaszcz. Owinąłem nim broń. Antek słabł, potrzebował lekarza. Piechotą ruszyliśmy w kierunku meliny na dolnym Żoliborzu. W połowie drogi Antek mówi: – Tu mieszka mój kuzyn, idę do niego. Wezwie lekarza. – Zostałem sam, z dwoma pistoletami, bez amunicji... Chciałem przejść przez działki i prześlizgując się pod drutami kolczastymi, rozerwałem marynarkę na plecach. Nie mogłem dotrzeć do domu Płachtowskich, w tym stanie ryzykowałem spalenie meliny. Wykluczałem też paradowanie po Żoliborzu względnie blisko miejsca zamachu. W pobliżu stały wille z ogrodzonymi siatką ogródkami. Pomyślałem sobie: „Wchodzę do pierwszej z nich, przeczekam godzinę lub dwie, zadzwonię do kolegi, żeby przyniósł mi torbę (na pistolety) i płaszcz”.

Naciskam dzwonek. Mała dziewczynka podchodzi do furtki ogrodowej i – zamiast ją otworzyć – zaczyna strasznie krzyczeć i ucieka... Kilka metrów dalej furtka do ogrodu jest otwarta. Wchodzę: schody do piwnicy... Zostawiam broń owiniętą w płaszcz. Biorę marynarkę pod pachę i idę szybko do Olka Tyrawskiego, który mieszka niedaleko, w domu swej żony, Reni Wiączek (oboje zginęli w Powstaniu). Tam dają mi płaszcz, ja zaś wracam po pistolety. Zdziwiony, widzę granatową policję i tłum gapiów przed willą, w której zostawiłem „paczkę”. Pytam:

– Co się tu dzieje?

– Dziewczynka widziała bandytę, który niósł zabite niemowlę i porzucił je w piwnicy tego domu.

Nagle widzę, jak policjanci rzeczywiście wynoszą „niemowlę” owinięte w płaszcz. Zrozumiałem: dziewczynka zauważyła ślady krwi Antka na płaszczu, stąd pomyłka i panika...

Sytuacja była dramatyczna. Antek ranny, Stefan i Janek nie wiadomo gdzie, dwa pistolety przepadły przez moją głupotę (chcieliśmy zdobyć broń na gestapowcach, nie zaś ją stracić) – to wszystko z powodu akcji przeprowadzonej bez rozkazu.

Szczęście, że znałem (współpracował z AK) komisarza polskiej policji na

Żoliborzu, bardzo porządnego człowieka. W komisariacie dowiedziałem się, że złamał nogę i leży u siebie w domu. Pobiegłem do niego. Powiedział: – Zajmę się tym, niech pan przyjdzie jutro. – Nazajutrz odzyskałem broń. Policjanci polscy nie zmienili wersji: znaleźli zamordowane niemowlę (a to Niemców nie obchodziło); co więcej – nie chcieli za broń ani grosza. Mogli ją sprzedać za duże pieniądze.

Co się działo ze Stefanem i Jankiem? Gdy zobaczyli, że filipinka chybiła, zaczęli się wycofywać ogrodami wzdłuż Kaniowskiej. Niemcy zauważyli ich i otworzyli ogień. Jankowi udało się zbiec, Stefan został zabity.

Złożyliśmy raport: Niemcy zaatakowali nas pierwsi itd. Baliśmy się reakcji dowództwa... Skończyło się na... gratulacjach. Nie wiedząc o tym, zabiliśmy Junga i Hoffmana, dwóch agentów gestapo, których AK skazało na śmierć. Wszystkie zamachy na nich jak dotąd były nieudane. Biedny Stefan, który dołączył do nas o czwartej po południu, o wpół do szóstej już nie żył.

Skończyłem pierwszy zeszyt – i okres 1939-1944. Ciąg dalszy – Powstanie Warszawskie, wejście wojsk rosyjskich – to już historia przez duże „H”. Napisa-no dużo książek o Powstaniu. Moja osobista historia jest interesująca dla mych bliskich i – być może – jako świadectwo tych potwornych dwóch miesięcy.

Zanim opowiem o Powstaniu Warszawskim, muszę wrócić do roku 1943, bo nie wspominałem jak dotąd o dwóch wydarzeniach: aresztowaniu Wacka Koca i pani Kocowej w maju 1943 roku i o likwidacji getta, która wywołała w nim powstanie w kwietniu 1943.

ARESztOWANIE PANI KOCOWEJ I WACKA (JEJ SYNA)

Z Wackiem Kocem, synem pułkownika Leona Koca i bratankiem Adama Koca, przedwojennego ministra i premiera, znałem się od pierwszej klasy w gimnazjum Czackiego. Jak już pisałem, to właśnie dzięki niemu nawiązałem kontakt z podziemiem. Nie konspirowaliśmy jednak razem: Wacek pracował

w wywiadzie – do kwietnia 1943 roku w Warszawie, potem zaś we Lwowie i na Ukrainie. Jego dowódca, pułkownik Pohowski, postać wielce tajemnicza, wymagał od Wacka bardzo dużo, między innymi doskonalenia języków, specjalnie niemieckiego i rosyjskiego. Dopiero potem wysłał go na wschód.

W chwili wyjazdu Wacka, w 1943 roku, trwało powstanie w getcie. W celu przedostania się z Żoliborza do centrum wysiadało się z tramwaju przy Konwiktorskiej i szło przez Stare Miasto na piechotę do Śródmieścia. Bezpośrednia droga była odcięta, bo w getcie toczyły się walki między Niemcami a powstańcami żydowskimi. Pamiętam dzień odjazdu Wacka, bo odprowadzałem go aż do Starego Miasta i tam się pożegnaliśmy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że może to być pożegnanie na zawsze.

Po wyjeździe Wacka utrzymywałem kontakt z jego siostrą Jagą i z ich matką. Obie mieszkały niedaleko nas, na Lisa Kuli, róg Felińskiego. Wiadomości od Wacka przychodziły rzadko.

8 maja 1943 roku, w dzień moich imienin, urządziłem u siebie małe przyjęcie. Przyszli: Olek Tyrawski, Renia Wiączek, Zosia Czechowska, Elżka Majkowska. Od Jagi Koc pożyczyłem płyty (pochodziły ze zbiorów Adama Koca). Nazajutrz, 9 maja, około dziesiątej poszedłem je oddać. Otworzyła gospoia, Fela. Jaga wyszła. Pani Kocowa powiedziała mi przez drzwi łazienki: – Zostaw płyty, Jaga wróci dopiero po południu. – Wyszedłem. W piwnicy domu – już o tym wspominałem – działał mały prywatny zakład garbarski. Prowadził go, z mojej poręki, pan Balcerzak, pracownik garbarni Pfeiffrow. Pani Kocowa dostawała trochę pieniędzy tytułem czynszu, zaś mój kolega z pracy mógł dorabiać na boku. Ten właśnie Balcerzak widział mnie, gdy wychodziłem na ulicę. Dosłownie w chwilę potem, od Kilińskiego, podjechał samochód gestapo. Byłem już wystarczająco daleko, by niczego nie zauważyć. Niemcy też nie widzieli, że wyszedłem z domu Koców.

Gestapo od razu zaczęło rewizję mieszkania. Drugi syn pani Kocowej, siedemnastoletni Andrzej, nie wiedząc o niczym, wracał do domu. Pani Kocowa poznała kroki syna i rzuciła się do drzwi z krzykiem: – Andrzej, uciekaj! – Nim gestapowcy odciągnęli ją od drzwi, Andrzej zdążył uciec (stracił życie w Powstaniu). Panią Kocową i gospoie pobito, aresztowano i wysłano do Oświęcimia, gdzie obie zginęły. Wcześniej we Lwowie aresztowano Wacka. Trafił do

mieszkania, gdzie Niemcy urządzili kocioł. Więziono go we Lwowie w strasznych warunkach przez trzy miesiące, a potem przewieziono do Buchenwaldu. Opowiem o tym później, opisując nasze spotkanie w roku 1945. Obaj ocaliliśmy dziwnym trafem.

POWSTANIE I LIKWIDACJA GETTA

Wracam teraz do problemu getta. Od roku 1942 coraz więcej Żydów trafiało do Oświęcimia i Treblinki. *Umschlagplatz* – miejsce, gdzie ładowano Żydów do wagonów towarowych, znajdował się o kilkaset metrów od Dworca Gdańskiego, około dwóch kilometrów w linii prostej od mego domu. Przeładowane wagony trzymane na bocznych torach nieraz przez kilka dni – uwięzieni nie otrzymywali jedzenia ani picia. Nocą dobiegały z tego pociągu śmierci jakby jęki, zawodzenia. Przechodząc wiaduktem obok dworca, widziałem taki pociąg, wypełniony tymi nieszczęsnymi ludźmi. Wagony zamknięto, w małych okienkach widać było tylko oczy i zaciśnięte na kratkach ręce. Krzyczeli: – *Wasser! Wasser!* Wody! Wody! – Na własne oczy widziałem: jeden z żołnierzy pilnujących więźniów (stali co dwadzieścia metrów) podszedł do kranu, napełnił wiadro, wrócił przed wagon i... wylał wodę na ziemię. Do dzisiaj dygocę z wściekłości, myśląc o tym potworze.

Tajna organizacja w getcie przygotowywała powstanie – nie chcieli umierać jako bezbronne ofiary. Zostało ich jeszcze dwadzieścia-trzydzieści tysięcy, nie wiem dokładnie. Powstanie wybuchło w kwietniu 1943 roku. Getto otoczyła policja niemiecka i oddziały złożone z Litwinów, Ukraińców i Łotyszy. Pomoc była niemal wykluczona. Nasza grupa otrzymała rozkaz zaatakowania Niemców nacierających na getto. Zabiliśmy jednego żandarma, kiedy indziej udało się nam trafić granatem w patrol zmierzający do szturm. Pewną – ograniczoną – ilość amunicji i broni dostarczono powstańcom. 1 sierpnia 1944 roku AK nie miało dość środków na powstanie. Nasz oddział – nieco lepiej wyposażony – stanowił wyjątek.

Oskarżanie Polaków o nieudzielenie pomocy powstańcom w getcie jest niesprawiedliwe. Uprzedzeni przez polski ruch podziemny, przez Jana Karskiego i innych – Churchill i Roosevelt nie zareagowali, a oni mieli większe możliwości niż my.

Getto płonęło, Niemcy podpalali dom za domem. Mój przyjaciel, Janusz Płachtowski, jak już wspomniałem strażak ochotnik, polewał dachy wodą po polskiej stronie, by uniknąć spalenia całego miasta. Widział sceny przerażające, o których nam później opowiadał. Niemcy zniszczyli całe getto. W roku 1944 jedynymi budynkami, jakie stały na jego terenie, były kościół na Grzybowie i więzienie – słynny Pawiak. Spośród więźniów Pawiaka Niemcy wybierali zakładników. Za jednego zabitego Niemca – stu Polaków. Tak zginął brat Zosi Czechowskiej. Listy zakładników wywieszano na czerwonych plakatach: stu rozstrzelanych, sto nazwisk wyznaczonych do następnej egzekucji... Podczas jednej z nich znajdowałem się nie dalej niż trzysta metrów od Dworca Gdańskiego. Usłyszałem serię z pistoletów maszynowych. Wiedziałem: pięciu poległo. Chwila ciszy. Następni skazańcy załadowywali zabitych na ciężarówkę. Kolejna seria... Wśród ofiar zawsze mógł być któryś z aresztowanych przyjaciół. Dzięki Bogu, działałem w podziemiu, więc od czasu do czasu mogłem mścić kolegów. Trudno wytrzymać bezsilność, ja przynajmniej uczestniczyłem w akcjach przeciwko tym barbarzyńcom. Polskie kobiety nosiły kwiaty i zapalały świeczki na miejscach egzekucji. Na Senatorskiej, w samym centrum Warszawy, patrol otworzył do nich ogień, zabijając i raniąc wiele Polek.

KATYŃ

Muszę tu przerwać tok mych wspomnień, by przypomnieć historię przez duże „H”.

5 kwietnia 1943 roku został odkryty zbiorowy grób czterech tysięcy oficerów polskich zamordowanych kulą w tył czaszki w 1940 roku, przed początkiem inwazji niemieckiej. Mimo że było to dziełem NKWD, Stalin oskarżył o mord

Niemców. Generał Sikorski, szef polskiego rządu w Londynie, w roku 1941 podpisał układ dyplomatyczny z ZSRR o uznaniu przez Rosję rządu londyńskiego, uwolnieniu w konsekwencji polskich więźniów i deportowanych i tworzeniu armii polskiej na terenie Związku Radzieckiego. Zorientowano się wtedy, że piętnaście tysięcy oficerów polskich zniknęło. Groby katyńskie wyjaśniły częściowo tę tajemnicę (mogiły pozostałych są jeszcze do odkrycia). Rząd polski zwrócił się z prośbą o zbadanie sprawy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Posłużyło to Stalinowi jako pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem w Londynie. Podanie w wątpliwość jego słów: „Zrobili to Niemcy”, obrażało go.

Dopiero w 1992 roku ujawniono rozkaz zamordowania dwudziestu czterech tysięcy Polaków (oficerów, celników, urzędników państwowych) podpisany przez Stalina, Mołotowa, Gromykę i innych członków Politbiura. Został osiągnięty szczyt cynizmu: morderca, „obrażony posądzeniem o mord”, zrywa stosunki dyplomatyczne z rządem reprezentującym ofiary. Alianci – USA, Wielka Brytania – zbyt potrzebowali Stalina, by wziąć w obronę rząd polski.

Niewiele później generał Sikorski zginął w tajemniczym wypadku samolotu w Gibraltarze.

PRZED POWSTANIEM

Armia sowiecka dotarła do granic Polski z roku 1939. Polskie wojsko podziemne współpracowało z nią w oswabdzaniu Wilna i Lwowa. Bohaterscy żołnierze AK w Wilnie zostali zaproszeni na „bankiet zwycięstwa”. Po jego zakończeniu tragiczna niespodzianka: NKWD otoczyło budynek i wszyscy akowscy powstańcy zostali aresztowani i wywiezieni w głąb ZSRR. W epoce Chruszczowa niewielka ich liczba powróciła do kraju.

Celem Stalina było utrzymanie granicy na Bugu, ustalonej przez układ z Hitlerem w 1939 roku. Polscy patrioci stali mu na przeszkodzie.

W lipcu 1944 roku front zbliżał się do Warszawy. Przyglądaliśmy się z przyjemnością wycofującym się przez miasto Niemcom i ich węgierskim alian-

tom w bardzo żalosnym stanie. Nad nami samoloty myśliwskie – rosyjskie i niemieckie – prowadziły pasjonujące nas walki. Koniec panowania Niemców w Warszawie wydawał się bliski.

25 lub 26 lipca 1944 roku, jadąc rowerem przez Żoliborz, zauważyłem grupę żołnierzy węgierskich, kompletnie wyczerpanych, podróżujących konnymi wozami. Ich dowódca zatrzymał się na chodniku. Pamiętając o „odwiecznej przyjaźni polsko-węgierskiej”, zagadnąłem go: – *Deutschland kaputt* – ale Węgrów nie okazał się „bratankiem” i ryknął: – *Was?* – Zdążyłem wskoczyć na rower i uciec.

W naszym oddziale Kedywu (Stasinek Sosabowski, Olszyna Wiwatowski) prognozy co do powstania były bardzo pesymistyczne. Wiedzieliśmy, że o ile sami jesteśmy nieźle uzbrojeni, o tyle pozostałe oddziały nie mają prawie nic (lekka broń nie nadawała się do walki z czołgami). Jeden granat na pięciu żołnierzy – z drugiej zaś strony Niemcy uzbrojeni po zęby.

Na kilka dni przed Powstaniem przyszedł do mnie Roman Mularczyk (później Roman Bratny – pseudonim pisarski). Powiada:

– Ruscy chcą, nawołują do walki z Niemcami, a kiedy już zacniemy, zatrzymają się i pozwolą Niemcom nas wykończyć.

– Jeśli wiesz o tym ty i wiem ja, to wiedzą też nasi dowódcy – odpowiedziałem. – Nie wywołają powstania bez uprzedniego porozumienia z Rosjanami i Anglikami.

Powstanie przeciwko armii niemieckiej, nieporównywalnie lepiej uzbrojonej, miało sens jedynie przy posiadaniu pewności natychmiastowej pomocy aliantów. Wydarzenia w Wilnie (Roman i ja nic wtedy nie wiedzieliśmy) powinny wzbudzić nieufność naszych dowódców w stosunku do Rosjan. Generał Bór-Komorowski uważał – pisze o tym w swych wspomnieniach – że Stalin nie może nie wykorzystać przyczółka, jakim będzie wyzwolona Warszawa. Generał zapomniał, że Stalin wymordował miliony swych współobywateli. Śmierć Warszawy i jej obrońców odpowiadała mu: hitlerowcy wykonywali brudną robotę za niego, eliminując najlepszych polskich patriotów. Wielka Brytania była za daleko, aby przyjść ze skuteczną pomocą; zresztą nie zgodziła się na zrzut polskiej brygady spadochronowej na powstańczą Warszawę.

(cdn.)

STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ I „KULTURA” (CZ. 3)

15. Szkice o Polsce Ludowej

I

Biorę w tym miejscu na warsztat następane trzy artykuły Gastona de Cerizay. Tematem wiążącym je wszystkie są represje władzy wobec literatów: Januarego Grzędzińskiego¹ i Jana Nepomucena Millera². Jest to więc kontynuacja wątku o konflikcie władzy ze środowiskiem literackim.

Pod koniec czerwca 1964 r. bezpieka przechwyciła list Grzędzińskiego adresowany do byłej żony Lidii Lisik w Maroku. Adres ten uważano za skrynkę kontaktową „Kultury” paryskiej. Sporządzono na tej podstawie notatkę, w której zawierała się propozycja wszczęcia postępowania przeciwko Grzędzińskiemu na podstawie zapisu art. 23 małego kodeksu karnego o kolportowanie „fałszywych wiadomości mogących wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego”³.

Postępowanie zostało wszczęte w połowie sierpnia. Oskarżony pozostawał

¹ Januarey Grzędziński (1891-1975) – polski wojskowy, inżynier, publicysta i pisarz. Współtwórca polskiego lotnictwa. Przed wojną redagował m. in. pismo „Czarno na Białem”. Walczył we francuskim ruchu oporu. Po wojnie mieszkał w Casablance. Wrócił do kraju w 1957 r.

² Jan Nepomucen Miller (1890-1977) – poeta oraz krytyk literacki i teatralny. Członek PPS. W czasie okupacji działał w Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN). Po wojnie był m. in. dyrektorem zielonogórskiego teatru i redaktorem pisma „Teatr”.

³ A. J. Cieślíkowa, *O człowieku, który się nie zgadzał. Biografia pułkownika Januarego Grzędzińskiego 1891-1975*, Warszawa 2009, s. 369. Por. M. Ptasńska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego przez Służbę Bezpieczeństwa w czasach Gomułki*, [w:] „Aparat Bezpieczeństwa wobec emigracji politycznej i Polonii”, red. R. Terlecki, Warszawa 2005, s. 160.

pod stałą obserwacją, szantażowano go, wyciągano różne rzeczy z przeszłości, ale ostatecznie nie udało się zastraszyć. We wrześniu dokonano rewizji w jego mieszkaniu, konfiskując niektóre materiały⁴.

Po względnie spokojnym początku 1965 r. (w związku z zamieszaniami wokół „afery mięsnej”⁵) 1 kwietnia sąd dziennikarski zawiesił Grzędzińskiego w prawach członka Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Pod koniec czerwca dokonano ponownej rewizji w jego mieszkaniu, wzywano na często przesłuchania, wstrzymano wypłacanie renty dla zasłużonych⁶.

Sam Grzędziński najpierw próbował skłonić do interwencji w swojej sprawie nowego ministra kultury i sztuki Lucjana Motykę, następnie protestować przeciw cofnięciu renty, jednak nie przynosiło to żadnych efektów⁷.

Giedroyc pisał o sytuacji Grzędzińskiego nie ukrywając zdziwienia: „Z Grzędzińskim jest sprawa dość tajemnicza. Ciągłe siedzi⁸⁹. Miałem od niego «grypsy». Wynika z nich, że oskarżają go o kontakt... ze mną. Grzędziński był żonaty z Giedroyciówną (żadna moja krewna i nigdy jej nie widziałem), z którą się rozwiódł. Jest ona obecnie żoną dr. Lisika i mieszka w Casablance. Stosunki jej z Grzędzińskim pozostały b. dobre i korespondowali ze sobą. Grzędziński czasami przysyłał za jej pośrednictwem pozdrowienia dla mnie. Z tego wyszła historia, że jest ona jakąś łączniczką między «Kulturą» a Grzędzińskim. Dom wariatów”¹⁰.

Mackiewicz w artykule „Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny

⁴ A. J. Cieślikowa, op. cit., s. 369-371.

⁵ Główny oskarżony w procesie, który miał miejsce na przełomie 1964-1965, Stanisław Wawrzecki został skazany na karę śmierci. O „aferze mięsnej” zob. M. Pasztor, D. Jarosz, *Afera mięsna. Fakty i konteksty*, Toruń 2004.

⁶ A. J. Cieślikowa, op. cit., s. 374-375.

⁷ Ibidem, s. 372-373. Śledztwo przeciw Grzędzińskiemu zawieszono w październiku 1965 r. „z uwagi na stwierdzone u Grzędzińskiego chorobowe zmiany starcze, niepozwalające mu uczestniczyć w rozprawie sądowej”. Por. M. Ptańska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 161.

⁸ W rzeczywistości J. Grzędziński pozostawał cały czas na wolności. Por. A. J. Cieślikowa, op. cit., s.

⁹ -374.

¹⁰ List J. Giedroycia do W. Weintrauba z dn. 12 XII 1964, [za:] M. Ptańska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury...*, s. 289. W podobnych sowach redaktor pisał w liście do Mieroszewskiego. Por. M. Ptańska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 161.

Hallsteina” odniósł się do listu Grzędzińskiego, w którym miały znajdować się pozdrowienia dla Jerzego: „Oskarżenie twierdziło, że jeśli Jerzy to na pewno Giedroyć, redaktor «Kultury», którego się tutaj obawiają prawie na równi z bombą atomową»¹¹. Nawiązuje również do wyroku sądu zawieszającego Grzędzińskiego w prawach członka SDP: „Dziennikarski sąd honorowy powinien być przecież wprawdzie samego siebie zapytać czy jest rzeczą przyzwoitą otwierać listy człowieka piszącego do swojej byłej żony i w żadnym razie do publikacji nie przeznaczone. W każdym razie w normalnych warunkach nie znalazłoby się trzech dziennikarzy, którzy by się zgodzili wziąć udział w zespole «honorowym», zastanawiającym się nad takimi materiałami oskarżycielskowodowymi»³⁵⁰.

Jan Nepomucen Miller został z kolei oskarżony o publikowanie artykułów w londyńskich „Wiadomościach” Grydzewskiego pod pseudonimem Stanisław Niemira. Mackiewicz wyrażał o tych tekstach: „Artykuły były ostre, nie tak jednak ostre jak te, które ukazują się często we Francji w stosunku do rządów generała de Gaulle, lub te które napadały na «rządy sanacyjne» w przedwojennej Polsce. Dopuścił się Niemira szargania świętości. Czy uwierzycie, że o ostatnim dziele Jarosława Iwaszkiewicza wydanym pod triumfalnym tytułem «Sława i chwała» ośmielił się napisać «Sława bez chwały». Okropne!»¹².

Millera postawiono przed sąd koleżeński Związku Literatów Polskich – Mackiewicz zaproponował podjęcie się jego obrony¹³. Wstrzymano mu rentę, pozostawiając *de facto* bez środków do życia, ponadto nieustannie atakowano w prasie warszawskiej bez możliwości odpowiedzi na zarzuty³⁵³. Wypominano mu również, że w swych artykułach publikowanych na emigracji atakował ten sam rząd, który przyznawał mu swego czasu nagrody literackie, co Cat komen-

¹¹ G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Klasa najbardziej niezadowolona...* ³⁵⁰ Idem, *Literaci warszawscy...*

¹² Idem, *Konwencja międzynarodowa...*

¹³ List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 15 I 1965, [za:] J. Giedroyć, J. Stempowski, op. cit. ³⁵³ G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Konwencja międzynarodowa...* Por. List J. Gieroycia do Cz. Miłosza z dn. 15 I 1965, [za:] J. Giedroyć, Cz. Miłosz, *Listy 1964-1972...* O J. N. Millerze zob. również: A. Steinsbergowa, *Ze wspomnień obrońcy. (Kariera artykułu 23)*, „Zapis”, nr 8 (1978). ³⁵⁴ G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Klasa najbardziej niezadowolona...* ³⁵⁵ Zob. A. Friszke, *Anatomia buntu...*, s. 226-235.

tował: „Nagroda literacka jest uważana jest [za] coś w rodzaju łapówki, którą jeśli się raz weźmie, to już do końca życia trzeba być swemu łaskawcy wiernym, oddanym i posłusznym”³⁵⁴.

Jednak za bardziej interesujące od oskarżeń pod adresem Grzędzińskiego i Millera Mackiewicz uznawał aresztowanie w marcu 1965 r. „grupy Modzelewskiego”³⁵⁵. Po pierwsze dlatego, że byli to ludzie młodzi, po drugie – że byli to „komuniści, ale komuniście niezadowoleni z obowiązującego ustroju i chcący go poprawić na bardziej wzniosłe kopyto, jeśli wolno się tak wyrazić”¹⁴. Tematu tego jednak nie rozwija.

II

W marcowym numerze „Kultury” z 1965 r. znajdujemy dwa artykuły Gastona de Cerizay: „Klasa najbardziej niezadowolona” oraz „Konwencja międzynarodowa”¹⁵. W pierwszym z nich autor pochyła się na sytuację klas społecznych w Polsce Ludowej oraz ich stosunku do reżimu komunistycznego.

Mackiewicz pisze:

Położenie geopolityczne Polski wyklucza dziś możliwość sprawowania rządów przez nie-komunistów. Komuniści zawsze stanowili w Polsce margines, tak w czasach międzywojennych, jak po wojnie. Ale choć rząd sprawuje władzę w jak najgorszym wydaniu, a przytłaczająca większość społeczeństwa jest mu przeciwna, to powojenny układ międzynarodowy nie daje póki co jakichkolwiek szans na jego zmianę.

Szczęściem w nieszczęściu jest natomiast to, że władzę sprawują komuniści, którzy w jakimś stopniu czują się przeciw Polakami. Niewątpliwą zasługą Gomułki jest sprzeciw wobec kolektywizacji wsi, bo inaczej „Warszawa musiałaby zdechnąć z głodu, tak jak głód panuje w wielkiej ojczyźnie Lenina”.

Spośród wszystkich klas społecznych: inteligencji, chłopstwa, i robotników zdecydowanie najbardziej wrody władzy socjalistycznej jest klasa robotni-

¹⁴ G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Literaci warszawscy...*

¹⁵ Kwestie, które będę tu opisywał, takie jak: niemożność zmiany niepopularnego rządu czy złe położenie robotnika w państwie socjalistycznym Mackiewicz powtarza również w jednym z następnych artykułów pt. „Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny Hallsteina”.

cza. Robotnicy – podobnie jak chłopci – nie mają w Polsce nic do powiedzenia. Robotnik nienawidzi słowa „socjalizm”, który oznacza jedynie całkowite upaństwowienie gospodarki. Sytuacja przedstawiałby się może inaczej, kiedy położenie robotnika polskiego odpowiadało położeniu robotnika w krajach zachodnioeuropejskich, z którego robotnik polski zdaje sobie sprawę, że jest dużo lepsze.

Inteligencja jest klasą rządzącą i w ogromnej większości należy do PZPR, ale nie wynika z tego, że przyswoiła sobie ona treści komunistyczne: „Członkostwo Partii to jest sytuacja osobista, zwłaszcza ważna dla inteligenta pracującego w biurze. Dlatego nikt się jej nie wyrzeka, a potem śpi na zebraniach partyjnych, o ile oczywiście nie zajmuje się jakimiś partyjnymi intrygami lub pieniężnymi spekulacjami załatwianymi via stosunki partyjne”.

Zarobki inteligenta są śmiesznie niskie, dlatego musi zajmować się on „organizowaniem”, które występuje powszechnie w społeczeństwie, a bez którego „nędza kraju byłaby jeszcze o wiele nędzniejsza”.

Chłop jest o tyle uprzywilejowany, o ile może swobodnie dysponować owocami swojej pracy. Klasa chłopska jest jednak klasą zamkniętą, w ogromnej mierze uzależnioną od kościoła. Większość kleru rekrutuje się ze stanu chłopskiego, co przyczynia się do tego, że „chłop i ksiądz rozumieją się doskonale”.

III

W drugim tekście z tego samego numeru Gaston de Cerizay pochyła się nad „Konwencją w sprawie zwalczania dyskryminacji w dziedzinie oświaty”¹⁶, a w szczególności nad jej art. 5 pkt. b w treści: „Rodzice i w odpowiednich przypadkach prawni opiekunowie powinni mieć możliwość, po pierwsze – w granicach określonych ustawodawstwem każdego państwa – swobodnego posyłania swoich dzieci nie do państwowych, lecz do innych zakładów nauczania, odpowiadających minimalnym wymaganiom ustalonym lub zatwierdzonym przez właściwe organy oświatowe i po drugie – zapewnienia religijnego i moralnego wychowania dzieci zgodnie z ich osobistymi przekonaniami; ni-

¹⁶ Konwencja została przyjęta na XI sesji Konferencji Generalnej Organizacji Narodów Zjednoczonych dla Wychowania, Nauki i Kultury dn. 14 XII 1960 r. w Paryżu i weszła w życie z dn. 22 V 1962 r.

komu indywidualnie, ani żadnej grupie osób jako całości nie należy narzucać religijnego wychowania, niezgodnego z ich przekonaniami”¹⁷.

Autor analizuje powyższy zapis z perspektywy możliwego konfliktu na linii państwo-Kościół. Jego zdaniem władze upaństwowiły w kraju wszystko: od działalności gospodarczej przez działalność związkową, aż do działalności politycznej. Kościół katolicki jest w Polsce jedyną instytucją, która prowadzi względnie swobodną, niezależną od rządu politykę i która może skutecznie z tym rządem rywalizować. Państwo ograniczając swobodę kultu i nauki religii w szkołach otrzymuje efekty zupełnie przeciwne od zamierzonych. Dzieci mimo zakazów uczęszczają na nabożeństwa niekoniecznie z czystej gorliwości religijnej, ale dlatego, że widzą w Kościele poważną siłę opozycyjną w stosunku do reżimu.

Rząd polski ratyfikował i ogłosił „Konwencję w sprawie zwalczania dyskryminacji w dziedzinie oświaty” dopiero w czwartym roku po jej podpisaniu¹⁸. Gaston de Cerizay twierdzi na tej podstawie: rząd widocznie „spostrzegł, że konwencja ta stwarza mu poważne trudności”. Ostatecznie władze zadeklarowały jednak, że będą się do niej stosować bez żadnych wyjątków.

Konwencja – dowodzi dalej Mackiewicz – obliguje władze do dopuszczenia funkcjonowania na terenie kraju szkół niepaństwowych w stopniu zaspokajającym potrzeby społeczeństwa. Próby obchodzenia tego nakazu przez powoływanie się na „granice określone ustawodawstwem każdego państwa” byłoby działaniem „niezgodnym z elementarnym rozumowaniem prawniczym”.

Gaston de Cerizay uważa, że na podstawie rozbieżności w interpretacji tej konwencji może w najbliższej przyszłości wyniknąć konflikt między Kościołem i rządem, choć zaznacza, że do tego konfliktu nie nawołuje. Kościół katolicki powinien bowiem pamiętać, że „naród polski został w ostatnich czasach osłabiony przez najrozmaitsze zrywy”, natomiast władza musi zdać sobie sprawę, że wojna z Kościołem będzie wojną przegraną bez jeszcze większego uzależnienia się od Związku Sowieckiego.

¹⁷ Pełen tekst konwencji dostępny w Internecie: www.libr.sejm.gov.pl/tek01/txt/onz/1960.html [30 VII 2013].

¹⁸ Konwencja weszła w życie w stosunku do Polski dn. 16 XII 1964 r.

IV

Z trzeciego artykułu pod tytułem „Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny Hallsteina” interesuje nas teraz druga jego część. Autor zaznacza na wstępie: „W dziedzinie polityki zagranicznej należy uchwycić to, co jest główne, istotne, co ciąży na całym systemie politycznym rządów i co nie tylko odpowiada Gomułce, lecz czymś, w czym solidaryzuje się Gomułka z kardynałem Wyszyńskim, w czym wódz znakomitej mniejszości w Polsce – to jest Gomułka, będzie poparty przez wodza znakomitej większości w Polaków – to jest kardynała Wyszyńskiego. Myślę o sprawie niemieckiej”. Mackiewicz zauważa, że polityka Niemiec względem Polski jest „łańcuchem, który przykuwa Polaków do rydwanu rosyjskiego”, ponieważ traktują one Polskę jako kartę przetargową w rozgrywce z Rosją. Dowodzi tego w oparciu o tzw. „doktrynę Hallsteina”.

Doktryna sformułowana w 1955 r. przez wiceministra RFN Waltera Hallsteina mówiła o wyłącznym prawie do reprezentowania Niemiec na arenie międzynarodowej przez Republikę Federalną. Konsekwencją prowadzenia polityki w myśl tej doktryny było zrywanie stosunków dyplomatycznych z każdym krajem, które uznałoby Niemiecką Republikę Demokratyczną. Ale w tym samym 1955 r. kanclerz Adenauer odwiedził Moskwę, nawiązując stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Sowieckim, co było oczywistym odstępianiem od doktryny Hallsteina, choć w stosunku do innych państw – w tym Polski – była ona konsekwentnie realizowana¹⁹.

Cat dowodzi, że wobec odzywających się głosów niemieckich o rewizji granicy z Polską prowadzenie polityki według doktryny Hallsteina z wyłączeniem Związku Sowieckiego jest zabiegiem wybitnie prosowieckim, wzmacniającym pozycję sowiecką w Europie Środkowej. Píše, że stanowisko niemieckie „wyraża nadzieję, że kiedyś [Niemcy] będą mogły dojść z Rosją do porozumienia i to właśnie kosztem Polski”.

¹⁹ W. Roszkowski, op. cit., s. 93. Stosunki dyplomatyczne między Polską a RFN zostały nawiązane dopiero 14 września 1972 r.

16. Rozwiązuję zagadkę pewnego artykułu

I

W połowie lipca 1965 r., kiedy Cat przebywał w uzdrowisku w Solcu-Zdroju, w Ministerstwie Kultury i Sztuki odbyła się konferencja, w której prócz ministra Lucjana Motyki wziął udział również prokurator generalny Kazimierz Kosztirko. Przedstawiono na niej zarzuty pod adresem Stanisława Mackiewicza, Januarego Grzędzińskiego i Jana Nepomucena Millera w związku z publikowaniem w prasie emigracyjnej „opracowań-paszkwilów wymierzonych przeciwko Polsce Ludowej, szkalujących nasz kraj, stosunki gospodarcze i kulturalne w Polsce”. Przypomniano ponadto majową uchwałę warszawskiego Związku Literatów „uznającą współpracę z wrogimi Polsce ośrodkami propagandy za granicą – za nie licujące z godnością pisarza polskiego”²⁰.

Mackiewicz napisał wówczas do Pawlikowskiego: „Co mi teraz pozostaje? – Podobno mogę zabiegać o paszport zagraniczny, ale przecież nie dlatego wracałem do kraju, aby powracać na emigrację. Najlepiej byłoby umrzeć i nie mam żadnego strachu przed śmiercią, ale nie stać mnie na popełnienie samobójstwa”²¹.

II

Bezpośrednio przed konferencją ukazał się w „Kulturze” następny artykuł podpisany nazwiskiem Gaston de Cerizay pod tytułem „Adwokatura po roku – czyli zbędni ludzie w służbie przemocy”²².

W grudniu 1963 r., po wcześniejszym przypuszczeniu ostrego ataku na palestrę, przyjęto ustawę o nowym ustroju adwokatury. Na jej podstawie zwią-

²⁰ [Bez autora], *Sprawa Cata-Mackiewicza, J. Grzędzińskiego i J. N. Millera*, „Trybuna Ludu” z dn. 16 VII 1965. Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 23 VII 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego...*

²¹ List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 23 VII 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego...* Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 X 1965, [za:] ibidem.

²² G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Adwokatura po roku – czyli zbędni ludzie w służbie przemocy*, „K”, nr 7/213-8/214 (1965).

szeno uprawnienia ministra sprawiedliwości, ograniczono samorząd adwokacki i zniesiono Zjazdy Adwokatury²³.

Ustawa ta wraz z wywiadem udzielonym przez prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej Stanisława Godlewskiego²⁴ są główną osią rozważań autora.

Artykuł opatrzony jest mottem: „Gdzie rząd łotrów używa za swoje narzędzie,/ tam sądzony cnotliwszy aniżeli sędzie”.

Czytamy:

W każdym cywilizowanym kraju adwokatura predestynowana jest do zajmowania szczególnego miejsca wśród jego elity i dlatego jest obiektem żywego zainteresowania rządu. W państwie polskim, gdzie wolności nie ma w ogóle, zainteresowanie to przejawia się z wyjątkową siłą. Względny spokój pierwszych lat powojennych połączony z zapewnieniami władzy o normalnym rozwoju adwokatury podyktowane były wyłącznie taktyką. Władze zbierały informacje na temat członków palestry i przygotowywały się do wprowadzenia nowego ustroju adwokackiego.

Pod przykrywką tzw. „akcji weryfikacyjnej” zaczęto zmuszać adwokatów do podejmowania współpracy z bezpieką, grożąc m. in. odmową weryfikacji. W konsekwencji doprowadzono do całkowitej infiltracji palestry. Ponadto władze zaczęły wpisywać na listy adwokatów ludzi nieposiadających wykształcenia prawniczego, ale „rzekomo wykształconych działaczy w tej dziedzinie”.

„Październik” przyniósł co prawda chwilowe wytchnienie, ale Gomułka dość szybko rozwiął złudzenia tych, którzy liczyli na trwałą liberalizację stosunków w Polsce Ludowej. Występujący tylko w Polsce i nigdzie indziej w krajach satelickich tak zwany „immunitet praworządności” polega na tym, że „nikomu (...) nie wolno ingerować w poczynania danego organu czy urzędu, który wykonując swoją «autonomiczną» władzę, na zasadzie jemu tylko dostępnej interpretacji przepisów prawa, dopuszcza się w istocie grubego naruszenia prawa”. Funkcjonujący w Polsce „mit praworządności” całkowicie uniemożliwia obywatelowi dochodzenia swoich praw, blokuje wszelką inicjatywę.

²³ F. Sadurski, *Adwokatura polska w latach 1944-1988*, „Palestra”, nr 11/371-12/372 (1988), s. 97-98. Więcej na ten temat zob. Z. Wasik, Z. Witkowski, *Problem podporządkowania adwokatury w Polsce Ludowej*, „Palestra”, nr 1/301-2/302 (1983).

²⁴ Wywiad wydrukowany w: „Prawo i Życie”, nr 2/228 (1965).

Środowisko adwokackie jest zbiorem ludzi wysoce inteligentnych i wyrobionych, środowiskiem o mocnych tradycjach wolnościowych i z tego powodu władze nie mogły brutalnie go pacyfikować bez narażania się na powszechny opór społeczeństwa polskiego i środowisk kulturalnych zagranicą. Dlatego też rozpętano kampanię oskarżeń przeciw palestrze, mającą na celu jej dyskredytację w oczach społeczeństwa i milczące przyzwolenie na pacyfikację adwokatury. Wszystko to doprowadzało do ekstremalnych sytuacji w postaci prób odebrania sobie życia przez adwokatów i samobójczych śmierci.

Na zakończenie autor daje charakterystykę wspomnianego Stanisława Godlewskiego – najpierw sędziego wojskowego, następnie pracownika wydziału prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, nie posiadającego odpowiedniej praktyki w zawodzie adwokata, wyniesionego z poparciem władzy do najwyższych stanowisk kierowniczych, które obejmują tylko „posłuszne kreatury”.

Tyle treść – przejdźmy do krytyki.

III

Ośrodek Myśli Politycznej wydał jakiś czas temu pracę zbiorową pt. „Patriotyzm i zdrada”. Znajdujemy tam rozważania Macieja Zakrzewskiego o Stanisławie Mackiewicz, w których nawiązuje do omawianej tu przeze mnie publicystyki Gastona de Cerizay i cytuje jego opinię o Gomułce zaczerpniętą z artykułu „Adwokatura po roku”²⁵.

Nie myślę znęcać się tu nad autorem, ale wystarczyło sumiennie przeczytać – przywoływaną zresztą przez niego – biografię pióra Jaruzelskiego i spojrzeć na tekst Gastona de Cerizay krytycznie, aby skonstatować, że nie wyszedł on spod ręki Mackiewicza.

Pod koniec lipca 1965 r. Cat pisał do Pawlikowskiego: „Obecnie, jak pewnie słyszałeś, zostałem oskarżony z 23 art. małego kodeksu karnego przewidu-

²⁵ M. Zakrzewski, *Polityczne (roz)grzeszenie Cata*, [w:] „Patriotyzm i zdrada. Granice realizmu i idealizmu w polityce i myśli polskiej”, red. J. Kłoczowski, M. Szuldrzyński, Kraków 2008, s. 174-175. ³⁶⁸ Cat powiedział na przesłuchaniu: „Do publikowania moich artykułów w «Kulturze» pod wskazanym powyżej pseudonimem skłoniło mnie zaostrożenie cenzury w kraju oraz nie wydanie w Polsce mojej książki o Becku, która wydana została w Paryżu przez Giedroycia”. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Przesłuchanie S. Mackiewicza z dn. 22 VI 1965.

jącego karę od 3 do 15 lat więzienia bez prawa korzystania z instytucji zawieszenia kary. Chodzi o artykuły podpisane Gaston de Cerizay w «Kulturze», do autorstwa których się przyznałem³⁶⁸. Ale już po wszczęciu sprawy ukazał się w lipcowym numerze «Kultury» artykuł: «Adwokatura po roku, czyli zbędni ludzie w służbie przemocy». Artykuł ten nie jest mego pióra, nic o nim nie wiedziałem, okazany mi został dopiero na policji. Poza tym oburza mnie, że «Kultura» nie poznała, że ta szmira nie jest pisana moim stylem i moim językiem. Jest to coś co można nazwać skurwysyństwem, jeśli się chce szukać «le mot juste» [fr. odpowiedniego słowa]²⁶.

Kiedy pierwszy raz zetknąłem się z tym listem pomyślałem, że Mackiewicz próbował ponownie zmylić bezpiekę. Doszedłem do wniosku, że byłoby to posunięcie chybione, bo przecież materiału dla oskarżenia było wystarczająco dużo, ale nie mogłem tego wykluczyć. Dalsze jednak zgłębianie problemu potwierdziło, że mój początkowy trop był całkowicie błędny.

Sama już analiza literacka „Adwokatury po roku” budzi poważne wątpliwości. Nie znajdziemy tutaj tak charakterystycznych dla stylu Cata: anegdot, dialogów, analogii czy dygresji. Artykuł napisany jest – jak zechciał wyrazić się swego czasu Czesław Miłosz – martwym językiem dziennikarskim, pozbawionym temperamentu i żywości. Na sześciu stronach tekstu znajdujemy tylko pięć akapitów – układ całkowicie obcy publicystyce Mackiewiczza.

Czytelnik może jednak wątpić w moje umiejętności krytycznoliterackie. Jestem przygotowany również i na taki zarzut.

Jan Nowak-Jeziorański po konsultacji telefonicznej z Grydzewskim i analizie tekstu definitywnie odrzucił autorstwo Mackiewiczza. Nowak otrzymał

²⁶ List S. Mackiewiczza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 23 VII 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewiczza*.... M. F. Rakowski zapisał w swoich dziennikach: „Cat-Mackiewicz drukował w paryskiej «Kulturze», oczywiście pod pseudonimem, artykuły o sytuacji politycznej kraju. Ostatni artykuł oskarżający władze polskie o wprowadzenie hitlerowskich metod do wymiaru sprawiedliwości stał się podstawą wszczęcia śledztwa przeciwko niemu. Ciekawym szczegółem jest dementi Cata, który twierdzi, że tego artykułu nie napisał i w zawołowanej formie oskarża władze bezpieczeństwa o prowokację. Podobno prowokatorem jest adwokat, niejaki Ketling. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale wydaje mi się, że cała ta heca jest niepotrzebna. Po co urządzamy takie szopki ze starymi ludźmi, którym należałoby dać spokój? Tym bardziej, że wojny z nimi nie wygramy”. M. F. Rakowski, op. cit., wpis z dn. 1 IX 1965.

od Grydzewskiego kopię oryginału artykułu, który był opatrzony odręcznymi dopiskami, nie przypominającymi charakteru pisma ani Cata, ani Jana Nepomucena Millera. Odrzucił jednocześnie prowokację ze strony reżimu, gdyż ujawnienie tych niewygodnych informacji nie byłoby mu na rękę. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej „jakieśmu adwokatowi zależało na umieszczeniu tego tekstu w prasie emigracyjnej”²⁷. Mackiewicz był oburzony. Chciał koniecznie zamieścić sprostowanie w prasie polskiej²⁸, ale jej łamy nie zostały mu udostępnione, więc wściekał się: „Każdy to przyzna, kto zna mnie i mój sposób pisania. W artykule tym zaatakowane zostały osoby prywatne. Posłał to jakiś adwokacina, a redakcja «Kultury» dała się nabrać”. Twierdził ponadto, że tekst opatrzony jest „idiotycznym tytułem”²⁹.

Cat dzwonił do Giedroycia celem wyjaśnienia sprawy. Zaprotestował, aby był autorem artykułu oraz pobierał za swoje teksty honoraria w dolarach. Rozmowa miała mieć charakter „bojowy”³⁰.

Giedroyc zauważył, że artykuł został napisany na tej samej maszynie i tym samym papierze co poprzednie teksty Gastona de Cerizay oraz był opatrzony wyraźnym podpisem. Na tej podstawie nie miał wątpliwości, że wyszedł spod ręki Cata. Obiecał przygotować sprostowanie dla prasy emigracyjnej i francuskiej oraz dla francuskiego radio³¹.

W kolejnym numerze „Kultury” Mieroszewski pisał, że redakcja padła ofiarą ubeckiej prowokacji i nie ma najmniejszej wątpliwości, że Mackiewicz nie jest autorem „Adwokatury po roku”³².

²⁷ List J. Nowaka do J. Giedroycia z dn. 31 VII 1965, [za:] J. Nowak-Jeziorański, J. Giedroyc, op. cit.

²⁸ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Donos A. Dutlingera z dn. 21 VII 1965.

²⁹ Ibidem.

³⁰ Ibidem, Notatka służbowa St. K. z sierpnia 1965. Por. Ibidem, Notatka służbowa z rozmowy z „Januszem” z VIII 1965. Rozmówcy „Janusza”, którzy nie za bardzo lubią Cata, uważają jego protesty za kłamstwo.

³¹ Ibidem.

³² Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K”, nr 9/215 (1965), s. 81. Myli się M. Ptańska-Wójcik pisząc, że artykuł „został przez funkcjonariuszy [SB] przesłany do redakcji miesięcznika jako tekst Mackiewicza”. Autorka bazuje wyłącznie na źródłach paryskich. Poniżej wyjaśniam całą sprawę. Por. M. Ptańska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 166.

IV

Do powyższych wniosków doszedłem już dawno, natomiast długo nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie: kto jest autorem tego tekstu? Udałem się więc do Instytutu Pamięci Narodowej i tam znalazłem rozwiązanie zagadki.

Przeglądam oto protokoły przesłuchań Cezarego Ketlinga-Szemleya³³, który twierdził, że artykuł „Adwokatury po roku” został mu okazany w rękopisie przez Januarego Grzędzińskiego. Kiedy zaproponował naniesienie poprawek, Grzędziński miał odpowiedzieć, że nie można tego robić bez zgody Stanisława Mackiewicza³⁴. Ketling-Szemley otrzymał następnie od Grzędzińskiego dwa egzemplarze „Adwokatury po roku”. Wcześniej przekazywał mu on także inne teksty Gastona de Cerizay, z których robił odpisy. Po wprowadzeniu odręcznych poprawek, Ketling przesłał egzemplarze zagranicę. Pierwszy – do niejkiej pani Rozen z Paryża, z odręcznym dopiskiem Grzędzińskiego „Monsieur – Vemlles”, co miało oznaczać, aby adresatka posłała przesyłkę do Mieczysława Grydzewskiego. Drugi – do swego znajomego Bazylego Winniczka mieszkającego w Brukseli, z prośbą o przekazanie artykułu Giedroyciowi³⁷⁸.

Ketling-Szemley podejrzewał, że autorem „Adwokatury po roku” jest prawdopodobnie Januarey Grzędziński. Wskazywałoby na to kilka okoliczności. Miał się on żywo interesować stanem polskiej adwokatury i od dawna nosić się z napisaniem tekstu na ten temat, w którym bardzo dobrze się orientował. Ponadto otrzymał od Ketlinga dokumenty uzyskane przez niego od znajomych adwokatów. Treść tych dokumentów miała zostać wykorzystana w omawianym artykule³⁵.

Grzędziński stwierdził na przesłuchaniu, że może i dawał do wglądu pewne

³³ Cezary Ketling-Szemley (1915-1979) – od 1939 r. członek lewicowej Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN). Po jej rozbiciu przez Gestapo w 1940 r. reaktywował organizację i stanął na jej czele (PLAN II). Posługiwał się pseudonimami „Janusz” i „Ketling”. Organizował pomoc dla powstańców w getcie. 21 lutego 1943 r. skazany przez sąd AK na karę śmierci. Po wojnie zmienił nazwisko na Janusz Ketling-Szemley.

³⁴ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Protokół z przesłuchania Ketlinga-Szemley’a z dn. 15 VII 1965. ³⁷⁸ Ibidem, Protokół z przesłuchania Ketlinga-Szemley’a z dn. 8 VII 1965.

³⁵ Ibidem. Ketling nie wykluczał, że artykuł powstał przy współpracy Cata-Mackiewicza.

opracowania swoje i swych znajomych, natomiast ani on sam niczego nie wysłał zagranicę, ani nie prosił o to Ketlinga³⁶.

Jeżeli wierzyć zeznaniom Ketlinga-Szemleya, to rozwiązanie zagadki jest jasne: artykuł „Adwokatura po roku – czyli zbędni ludzie w służbie przemocy” wyszedł spod ręki Januarego Grzędzińskiego³⁷.

17. Artykuły ostatnie i nieznane

I

W przeprowadzonej pod koniec sierpnia 1965 r. rozmowie ze Stefanem Olszewskim i Stanisławem Nadzinem – odpowiednio sekretarzem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i rzecznikiem Zarządu Głównego SDP – zdenerwowany i rozgoryczony Mackiewicz odgrażał się, że we wrześniowym numerze „Kultury” ukaże się jego następny tekst. Mówił przy tym: „dopiero zobaczycie co ja jestem, nawet oko wam zbieleje”³⁸.

Mackiewicz zdecydował się pójść na ostry konflikt z władzą. Artykuł ukazał się rzeczywiście, nosił tytuł: „Podziemie gospodarcze” i był podpisany wszystko już wtedy mówiącym pseudonimem Gaston de Cerizay³⁹.

Tekst jest naświetleniem wybranych zakłamań, jakich autor dopatrywał się w Polsce Ludowej:

Zakłamanie symboliczne – nazwa Polska Rzeczpospolita Ludowa sugeruje wyraźnie, że klasą uprzywilejowaną powinien być lud wiejski, podczas gdy nie posiada on żadnych praw.

Zakłamanie klasyczne – opisane na przykładzie kazusu Juliana Haraschina, do którego wróć za chwilę.

³⁶ Ibidem, Protokół z przesłuchania Ketlinga-Szemley’a z VII 1965. Por. A. J. Cieślíkowa, op. cit., 376381.

³⁷ Nie widzę podstaw, aby twierdzić, że zeznania Ketlinga były nieprawdziwe, a tym bardziej, że artykuł „Adwokatura po roku” był prowokacją bezpieki. Nie znalazłem żadnych dokumentów w IPN, które by to potwierdzały – wręcz przeciwnie, zamieszanie wokół tekstu widoczne w tych dokumentach sugeruje, że bezpieka nie miała z nim nic wspólnego.

³⁸ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa z rozmowy „O. S.” z Catem-Mackiewiczem z dn. 4 IX 1965. Por. Ibidem, Notatka z rozmowy S. Olszewskiego i S. Nadzina z Catem-Mackiewiczem z dn. 23 VIII 1965.

³⁹ G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Podziemie gospodarcze*, „K”, nr 9/215 (1965).

Zakłamanie przemysłne i celowe – w 1965 r. założono w Warszawie tygodnik „Forum”, na łamach którego ukazują się przedruki z prasy światowej. Zakłamaniem ma być wybieranie artykułów dotyczących państw zachodnich według klucza, które państwa te ma przedstawiać w jak najgorszym świetle.

Zakłamanie prawne – opisane na podstawie rozmijania się zapisów dotyczących wyborów z praktyką wyborczą oraz łamania przez państwo prawa do tajemnicy korespondencji.

Zakłamanie gospodarcze⁴⁰ – Polska jest całkowicie uzależniona gospodarczo od Rosji, a jakiekolwiek bliższe informacje o wymianie towarowej między tymi krajami jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Rosja „wyzyskuje nasze możliwości gospodarcze jak tylko chce”, choć poziom życia w Polsce jest cały czas lepszy niż w Rosji.

Dalej autor zadaje pytanie: skoro zarobki w Polsce są godne pożałowania, to jakim sposobem Polaków stać nierzadko na całkiem przyzwoite życie? Odpowiedź zawiera się jego zdaniem w słowach: podziemie gospodarcze. Ludzie, którzy brzydzą się zwykłą kradzieżą przestają za nią postrzegać dobra uzyskane od państwa na podstawie wszelkich kombinacji i przekrętów – rozróżniają „organizowanie” od „kradzieży”.

Mackiewicz pisze: „Pod względem gospodarczym to podziemie gospodarcze jest czynnikiem dodatnim. Inaczej jest jednak pod względem moralnym. Tutaj ma to skutki wręcz katastrofalne. I dlatego z największym niepokojem i troską myśleć należy o moralnym zdrowiu młodego pokolenia w Polsce”.

II

Julian Haraschin urodził się w 1912 r. w Krakowie⁴¹. Na krótko przed wybuchem drugiej wojny ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i podjął pracę jako urzędnik cywilny. W czasie kampanii wrześniowej dwukrotnie pojmany przez Niemców (z czego raz uciekł), osadzony w obozie dla oficerów, choć oficerem nie był – nosząc jako komendant poczty

⁴⁰ Określenie „zakłamanie gospodarcze” pochodzi ode mnie, reszta – od autora tekstu.

⁴¹ Informacje biograficzne przytaczam na podstawie: F. Musiał, *Julian Polan-Haraschin (1912-1984), sędzia WSR w Krakowie*, [w:] „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944-1989”, nr 1 (2004).

polowej umundurowanie podobne do wojskowego doszył elementy sugerujące funkcję kapitana.

Po zwolnieniu w sierpniu 1940 r. do końca wojny pracował w Biurze Budowy Telefonów, później w Biurze Transportu Dyrekcji Monopoli w Krakowie. W tym okresie był dwukrotnie aresztowany przez gestapo i dwukrotnie zwalniany. Posługując się sfałszowanymi dokumentami będzie w przyszłości przypisywał sobie działalność w AK w latach 1940-1945. W grudniu 1945 r. zmobilizowany do Ludowego Wojska Polskiego i skierowany do wymiaru sprawiedliwości. W latach 1946-1951 był zastępcą szefa Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie. Wsławił się wtedy szczególną bezwzględnością, wydając kilkadziesiąt wyroków śmierci i zyskując sobie wśród działaczy niepodległościowych przydomek „Krwawy Julek”.

Na początku 1950 r. doktoryzował się na Wydziale Prawa UJ. W 1951 r. został zwolniony z wojska. Od początku swej kariery w Polsce Ludowej był pod stałą obserwacją jako „element przypadkowy”. Podejrzewano go m. in. o niepewne kontakty czy przywłaszczanie korzyści materialnych.

Na przełomie lat 40-tych i 50-tych pisał „doniesienia obywatelskie” dla bezpieki, nie podejmując przy tym formalnej współpracy. Cały czas pozostawał pod obserwacją. Po zwolnieniu z wojska zajął się m. in. wykładami w dziedzinie prawa karnego. Od początku marca 1952 r. był etatowym pracownikiem Katedry Postępowania Karnego Wydziału Prawa UJ. Wspinając się w hierarchii doszedł w 1961 r. do stopnia stałego wykładowcy. Ponadto w latach 1955-1962 był kierownikiem Studium Zaocznego na Wydziale Prawa UJ. W połowie czerwca 1962 r. Haraschin został po dłuższym rozpracowywaniu aresztowany i skazany na 9 lat więzienia i 35 tys. złotych grzywny za łapownictwo, fałszowanie wyników egzaminów i sprzedawanie dyplomów. Następnie podjął współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa w zamian za wcześniejsze zwolnienie z więzienia. Ale dalsze jego losy nie będą nas w tym miejscu interesować.

W artykule „Podziemie gospodarcze” Mackiewicz zajmuje się sprzedawaniem przez Haraschina dyplomów w czasie, kiedy kierował on Studium Zaocznym, ale piętnuje nie tyle samego Haraschina, którego вина była w tym wypadku oczywista, a profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy pod tymi haraschinowskimi dyplomami składali swoje podpisy. Autor przytacza bardzo

szczegółowe informacje. Czytamy na przykład wymianę zdań jaka miała miejsce podczas rozprawy zamkniętej przeciw Haraschinowi, kiedy przesłuchiwany był jeden z tych, który zakupili u niego dyplom:

– „Czy pan może mi powiedzieć kto to jest? (tutaj przewodniczący wskazuje na osobistość o reprezentacyjnej powierzchowności, siedzącą na ławie świadków)”.

– „Nie, obywatelu przewodniczący, nie znam tego pana, nigdy go nie widziałem”.

– „Czy jest pan zupełnie pewny, że widzi go pan po raz pierwszy?”

– „Tak jest, obywatelu przewodniczący”.

– „A przecie to jest dziekan Wydziału Prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, profesor Wolter, który jest na pierwszym miejscu podpisany na pańskim dyplomie magisterskim, który tam stwierdza, że egzaminował pana...”

Mackiewicz pisze: „Oczywiste jest, że ten profesor Wolter powinien być oskarżony na równi z Haraschinem i siedzieć dzisiaj w więzieniu, ale wtedy wszyscy profesorowie prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego z wyjątkiem tych, którzy odmówili Haraschinowi swych podpisów, powinni siedzieć dziś w więzieniu”. Cat uważa za karygodne, że „w obawie zbyt wielkiego skandalu” profesorowie uniknęli odpowiedzialności i mają jeszcze czelność – tu dale przykład prof. Konstantego Grzybowskiego – „pouczać nadal biedną młodzież i starsze społeczeństwo o prawie i moralności”.

Konstatacje Mackiewicza spotkały się z kontrą anonimowego autora, który na początku 1966 r. opublikował w „Kulturze” artykuł pt. „Historia Haraschina”. Jest on poprzedzony wstępem, w którym autor bezpośrednio odnosi się do artykułu Gastona de Cerizay twierdząc, że jest on oparty przede wszystkim na niesprawdzonych, często krzywdzących plotkach. Natomiast swój tekst traktował jako „rekompensatę moralną dla osób pokrzywdzonych przez artykuł G. de Cerizay”⁴².

Autor swym rozbudowanym, szczegółowym i napisanym nienajgorszym językiem artykułem ściąga winę z prof. Grzybowskiego i prof. Woltera (choć,

⁴² [Bez autora], *Historia Haraschina*, „K”, nr 1/219-2/220 (1966). ³⁸⁷ S. Mackiewicz, List do Redakcji, „K”, nr 3/221 (1966).

co ciekawe, nie staje *explicite* w ich obronie), przerzucając ją m. in. na „niewątpliwych współników” Haraschina: Opalka, dziekana Wydziału Prawnego UJ i docenta Walasa. Obaj autorzy powołują się wyłącznie na nikomu więcej nieznane źródła, więc krytyka tych głosów jest bardzo trudna. W takiej też formie Mackiewicz odpowiada autorowi artykułu „Historia Haraschina” w liście do redakcji: „Niestety bogactwo zapewne prawdziwych szczegółów w artykule o Haraschinie robi na mnie przykre wrażenie, jakby ich celem było «zagadanie» czy też rzucenie woalu, odwrócenie przy pomocy jaskrawych reflektorów, uwagi czytelnika od tego faktu, że kilkunastu profesorów wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego podpisywało fałszywe świadectwa na skutek prośby, czy też presji ze strony Haraschina. Profesorowie ci nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej, a tylko zeznawali w charakterze świadków. Znajdowali się wśród nich ludzie, którzy nadal piszą artykuły pouczające. Toteż autor artykułu *pisze nieprawdę*, gdy na wstępie do swoich rewelacji twierdzi o mnie: «jest rzeczą ubolewania godną, że autor dysponując powodzią niesprawdzonych pogłosek i plotek» itd. Informacje o profesorach kładących swe podpisy pod fałszerstwami otrzymałem ze źródeł pierwszorzędnych i niestety są one zupełnie ścisłe”³⁸⁷.

III

Podczas rewizji w mieszkaniu Mackiewicza przeprowadzonej pod koniec czerwca 1965 r. skonfiskowano między innymi artykuły, które miały dopiero zostać wysłane do „Kultury”⁴³. Jednocześnie bezpieka przejmowała wysłane już teksty, zaadresowane na nazwisko Karola Zbyszewskiego w Londynie. W rozdziale niniejszym omawiam część z tych artykułów, resztę dotyczącą kard. Stefana Wyszyńskiego i listu biskupów polskich do biskupów niemieckich – w rozdziale następnym.

W czerwcu 1965 r. powstał tekst pt. „Koncentracja wszelkiego kapitału w rękach państwa”, podpisany znów pseudonimem Gaston de Cerizay⁴⁴. Mackiewicz pisze o mającej rozgrywać się na najwyższym szczeblu władzy walce

⁴³ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Protokół rozpytania z dn. 22 VI 1965.

⁴⁴ Ibidem, Odpis artykułu G. de Cerizay pt. „Koncentracja wszelkiego kapitału w rękach państwa”.

klik. Plotki mówią nawet o ewentualnym zamachu stanu, który mógłby przeprowadzić Moczar, w co jednak – wobec mocnej pozycji Gomułki – Mackiewicz w ogóle nie wierzy. Píše jednak: „Stosunki pomiędzy Gomułką a Moczarem – oto jest właściwy klucz do zrozumienia naszej teraźniejszości i poniekąd naszej najbliższej przyszłości”. Przedstawiając wyobrażenia na temat kraju Polaków, którzy od 1939 r. pozostawali na emigracji, opowiada następującą anegdotę: pewnego razu Chruszczow przyjechał do Francji. Jego tłumacz gdzieś się zgubił, więc skorzystał z usług urzędnika francuskiego. Kiedy wyraził podziw wobec posługiwania się przez niego rosyjskim, ten odpowiedział: „Bo ja jestem ksiązę Andronnikow, przyjechałem do Francji z rodzicami, kiedy miałem dwa lata”.

Podobnie Polacy – pisze autor – którzy od czasów wojny pozostają na emigracji nie mogą mieć większego pojęcia o stosunkach panujących w Polsce Ludowej. A stosunki te sprowadzają się do tytułowej koncentracji kapitału w rękach państwa.

Związki zawodowe, odgrywające w państwach kapitalistycznych formę obrony praw robotników wobec pracodawcy są w państwie socjalistycznym niczym innym jak państwową agenturą. Państwo socjalistyczne, koncentrując w swych rękach cały kapitał, może przeznaczyć go na przykład na zbrojenia. Położenie Rosjanina tym jednak różni się od położenia Polaka, że posiada on satysfakcję pozostawania obywatelem państwa potężnego.

Mackiewicz powraca ponownie do kwestii podziemia gospodarczego. Zaznacza: „W każdym razie zmienił się zupełnie stosunek do społeczeństwa do osób skazanych za przestępstwa gospodarcze. (...) Oburza mnie to, jako moralistę, widzę w tym deprawację, za którą naród później będzie ciężko pokutował, ale jako socjolog widzę w tym zrozumiałą reakcję na ten stan bzdurstw i nonsensów, który się nazywa gospodarką socjalistyczną”.

Na zakończenie obala pogląd, jakoby członkowie partii należeli do niej z powodów ideowych. Partia to przede wszystkim elita, przynależność do niej daje określone korzyści. Ale już zwykli, szeregowi członkowie, przede wszystkim pochodzenia chłopskiego, uczestniczą jak najbardziej w obrzędach religijnych, a komuniści każdego szczebla mają otwarcie opowiadać sobie niewybredne dowcipy polityczne.

IV

Na początku grudnia 1965 r. Mackiewicz wysłał na adres Karola Zbyszewskiego w Londynie polemikę pt. „Marksem w marksizm”, napisaną w związku z wydaniem przez prof. Adama Schaffa książki „Marksizm a jednostka ludzka”⁴⁵. Artykuł ten również nigdy nie ujrzał światła dziennego, został skonfiskowany przez bezpiekę zanim dotarł do adresata⁴⁶.

Po przesłaniu drogi ideowej prof. Schaffa od oddanego budowniczego Polski Ludowej na pozycje rewizjonistyczne Mackiewicz polemizuje z jego twierdzeniem, że społeczeństwa polskie i rosyjskie nie doświadczyły w swych dziejach poważniejszego okresu demokratyczno-parlamentarnego. O ile można zgodzić się co do Rosji, to wypowiedzenie podobnych słów w stosunku do Polski, jednego z krajów o najstarszych tradycjach demokratycznych, zakrawa zdaniem Cata na śmieszność.

Mackiewicz zauważa, że Schaff swoimi wywodami mimochodem ośmiesza samego Marksa, który jako uczony należy już do historii: „Życie i doświadczenie wykazało całą śmieszność jego teorii. Nauką jest tylko to, co jest potwierdzone przez doświadczenie, przez eksperyment”. Marksizm w praktyce okazał się natomiast całkowitą porażką.

Prof. Schaff twierdzi, że marksizm dąży do ustroju zapewniającego jednostce swobodny rozwój, a w konsekwencji szczęśliwą egzystencję. Píše nawet: „Dlatego właśnie najkrótsza a zarazem chwytająca istotę rzeczy definicja komunizmu marksistowskiego brzmi: komunizm – humanizm w praktyce”. Mackiewicz odpowiada: komunizm jest praktykowany od prawie pół wieku i jedyne co przyniósł to nie rozwój jednostki i jej szczęście, ale zniewolenie oraz pozbawienie wszelkich praw.

Dyskusję na temat książki prof. Schaffa, jak odbyła się w redakcji „Nowych

⁴⁵ Ibidem, Odpis artykułu G. de Cerizay pt. „Marksem w marksizm”. Zob. A. Schaff, *Marksizm a jednostka ludzka. Przyczynek do marksistowskiej filozofii człowieka*, Warszawa 1965.

⁴⁶ Bezpieka skonfiskowała również następny list Mackiewicz do Zbyszewskiego, w którym prosił o wprowadzeniu do tekstu „Marksem w marksizm” poprawek, w tym skreślenie całego ostatniego rozdziału, w którym pisze o przemilczaniu przez władzę strajków, przestępstw itd.

Dróg” Mackiewicz uważa za nudną i przefilozofowaną, w dodatku oderwaną od rzeczywistości, bo o żadnej wolności jednostki w państwie socjalistycznym nie może być mowy⁴⁷. O wszelkich strajkach, nawet o morderstwach i rabunkach społeczeństwo w ogóle nie jest informowane „w imię zasady, że dziecko powinno wiedzieć tylko to, co mu mama powie, a czytelnik polski jest tym dzieckiem”.

V

W teczkach Mackiewicza w Instytucie Pamięci Narodowej znalazłem inny jeszcze artykuł, skonfiskowany na początku 1966 r. – bez tytułu, podpisany nazwiskiem Antoni Antoniewicz i zaadresowany na nazwisko Karola Zbyszewskiego z prośbą o przekazanie Giedroyciowi⁴⁸.

Artykuł napisany został na marginesie przygotowań do państwowych obchodów „Tysiąclecia Państwa Polskiego”. Mackiewicz zajmuje się w nim podręcznikami do historii dla klas liceum, które otrzymał od pewnego znajomego ucznia: „Myślałem, że te kilka tomów przeczytam z łatwością. Tymczasem przeglądałem je przez kilka tygodni, do tego stopnia jest to lektura odrażająca, szkaradna, a przede wszystkim smutna”.

Na kartach tych podręczników gloryfikuje się Marksa i Lenina, choć – jak zauważa Cat – obecna sytuacja w Związku Sowieckim i w Polsce nie ma nic wspólnego z poglądami przez nich wyrażanymi. W każdym opisie danego konfliktu międzynarodowego książki biorą stronę rosyjską, w opisie każdego konfliktu społecznego – stronę robotników, w każdej awanturze uniwersyteckiej – stronę studentów. Wszystko to miejscami upodabniać się ma do humoru z zeszytów szkolnych typu: „Konopnicka dopiero po zamążpójściu poznała ciężką pracę chłopą”. Zdanie to Mackiewicz zestawia z przykładem z podręcznika do

⁴⁷ Mackiewicz pisze o „trzymaniu ludzkiej myśli w obcęgach” w Polsce Ludowej, nawiązując wyraźnie do tytułu swej wydanej przed wojną książki. Zob. S. Mackiewicz, *Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów*, Kraków 2012.

⁴⁸ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Odpis listu S. Mackiewicza do K. Zbyszewskiego z dn. 26 I 1966 i załączonego do niego artykułu (bez tytułu). Antoni miał na imię ojciec Mackiewicza, Antoniewicz to *otczestwo*. Autorstwo Mackiewicza ustaliłem na podstawie treści listu do Zbyszewskiego.

„Historii Polski 1795-1864”: „Ksawery Drucki Lubecki działając w interesie wielkich właścicieli folwarków starał się zaszcześcić w Królestwie kapitalistyczny przemysł na feudalnym podłożu”.

O ile jednak podręczniki gloryfikują wszelkie strajki i wystąpienia studenckie, o tyle współczesnym robotnikom polskim „wyraz strajk jest znany tylko i wyłącznie dlatego, że w prasie krajowej spotyka się ciągle z entuzjastycznymi opisami strajków w krajach kapitalistycznych”. Najmniejsze próby strajku są natychmiast brutalnie pacyfikowane. Natomiast sytuację wystąpień studenckich najlepiej widać było zdaniem autora na przykładzie Karola Modzelewskiego, który za krytykę „stosowania komunizmu w sposób doktrynalny” został „zakuty w kajdany”.

18. Kardynał Wyszyński i list biskupów

I

Spośród artykułów, które nigdy nie zostały opublikowane, a które omawiałem w poprzednim rozdziale, wyłączyłem te dotyczące kardynała Stefana Wyszyńskiego i spraw kościelnych. Problem ten wymaga osobnego omówienia.

Ewolucja poglądu Mackiewicza na działalność publiczną kard. Wyszyńskiego przedstawia się bardzo interesująco. W czerwcu 1958 r. Cat po dłuższej przerwie w kontaktach spotkał się z funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Scharakteryzował wówczas kard. Wyszyńskiego w słowach: „Panie, to żaden polityk, to żaden realista, to księżyna pokornie słuchający swego zwierzchnictwa. Uważałem go kiedyś za męża stanu. Dziś widzę, że daleko mu do podobnej rangi”⁴⁹.

W połowie 1959 r. razem z Januszem Radziwiłłem i Aleksandrem Bocheńskim podjął decyzję o próbie powołania komitetu doradczego przy kard. Wyszyńskim, który miałby charakter mediacyjny i opierałby się na przedstawicielach wszystkich grup katolickich w Polsce. Mackiewicz uważał za konieczne powołanie takiego ciała w sytuacji, kiedy ówczesny komitet doradczy, złożony – jak zechciał się wyrazić publicysta – z „durniów” prowadzić miał „politykę

⁴⁹ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Raport ze spotkania z Catem-Mackiewiczem w Warszawie z dn. 20 VI 1958.

sztynną, bez perspektyw, szkodliwą dla narodu i nawet dla samych katolików”. Nowi doradcy kard. Wyszyńskiego mieliby przekonywać go do bardziej elastycznego zachowania.

Cat zdawał sobie sprawę z przeszkód, jakie musiałyby napotkać taką próbę, ale uważał, że „jest to kwestia perswazji i różnorodnych nacisków, które przy ich kontaktach i wpływach winno spowodować dojście do skutku całej koncepcji”.

W momencie relacjonowania pomysłu przedsięwzięcie było już na dość zaawansowanym etapie. Prowadzono rozmowy z potencjalnymi członkami takiego komitetu, na którego czele miała stanąć Zofia Kossak-Szczucka. Mackiewicz zaznaczył przy tym: „Jej powiązania z «Paxem» byłyby przeszkodą, to jest oczywiste, ale z drugiej strony wydaje się najlepiej pasować do całości tej koncepcji”.

Cat mówił na marginesie również o niechęci, jaką miał przejawiać kard. Wyszyński w stosunku do Stanisława Stommy i ks. Władysława Padacza⁵⁰. Zwłaszcza ta druga informacja bardzo zdziwiła i zainteresowała funkcjonariusza bezpieki⁵¹.

Na początku 1960 r. Mackiewicz mówił już o całym pomysłe z większą rezerwą, powołując się przede wszystkim na zły stan swojego zdrowia. Samą koncepcję zmiany doradców kard. Wyszyńskiego dalej uważał za konieczną, bo „inaczej Watykan może spowodować nieobliczalne szkody swoimi poleceniami, które mają może na celu dobro Kościoła, ale nie dobro narodu polskiego”. Wystąpienia kard. Wyszyńskiego prowadzące do napięcia w relacjach z rządem

⁵⁰ Władysław Padacz (1900-1972) – ksiądz katolicki. Od 1952 r. najbliższy współpracownik i domownik kard. S. Wyszyńskiego.

⁵¹ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Raport z rozmowy z Catem-Mackiewiczem z dn. 1 VII 1959. ³⁹⁷ Ibidem, Notatka służbowa z rozmowy z Catem-Mackiewiczem z dn. 15 I 1960. Wendrowski zaznaczył w notatce: „CM wyraźnie oczekiwał odemnie pochwały za swoją inicjatywę. Grzecznie mu też podziękowałem i stwierdziłem, że jest to wysoce pozytywny krok w zakresie współpracy z rządem”. ³⁹⁸ Ibidem, Odpis listu S. Mackiewicza do kard. S. Wyszyńskiego z dn. 13 XII 1965. M. F. Rakowski zanotował w swoim dzienniku na początku 1966 r.: „Podobno kardynał Wyszyński czuje się nieszczególnie. Prawdopodobnie nie spodziewał się, że władze odbiorą mu paszport. W jego środowisku sporo jest niezadowolonych. Mówią o pysze, o zadzieraniu nosa. Opowiadano mi, że kiedy Stomma i Zawieyski zgłosili się do niego, wyrzucił ich za drzwi. Przyjął natomiast Cata-Mackiewicza”. M. F. Rakowski, op. cit., wpis z dn. 23 I 1966.

określił jako „idiotyczne”, a samego hierarchę nazwał „niebezpiecznym fanatykiem”.

Mackiewicz podkreślał coraz wyraźniejsze rozejście się episkopatu i świeckich działaczy katolickich. W jego mieszkaniu przeprowadzono narady w sprawie wystąpienia kard. Wyszyńskiego przeciw regulacji urodzeń w Polsce. Za namową Cata posłowie koła „Znak” mieli pilnować, aby nie poruszano tych spraw z mównicy sejmowej³⁹⁷.

Po tych wszystkich słowach krytyki Mackiewicz wysłał pod koniec 1965 r. do kard. Wyszyńskiego następujące pismo: „Ośmielam się prosić Eminencję o łaskawe udzielenie mi audiencji. Przede wszystkim chciałbym ponowić hołd, który Eminencji złożyłem w czasie mej ostatniej audiencji. Wielkość rozumu Eminencji zajaśniała w czasach ostatnich”³⁹⁸.

Mackiewicz pisał te słowa pod wrażeniem listu biskupów polskich do biskupów niemieckich i odpowiedzi tych ostatnich.

II

W maju 1965 r. doszło do co najmniej dwóch spotkań Stanisława Mackiewicza z Józefem Falkowskim⁵². Ten drugi miał zaproponować „opracowanie «programu», który by poderwał naród polski przeciwko polityce władz PRL. Sugerował przy tym wykorzystanie programu politycznego Romana Dmowskiego i oparcie się w dalszej działalności o kardynała Wyszyńskiego”⁵³.

Mackiewicz miał przyjąć propozycję i zobowiązać się do napisania takiego programu, w których zawarte byłyby „najbardziej zasadnicze problemy jak: kwestia granic, stosunki z Rosją, sprawy gospodarcze i inne”⁴⁰¹.

Brakuje mi materiałów. Nie potrafię powiedzieć, czy mowa była o artykule „Interrex”, w którym część z tych tematów jest poruszana, a którego odpis

⁵² Józef Falkowski – inżynier-architekt, do 1939 r. członek Stronnictwa Narodowego. W 1955 r. został skazany na 3 lata więzienia za „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości oraz opracowań o treści antypaństwowej i szkalującej przywódców i naczelne organy władzy państwowej”. Za: AIPN, sygn. IPN BU 01251/533.

⁵³ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Informacja Nr 103 dot. S. Cata-Mackiewicza i J. Falkowskiego z dn. 26 V 1965. ⁴⁰¹ Ibidem.

znalazłem w teczkach Mackiewicza, czy może chodziło o zupełnie inny tekst⁵⁴. Podchodzę jednak do powyższej informacji dość ostrożnie, kiedy czytam, że Mackiewicz, ten piłsudczyk *par excellence* i krytyk polskich zrywów miał urodzić jakiś program w oparciu o myśl Dmowskiego (którego *notabene* szanował, ale z jego programem zawsze się kłócił), aby „poderwać naród polski”.

W każdym razie ani Falkowski, ani Mackiewicz nie przyznawali się do autorstwa tekstu „Interrex”, który był podpisany nazwiskiem Antoni Antoniewicz i po opracowaniu został wysłany kard. Wyszyńskiemu⁵⁵. Ekspertyza wykazała, że artykuł został sporządzony na maszynie Mackiewicza. Cat zeznał, że Falkowski przyszedł do niego z odręcznie napisanym tekstem, poprosił o przeczytanie i wprowadzenie stylistycznych poprawek oraz możliwość przepisania artykułu na jego maszynie. Dodał przy tym: „(...) nie widziałem czy napisał na maszynie, gdyż ja w tym czasie kąpałem się”⁵⁶.

Jeżeli mogę polegać na moich ocenach krytycznoliterackich, które raz mnie już nie zawiodły, to wydaje się, że autorem opracowania pt. „Interrex” był jednak Mackiewicz. Wskazuje na to także jego treść, odzwierciedlająca poglądy Cata prezentowane w innych miejscach.

Mackiewicz pisze o liście biskupów polskich do niemieckich jako o „jednym z najważniejszych wydarzeń politycznych w historii Europy od czasów ukończenia drugiej wojny światowej”, które ma udowodniać, że „cały naród polski poczuwa się do europejskiej jedności kulturalnej, pojęciowej i moralnej”. Relacjonuje reakcję rządu na to wystąpienie i odsłania przeinaczenia, jakich dopuściła się władza w publikacji treści listu i odpowiedzi na łamach „Forum”, gdzie opuszczenie jednego wyrazu całkowicie zmieniał sens oświadczenia biskupów niemieckich na antypolski.

Zdaniem Mackiewicza polityka zagraniczna Polski przez ciągłe okrzyki: „nie damy Odry i Nysy” idzie wbrew polskiemu interesowi państwowemu

⁵⁴ Ibidem, Odpis artykułu pt. „Interrex”. Artykuł skonfiskowany podczas rewizji w mieszkaniu Mackiewicza.

⁵⁵ Por. przypis nr 393.

⁵⁶ Ibidem, Przesłuchanie S. Mackiewicza z dn. 22 VI 1965. Cat zeznał, że uznał artykuł za naiwny, ale przez grzeczność nie powiedział tego Falkowskiemu.

i jest całkowicie prorosyjska. Autor zaznacza: „Stanowisko rządu Polski Ludowej i prasy krajowej w sprawie Odry i Nysy polega na wmawianiu opinii publicznej, że Polsce od Niemiec grozi niebezpieczeństwo wcześniejsze niż to, które grozi Rosji, co jest oczywiście absurdem”.

Ale według autora to nie sprawy polityki zagranicznej są w tym wypadku najważniejsze, ale polityka wewnętrzna. Kościół przyciąga do siebie nie tylko katolików, którzy stanowią olbrzymią większość w Polsce, ale również ludzi niewierzących i stojących w opozycji do rządu. Rola i siła Kościoła katolickiego jako reprezentanta polskiej opinii publicznej podyktowała przypuszczenie przez reżim atak na biskupów po wypowiedzeniu przez nich słów: „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”, oskarżając ich o proniemieckość i grając tym samym na doświadczeniach ludności z czasów okupacji hitlerowskiej.

Mackiewicz zaznacza w związku z powyższym: „Można istotnie uważać Prymasa za interrexa, które to stanowisko obciążało Prymasa za dawnych czasów”.

Odcięcie się przez koło poselskie „Znak” od listu biskupów i wyrażenie ubolewania, że nie został on skonsultowany z rządem Cat nazywa „niesmacznym incydentem”. Dowodzi przy tym, że uzgadnianie przez episkopat swych posunięć z rządem „to byłby koniec kościoła katolickiego, którego cechą najbardziej istotną jest to, że jest instytucją międzynarodową i niezależną”.

Następna część tekstu „Interrex” powinna rozwiązać wszelkie wątpliwości co do jego autorstwa. Jest to bowiem krytyka książki prof. Schaffa, o której pisałem w poprzednim rozdziale – niemal słowo w słowo jak w artykule Mackiewicza pt. „Marksem w marksizm”.

Na zakończenie czytamy jeszcze o krakowskim zjeździe literatów z końca listopada 1965 r., na którym słowem nie wspomniano o cenzurze. Autor odnosi się tutaj również do osobistych krzywd: „Literat piszący nieodpowiednio, albo w ogóle nie ma wydanych książek, albo jeśli jakimś cudem zostały wydane, to nie ma o nich recenzji, a nawet zwykłych wzmianek bibliograficznych”.

Mowa oczywiście o książce „Europa in flagranti”, o której już wspominałem.

III

Ostatnim tekstem Mackiewicza w „Kulturze” były „Zapiski z kraju niewoli”. Zostały opublikowane już po śmierci publicysty obok wspomnienia jego osoby pióra Kazimierza Okulicza⁵⁷. Artykuł złożony jest z trzech części, pisanych od końca grudnia 1965 r. do początku lutego roku następnego i jest poświęcony przede wszystkim zamieszaniu w związku z listem biskupów polskich do biskupów niemieckich.

Czytamy we wstępie: „Co do samego tytułu: kraj w którym nie ma swobody myśli i swobody pracy, zasługuje niestety na nazwę kraju niewoli”.

Autor pisze o prowokowaniu przez władzę konfliktu z Kościołem. Służyć temu miały rozsiewane pod adresem arcybiskupa krakowskiego Karola Wojtyły plotki, jakoby miał się on „dystansować” od listu biskupów polskich. Reżim miał inspirować robotników zakładów „Solvay”, w których niegdyś pracował abp Wojtyła, do wystosowania do niego listu, aby wypowiedział się w tej sprawie.

Arcybiskup krakowski rozesłał swoją „wspaniałą odpowiedź” do wszystkich kościołów krakowskich, która została odczytana z ambon w Boże Narodzenie 1965 r. Tłumaczył w niej, że list biskupów polskich „był wypełnieniem wskazań Soboru, który stosując naukę Chrystusa kazał najbardziej prześladowanym darować winy swoim najgorszym prześladowcom”. Ponadto przedstawił prawdziwą treść odpowiedzi biskupów niemieckich, która została sfalszowana przez władzę.

Mackiewicz podkreśla znaczenie odpowiedzi arcybiskupa krakowskiego: „Społeczeństwo polskie jest uczulone na wspomnienie okupacji niemieckiej. Demagogia przeciw listowi biskupów ma taki grunt, jakiego dotychczas komuniści ani przez chwilę nie posiadali. Toteż kolportowanie pogłoski, że część biskupów z Wojtyłą na czele nie jest zadowolona z listu znajduwały posłuch”. List abpa Wojtyły – twierdzi Mackiewicz – te pogłoski przeciął i rzucił właściwe światło na całą sprawę.

Dalej Cat zajmuje się „Komunikatem Urzędu Rady Ministrów” z 9 stycznia 1966 r., skierowanym pod adresem Episkopatu, zapowiadającym pozbawienie

⁵⁷ S. Mackiewicz, *Zapiski z kraju niewoli*, „K”, nr 3/221 (1966).

prymasa polski możliwości uzyskania paszportu. W komunikacie tym podnoszony jest zarzut, że list biskupów został wysłany bez wcześniejszego porozumienia z rządem polskim. Autor charakteryzuje taki sposób myślenia jako arcyrosyjski. Zaznacza, że Kościół „zawsze był instytucją wolną, międzynarodową i samodzielną”, a żądanie od episkopatu jakiegokolwiek kraju uzgadniania swych posunięć z danym rządem „byłoby oczywiście końcem Kościoła Katolickiego, jako Kościoła Powszechnego”.

Jest to dokładnie ta sama teza ubrana w podobne nawet słowa, jaką przedstawił autor w artykule „Interrex”.

Komunikat mówi też, że „ks. Kardynał wykorzystał swój ostatni pobyt w Rzymie nie tylko dla celów religijnych, ale również dla działań politycznych szkodliwych z punktu widzenia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Na tej podstawie Cat przechodzi do spraw międzynarodowych podkreślając, że nie istnieje obecnie coś takiego, jak samodzielna polityka zagraniczna Polski: „Rząd Polski Ludowej spełnia tylko pewną ilość wskazówek rządu Związku Radzieckiego. Powiedziałbym, że polityka rządu Polski Ludowej da się porównać do roli naganiaczy na polowaniu. Panowie polują, naganiacze zajęci są przy napędzaniu zwierzyny. Porównanie to szwankuje o tyle, że nagonka idzie cicho, nasza polityka wyraża się w nieustannych hałasach”.

Krytykuje następnie zjazd między polskim Związkiem Bojowników o Wolność i Demokrację oraz niemiecką Antifą, która w gazetach warszawskich nazywana jest „organizacją braterską”. Mackiewicz wytyka niekonsekwencję reżimu: „A więc biskupom nie wolno jest powiedzieć, że wybaczą biskupom niemieckim, a tu należy nazywać Niemców z «Antify» braćmi, tak samo zresztą jak wszystkich Niemców z Niemiec Wschodnich”.

„Zapiski z kraju niewoli” kończą uwagi na temat cenzury, która nawet za najgorszych czasów carskich miała być mniejsza niż obecnie. Píše autor: „Cenzura w Polsce nie jest żadną cenzurą, lecz redakcją, a nawet nie redakcją, lecz nauczycielem i dyrygentem tego co pisać należy”. Zauważa jednocześnie, że zniesienie cenzury jest rzeczą właściwie niemożliwą, bo system polityczny i gospodarczy Polski Ludowej „nie wytrzymałby jednego roku swobodnej dyskusji”.

19. Spóźniona pomoc

I

Kłopoty Mackiewicza nie pozostawały bez echa zagranicą. Co więcej, były pomysły, aby go z tej ciężkiej sytuacji wyciągnąć lub przynajmniej w jakiejś mierze pomóc.

W połowie lipca 1965 r. Giedroyc nawiązywał w swej korespondencji do konferencji w Ministerstwie Kultury i Sztuki, na którym oskarżono Cata, Grzędzińskiego i Millera o współpracę z ośrodkami emigracyjnymi. Prosił Konstantego Jeleńskiego o ewentualną pomoc przy organizowaniu listu protestacyjnego⁵⁸.

Natomiast do Mieroszewskiego pisał: „Trzeba możliwie z miejsca organizować maksymalny hałas koło tej sprawy. Trzeba, ma się rozumieć, bić w samą historię i podnieść odwagę Mackiewicza etc., nie precyzując, czy zarzut jest ścisły. (...) jeśli się uda doprowadzić na skutek rozpędzonej kampanii na Zachodzie do kapitulacji reżymu, jak w sprawie Wańkowicza czy «34», to będzie to wielki sukces. No i reklama dla nas”⁵⁹.

Giedroyc od słów przeszedł natychmiast do czynu. W drugiej połowie lipca udał się do Londynu celem szukania pomocy dla Mackiewicza. Ponadto poprosił Wacława Zbyszewskiego, aby spróbował telefonicznie skontaktować się z Catem – niewiadomo jednak w jakim dokładnie celu. Zbyszewski dzwonił 22 lipca, ale do rozmowy nie doszło. W centrali telefonicznej powiedziano mu, że „istnieje zakaz połączeń” z wybranym numerem⁶⁰.

Doniesienia prasowe oskarżały Mackiewicza o pobieranie pieniędzy za tek-

⁵⁸ List J. Giedroycia do K. A. Jeleńskiego z dn. 14 VII 1965, [za:] J. Giedroyc, K. A. Jeleński, op. cit.

Podobne listy Giedroyc wysłał m. in. do Gombrowicza (z dn. 16 VII 1965) i Osadczyka (16 VII).

⁵⁹ List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z dn. 16 VII 1965, [za:] M. Ptasńska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 165. Autorka przytacza również głos M. Hłaski: „Mackiewicz – rzeczywiście dzielny. W jego wieku narażać się na nędzę, to nie łatwe. Tym bardziej, że znam jego tryb życia – raczej chyba książęcy”. Por. List J. Giedroycia do A. Janty-Polczyńskiego z dn. 23 VII 1965 i odpowiedź Janty-Polczyńskiego z dn. 18 i 19 VIII 1965, [za:] J. Giedroyc, A. Janta-Polczyński, op. cit.

⁶⁰ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa St. K. z sierpnia 1965.

sty publikowane w „Kulturze”⁶¹. Giedroyc próbował uciąć również te głosy, sugerując w liście do Mieroszewskiego publikację wyjaśnień, że nic takiego nie miało miejsca: „Możemy to tym łatwiej zrobić, że pieniądze mu wysyłane przez PKO były wysyłane pod nazwiskiem Wacka Zbyszewskiego, który zgodził się to firmować. Wiadomo wszystkim, jak bliskie były i są stosunki Zbyszewskiego z Mackiewiczem, więc pomoc nikogo nie zdziwi. Zresztą na temat tych pieniędzy Mackiewicz szereg razy pisał do Zbyszewskiego, a nawet telefonował, z wielką efuzją mu dziękując za przyjacielską pomoc”⁶².

W ślad za tym listem Giedroyc wysłał wiadomość do Wacława Zbyszewskiego, prosząc go o napisanie listu do redakcji, w którym zawarłby informacje, że „od ubiegłego roku, dowiedziawszy się, że po «manifestie 34» Mackiewicz nie ma prawa publikacji i jest odcięty od możliwości zarabiania, posyłałeś mu i posyłasz pieniądze wraz z kilkoma przyjaciółmi. Jest to kwota skromna, ale etc. Nie żadne dolary, ale przyzwoite funty i drogą najbardziej normalną, bo przez PKO. Dobrze by było, by list był dowcipny, ze swadą etc. Liczę, że nie odmówisz, gdyż to dla Mackiewicza jest gardłowa sprawa”⁶³.

Zbyszewski rzeczywiście napisał list i artykuł, w których zawarł stosowne wiadomości⁶⁴.

Redaktor „Kultury” martwił się jednocześnie o wpływ „sprawy Mackiewicza” na swoje kontakty krajowe. Polscy stypendyści i stażyści obawiali się kontaktów z „Kulturą”, które stawały się dla nich coraz bardziej niebezpieczne⁶⁵.

We wrześniu Giedroyc przesłał Jerzemu Stempowskiemu projekt utworzenia funduszu dla pisarzy i dziennikarzy z krajów totalitarnych za walkę o wolność słowa. Jego zdaniem pomysł mógłby liczyć na poparcie ze strony po-

⁶¹ J. K. Gaston de Cerizay *pisze o Polsce*, „Życie Warszawy” z dn. 17 lipca 1965

⁶² List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z dn. 30 VII 1965, [za:] M. Ptańska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 166. Por. Londyńczyk [Juliusz Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K”, nr 9/215 (1965).

⁶³ List J. Giedroycia do W. A. Zbyszewskiego z dn. 2 VIII 1965, [za:] M. Ptańska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 166..

⁶⁴ W. A. Zbyszewski, List do Redakcji, „K”, nr 9/215 (1965), idem, *Mackiewicz i wolność prasy w Polsce*, „K”, nr 10/216.

⁶⁵ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa St. K. z sierpnia 1965.

ważnych wydawnictw czy redakcji pism zachodnich. W związku z tym prosił Stempowskiego o kontakt ze Zbindenem⁶⁶. Zauważył przy tym, że w przypadku, kiedy Mackiewicz *et consortes* pozbawieni są możliwości zarobku, przyznanie im nagród byłoby „wielką pomocą zarówno moralną, jak i materialną”. Najbardziej obawiał się o stan zdrowia Cata. Optymalnym rozwiązaniem byłoby zaproszenie go przez „poważną instytucję szwajcarską” na kurację, jednak duże koszty takiego przedsięwzięcia czyniły je mało realnym⁶⁷.

Na łamach „Kultury” głos w „sprawie Mackiewicza” zabrał Mieroszewski. Zauważył, że gdyby w Polsce znalazło się więcej literatów z odwagą cywilną, do żadnego procesu w ogóle by nie doszło – władza „nie mogłaby bowiem ryzykować międzynarodowego skandalu wywołanego masowymi aresztowaniami w środowisku literackim”. Z Mackiewiczem reżim miał już i tak duży problem, gdyż ciężko zrobić z człowieka, który tyle czasu poświęcił walce z „Bergiem”, agenta amerykańskiego.

Mieroszewski skreślił przy tym sąd uniwersalny: „Funkcjonowanie demokracji nawet w ustroju demokratycznym zależy bezpośrednio od procentu ludzi z cywilną odwagą. W ustroju totalnym ludzie odważni są jedyną nadzieją i ostoją wolności”⁶⁸.

Również Zygmunt Hertz rozumiał specjalne położenie Cata. W jednym z listów do Miłosza pisał: „Ze [Stanisławem – red.] Mackiewiczem przycichło na razie: nic mu nie robią, bo grozi im, że wykituje w więzieniu, a tego nie chcieliby. Myślę, że wpętają go w trudności finansowe i skazą w ten sposób na śmierć głodową. Wszystko w rękach [Bolesława – red.] Piaseckiego: on jeden jest w stanie legalnie utrzymać Mac[kiewicza – red.] przy życiu, pielęgniarki, butelce wina do kolacji i dużym befsztyku”⁶⁹.

⁶⁶ Hans Zbinden (1893-1971) – szwajcarski pisarz i podróżnik, prof. socjologii kultury na Uniwersytecie w Brnie. Prezes Związki Pisarzy Szwajcarskich. Prywatnie przyjaciel J. Stempowskiego.

⁶⁷ List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 27 IX 1965, [za:] J. Giedroyc, J. Stempowski, op. cit.

⁶⁸ Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K”, nr 9/215 (1965).

⁶⁹ List Z. Hertza do Cz. Miłosza z dn. 3 X 1965, [za:] Z. Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952-1979*, red. R. Gorczyńska, Paryż 1992.

W październiku 1965 r. Giedroyc powrócił do pomysłu zorganizowania funduszu dla represjonowanych pisarzy. List do Stempowskiego pisany był już jednak bez wiary w powodzenie całego przedsięwzięcia: „Dziś byłby świetny moment dla zorganizowania funduszu pomocy dla prześladowanych intelektualistów. Jest obraz atrakcyjny: Rosja – Sianiawski i Daniel; Polska – grupa Modzelewskiego, Mackiewicz, Grzędziński; Jugosławia – Mihajlov. No, ale zdaje się, że pocziwemu Zbindenowi brakuje energii do takich inicjatyw”⁷⁰.

Kiedy 11 listopada usunięto Mackiewicza ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Giedroyc ponownie pisał do Stempowskiego: „Może coś Zbinden będzie mógł zrobić?”⁴¹⁹.

Mieroszewski zwracał uwagę, że dosłownie nikt nie miał ochoty zasiadać w składzie sędziowskim, mającym wykluczyć Mackiewicza z SDP. Do brudnej roboty wyciągnięto trzech nieznanych nikomu z nazwiska polskich Żydów. Mieroszewski pisze w związku z tym: „Żydzi polscy, z których większość to wartościowi i zasłużeni dla polskości obywatele – nie powinni z rozkazu partii podejmować się obrzydliwych, antypolskich gestów. Szkodzą tym bowiem dobremu imieniu polskich Żydów i żywią do dziś niestety aktywny antysemityzm”. Autor twierdzi, że pozbawienie Cata możliwości zarabiania piórem jest w rzeczywistości „zemstą znacznie bardziej perfidną”, niż wsadzenie go do więzienia. Kończy zaś zdaniem: „Obowiązkiem tzw. «politycznej emigracji» jest nie tylko wziąć go w obronę lecz zorganizować dla niego konkretną pomoc”⁷¹.

Mieroszewski nie mógł oczywiście przewidzieć, że w momencie, kiedy jego następne teksty ukażą się w „Kulturze”, Cata nie będzie już wśród żywych.

W grudniowym numerze „Kultury” opublikowano recenzję książki „Euro-

⁷⁰ List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 28 X 1965, [za:] J. Giedroyc, J. Stempowski, op. cit. ⁴¹⁹ List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 30 XI 1965, [za:] ibidem. Catowi zresztą było wszystko jedno, czy zostanie wykluczony z SDP, czy nie. Twierdził ponadto, że nie ma podstaw do takiego ruchu.

^{Por.} AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa z rozmowy „O. S.” z Catem-Mackiewiczem z dn. 4 IX 1965.

⁷¹ Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K”, nr 1/219-2/220 (1966).

pa in flagranti” pióra Wacława Zbyszewskiego, gdzie czytamy: „Obowiązkiem emigracji jest zaszczeremu Mackiewiczowi pomóc. Prasa emigracyjna powinna drukować o jego książce recenzje (...). Emigracja może również solidaryzować się z Mackiewiczem przez kupowanie jego *Europy in flagranti*. (...) To też jest plebiscyt”⁷².

II

W listopadzie 1965 r. akt oskarżenia przeciw Mackiewiczowi został skierowany do sądu, po czym cała sprawa stanęła w miejscu⁷³. Władza nie spieszyła się z procesem, pamiętając jeszcze dobrze echo jakie rozniosło się po Europie z sali sądowej, kiedy oskarżonym był Melchior Wańkowicz.

Mackiewicz nie przyznał się do winy tłumacząc, że w swych artykułach publikowanych w „Kulturze” podawał fałszywych wiadomości⁷⁴.

III

Stanisław Mackiewicz zmarł w nocy z 18 na 19 lutego 1966 r. Pogrzeb miał miejsce na Powązkach kilka dni później, wzięło w nim udział ok. 700 osób⁷⁵. Na pogrzebie tym, na którym nie zabrakło agenta bezpieki, przemawiał odważnie Paweł Jasienica. Mówił między innymi:

„Ten człowiek nigdy nie wzbudzał uczuć letnich i wzbudzać ich nie chciał. Ma się w uszach pogłos naszych zebrań literackich, podczas których Jego wspaiałym oracjom odpowiadały fale oklasków, lecz i okrzyki protestu, potępienia i wrogości. Tak jest dobrze i tak być powinno”.

„Jeszcze jednej łaski doznał Stanisław Mackiewicz. Łaski wielkiej, lecz bardzo okrutnej. Odszedł w pełni sił twórczych. Nie doczekał rzeczy dla pisarza najstraszniejszej: nie przeżył własnego talentu”.

⁷² W. A. Zbyszewski, „*Europa in flagranti*”...

⁷³ Por. M. Ptańska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 166.

⁷⁴ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Akt oskarżenia przeciw S. Mackiewiczowi z XI 1965.

⁷⁵ Ibidem, Informacja dot. przebiegu pogrzebu S. Cata-Mackiewicza z dn. 4 III 1966. Por. M. Ptańska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego...*, s. 167.

„Praca i talent gustują w swym towarzystwie, lubią chadzać razem. Stanisław Mackiewicz pracował do końca”⁷⁶.

Zygmunt Hertz napisał po śmierci Cata do Miłosza: „*A propos* – biedny Cat – nie lubiłem go, był nieznośny, warchoł, brudas, szeroka natura, ale to był ktoś przy tych wszystkich gówniarach”⁷⁷. Michał K. Pawlikowski otrzymał wiadomość z Polski: „Trudno uwierzyć, że ten wulkan przestał wybuchać”⁴²⁸.

W kolejnych numerach „Kultury” pojawiły się jeszcze wspomnienia zmarłego publicysty różnych autorów, po czym nazwisko Stanisława Cata-Mackiewicza zeszło z łam paryskiego miesięcznika⁷⁸.

IV

W połowie marca 1990 r. Sąd Najwyższy na wniosek ministra sprawiedliwości Aleksandra Bentkowskiego uznał, że zrzuty pod adresem Mackiewicza o publikowanie artykułów w prasie emigracyjnej „nie zawierały w istocie znamion przestępstwa”. Sąd uniewinnił jednocześnie skazanego w 1964 r. Melchiora Wańkowicza⁷⁹.

20. Nieznany memoriał

W listopadzie 1965 r. na granicy w Kunowicach zatrzymano w drodze do Francji Bohdana Pilarskiego⁸⁰. Przewoził on zamówiony u Giedroycia

⁷⁶ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Odpis listu L. Beynara do S. Orłosiowej z przemówieniem na pogrzebie S. Mackiewicza.

⁷⁷ List Z. Hertza do Cz. Miłosza z dn. 24 II 1966, [za:] Z. Hertz, op. cit. ⁴²⁸ M. K. Pawlikowski, op. cit.

⁷⁸ Ibidem; Z. S. Siemaszko, op. cit.; W. A. Zbyszewski, *Stanisław Mackiewicz*, „K”, 6/224 (1996); K. Okulicz, *Stanisław Mackiewicz*, „K”, nr 3/221 (1966). Ze wspomnieniem Zbyszewskiego polemizował J. Mackiewicz: idem, List do Redakcji, „K”, nr 7/225-8/226 (1966).

⁷⁹ [Bez autora], *Uniewinnienie Wańkowicza i Cata-Mackiewicza*, „Życie Warszawy” z dn. 17-18 III 1990. Pełny tekst wyroku SN zob. A. Ziółkowska, *Proces Melchiora Wańkowicza...*, s. 201-207.

⁸⁰ Bohdan Pilarski (ur. 1931) – muzykolog i polityk. W 1962 r. wyjechał jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki do Francji. W latach 1970-1972 kierownik programowy Filharmonii Narodowej w Warszawie. Od lat 80-tych udzielał się w życiu społeczno-politycznym.

artykuł Cata o Władysławie Studnickim. Pilarski miał ponadto rozmówić się z reaktorem na temat dalszej współpracy Mackiewicza z „Kulturą”. Zabrano mu paszport i „dokonano zastrzeżenia odnośnie jego wyjazdu do Francji”⁸¹.

Artykuł jakimś sposobem przedostał się zagranicę. Został opublikowany już po śmierci Mackiewicza w paryskich „Zeszytach Historycznych”⁸². Lektura tekstu w niczym nie sugeruje, że jego autor stał nad grobem. Wręcz przeciwnie – odznacza się on najlepszymi cechami publicystyki Cata.

W tych samych „Zeszytach Historycznych” ukazał się jeszcze jeden tekst Mackiewicza pod zagadkowym tytułem: „Memoriał w sprawie polskiej Afryki Północnej”, opatrzoney rozbudowanym komentarzem Adama Ciołkosza, który dokument ten udostępnił⁴³⁴. Tekst memoriału powstał w marcu 1943 r. i został wręczony przez Cata trzydziestu osobom, prócz Ciołkosza nieznanym z nazwiska.

Mackiewicz pisał:

Polska nie może zgodzić się na podział świata między Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Rosję i Chiny, bo w tym wypadku znajdzie się w strefie wpływów sowieckich, tracąc automatycznie swoje terytoria na wschodzie z Wilnem i Lwowem na czele. W przypadku zwycięstwa aliantów Polska znajdzie się pod okupacją Rosji, a jest mało prawdopodobne, aby po zakończeniu wojny z Niemcami Anglia i Stany Zjednoczone chciały wojować ze Związkiem Sowieckim w jej interesie. Ponadto Stalin cały czas podkreśla, że nie prowadzi wojny z Niemcami, lecz z Niemcami hitlerowskimi, więc sojusz sowiecko-niemiecki po zakończeniu wojny nie jest wcale wykluczony. Położenie Polski w takim wypadku byłoby tragiczne.

Najważniejszym zadaniem dla Polski jest niedopuszczenie do tego, aby jej terytorium było wyzwolane przez wojska sowieckie. Wobec okoliczności, że

⁸¹ AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Informacja dot. artykułu S. Mackiewicza dla „Kultury” o Studnickim.

⁸² S. Mackiewicz, *Stulecie urodzin Władysława Studnickiego*, „ZH”, nr 9 (1966). Autor podaje błędną datę urodzin Studnickiego (1865), podczas gdy urodził się on dwa lata później. ⁴³⁴ Idem, *Memoriał w sprawie polskiej Afryki północnej*, „ZH”, nr 11 (1967).

z oczywistych względów nie mogą tego zrobić wojska polskie, a porozumienie z Czechami czy Finlandią jest niemożliwe, Polska powinna próbować wygrać dla siebie Węgry i Rumunię.

Działania polskie powinny iść w tym samym kierunku co działania amerykańskie w Afryce Północnej, tj. w kierunku „skaptowaniu Quislingów”: „Nasze względy wojskowe przemawiają za odwróceniem aliansów Węgier i Rumunii, kiedy Niemcy będą już dostatecznie słabe. Nam przede wszystkim powinno zależeć na tym, aby Węgry i Rumunia porzuciły obóz niemiecki i przerzuciły się na stronę angielską uderzając na wojska niemieckie stojące w Polsce”.

Plan ten – podkreśla Cat – jest arcytrudny, ale nie niemożliwy. Polska musi rzecz jasna działać z przyzwoleniem Anglii, ale również w jej interesie będzie stworzenie potęgi środkowoeuropejskiej, opartej na współpracy Polski, Węgier i Rumunii⁸³. Ciołkosz uważał „plan Mackiewicza” za kompletnie nierealny i nie myślał, aby ktoś wziął go na poważnie. Twierdził, że błędem Cata było przypisanie Węgrom i Rumunii roli samodzielnej, podczas gdy ich akcja mogłaby być realna tylko przy współdziałaniu z wojskami aliantów uderzającymi od strony Bałkanów⁸⁴.

Swój komentarz skończył słowami: „Mackiewicz już nie żyje, więc opublikowanie jego memoriału z r. 1943 nie może go narazić na żadne przykrości w Warszawie. Sądzę, że go warto mimo wszystko opublikować jako przyczynek do odtworzenia sobie jego sylwety”.

21. Zakończenie

Wspomnienie osobiste. Na pierwszym roku studiów uczęszczałem na zajęcia doktora Jerzego Jaruzelskiego o wybitnych redaktorach i dziennikarzach XX wieku. Zajęcia przyciągnęły ok. 40 osób, przede wszystkim studentów dziennikarstwa starszych lat. Na pierwszym wykładzie Jaruzelski wyciągnął plik małych karteluszek i kazał każdemu z uczestników wypisać anonimowo

⁸³ Uzupełnieniem poglądów Mackiewicza wyrażonych w „Memoriale” była broszura pt. „Kryzys Rządu” (Londyn 1943).

⁸⁴ Propozycję otwarcia frontu bałkańskiego składał prezydentowi Rooseveltowi na przełomie 1942 i 1943 r. gen. Sikorski, o czym również wspomina Ciołkosz.

na jednej z nich znane sobie nazwiska redaktorów i dziennikarzy minionego stulecia, którym można przypisać rolę wybitną.

Wyniki tego testu były zatrważające. Niemal wszystkie odpowiedzi ograniczały się do nazwiska Ryszarda Kapuścińskiego. Było to zapewne podyktowane przede wszystkim tym, że niedługo wcześniej pod adresem pisarza pojawiły się głośnie zarzuty o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa.

Śledząc komentarze na temat Mackiewicza i jego poglądów, czułem się niejednokrotnie zupełnie jak doktor Jaruzelski, mający przed sobą mało rozgarniętych studentów. Był to jeden z impulsów, dla których postanowiłem sięgnąć głębiej w ten barwny i skomplikowany życiorys.

Kontakty Mackiewicza z „Kulturą” paryską były początkowo bardzo ograniczone, raczej nie brane prze niego na serio. Pierwsze teksty, jakie posyłał do Giedroycia, to przecież utwory dramatyczne i artykuły, które można nazwać półoficjalnymi, związane z zajmowanymi funkcjami w rządzie emigracyjnym: premiera i ministra spraw zagranicznych. Dopiero przed powrotem do Polski Mackiewicz zaproponował Giedroyciowi przysyłanie korespondencji z kraju, z czego jednak się nie wywiązał. Ale wybrał on wówczas to, a nie inne pismo emigracyjne, które widocznie traktował wtedy jako najpoważniejsze.

Okres współpracy z „Kulturą” w latach 1952-1963 uchodzi – co zrozumiałe – za mniej zajmujący w biografii Cata pod kątem jego publikacji. Co interesujące w tym czasie, to jego kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa, której przekazywał informacje o środowisku paryskim. Tak jak napisałem wyżej – uważam to za dużo większy grzech Mackiewicza niż to, co najczęściej podnosi się dzisiaj w oskarżeniach pod jego adresem, tj. kontakty z bezpieką przed powrotem do kraju.

Podobnie jak wyjazd do Polski, tak zwrot Cata w 1964 r. był podyktowany w jakiejś mierze względami osobistymi. Nie można jednak zapominać, że pod koniec życia

Mackiewicz zaczął walczyć z reżimem, kierując się również swoimi przekonaniami, czego niezbitym dowodem były artykuły publikowane pod pseudonimem Gaston de Cerizay.

Skrytykowany przeze mnie wcześniej Maciej Zakrzewski zechciał określić to postępowanie „rozgrzeszeniem”.

W niniejszej pracy przedstawiłem sytuację niczym z sali sądowej. Oskarżeniem były dokumenty Instytutu Pamięci Narodowej, obroną – artykuły Cata słane pod koniec życia do „Kultury”, a w szerzej konflikt z władzą w ogóle. Mam oczywiście swój prywatny pogląd, jak w takim wypadku powinien brzmieć wyrok, ale nie chcę go tutaj prezentować. Rolę sędziego przewidziałem bowiem dla każdego czytelnika z osobna.

Właśnie to naświetlenie kontaktów Mackiewicza z „Kulturą” z dwóch stron uważam nieskromnie za największą zaletę tej pracy.

ROZMOWA ZE STANISŁAWEM KOTOWSKIM

Niepodległość w nazwie

Ze Stanisławem Kotowskim – współ-założycielem pisma „Niepodległość”, działaczem Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” rozmawia Łukasz Perzyna.

– Słowo „Niepodległość” stało się tytułem pisma w 1982 r. i znalazło w nazwie ugrupowania parę lat później. Wprawdzie już w 1979 r. powołano Konfederację Polski Niepodległej, a wcześniej działało Polskie Porozumienie Niepodległościowe – jednak nawet po delegalizacji Solidarności pojawiały się w opozycji tendencje, by wszystkich celów nie ujawniać, nie prowokować Leonida Breżniewa i kolejnych radzieckich przywódców. Jak to się stało, że Wy postąpiliście inaczej, maksymalistyczny postulat czyniąc od razu tytułem pisma, a potem nazwą partii?

– Odpowiedzi szukać można w ciekawej historii naszego środowiska. Początki naszej grupy sięgają grudnia 1976 r, a więc to tradycja parę lat starsza niż Solidarności. Rozmawiamy o czasach, gdy formowała się opozycja. Komitet Obrony Robotników powstał we wrześniu 1976 r. A jednym ze współpracowników KOR był Jurek Targalski. Spotkałem się z nim na zimowym obozie studenckim. Trochę dziwna to historia, bo byłem wtedy na Politechnice, a trafiłem na obóz dla studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Nie zapowiadaliśmy się wtedy na zawodowych rewolucjonistów. Interesowały mnie piękne dziewczyny i ciekawe dyskusje. Na obozie uniwersyteckim jednych ani drugich nie brakowało. Studiowałem inżynierię lądową. Mój ojciec to akowiec z Pawiakiem i Powstaniem Warszawskim w życiorysie, byłem dumny z jego

chwalebnej przeszłości wojennej. Po wojnie pracował jako inżynier, dobrze mu się wiodło, a ja byłem jedynakiem, takim złotym chłopcem. W bliskiej rodzinie wszyscy byli bezpartyjni. Komuna do wnętrza domu nie weszła. Do wielu polskich domów wtedy nie miała wstępu. Dla mnie niezmiernie ważna pozostawała tradycja dziadka – legionisty, pepesiaka. Oficjalne organizacje nie stwarzały żadnej szansy wymiany poglądów. W naturalny sposób szukałem więc myślących podobnie osób do dyskusji i rozmowy. Okazja się nadarzyła, zanim dotarłem na ten uniwersytecki obóz. Pogoda była zimowa, fatalna. Obóz odbywał się w Jarosławcu nad morzem, ale jadąc tam – z powodu fatalnych warunków utknęliśmy w Lęborku wraz z Targalskim. I tak światy Uniwersytetu i Politechniki się integrowały. Gdy jechać dalej się po prostu nie dało, siedzieliśmy w pokoju hotelowym przy piwku, rzadziej jakiejś wódeczce. Wyglądało to w ten sposób, że głównie Targalski pytał, a ja odpowiadałem. On szukał takich, co podobnie myślą, a ja... mówiłem, co myślałem.

– I można powiedzieć że spotkaliście się w pół drogi?

– Już w trakcie pobytu na obozie w kolejnej rozmowie Targalski spytał mnie: - Czy słyszałeś o KOR-ze? – Nie – odpowiedziałem szczerze. Wtedy w tym Jarosławcu dał mi pierwszą bibułę, pierwsze nielegalne wydawnictwa. Historycznie wyrobiony i odczytany wywarł na mnie wrażenie konkretnego faceta. Zapoczątkowało to naszą wieloletnią współpracę. Zwłaszcza, że daleko do siebie nie mieliśmy: Targalski mieszkał wtedy na Broniewskiego, zaś ja na Jasnodworskiej na Powązkach. To raptem 15 minut na piechotę.

– Jak już się spotkaliście, to byliście prawie skazani na współpracę; niemal sąsiedzi o podobnych zapatrywaniach?

– Zabawne, ale dopiero po dłuższej rozmowie przypomnieliśmy sobie, że nasze drogi przecinały się już wcześniej. W olimpiadzie wiedzy politycznej drużyna Targalskiego pobiła moją ekipę. Stanowiło to kolejny dowód, jak zbieżne mamy zainteresowania. Po powrocie z obozu Targalski wziął się na serio za kolportaż komunikatów KOR-u i przy tej okazji wpadł pierwszy raz. Pojechał bowiem z bibułą do Gorzowa i tam go zamknęli. Był wtedy członkiem PZPR, więc jakoś się z tej sprawy wyslizgał, ale od tego momentu pozostawał na celowniku Służby Bezpieczeństwa. Zaczął przynosić mi coraz okazalszą literaturę. Nie tylko komunikaty KOR, ale trzy tomy „Archipelagu Gułag” Aleksandra

Sołżenicyna w wydaniu paryskim. Zaś karierę opozycyjną zacząłem od tego, co mi zaproponowano – zrobienia mikrofilmu z kilku wydawnictw paryskiej „Kultury” z 1977 r.

– **Dlaczego akurat od tego?**

– Miałem wtedy własną ciemnię, dobrze wyposażoną, interesowałem się fotografią i znałem się na niej, więc taka propozycja była naturalna. Wkrótce Targalski wciągnął mnie do budowanych przez siebie struktur – właśnie do kolportażu Głosu. Jurek też polecił mnie Krzyskowi Łazarskiemu, który zajmował się techniką w Głosie. Warto pamiętać, że ponieważ mój ojciec był znakomitym fachowcem w swojej branży i jak na czasy PRL dobrze zarabiał – jako student miałem własnego małego fiata do dyspozycji, co wtedy stanowiło... raczej rzadkość.

– **I zamiast na dyskoteki dziewczyny podrywać, jeździł Pan tym małym fiatem do tajnych drukarni?**

– Pan się śmieje, ale tak było naprawdę. Młody człowiek z własnym samochodem, w dodatku jeszcze nie namierzony przez służby specjalne – w tamtych czasach dla opozycji stanowił prawdziwy skarb. Z Krzysztofem Łazarskim jeździliśmy na początku do drukarni w Baboszewie za Płońskiem. Stanowiące najbardziej wrażliwy i najstaranniej zakonspirowany element opozycyjnej infrastruktury drukarnie znajdowały się wtedy w paru miejscach, jeździli do nich najbardziej zaufani. Zwracano tylko za benzynę. Dbano też o to, żeby takich osób zbyt nie narażać, bo odtworzenie drukarni zajmowało najwięcej czasu, stąd też jeśli ktoś się tym zajmował – to z reguły już niczym innym. Magazyny mieściły się zwykle w piwnicach. Druga po Baboszewie drukarnia, którą poznałem, zlokalizowana była na Białoleścu a trzecia w Gaju pod Wyszkowem. Późniejsze losy ludzi, z którymi wtedy współpracowałem ułożyły się rozmaicie, ale nie tylko ja z tej grupy mieszkam teraz w Kanadzie, organizator i drukarz z tamtych lat Adam Karwowski („Smętek”) również – w Vancouver. W parę miesięcy wszedłem do ścisłej, najbardziej zaufanej grupy. Targalski zorganizował też ekipę do dyskusji, nazywaliśmy ją kółkiem rewolucyjnym. W tych debatach uczestniczyli ludzie, o których później było głośno: Marek Safjan...

– **...później przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego.**

...Dorota Safjanowa, Witold Gadowski...

– ...który z kolei w nowej Polsce został posłem Kongresu Liberalno-Demokratycznego kadencji 1991-3 a potem publicystą gospodarczym „Gazety Wyborczej” i autorem biografii Leszka Balcerowicza...

...i wreszcie, Jacek Krauze, Wiesław Sędek. Stanowiliśmy wyselekcjonowane grono. Nie mogliśmy oczywiście przewidzieć wtedy, jakie kariery zrobią w wolnej Polsce uczestnicy naszego kręgu. O doborze dyskutantów decydowało to, że mają wiele do powiedzenia i można im ufać. Spotykaliśmy się dość regularnie co 6 tygodni.

– **Jak przebiegały Wasze dyskusje?**

– Safjan w polemikach często dzielił włos na czworo. Zaś ja byłem wprawdzie typem organizatora, ale nie miałem problemu z utrzymaniem poziomu intelektualnego w tych rozmowach, bo dom rodzinny i mnóstwo przeczytanych lektur zapewniły mi rzetelną podbudowę. Częściej więc przegadywałem innych, niż oni mnie. Powtarzałem już wtedy: - Chcemy rządzić Polską lepszą, niepodległą. Inni zaś skupiali się czasem bardziej na tym, co powinno się zmienić. To istotne, skoro pyta Pan o korzenie późniejszej „Niepodległości” i LDP-N. Konkretna działalność w pionie opozycyjnej techniki pochłaniała jednak więcej mojego czasu niż jakiegokolwiek debaty. Na długo przed Sierpniem na Broniewskiego pod numerem 23a mieliśmy duży punkt dystrybucji. Nazywaliśmy ją Panią Bronią skoro – jak wspominałem – działa się to na Broniewskiego. A na parterze przy wejściu mieszkał ubek. Wiedzieliśmy o tym, ale on o nas nie. Utrzymaliśmy ten punkt pomimo tak uciążliwego sąsiedztwa, nigdy nie wpadł.

Kto to był dowiedziałem się dopiero po wyjściu z więzienia w 86 roku. Okazało się to był śledczy, który prowadził moją sprawę na Rakowieckiej – Ryszard Bieszyński. W wolnej Polsce zrobił karierę w UOP a nawet zdążył się przyłożyć do sprawy szafy płk. Lesiaka i byó zamieszany w sprawę zabójstwa gen. Papąły. Do tej pory mam wielką satysfakcję, że przez tyle lat nie wiedział, co robiliśmy pod jego nosem. Takich to fachowców zatrudnił UOP.

– **Profesjonalizacja nastąpiła szybko?**

– Braliśmy 500 egzemplarzy „Głosu”. Stworzyliśmy własną sieć dystrybucji prasy i wydawnictw z którą funkcjonowaliśmy przez lata.

– **Sierpień 1980 zastał Pana przy robocie... opozycyjnej?**

– Jechaliśmy z Wojciechem Arkuszewskim z drukarni spod Wyszkowa do miasta, włączyliśmy radio w samochodzie i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że właśnie podpisano Porozumienia Gdańskie w Sali BHP Stoczni.

– **Czy powstanie legalnej Solidarności wiele zmieniło w Pana działaniu?**

– Cały czas siedziałem w sprawach techniki i kolportażu. Rozwijaliśmy sieć kontaktów. Trzymaliśmy się pewnych zasad. Wiedzieliśmy, że pomimo widocznych zmian w kraju lepiej się policji nie rzucać w oczy. Nie ujawnialiśmy tego, co powinno pozostać w ukryciu.

– **Chyba Pan nie powie, że przewidzieliście, co się zdarzy 13 grudnia 1981?**

– Od pewnego czasu czuliśmy, że wszystko idzie w złą stronę. Od momentu rozbicia przez milicję strajkującej Szkoły Pożarniczej czuć było w opozycji atmosferę klęski. Szykowaliśmy się więc już na czas... po Solidarności. Budowaliśmy zaplecze: gromadziliśmy materiały i kontakty, wzmacnialiśmy sieć dystrybucyjną wydawnictw. Aż przyszedł 13 grudnia 1981 r. Oczywiście terminu ani scenariusza akcji władz nie znaliśmy przedtem, ale na wariant użycia przez nie siły przygotowaliśmy się najlepiej, jak potrafiliśmy.

– **Co robił Pan w pierwszym dniu stanu wojennego?**

– Gdy tylko dowiedziałem się, co się dzieje, poszedłem rano do Targalskiego. Sprawdzić, czy jest. Nie znaliśmy przecież skali zatrzymań. Był w domu. Razem już pojechaliśmy do Huty Warszawa. Dobrze opisał to Targalski w wywiadzie dla Bazy z 1991 roku. Zimą opór w zakładach pracy nie miał szans powodzenia. Stwierdziliśmy, że bitwa została przegrana... i szykujemy się na następną.

– **I wkrótce, ale już w 1982 powstała „Niepodległość”.**

– Nie byłem na zebraniu założycielskim – uczestniczyli w nim piszący, ci, których materiały miały potem wypełnić nową publikację. Pierwszy numer – 7 egzemplarzy - praktycznie napisał na maszynie sam Targalski, ale już miałem udział przy drukowaniu drugiego i we wszystkich kolejnych aż do aresztowania. Nasze środowisko od dawna nie opierało się na improwizacji, tylko inicjowało profesjonalne działania. Dlatego też obowiązywał ścisły podział ról. Targalski zajął się polityką redakcyjną, Tomasz Kołodziejski odpowiadał za organizację i kontakty w terenie, zaś ja kierowałem zapleczem technicznym.

– **Pamięta Pan, kto wtedy zaproponował słowo „Niepodległość” jako tytuł?**

– Zapewne Witold Gadowski podczas pierwszej dyskusji, z racji profilu pisma i przekonań naszej grupy. Nie byliśmy zainteresowani działalnością społeczną, typowo związkową. Przebieg wydarzeń poprzedzających 13 grudnia pokazał, że nie była ona skuteczna. Zaś deklarowanie pracowniczych postulatów w sytuacji, gdy po ulicach jeździły czołgi uznawałem za stratę czasu. W potocznej świadomości Solidarność przegrała, uznaliśmy więc, że stanowiła pewien etap i nadchodzi pora... na Niepodległość. Stąd nazwa naszego pisma.

– **Jak długo udawało się wydawać „Niepodległość”... bez awarii?**

– Dwa i pół roku.

– **Długo.**

– Byłem fachowcem. Znałem się na tej robocie od ponad pięciu lat. Materialną bazę ówczesnej działalności budowaliśmy od dawna. Sprawdziła się w zmienionych realiach stanu wojennego, bo też wcześniej władzy nie ufaliśmy nawet przez chwilę, nie ujawniliśmy niczego, co lepiej, żeby pozostawało tajne.

– **BHP ponad wszystko?**

– Również teraz, gdy w kraju trwa ostry spór między PiS a PO i resztą opozycji, pewne sprawy wydają się oczywiste: na przykład dotyczące bezpieczeństwa Polski. Wtedy w podziemiu po 13 grudnia 1981 r. również nie brakowało swarów ideologicznych. Jednak o sile oddziaływania danego tytułu czy formacji decydowało, ile egzemplarzy są w stanie wydrukować i rozprowadzić współtworzący ją ludzie. A my byliśmy w stanie przygotować 3,5 – 5 tys odbitek w dobrej jakości z jednego kompletu. Taki był limit tego, co da się wydrukować jednocześnie. To maksymalny nakład. Miesięcznik „Niepodległość” miał ok. 40 stron. Tymi 5 tys egz dawało się więc zapakować, wypełnić aż pod sufit małego fiata.

– **Co Was różniło od innych?**

– Wydawaliśmy pismo i zarabialiśmy na sobie. Pismo rozchodziło się w ok. 100 stałych punktach. Kto nie zapłacił – ten po raz drugi już „Niepodległości” nie otrzymał. Niezależni finansowo dzięki przyjęciu takich właśnie zasad, staliśmy na solidnym gruncie.

– **I wtedy zrodził się pomysł powołania partii?**

– Wspominałem o działającym od lat „kółku rewolucyjnym”, ale konsultacje przeprowadziliśmy szerzej, w gronie odbiorców pisma. W 1983 r. rozpro-

wadzały pierwsze nasze założenia programowe. Staraliśmy się, żeby tymi samymi kanałami wracały do nas z komentarzami czytelników. Nie działałyśmy przecież w próżni. Wprost przeciwnie – w trudnej wciąż sytuacji w 1983 r. właśnie zwiększyliśmy nakład do 10 tys egzemplarzy bo pracowały dla nas już dwie drukarnie. Tonę papieru przerabialiśmy co miesiąc. Kupiliśmy żuka – większy samochód, przeznaczony wyłącznie do przewozu bibuły. Wspieraliśmy grupy w terenie. Dotarli do nas studenci z Krakowa, przekazali sygnał, że rwą się do roboty, ale bazy żadnej jeszcze nie mają. Wspomagaliśmy ich. Wysłaliśmy instruktora, żeby im uruchomili najprostszą drukarnię na sicie. Oczywiście ich finansowaliśmy.

– W 1984 r. jako rozpolitykowany dziewiętnastolatek otrzymałem po raz pierwszy w pakiecie docierających do mnie wydawnictw niezależnych numer „Niepodległości”. Pismo zwracało uwagę stanowczością wobec reżimu – wywodzące się ze stanu wojennego władze uznawało za okupacyjne, zamiast oczekiwać zmian w ZSRR – głosiło potrzebę wspólnej walki zniewolonych przez komunizm narodów. I tworzenia partii politycznych w Polsce...

– To, że dostał Pan wtedy nasze pismo w pakiecie podstawowych dla opozycji tytułów – cieszy mnie, ale nie zaskakuje. Wypracowaliśmy swoją pozycję. Niezależni byliśmy naprawdę. Nasze pieniądze wypracowaliśmy sami, 95-98 proc wpływów pochodziło z działalności wydawniczej. Okazjonalnie ludzie dobrej woli wpłacali na naszą rzecz drobne kwoty, raz mogło to być 50 dolarów, raz sto, chociaż zdarzało się, że mniejsze datki też do nas wpływały i też je przyjmowaliśmy. Drukarze byli płatni na *full time*, za benzynę oczywiście też zwracaliśmy. Byłem szefem organizacyjnym – techniki i zaplecza, ale do czasu w miarę potrzeb również drukarzem. Po raz ostatni własnoręcznie drukowałem „Niepodległość” w 1983 r. Mieliliśmy wtedy drukarnię w Michałowicach, również pod Nieporętem i pod Kampinosem – działającą najdłużej i największą. Regularne spotkania kierownictwa odbywały się raz w tygodniu. Dysponowaliśmy 4-5 lokalami, w których się spotykaliśmy.

– Zawodowymi rewolucjonistami jednak nie byliście w tym sensie, że nie żyliście cały czas w podziemiu, jak Bujak czy Frasyński. Prowadząc utajnioną działalność wydawniczą, kolporterską i polityczną pracowali-

ście równocześnie w legalnych instytucjach, nawet kartki na mięso pobieraliście?

– Każdy z nas formalnie pracował na oficjalnym etacie. Wtedy byłem zatrudniony w przedsiębiorstwie budowlanym jako kierownik budowy. Większość czasu zajmowało mi jednak konspirowanie. Przybierało różne formy. W 1983 r. udałem się przez zieloną granicę do Niemiec i w ten sam sposób stamtąd wróciłem.

– W jaki sposób? Tajemniczo to brzmi... W 1984 jechałem jako stypendysta pociągami do Paryża. Pamiętam zasiadki na stacji Berlin-Friedrichstrasse i przeciągle nocne wycie setek psów enerdowskich pograniczników, którego słuchaliśmy w oczekiwaniu na kontrolę paszportową i celną.

– Graniczne realia były takie, jak Pan wspomina, ale dawało się je obejść. Wy pływało się na rejs krajowy – oficjalnie. A jak się już było na morzu, to się płynęło, gdzie chciało. Z Gdańska do Szczecina przez Szwecję... To był jeden z głównych kanałów przerzutowych. Ale też w związku z nim wpadłem rok później. Wcześniej jednak, w 1983 r. w naszym środowisku nastąpiły istotne zmiany. Jerzy Targalski wyjechał do Francji na leczenie. Zastąpił go Norman Pieniążek, syn powszechnie znanego profesora nauk rolniczych, specjalisty od ogrodnictwa. Wraz z Normanem dołączył też Adam Chajewski, który objął rolę sekretarza redakcji. Praktycznie funkcje Redaktora. Przejął koordynację prac politycznych, a pion organizacji i techniki pozostawały bez zmian. Dojrzała w nas potrzeba czegoś nowego. Wiele rozmów o polityce toczyłem z Witoldem Gadowskim, który mieszkał wtedy na Powstańców Śląskich. Niezależnie od harmonogramu spotkań organizacyjnych widywaliśmy się i wypytывaliśmy wzajemnie, co chcemy robić.

– Zrodziła się potrzeba czegoś więcej niż Solidarność?

– Nie czegoś więcej – czegoś innego. Solidarność okazała się w naszym przekonaniu nieudanym narzędziem wyzwolenia. Pisaliśmy otwarcie, dlaczego tak się stało. Spełniła swoją rolę. Nie stanowiła jedynej tradycji, do której się odwoływaliśmy. Gdy później w Komitecie Wykonawczym ustalaliśmy generalną linię, nazwa nawiązywała do tradycji Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS-Frakcji Rewolucyjnej, z naszej strony stanowiło to świadomą stylizację w uznaniu zasług tamtej formacji dla odzyskania przez Polskę niepodległości.

W odróżnieniu od wielu innych sił ówczesnej opozycji, uważaliśmy, że żadne insurekcje nie mają sensu. Trzeba się skoncentrować na pracy u podstaw. Przekuć umysły. Ludzie byli dla nas cenni. Stąd wziął się zakaz brania udziału w demonstracjach ulicznych dla osób uczestniczących w naszej działalności. Uważaliśmy bowiem, że ta forma oporu tylko mnoży straty. Póki pozostawałem na wolności, przeciwdziałiałem skutecznie bezsensownym działaniom.

– Jak to się stało, że znalazł się Pan za kratami, pomimo profesjonalizmu działań, który z uzasadnioną dumą Pan podkreśla?

– Przyczyną aresztowania okazała się denuncjacja i prowokacja. Wokół jednej z drukarni kręcił się TW Róża, zbierał informacje, których bezpieczeństwa długo na szczęście nie potrafiła powiązać w jedną całość. Ale do mojego aresztowania przyczyniła się także druga, osobna operacja, już nie bezpieczeństwa, tylko służb wojskowych. Gdy organizowałem przerzut sprzętu ze Szwecji – podstawili prowokatora o pseudonimie TW „Boro”. Jego prawdziwej tożsamości do dziś nie udało się odcyfrować. Aresztowano mnie w sierpniu 1984 r.

– Otrzymał pan wysoki wyrok.

– Na początku było to dwa i pół roku, potem po apelacji prokuratora dołożono mi jeszcze rok w kolejnej instancji. Sprawa długo się ciągnęła. Prawie rok spędziłem na Rakowieckiej, potem miesiąc w więzieniu w Łęczycy. Od lipca 1985 resztę czasu, jaki pozostał do amnestii w 1986 r – w Barczewie.

– Trudno nie nazwać Pana założycielem Liberalno-Demokratycznej Partii Niepodległość, skoro sam Pan opowiadał, jak poprzez swoje kanały organizował Pan dyskusję nad jej programem, w podziemiu przecież niełatwą: odbiorcy bibuły przesyłali swoje uwagi do przygotowanych przez środowisko Niepodległości tez. Jednak paradoks sprawy, że gdy powstanie Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość” – Pan jest za kratami?

– Jesienią 1984 r. koledzy powołali Liberalno-Demokratyczną Partię Niepodległość, moim zdaniem przedwcześnie, ale siedziałem już wtedy na Rakowieckiej, więc tam nie przysługiwało mi prawo konsultowania tej decyzji. Selekcja liderów odbywała się w specyficzny sposób, charakterystyczny dla podziemnej organizacji. Norman Pieniążek w 1985 r. wyjechał na dwutygodniową konferencję do Hiszpanii, zawodowo zajmował się genetyką molekularną. W tym czasie SB wpadła do niego. Nie mógł więc już z tej Hiszpanii wrócić

z oczywistych powodów. W marcu 1985 r. aresztowani zostali Zofia Słowikowska i Tomek Kołodziejski, główni organizatorzy kolporterów i kontaktów terenowych. Nagle okazało się więc, że całe nasze środowisko musi się odnaleźć w zmienionej sytuacji bez dotychczasowych liderów: Targalski we Francji, Pieniążek w USA, a ja w więzieniu. Wspominałem już, że dopóki działałem na wolności – starałem się przeciwdziałać bezsensownym akcjom, narażającym nas na straty. Jednak gdy byłem już w więzieniu, wśród tych, co pozostali, pojawił się pomysł, żeby na 1 maja 86 rzucić jakieś gazowe granaty w pochód oficjalny w Krakowie. Efekt okazał się równie mierny jak sam koncept. Wykonawcy akcji mieli rozrzucić granaty gazowe, ale nie zdążyli, bo milicja wyłapała ich wcześniej. Pomysły tego typu służyły dorabianiu nam przez przeciwnika gęby nierozumnych radykałów czy wręcz terrorystów. Przekonałem się o tym w więzieniu w Barczewie. Specjalnie wtedy zniesiono mi do celi telewizor, żebym zobaczył propagandowy program na temat tamtej nieudanej akcji. Wiosną 1986 r. ci podejrzeni kajali się w telewizji. Akcje tego typu nie miały sensu. Czuliśmy pismo nosem. Wiedzieliśmy, ile się zmienia. I że za chwilę będą potrzebne głosy wyborców, a tych nie zdobędzie się rzucaniem granatów gazowych.

– **Kto przejmuję ster „Niepodległości”, gdy założyciele znajdują się w więzieniu lub na emigracji?**

– Na wolności pozostaje Tomasz Dangel, który ze swoją grupą przeprowadza *coup d'état*. Wchodzi w ostry konflikt z pionem politycznym. Z jego liderami, którzy widzieli w nim postać raczej intelektualnie drugorzędną. Rozwód nastąpi na wiosnę 1986 r. Chociaż próbowano jeszcze jakiś mediacji.

– **Mamy kolejny paradoks: na wolności narasta spór w środowisku, a Pan siedzi w Barczewie. To ciężkie więzienie dla politycznych.**

– Zdarzyło mi się siedzieć w celi generalskiej, nazywanej tak, bo jej poprzednim lokatorem był dawny gauleiter Prus Wschodnich Erich Koch, znany zbrodniarz hitlerowski.

– **Kim byli Pańscy towarzysze z celi?**

– W Barczewie najdłużej w celi siedzieliśmy we dwóch: Bogdan Lis i ja. Po wyjściu Lisa siedziałem z Michnikiem a potem kilka dni z ks. Zychem.

– **Jakimi współwięźniami okazali się Michnik i Lis?**

– Bogdan Lis to typowy działacz robotniczy, rzadziej pojawiały się u niego głębsze myśli, za to ciekawie rozmawiało się z nim... o rybach. Pasjonował się tym, świetnie opowiadał. Nie brakowało mu z pewnością wielkiej ambicji, to ona popychała go do działania, chociaż nie miał mocnych podstaw edukacji. Dwóch moich współwięźniów reprezentowało niewątpliwie dwa różne ludzkie charaktery. Adam Michnik palił mnóstwo papierosów, a poza tym... trzeba powiedzieć, że porządek i schludność nie były nigdy jego najmocniejszą stroną. Ale intelektualnie rozmowy z nim okazały się niezwykle inspirujące. Ucieszyłem się od razu, że właśnie jego mam za współtowarzysza celi, bo od dawna chciałem go osobiście poznać. Znali się z dawnych lat z Targalskim. Zaś moje kontakty w celi z Adamem Michnikiem były na tyle dobre, że gdy już wyszliśmy na wolność po amnestii z września 1986 r – zaprosił mnie na urodziny.

– Jakie były okoliczności tego zaproszenia?

– Urodziny nie odbywały się w mieszkaniu Michnika. Zorganizował je w domu wynajmowanym przez „New York Timesa” korespondent tej amerykańskiej redakcji Michael Kaufman. Jego ojciec był w dawnej komunistycznej jaczejce z Szechterem, ojcem Adama. Kaufman dysponował dwustumetrowym domem na Mokotowie. Adam Michnik sam do mnie zadzwonił: - Stasiu, przyjdź.

– Kogo Pan zastał na miejscu, gdy już z zaproszenia skorzystał?

– Zjazd celebrytów... Tam spotkali się wszyscy, ze Stanisławem Stommą czy Jerzym Turowiczem na czele. A ze strony prawicowej... byłem jedyny. Michnik znajdował się już wtedy na etapie dogadywania się z komunistami. Do budowanej przez niego konstrukcji brakowało mu tylko komponentu prawicowo-niepodległościowego. Nie mógł w tym kręgu znaleźć nikogo, kto zgodzi się z jego koncepcją. Michnik po prostu szukał partnerów po prawej stronie.

– Urodziny nie były waszym ostatnim spotkaniem?

– Michnik przyjechał do mnie w październiku 1986 r. na całodzienną rozmowę. Nie przesadzam, gadaliśmy od godziny 10 do 18, obiadek przy okazji zjedliśmy. Szukał partnera, jak już zaznaczałem. W trakcie spotkania Michnik napisał kartkę do Jurka Targalskiego i mi ją wręczył. Proponował rodzaj rozejmu. Zaś ja w swoim komentarzu do tej propozycji napisałem Jurkowi własne zdanie: „Brać co dają. Nie kwitować. W tej chwili nie mamy nic”. Wie-

działem, że w sensie politycznym Michnik potrzebuje niepodległościowców. Położył więc ofertę na stole. Targalski tę ofertę odrzucił z obrzydzeniem. Zaś ja uważałem, że jest ona dobra, że nie dysponując już własną znaczącą siłą można negocjować, żeby uzyskać więcej. Potrzebowałem jednak do tego wsparcia środowiska. Odrzucenie oferty Michnika przesądziło z pewnością o dalszych losach „Niepodległości”.

– Ofertę odrzucono, ale poznał Pan nowe środowisko. A jak odnalazł Pan własne? Co Pan zastaje, wychodząc z więzienia?

– Niestety tylko ruinę. Czasy się zmieniły, ale wielu tego zupełnie nie rozumiało.

– Jak widział Pan spór w środowisku „Niepodległości” po wyjściu z więzienia?

– Konflikt dwudziestolatków z trzydziestolatkami, starły się dwa pokolenia. Reprezentuję rocznik 1953, studia skończyłem w 1978 r, w 1980 r się ożeniłem. Pierwsze dziecko urodziło mi się w 1983 r, ale niestety zmarło, żona długo leżała w szpitalu. To był dla mnie niezmiernie trudny okres, bo w 1984 r. zmarł mój ojciec, który bardzo mi pomagał. Gdy mnie zamknięto w sierpniu 1984 r. żona była w zaawansowanej ciąży. Syn urodził się w dwa tygodnie po moim aresztowaniu.

– Doświadczenia tych, co przyszli po was były mniej dramatyczne, a metody... mniej wysublimowane?

– Mówiłem wtedy oponentom: zróbcie lepiej coś własnego, nie pasożytujcie na tym, co stworzyli inni przed wami. Domagałem się przestrzegania zasad. Rozwód w polityce nie jest problemem, powtarzałem, zakładajcie własną organizację. Niech nie dzieje się to w ten sposób, że kradniecie nasz dorobek. Ale oni to właśnie robili.

– Nie posłuchali Pana?

– Już po moim wyjściu z więzienia – chociaż próbowałem mitygować – ukazał się numer „Niepodległości” – podróbka po prostu. Dangel to robił z gronem swoich współpracowników. Szybko zwinęli żagle. Zapalu wystarczyło im na niecały rok. Przestrzegałem, że zmieniające się czasy wymagają nowych metod politycznych. Ale oni kierowali się głównie własnymi aspiracjami. Nie rozumieli, że jeśli się robi głupie rzeczy – to się za to płaci. W efekcie na jesie-

ni 1986 r. były dwie „Niepodległości”. Oryginalną ciągnęli Witek Gadomski, Adam Chajewski i Maria Słowikowska. Krytykowałem na jej łamach inicjatywy dynamitardów, musiałem to robić pod nazwiskiem, bo byłem rozpoznawalny. Zaś z tymi nowymi z czasem przestałem rozmawiać, bo uznałem, że przyczynili się do zniszczenia dzieła mojego życia. Przez pewien czas uczestniczyłem jeszcze wraz z Tadeuszem Stańskim w politycznej reprezentacji środowisk opozycyjnych, jako przedstawiciel „Niepodległości”. Musi Pan pamiętać, że mój status w opozycji się zmienił – wyszedłem z więzienia, więc byłem zdekonspirowany, stąd udział w jawnej strukturze.

– Zdecydował się Pan na emigrację do Kanady.

– Z moim życiorysem mogłem wyjechać dokądkolwiek. Późniejsze losy ludzi ze środowiska „Niepodległości” pokazują, jak wartościowym materiałem ludzkim dysponowaliśmy. Marek Safjan zrobił błyskotliwą karierę prawnika, Jurek Targalski zasiadał we władzach Polskiego Radia, Witek Gadomski pozostaje niewątpliwie jednym z czołowych publicystów ekonomicznych. Norman Pieniążek jest moim kolegą na emigracji, pracował w Atlancie jako mikrobiolog; zajmuje się pasożytami, odnosil sukcesy. Sam zrobiłem błyskotliwą karierę w Kanadzie, będąc ekspertem od budowy kopalń i zakładów przetwórczych soli i nawozów potasowych. Bez fałszywej skromności oceniam, że takich jak ja specjalistów jest w tej branży w świecie może pięciu. Gdybym wyjechał dziesięć lat wcześniej, pewnie miałbym na koncie milion albo dwa więcej. Syn Maciej, który urodził się dwa tygodnie po moim aresztowaniu w 1984 r – jest profesorem ekonomii na Harvardzie. Mieszkam w Saskatoon, do kraju przyjeżdżam regularnie. W tym tygodniu byłem w Narodowym Banku Polskim na konferencji o programach ekonomicznych dawnych antykomunistycznych ugrupowań z lat 80. Spoglądam na zegarek, bo za pół godziny jestem umówiony z Jurkiem Targalskim. Może jeszcze z kimś z dawnej Niepodległości uda mi się spotkać podczas parodniowego pobytu w Polsce...

DR ANDRZEJ ANUSZ

**„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ” (1981–1989) –
NAJMNIEJSZE PISMO DRUGIEGO OBIEGU (CZ. 3)**

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Wielkanoc, 1983 r. Nr 2.

Motto: „Zmartwychwstał na świadectwo zmartwychwstania ludzi; otrzyście już łzy. Zmartwychwstał. Zmartwychwstanie źródłem nadziei. Wesoły nam dzień dziś nastał”.

DZIEŃ RADOŚCI KOŚCIOŁA I ŚWIATA

Zmartwychwstanie nie było powrotem Jezusa do życia ziemskiego, nadal podlegającego prawu śmierci. Było przejściem do nieśmiertelnego życia z Bogiem, wejściem do chwały. W nim i przez Niego otwiera się również perspektywa wiecznego życia, w którym Bóg otrze z naszych oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Można żyć życiem kwiatów i ptaków: jeść, spać, odpoczywać. Ale czy to znaczy wyczerpać bogactwo życia? Czy to może wystarczyć? Można żyć życiem własnym człowiekowi – myśleć, uczyć się na przeszłości, kształtować przyszłość, żyć kulturą i rozwijać ją. To piękne życie człowieka. Nie zmarnowane, owocne. Ale czy to jest cały jego blask i bogactwo? Czy wyczerpuje ludzkie aspiracje, zaspakaja ludzką tęsknotę? Ale możemy żyć jeszcze życiem, którym żyje Bóg. Jego twórczością, Jego aspiracjami, Jego uczuciami – niepomiernej czystości i siły. Tylko życie Boże jest na miarę ludzkich aspiracji, na miarę człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. Za takim życiem człowiek tęskni, takiego życia człowiek pragnie. I mimo trudów i cierpień, pomimo śmierci – bo ona dzięki zmartwychwstaniu Chrystusa jest

tylko progiem do pełni życia Bożego. Na bramach piekła Dante umieścił napis mówiący o porzuceniu nadziei. Śmierć wieczna. Dziś śmierć została pokonana. Chrystus zwyciężył zło, zerwał więzi śmierci, stał się w życiu człowieka obecny aż do śmierci. Obecny, aby zwyciężyć naszą śmierć i darzyć nas życiem. Święty Tomasz, apostołe wszystkich wierzących, bez względu na wątpliwości, wspomagaj nas w drodze do Boga.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III Kwiecień, 1983 r. Nr 3.

Motto: „Za naszą i waszą wolność”

„ZA NASZĄ I WASZĄ WOLNOŚĆ”

Maksyma ta została sformułowana w 1831 r. – „za naszą i waszą wolność”. Przeszła też w spadku na pokolenia następne. Godzi się przypomnieć bezpośredni lub pośredni wkład licznych Polaków w ruchach narodowowyzwoleńczych Węgrów, Jugosłowian, Rumunów, Bułgarów pomiędzy 1830 i 1870 r. Szczególnie trwałe było uczestnictwo polskie w podziemiu rewolucyjnym rosyjskim od najwcześniejszych kontaktów naszego Towarzystwa Patriotycznego z dekabrystami aż do Rewolucji Październikowej. Przypomnijmy, że śmiertelną bombę na cara Aleksandra II w 1881 r. rzucił – i padł jej ofiarą – polski członek Narodowej Woli, Ignacy Hryniewiecki, krewniak ówczesnego biskupa wileńskiego i miał on powiedzieć „Gdy pójdziecie do lasu, przyjdę do was, teraz walczę w Rosji, bo tu ciosy nasze są skuteczniejsze”. Wszystkim owym bojownikom polskim w obcych stronach przyświecało hasło „za naszą i waszą wolność”.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III 3 maja, 1983 r. Nr 4.

Motto: „Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą –
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie ...

...

Lecz zaklinam ... niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei.
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec! ...”
(Juliusz Słowacki)

„PARASOL”: Piotr Stachiewicz
Instytut Wydawniczy PAX, 1983

Dzieje oddziału do zadań specjalnych kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej. „... Historia „Parasola” dzieli się na dwa okresy. Pierwszy to rok trwająca walka z prominentami hitlerowskiego aparatu władzy, a drugi to jego udział w Powstaniu Warszawskim, jego walki na Woli, Starym Mieście, Czerniakowie, Mokotowie i Powiślu. Przez rok swej działalności bojowej w nadzwyczaj ciężkich warunkach okupacji niemieckiej oddział nie miał żadnej większej „wpadki”, ani też nie został przez Niemców rozpracowany, mimo że przecież żołnierze „Parasola” dostawali się niestety w ręce Niemców. Mężna postawa aresztowanych, godna najwyższego uznania, umożliwiała kontynuowanie nieprzerwanej, bojowej działalności konspiracyjnej, wynikiem której była jedna z najbardziej znanych – choć może nie najtrudniejszych – akcji „Parasola”: usunięcie generała SS i policji, Franca Kutschery. Na sukcesy bojowe oddziału składało się wiele czynników: bezkompromisowa, bohater-ska postawa żołnierzy bezpośrednio przeprowadzających akcje, praca komórek wywiadu dokonujących rozpoznania i przygotowujących akcje, działalność łączniczek oddziału, służb „Moto” i sanitariatu, instruktorów szkoleń i tych

wszystkich elementów, które w regularnych oddziałach wojska składają się na tzw. zaplecze. A przede wszystkim podstawą tych sukcesów była tradycyjna polska rodzina, jej ognisko i jej elementy składowe. Ten pełnokształtny obraz dziejów „Parasola” znalazł w całości swoje odbicie w dziele dra Piotra Stachewicza – żołnierza batalionu. Wieloletni i wielostronny trud badawczy Autora zaowocował w formie przemyślanego, skrupulatnego i dociekliwego opracowania, ukazujące wszystkie aspekty dziejów batalionu „Parasol” ... Z jego dziejów obrosłych legendą wydobyl Autor przede wszystkim ideowe, moralne i wychowawcze wartości, wniesione przez harcerstwo i młodzież w ogóle ... Rzetelność tego studium historycznowojskowego szczególnie powinna przemówić do młodzieży, harcerzy, żołnierzy Wojska Polskiego, bowiem oni właśnie są prawowitymi spadkobiercami bojowego i ideowego czynów batalionu „Parasol” i oni w szczególności mogą przekazywać ten wycinek naszej historii następnym pokoleniom jako wytyczną do kontynuowania ich postaw w rozwoju przyszłych dziejów Polski. (Były d-ca batalionu „Parasol”)

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III 13 maja, 1983 r. Nr 5.

Motto: „Obrońcom Ojczyzny w Roku 1939 – żołnierzom Armii „Poznań”,
Cywilnej Ludności Wielkopolski”.

Piotr Bauer, Bogusław Polak,

ARMIA POZNAŃ W WOJNIE OBRONNEJ 1939.

Wyd. Poznańskie, 1983

Wstęp. 1 września 1982 r. przy poznańskim Wzgórzu Św. Wojciecha zgromadzą się kombatan ci wojny obronnej 1939 r., a przede wszystkim żołnierze Armii „Poznań”, aby wziąć udział w oczekiwanym od lat odsłonięciu Pomnika Armii „Poznań”. Wspaniała postawa dowódców i szeregowych żołnierzy tej armii, a nade wszystko skuteczność jej działań w pełni zasługuje na pełne oświetlenie i upowszechnienie. Armia „Poznań” była jedynym związkiem operacyjnym, który podjął skuteczne działania zaczepne przeciwko niemieckiemu agresorowi. Zwrot zaczepny Armii „Poznań” w dniu 9 września 1939 r. dowodzonej przez gen. dyw. Tadeusza Kutrzebę zapoczątkował największą bitwę wojny obronnej, najbardziej liczącą się polską inicjatywą operacyjną. Nic też dziwnego, że zainteresowania historyków koncentrowały się głównie na przebiegu i znaczeniu bitwy nad Bzurą ... Fragment rozdziału IV: „... Oddziały niemieckie rozpoczęły natarcie na Kłocko od strony Polskiej wsi i na Charbowo. Przed tyralierą pędzono zagarniętą po drodze ludność cywilną: mieszkańców Wilkowy i uchodźców, mężczyzn, kobiet i dzieci ... Okazało się też, że mimo kontrolowania Niemców w Klecku i okolicy, nie zdołano zlikwidować wszystkich ognisk dywersji, gdyż ... z wieży zboru ewangelickiego posypały się strzały ukrytych tam miejscowych Niemców ...”.

Fragment rozdziału V: „... Tego dnia poległ najmłodszy oficer pułku, ppor. Janusz Bardziński, który wraz ze swym plutonem walczył w obronie jednego z mostów na Bzurze w rejonie Łowicza. Szczególnie wstrząsający jest jego ostatni meldunek, nadesłany przez gońca do dowódcy pułku: Nieprzyjacielska piechota na odległości szturmowej. Jestem pod silnym ogniem moździerzy

i karabinów maszynowych. Większość moich ułanów zabita lub ranna. Jestem lekko ranny. Zadanie wykonuję nadal, ale na pomoc za późno. Odmeldowuję się, Panie Pułkowniku. Ku chwale Ojczyzny i Pułku. To jest mój ostatni meldunek. Dowódca placówki Janusz Bardziński, podporucznik”.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III 10 czerwca, 1983 r. Nr 6.

Motto: „Naród polski potrzebuje prawdziwej odnowy moralnej i społecznej, aby mógł odnaleźć na nowo wiarę w Siebie, w swoją przyszłość, zaufanie we własne siły, obudzić energie moralne i ofiarność społeczną dla sprostania wielkiemu trudowi pracy i koniecznym wyrzeczeniom, które wszystkich czekają”.
(List pasterski Episkopatu Polski, 1982 r.)

DRODZY BRACIA I SIOSTRY !

Uczestnicy tej pielgrzymki liturgii Papieża, Waszego rodaka, w stolicy Polski. Stąd z Warszawy, wyruszam na Jasną Górę, którą zmarły Prymas Kardynał Stefan Wyszyński zwykł był nazywać „Jasną Górą zwycięstwa”. Pragnę zanieść tam ten szczególny dar, jakim w roku Jasnogórskiego Jubileuszu stało się wyniesienie na ołtarze polskiego męczennika Oświęcimia – świętego Maksymiliana Marii. Wdzięczny jestem Opatrzności Bożej, że dane mi było tego dokonać w dniu 10 października zeszłego roku. Wyruszając na Jasną Górę z Warszawy, włączam się duchowo w ten pielgrzymi pochód, który od 1711 roku – a więc od 272 lat – prowadzi corocznie ze stolicy polskiej do stolicy Królowej Polski: pielgrzymka Warszawska. Pragnę stanąć przed Bogurodzicą i przed Jej Boskim Synem Jezusem Chrystusem, który jest „Ojcem przyszłego wieku” i który zarazem jest „wczoraj” i „dzisiaj”. W szczególności „wczoraj i dzisiaj” tych pokoleń, które przechodziły i przechodzić będą przez naszą ojczystą ziemię. Pragnę zabrać tam wszystkie cierpienia mojego Narodu, a zarazem tę wolę zwycięstwa, która nie opuszcza go pośród wszystkich dziejowych klęsk i doświadczeń. I pragnę powiedzieć: „Weź w opiekę Naród cały, który żyje dla Twej chwały. Niech rozwija się wspaniały – Maryjo!” Amen. ... Niech ta Eucharystia niesie! Niech nią żyje Warszawa, niech nią żyje Polska! Niech z niej czerpie pokój, miłość i zbawienie!

(Jan Paweł II)

Stadion Dziesięciolecia 1983

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ ...

Rok III 17 czerwca, 1983 r. Nr 7.

Motto: „... Pragnę zabrać tam wszystkie cierpienia mojego Narodu, a zarazem tę wolę zwycięstwa, która nie opuszcza go pośród wszystkich dziejowych klęsk i doświadczeń ...”

(Jan Paweł II)

... ZWYCIĘSTWO NATURY MORALNEJ ...

„... Niezapomniane pozostanie dla mnie orędzie-modlitwa z Hiroszimy w lutym 1981 roku. Nie mogę dziś nie powrócić do tego samego tematu, gdy jestem w Warszawie – stolicy Polski, która w 1944 roku została przez najeźdźców obrócona w ruinę. Stąd więc ponawiam moje orędzie pokoju, które od strony Stolicy Apostolskiej stale płynie do wszystkich narodów i państw, zwłaszcza do tych, które za sprawą pokoju w świecie współczesnym ponoszą największą odpowiedzialność. Również z tego miasta – stolicy Narodu i Państwa, które z nakładem największych ofiar walczyło za dobrą sprawę w czasie ostatniej wojny światowej – pragnę przypomnieć wszystkim, że prawo Polski do suwerennego bytu, a także do prawidłowego rozwoju w zakresie kulturalnym i społeczno-ekonomicznym, apeluje do sumienia wielu ludzi i wielu społeczeństw na świecie. Polska wypełniła do ostatka, owszem z nawiązką zobowiązania sprzymierzeńcze jakie wzięła na siebie w straszliwym doświadczeniu lat 1939-45. Los Polski w 1983 roku nie może być obojętny narodom świata – zwłaszcza Europy i Ameryki. Drodzy moi Polacy! Bracia i Siostry! W 1944 roku stolica została zamieniona w wielką ruinę. W ciągu lat powojennych ta sama Warszawa została odbudowana tak, jak widzimy ją dzisiaj, zwłaszcza tu, z tego miejsca – dawna i nowoczesna zarazem. Czy to nie jest jeszcze jedno zwycięstwo moralne Narodu? A tyle innych miast i ośrodków odbudowanych na ziemiach polskich – zwłaszcza na ziemiach północnych i zachodnich, gdzie dane mi będzie udać się w ramach tegorocznej pielgrzymki: mianowicie do Wrocławia i na Górę Świętej Anny. Venimus, vidimus, Deus Vicit: słowa króla ... Moje obecne odwiedziny w Ojczyźnie wypadają w okresie trudnym ...

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ (1981–1989)...

przeżywam całe doświadczenie polskich ostatnich lat. Jest ono zresztą ważne dla wielu społeczeństw Europy i świata ... Nie brak również takich, którzy zwłaszcza od grudnia 1981 roku świadczą pomoc mojemu Narodowi, za co i ja również jestem wszystkim wdzięczny ... że nie chodzi o zwycięstwo militarne jak przed trzystu laty – ale o zwycięstwo natury moralnej. To ono właśnie stanowi istotę wielokrotnie proklamowanej odnowy. Chodzi tu o dojrzały ład życia narodowego i państwowego, w którym będą respektowane podstawowe prawa człowieka. Tylko zwycięstwo moralne może wyprowadzić społeczeństwo z rozbicia i przywrócić mu jedność ...

(Jan Paweł II)

Stadion Dziesięciolecia

17 czerwca 1983 r.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III 18 czerwca, 1983 r. Nr 8.

Motto: „Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swe oddaje za przyjaciół swoich”. Tak mówi Jezus żegnając się z Apostołami w wieczniku, zanim pójdzie na mękę i śmierć.

„Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”

ŚWIĘTY MAKSYMILIAN MARIA KOLBE

„... Syn świętego Franciszka, zakonnik, jeden z wielu członków tylu rodzin zakonnych w Kościele, dany na nasze czasy, dany nie tylko dla Polski, ale dla całego Kościoła... pierwszy święty drugiego tysiąclecia, nasz rodak... Niepokalanów: wielki warsztat franciszkańskiego apostołstwa. W dniu 10 października ubiegłego roku dane mi było wynieść na ołtarze Kościoła Powszechnego świętego Maksymiliana Marię Kolbego, syna polskiej ziemi. ... Maksymilian Kolbe przez swą śmierć w obozie koncentracyjnym, w bunkrze głodowym, potwierdził w jakiś szczególnie wymowny sposób dramat ludzkości dwudziestego stulecia... w tym kapłanie nieszczęśniku w jakiś szczególny sposób przejrzysta stała się centralna prawda Ewangelii, prawda o potędze miłości... Ta właśnie prawda Ewangelii stała się szczególnie przejrzystą poprzez czyn oświęcimski Ojca Maksymiliana Kolbego... Ojciec Maksymilian występuje z szeregu, aby przyjęto go jako kandydata do bunkru głodu na miejsce Franciszka Gajowniczka: podejmuje decyzję, w której ujawnia się równocześnie dojrzałość jego miłości i moc Ducha Świętego – i do końca wypełnia tę ewangeliczną decyzję: oddaje życie za brata. Dzieje się to w obozie śmierci – w miejscu, w którym poniosło śmierć ponad cztery miliony ludzi z różnych narodów, języków, religii i ras. Maksymilian Kolbe również poniósł śmierć: ostatecznie dobito go śmiercionośnym zastrzykiem. Jednakże w tej śmierci objawiło się zarazem duchowe zwycięstwo nad śmiercią, podobne do tego, jakie miało miejsce na Kalwarii. A więc: nie „poniósł śmierć”, ale „oddał życie” – za brata. W tym jest moralne zwycięstwo nad śmiercią. „Oddać życie” za brata – to znaczy stać się poniekąd szafarzem własnej śmierci... Zgromadzenie w Niepokalanowie na wielkim

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ (1981–1989)...

narodowym dziękczynieniu za wyniesienie do chwały ołtarzy Świętego Maksymiliana Marii – naszego rodaka, świadka naszego trudnego wieku, męczennika pierwszego świętego z rodu Polaków w drugim tysiącleciu – pragniemy wzbogacić chrześcijańskie dziedzictwo polskości o przejmującą wymowę jego czynu oświęcimskiego: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj!”

(Jan Paweł II

Niepokalanów, 18 czerwca, 1983 r.)

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKA, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III. 1 sierpnia 1983 r. Nr 9.

Motto : "Naprzód do boju żołnierze

Polski Podziemnej. Za broń!

Boska potęga nas strzeże,

Woła do boju nas dzwon.

Godzina pomsty wybija

Za zbrodnię, mękę i krew,

Do broni! Jezus Maryja!

Żołnierski woła nas zew.

Zorza wolności się pali

Nad Polską idących lat,

Moc nasza przemoc powali

Nasz dziś rodzi się świat

.....”

(Hymn Polski Podziemnej)

39 ROCZNICA POWSTANIA

63 DNI, pełne bohaterskich wzlotów, nadziei, cierpień i rozpacz.

Pamięć tych dni wrosła na stałe w tkankę narodu mimo prób jej zatarcia. Weszła i musi trwać przez całe życie Narodu niczym gwóźdź w ciele świeżej i broczącej krwią ranie Chrystusa ręki. Pozostać musi w świadomości pokoleń, które przyjdą – te 63 dni nie mogą być tylko przykładem żołnierskiego i cywilnego heroizmu lub okazją do rocznicowej sentymentalnej zadumy lub lekcją na miarę potrzeb naszego narodowego rozumnego trwania. Pozostaną zawsze ciągle aktualne pytania czy godzina "W" przyjść musiała, czy powszechnemu pragnieniu walki można było zapobiec...? "Nie po to, by zrezygnować z szansy bohaterstwa, bo bez niego naród w ogóle żyć nie potrafi, ale po to, by było to bohaterstwo naprawdę skuteczne, płodne – jeśli nawet miałoby przynosić owoce nie jutro, lecz pojutrze" (T.S.). Dziś cały upalny dzień czytam T. Strzembosza "Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy" PWN, 1983. Zresztą

nie bez satysfakcji osobistej – w indeksie nazwisk i pseudonimów nie zabrakło również i nazwiska, które noszę str. Matka, syn, córka i zięć. Troje ocaleli z okupacyjno-powstańczej pożogi. Zginął tylko syn W tym okrutnym czasie nie zabrakło również rodziny Mieliliśmy również ja i moja siostra także swój skromny udział. Mimo prób nie udało mi się “wydobyć” od moich powstańców warszawskich obiecanych wspomnień, by włączyć je do “sagi” rodu. Ciągłe wierzę, że może jeszcze napiszę. Tacy jak Oni mogą być dumą każdej polskiej rodziny. Takich rodzin są tysiące, żyją jeszcze wśród nas, chwycicie kochani za pióro i utrwalcie tamten okrutny czas, bohaterski czas. Utrwalcie go dla pokoleń, które po nas przyjdą. Te 63 DNI muszą wciąż, zawsze krzyczeć światu, który nas wtedy tak okrutnie sprzedał – JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA!!! A POLSKA BĘDZE POLSKĄ!!!

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III. 1 września 1983 r. Nr 10.

Motto: „Wszystko jest z wody, z wody powstało i z wody się składa”
(Tales z Miletu)

GROZI NAM KLĘSKA WODNA

W ostatnich latach zagadnienie ochrony wód przed zanieczyszczeniem i walka z jej marnotrawstwem urosła do rangi czołowego problemu gospodarki narodowej. Również sprawy związane z higieną wody w produkcji zwierzęcej stały się problemem społecznym. Walka o czystą wodę stała się obecnie walką o nasze życie. Czy dostatecznie zdajemy sobie z tego sprawę? Klęska wodna grozi nam nie tylko dlatego, że jesteśmy krajem ubogim w wodę, trzykrotnie uboższym niż inne kraje Europy. Ogromne straty i dramatyczne zagrożenie są następstwem bez troskich ostatnim 40 leciu zaniedbań ze strony decydentów odpowiadających za gospodarkę wodną. A oto niektóre tylko objawy tej bez troski:

*) wciąż rośnie zanieczyszczenie rzek, jezior i zbiorników – około 90% wszystkich wód powierzchniowych jest zanieczyszczonych, 75% jest już zniszczonych – oznacza to, że tylko ok. 10% tych wód nadaje się do wykorzystania gospodarczego.

*) spośród 804 miast zaledwie 192 miasta dysponują oczyszczalniami mechaniczno-biologicznymi a ponad 440 miast w ogóle nie ma żadnych oczyszczalni ścieków, w tym takie miasta wojewódzkie jak: Białystok, Elbląg, Gorzów, Kalisz, Łódź, Nowy Sącz, Radom, Rzeszów, Skierniewice, Tarnobrzeg, Tarnów, Warszawa, Włocławek. W dwóch województwach – włocławskim i łódzkim – ani jedno miasto nie ma oczyszczalni, należycie funkcjonuje tylko 23% oczyszczalni, obsługa oczyszczalni tylko w 3% ma wymagane kwalifikacje.

*) Spośród 3783 zakładów mających poważny wpływ na stan gospodarki wodnej – 1759 zakładów odprowadza ścieki wymagające oczyszczania bezpośrednio do wód powierzchniowych.

*) Ponad 85% indywidualnych gospodarstw zaopatruje się ze studni, które

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ (1981–1989)...

w 80% nie odpowiadają podstawowym warunkom sanitarno-epidemiologicznym.

*) Magazynujemy zaledwie 5% rocznego odpływu (kraje zachodnie magazynują blisko 50 %, Bułgaria 15%, ZSRR 14%, CSRS-12%).

*) Stan techniczny obiektów ochrony przeciwpowodziowej nie jest odpowiedni na ponad 50% długości rzek wymagających tego zabezpieczenia.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III 18 września 1983 Nr 11.

Motto: " Idziesz przez świat i światu dajesz kształt przez swoje czyny"
(St. Wyspiański)

ŚW. STANISŁAW KOSTKA – PATRON MŁODZIEŻY NIE TYLKO POLSKIEJ

Dnia 18 września Kościół w Polsce czci św. Stanisława Kostkę, naszego rodaka z mazowieckiej ziemi. Żył krótko, zaledwie 18 lat, ale przeżył czasów wiele, bo swoje życie wykorzystał maksymalnie, wszystko stawiając na jedną kartę. Poszedł za głosem powołania zakonnego i nic go na tej drodze zatrzymać nie mogło. W zakonie jezuitów przebywał kilka miesięcy, ale to wystarczyło, że otoczenie rozpoznało w nim żarliwość, którą wykazują ludzie bliscy Bogu. Gdy zmarł nikt nie miał wątpliwości, przez aklamację – zanim rozpoczął się proces kanonizacyjny – ogłoszono: umarł święty Polak ! Od początku był wierny zasadzie: „Do wyższych rzeczy jestem stworzony”. Nie chciał być zwykłym zjadaczem chleba, postawił sobie zadania i wymagania ogromne, nie bał się trudu, umarł walcząc o swoją ideę nawet z rodzonym ojcem; przyjął jako swoje hasło: Wszystko, dosłownie wszystko na większą chwałę Boga. Dlatego w krótkim czasie stał się doskonały. Jest patronem młodzieży, której nie wystarczy poziom życia na trójkę z minusem, ale chce więcej, głębiej, mocniej żyć w przyjaźni z Bogiem, bez stawiania pytań ile za to będę miał?

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III 26 Września 1983 r. Nr 12.

Motto: „Kto dziś w Europie naprawdę wie jak może boleć utracona niepodległość narodu, kto zna gorycz niewoli, ciężar pracy bezsensownej i beznadziejnej?...”

TWÓRZMY KOŁA OPORU SPOŁECZNEGO (KOS-y)

W zniewolonym kraju, którego narzucony, obcy mu ustrój wyrodził się w ciasną i głupią oligarchię powstrzymującą rozwój społeczny i ruch elit, który tkwi pod kuratelą super- mocarstwa pracującego nad jego ubezwłasnowolnieniem, degradacją a w końcu wytępieniem jedyną obroną musi być tworzenie Kół Oporu Społecznego. Niech KOS-y staną się najmniejszą, podstawową komórką oporu społecznego. Niech każdy z członków KOS-a stanie się założycielem swego Koła, którego skład będzie znany tylko założycielowi Koła.

W ten sposób mogłyby powstać małe grupy oporu, odporne na inwigilację S.B. obejmujące ludzi dobrze sobie znanych, zaprzyjaźnionych i ufających sobie. Pamiętaj – do KOS-ów się nie wstępuje, KOS-y się tworzy .

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok III Listopad 1983 Nr 13.

Motto: „...Pragniemy życia i szczęścia – rzeczywistego. Otóż przekonał się w bolesnych doświadczeniach, że ani jednego zapewnić, ani drugiego dać nie może gra w loterię wojenną i zagraniczne łaski, lecz ciężka, spokojna i wytrwała praca...”.

(A. Świętochowski)

UTRATA PAŃSTWOWOŚCI I DROGI JEJ ODZYSKANIA

wg. S. Kieniewicza: Historia a świadomość narodowa.

Czytelnik, Warszawa, 1982.

... Nad przyczynami upadku Rzeczypospolitej Szlacheckiej dyskutuje się od czasu rozbiorów... Od roku 1918 dyskutuje się też nad okolicznościami odzyskania niepodległości... poglądy były i nadal są krańcowo rozbieżne.... Przyczyny jednego i drugiego wydarzenia dadzą się najogólniej podzielić na zewnętrzne i wewnętrzne... W końcu XVIII wieku była zła koniunktura międzynarodowa dla Polski. Potęga militarna „trzech czarnych orłów” wzrastała szybciej aniżeli innych mocarstw. Rola międzynarodowa Francji zmalała... Nikt nie mógł przeszkodzić sąsiadom Rzeczypospolitej w podzieleniu się bezbronnym łupem. I na odwrót: na początku XX w. koniunktura okazała się dla nas korzystna. Pierwsza wojna światowa przeciwstawiła sobie Rosję carską i mocarstwa centralne... Rewolucja zmiotła z powierzchni ziemi wszystkie trzy rozbiorowe cesarstwa. Państwo polskie wyłoniło się w końcu roku 1918 pod opieką zwycięskiej Entanty w powstałej nagle politycznej próżni. Dla cudzoziemskiego zwłaszcza obserwatora dzieje rozbiorów Polski i dzieje odrodzenia naszego dają się zadawałająco objaśnić w płaszczyźnie stosunków międzynarodowych... Sprowadzenie tych dziejów do gry sił zewnętrznych nigdy jednak nam nie wystarczyło... Naszej polskiej miłości własnej odpowiadała – i zapewne jeszcze odpowiada – teza kombinowana: o zewnętrznych źródłach upadku i wewnętrznych źródłach odrodzenia.... Szkoła, historyczna krakowska upierała się, samiśmy byli winni upadku własnego państwa, upadku naszych

powstań narodowych. ... Nie zamykajmy oczu na czynniki zewnętrzne, międzynarodowe, ale próbujmy zanalizować nasze własne drogi – własne drogi w liczbie mnogiej. Różne obozy polityczne i ich przywódcy w zmieniających się okolicznościach rozmaicie wyobrażali sobie, jak należy postępować, aby odzyskać utraconą wolność. ... Łatwo dadzą się wyodrębnić 8 najbardziej typowe koncepcje i sposoby działania:

1. Ugoda z jednym z zaborców, oparta na założeniu, że w jego interesie może leżeć odbudowanie Polski chociażby w formie częściowej tudzież półzależnej. ...
2. Dyplomacja. Przekonanie mocarstw i społeczności zachodnich o potrzebie odbudowy Polski; prowokowanie zatargów owych mocarstw z rozbiorcami...
3. Opozycja legalna: obrona praw, z których korzystali Polacy lub które im zostały zagwarantowane w konstytucjach i traktatach międzynarodowych...
4. Przejdźmy od pokojowych działań do orężnych „Co nam obca moc wydarła, szablą odbierzemy...”
5. Powstanie zbrojne w kraju: klasyczne w naszej tradycji narodowej w formie ubiegania się o niepodległość. Sześć powstań zbrojnych możemy odnotować pomiędzy insurekcją Kościuszki a rokiem 1863...
6. Rewolucja społeczna: nurt wyrastający z podłoża antagonizmów klasowych, z potrzeby obalenia niesprawiedliwych, przeżytych form ustrojowych. Dobrze jednak wiadomo, jak ściśle w polskich warunkach ów nurt rewolucyjny był powiązany z niepodległościowym, jak program rewolucyjny bywał narzędziem w rękach patriotów, oraz na odwrót, jak nastrój patriotyczny stawał się paliwem rewolucyjnego pożaru. ...
7. Punkt ten wiąże się z innym, bardzo słynnym hasłem: „za naszą i waszą wolność”. Dawali temu wyraz polscy maziniści i garibaldzcy, bojownicy barykad roku 1848 i polscy komuniści, członkowie trzech kolejnych Międzynarodówek robotniczych... nieustanna obecność Polaków w rewolucyjnym podziemiu rosyjskim.
8. Praca organiczna... Wszelkie formy niepolitycznej aktywności indywidualnej lub zbiorowej – pożytecznej dla kraju... Niekiedy wyodrębnione tu drogi wiodące do niepodległości krzyżowały się z sobą.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV Marzec, 1984 r. Nr 1

Motto: „O Matko Polko! źle się syn twój bawi...”

(A. Mickiewicz)

POZOSTAĆ POLAKIEM

Pozostać Polakiem. Pozostać sobą. Sprawa ocalenia własnej tożsamości narodowej stała się centralnym problemem naszej historii. W całym okresie od trzeciego rozbioru w 1795 r. aż do odzyskania niepodległości w 1918 r. W owych 123 latach przeżyliśmy sześć powstań i jedną rewolucję (1905-7). Naród walczący o byt z przemocą trzech zaborców potrzebował pomocy z zewnątrz. Niestety pomoc nie przyszła. W 1806 roku Napoleon ustanowił nad Wisłą niewielkie, półzależne państwo: Księstwo Warszawskie, niby zadatek, jak się wtedy zdawało, odbudowaniu całej Polski. Po raz drugi podobna sytuacja przydarzyła się w roku 1919. Mogło się zdawać, że przeciwnicy naszych ujarzmicieli przyjdą nam z pomocą. Złudzenie to okazało się fatalne dla polskiej sprawy w czasie powstań: listopadowego i styczniowego a warszawskiego w szczególności. Zaufanie, jakieśmy położyli w Churchillu i Roosvelcie przyniosło nam podobne rozczarowanie jak wtedy kiedy polscy powstańcy wyczekiwali francuskiej i angielskiej interwencji w roku 1831 i 1863. I znów nie jest dziś dla nas istotne, czy owo zaniedbanie sprawy polskiej przez Zachód świadczyło o złej woli, o braku zrozumienia, czy po prostu o niemożności. Pozostaje fakt obiektywny: oczekiwanie pomocy bezpośredniej lub pośredniej z Zachodu należy do naszych politycznych tradycji XIX w. – choć tradycji wątpliwej wartości, zważywszy precedensy.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV. 4 marca 1984 r. Nr2

Motto: „Bronił i zajmował się jak swoimi, sprawami ubogich i nędzarzy i dlatego przez lud był nazywany obrońcą ubogich. I chociaż był synem króla i szlachetnego pochodzenia, nigdy nie okazywał swej wyższości w kontaktach i w rozmowie z innymi, choćby byli niskiego pochodzenia”.

500- LECIE ŚMIERCI ŚW. KAZIMIERZA

W II połowie XV wieku Litwa, zwana Wielkim Księstwem Litewskim, złączona unią z Polską zajmowała tereny od Bałtyku aż po Morze Czarne. Na obszarze tym przeważała prawosławna ludność ruska. Litwini choć byli narodem panującym, stanowili mniejszość i zamieszkiwali w zwartej masie jedynie Litwę właściwą (Auksztotę i Żmudź). Litwini przyjęli chrześcijaństwo najpóźniej ze wszystkich narodów europejskich. Oficjalna chrystianizacja tego narodu rozpoczęła się w 1386 roku w Krakowie chrztem księcia Władysława Jagiełły i najbliższego jego otoczenia i założeniem biskupstwa wileńskiego. Drugi jej etap stanowił chrzest Żmudzi i założenie w 1417 roku biskupstwa żmudzkiego w Miednikach. Mówiąc o chrystianizacji narodu litewskiego nie można pominąć kultu zmarłego w Grodnie, 4 marca 1484 roku i pochowanego w Katedrze wileńskiej królewicza Kazimierza. Kult ten zaczął się wkrótce po śmierci królewicza. Kaplica grobowca św. Kazimierza stała się Litwinom szczególnie drogą. Było to pierwsze historyczne miejsce święte w Wilnie i na Litwie, obdarzone już w 1501 roku odpustami papieskimi. Już w chwili śmierci został uznany za świętego patrona wdychających do nieosiągalnego ideału władcy i stróża narodowych i społecznych interesów Polaków. Oto wybrane elementy z homilii Jana Pawła II podczas uroczystości 500 lecia śmierci św. Kazimierza. „... Droga jest pamięć św. Kazimierza synom i córkom tej ziemi, która niegdyś wspaniale się rozwijała za panowania wielkich książąt z rodu Gedyminów i pod berłem Jagiellonów. Ja sam nie mogę bez wewnętrznego wzruszenia serca myśleć o tym, że ten święty urodził się na zamku królewskim w Krakowie w roku 1453 jako syn wielkiego Kazimierza Jagiellończyka, króla polskiego i zarazem

wielkiego księcia litewskiego, a matką jego była Elżbieta z rodziny Habsburgów, zwana „matką królów”. Imię Kazimierz otrzymał po ojcu. Sam zaś był potomkiem tego wielkiego narodu, któremu Litwa zawdzięcza swój chrzest w 1386 roku (a więc blisko sześćset lat temu). Jakże to jest wymowne, że z dziedzictwa tego Chrztu wyrósł w niedługim czasie tak dojrzały owoc świętości! Jakże jest to wymowne, że na tym miejscu, na którym przodkowie ten historyczny chrzest przyjmowali – w tym samym Wilnie – spoczął w niepełna wiek potem: święty! Potwierdziło się w nim to powołanie do świętości, jakie jest udziałem całego Ludu Bożego – i poprzez pokolenia promieniuje na wszystkich rodaków świętego Kazimierza. Nie brak także takich: na Litwie, w Polsce a także wśród innych społeczeństw chrześcijańskich, którzy imię Kazimierza otrzymują na Chrzcie świętym, aby było dla nich przewodnikiem i wzorem na drodze życia chrześcijańskiego. Krótkie było ziemskie życie Kazimierza: 26 lat. Równocześnie można o tym krótkim życiu powiedzieć słowami Pisma: „Wcześniej osiągnąwszy doskonałość, przeżył czasów wiele” (Mdr 4, 13). Miarą życia ludzkiego jest bowiem dojrzałość moralna, a nade wszystko stopień miłości Boga i bliźniego, jakim potrafi nasycić wszystkie dni swego bytowania. Mówią nam o tym czytania dzisiejszej liturgii, zarówno językiem Psalmisty, jak też św. Pawła z Listu do Filipian, jak wreszcie językiem Ewangelii według św. Jana. Z pewnością można powtórzyć o Kazimierzu z rodu Jagiellonów: oto „ten, który postępował bez skazy, działał sprawiedliwie, a mówił prawdę o sercu swoim” (por. Ps. 15(14),2) – wskazując w ten sposób na wielką prawość Jego życia. W duchu tej prawości nie zawahał się nawet, jak o tym świadczą kroniki, wpływać na swojego ojca – króla, gdy domagały się tego względy sprawiedliwości wobec podwładnych. Nade wszystko zaś był Kazimierz uczniem i naśladowcą Jezusa Chrystusa, który mógłby w sobie powtórzyć słowa Apostoła: „Dla Niego wyzułem się ze wszystkiego i uznaję to za śmieci, bylebym pozyskał Chrystusa i znalazł się z Nim” (Flp 3, 8, 9). To wielkie pragnienie trawiło jego duszę jakby wewnętrzny płomień. Był jak ten ewangeliczny „zawodnik”, który „wytężając siły ku temu, co przed nim, pędzi ku wyznaczonej mecie...”. Pozostał Kazimierz w pamięci potomnych jako żarliwy asceta, poprzestający na małym i zawsze wymagający od siebie.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ (1981–1989)...

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 25 marca 1984 r. Nr 3.

Motto: „Przedziwny jest Bóg w swoich świętych. Święci są bowiem latarniami zapalonymi dla nas przez Boga”

POLSCY ŚWIĘCI – EWENGELIE ŻYWE

Ojciec św. Jan Paweł II w czasie swojej drugiej pielgrzymki do ojczyzny ogłosił błogosławionymi – Ojca Rafała Kalinowskiego i Brata Alberta Chmielewskiego oraz Matkę Julię Urszulę Ledóchowską. Ostatnie kanonizacje i beatyfikacje rozplamniają naszą religijność. Piękne są Ewangelie pisane, piękne są ewangelie żywe – święci. Obyśmy i my zapragnęli być żywymi ewangeliami.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 31 marca, 1984 r. Nr 4

Motto: „Za chwilę trzeba się będzie rozstać po tylu latach wspólnej, twardej służby. Jedni pójdą do niewoli, inni będą usiłowali wydostać się z ludnością cywilną. Każdy w swoją nieznaną drogę... Mam szczerą wolę, całym życiem...”
(St. Broniewski „Orsza”)

WŁAŚNIE PŁONIE WARSZAWSKIE GETTO

„Na oczach wszystkich rozgrywa się przerażający dramat. Sięgający dna bezmiar okrucieństwa i sięgający szczytów bezmiar ofiar. „Tam giną obywatele Rzeczypospolitej” unosi się w dyskusji z jakimś endekiem Florian. „Boże! Boże!”-szepce patrząc na bijące w niebo słupy ognia młodziutki Jaś Ramocki i zaciska pięści. Gdy nadchodzi wiadomość, że będzie akcja bojowa, mająca odciążyć walczące getto, chłopcy nie posiadają się z radości. Akcja ma polegać na likwidacji niemieckiego stanowiska ogniowego ostrzeliwującego getto poprzez bramę przy ulicy Bonifraterskiej. Dowódcą akcji ma być „Orsza”. Odprawa omawiająca akcję odbywa się w mieszkaniu Wojtka Kroguleckiego (pseudonim „Ney”) przy ulicy Idzikowskiego na Mokotowie. Odprawie przewodniczył mjr Kiwerski. W planach akcji brano pod uwagę szereg pistoletów maszynowych, kilka samochodów. Nie były to już więc te prymitywne środki, z jakimi rzucił się oddział do akcji pod Arsenalem. Właśnie tamta akcja otworzyła Geesom wielki kredyt zaufania. Kedyw kierował na ich odcinki wszystko, co miał najlepszego. Tak i teraz w odprawie u „Neya” uczestniczyło dwóch oficerów świeżo przybyłych z angielskiej szkoły komandosów, podnosząc w chłopcach poczucie znaczenia ich walki oraz wprowadzając poczucie łączności z tak dotąd dalekim frontem zachodnim. ... Niestety w tym właśnie czasie Niemcy zlikwidowali swoje stanowiska wokół getta, wchodząc w głąb. Getto dopalało się, strzały cichły...

(wg. „Całym życiem”
St. Broniewski „Orsza”)

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 28 Maja 1984 r. Nr 5.

Motto: „My chcemy Boga w rodzin kole,
w trosce rodziców, w dziełek snach
My chcemy Boga w książce, w szkole,
W godzinach wytchnień, w pracy dniach”

PRYMAS TYSIĄCLECIA

Dziś przypada trzecia rocznica śmierci Prymasa Polski Kardynała Stefana Wyszyńskiego. W chwilach bolesnej izolacji obmyślał hasła przygotowujące naród na religijne przeżycia Millenium Chrztu Polski.

A oto treści tych dziewięciu haseł – przykazań przeznaczonych na dziewięć lat pracy duszpasterskiej:

1. Wierność Bogu, Krzyżowi, Ewangelii, Kościołowi i jego Pasterzom;
2. Wierność łasce;
3. Wierność życiu duszy i ciała;
4. Małżeństwo – sakrament wielki w Kościele;
5. Rodzina Bogiem silna;
6. Młodzież wierna Chrystusowi;
7. Abyście się społecznie miłowali;
8. Stoczyć zwycięski bój z wadami narodowymi;
9. Weź w opiekę naród cały.

Ten program Wielkiej Nowenny wskazuje na połączenie wysiłków duszpasterskich Kościoła w pracy nad doskonaleniem całego społeczeństwa. Prymas wiedział, że wyzwolenie człowieka przychodzi od wewnątrz, od przemiany moralnej człowieka i że ta przemiana ma nieść sprawiedliwe przemiany społeczne. Mówił: „Kościół Chrystusowy nie jest niczym wrogiem. Jest obrońcą ładu religijnego i moralnego w naszej Ojczyźnie. Jest sprzymierzeńcem narodu chrześcijańskiego, miłości społecznej i wojennej służby”. Pouczał: „Odnajdujemy Maryję w dziejach naszej Ojczyzny. Doświadczamy Jej obecności w naszym życiu codziennym. Wiemy, że jest Matką nas ludzi, Matką Kościoła, Matką

naszej Ojczyzny, Matką Rodziny ludzkiej”. Widział miłość wielką i przemieniającą świat nie w terminach odświętnych, okazjonalnych, patetycznych, ale w prostocie drobnych spraw... „Ogromną sztuką jest kochać „małych wrogów”, których jest wokół każdego z nas cała plejada”. Pozostawił nam piękną książkę „Miłość na co dzień”. Winniśmy zabiegać aby nauka wynikająca z jego życia i słów, była ciągle zaczynem ubogacającym Naród w jego trudnej drodze...

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV Czerwiec, 1984 r. Nr 6.

Motto: „W latach 1917-18 Kościół spontanicznie, z silnym entuzjazmem ogółu duchowieństwa udzieli też poparcia odradzającemu się państwu. Można także mówić o swego rodzaju katolickiej odnowie w środowisku intelektualnym...”

KOŚCIÓŁ POLSKI I SPRAWA NARODOWA W XIX w.

...w Rzeczypospolitej sprzed rozbiorów Kościół stanowił potęgę niemalże niezależną od bardzo słabego państwa... Był też ściśle z tym państwem związany. Kościół tym samym ponosił część odpowiedzialności za stan anarchii, w której pograżyła się Rzeczpospolita... w chwili gdy Rzeczpospolita zniknęła z kart Europy, istniała dość wyraźna opozycja między Kościołem a obozem patriotów. Trzy państwa zaborcze: Rosja, Prusy i Austria nie respektowały to prawda, przywilejów Kościoła, poddawały go swojej kontroli suprymowały klasztory, zagarniały dobra kościelne. Ale te same trzy mocarstwa osłaniały zarazem religię przed rewolucyjną zarazą... Istotną zmianę przyniosło powstanie listopadowe. Ruch narodowy wciągnął i duchowieństwo; akces do powstania zgłosiła większość biskupów, liczni księża, zwłaszcza zakonnicy, dawali dowody patriotyzmu. Tym samym represja popowstaniowa uderzyła także w Kościół katolicki, jako ostoję polskości. Następuje kasata wielu klasztorów, kilku biskupów usuniętych zostaje z diecezji, wielu księży wędruje na Syberię. W 1839 r. Mikołaj I ogłasza przyłączenie Cerkwi unickiej do Kościoła prawosławnego, co pociąga za sobą prześladowanie opornych na Ukrainie i Białorusi. W tym czasie arcybiskup Dunin trafia do więzienia pruskiego w związku ze sporem o małżeństwa mieszane. Cierpi więc Kościół polski na równi z narodem – zacieśnia się nowy związek pomiędzy katolicyzmem a narodowością. Tymczasem Grzegorz XVI za dyplomatyczną sugestią austro-rosyjską potępia publicznie powstanie listopadowe jako przejaw nieposłuszeństwa „prawowitej” władzy (encyklika Cum primus 1832). Ujawnia się więc rozdzwiek między urzędową doktryną papieża a jedynym odczuciem katolickiego uciskanego

narodu. ... Adam Czartoryski dostrzega w katolicyzmie niezbędny czynnik składowy przyszłej Polski liberalnej i umiarkowanej; stara się zatem – bez większego powodzenia – przekonać kolejnych papieży, że Kościół może tylko zyskać, opowiadając się za sprawą narodową. Tymczasem pogarsza się sytuacja Kościoła w zaborze rosyjskim. Poważna część diecezji walczy, rozluźnia się dyscyplina kościelna, obniża poziom umysłowy kleru. Mimo to proboszcz, zakonnik utrzymuje swój autorytet, zwłaszcza wśród ludu wiejskiego. Niektórzy młodzi księża zaczynają angażować się w ruchach społecznych i politycznych. Około połowy stulecia wzrasta liczba księży aresztowanych i zesłanych za udział w konspiracji... Poczynając od 1860 r. ... niższy kler coraz powszechniej solidaryzuje się z ruchem patriotycznym... manifestacje narodowe 1861 r. przybrały charakter religijny: nabożeństwa „za pomyślność Ojczyzny”, hymn „Boże coś Polskę”, prześladowany przez policję, wtargnięcie wojska do dwóch kościołów warszawskich itd. ... kler niższy ... włącza się do rewolucyjnej organizacji obozu „czerwonych”. Wybuch powstanie styczniowe i minimalny tylko odsetek kleru odważa się na powstanie. Ogół księży współpracuje z ruchem, każdy oddział powstańczy ma swego kapłana, trafiają się i duchowni – dowódcy partyzantki... na fali antypowstańczych represji liczni księża są rozstrzeliwani, wieszani, zsyłani na Syberię, prawie wszyscy biskupi wygnani, prawie wszystkie klasztory suprymowane, dalszy odsetek dóbr kościelnych skonfiskowany przez państwo. W konsekwencji dochodzi do zerwania stosunków dyplomatycznych Rzymu z Petersburgiem i oto Pius IX, staje się przedmiotem legendy, jako jedyny monarcha europejski, który w 1863 r. odważył się podnieść głos w obronie uciśnionej Polski...()).

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV. Czerwiec 1984 Nr 7.

Motto: „Pax vobis! Pokój Tobie, Polsko! Ojczyzno moja! Pokój Tobie!”

(Jan Paweł II)

PRZYBYWAM NA JASNĄ GÓRĘ

Na Jasną Górę chodzi się w pielgrzymce. I dlatego też pielgrzymką mają się stać wszystkie te dni, które dane mi będzie spędzić na ojczystej ziemi. W związku z jubileuszem miliony ludzi w Polsce pielgrzymuje na Jasną Górę. Pragnę być jednym z nich. Pragnę wspólnie z nimi modlić się, spełniać posługę słowa Bożego i Eucharystii. Wspólnie z nimi rozważać wielkie sprawy Boże... i sprawy ludzkie, i sprawy polskie. Pragnę więc- zanim przybędę tam, gdzie program mnie prowadzi – od razu powiedzieć, że przybywam do całej mojej Ojczyzny i do wszystkich Polaków. Od Północy ku Południu i od Wschodu na Zachód. Proszę więc abyście przyjęli moją obecność również tam, gdzie nie prowadzi szlak mojej pielgrzymki, gdzie nie jest mi dane przybyć tym razem. Wszystkim, którzy zechcą wspólnie ze mną modlić się i pielgrzymować duchem i sercem, będę serdecznie wdzięczny. Pocałunek ojczystej ziemi porównałem do ucałowania rąk matczynych. Niech on będzie również pocałunkiem pokoju dla wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób zechcą się znaleźć w tej wielkiej pielgrzymiej wspólnocie Papieża – Polaka. Pax vobis! Pokój Tobie, Polsko! Ojczyzno moja! Pokój Tobie!

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV Czerwiec, 1984 Nr 8.

Motto: „A zwyciężył już dziś – choćby leżał na ziemi podeptany – kto miłuje i przebacza – kto jak Chrystus oddaje serce swoje, a nawet życie za braci”.

(Kardynał Stefan Wyszyński)

DEUS VICIT

„...Bóg zwyciężył: mocą Boga, która za sprawą Jezusa Chrystusa działa w nas przez Ducha Świętego, człowiek powołany jest do zwycięstwa nad sobą. Do zwycięstwa nad tym, co krępuje naszą wolną wolę i czyni ją poddaną złu. Zwycięstwo takie oznacza życie w prawdzie, prawość sumienia, miłość bliźniego, zdolność przebaczenia, rozwój duchowy naszego człowieczeństwa... Bóg zwyciężył w człowieku. Chrześcijanin bowiem powołany jest w Jezusie Chrystusie do zwycięstwa... Naród również w ciągu swych dziejów odnosi zwycięstwa, z których się raduje – tak jak raduje się w tym roku wiktoria wiedeńską – ale z drugiej strony, ponosi klęski, które go bolą. Tych klęsk na przestrzeni trwania ostatnich stuleci było wiele. Nie powiedzielibyśmy całej prawdy, gdyby stwierdzić, że były to tylko klęski polityczne aż do utraty niepodległości. Były to również klęski moralne: upadek moralności w czasach saskich, zatrata wrażliwości na dobro wspólne aż do karygodnych przestępstw przeciw własnej Ojczyźnie. Ale przecież już druga połowa XVIII wieku przynosi zdecydowane wysiłki w kierunku społecznej, kulturalnej i politycznej odnowy. Wystarczy wspomnieć Komisję Edukacyjną, a nade wszystko Konstytucję 3 maja. Na tle tych wysiłków cios zadany pierwszej Rzeczypospolitej przez państwa dokonujące rozbioru Polski był straszliwą krzywdą dziejową, pogwałceniem praw narodu i porządku narodowego... oraz do odzyskania niepodległości politycznej, co nastąpiło w wyniku pierwszej wojny światowej. Mówię o tym dlatego, że dzieje Narodu wpisują się w nasz ojczysty jubileusz sześciu wieków obecności Maryi – Królowej Polski na Jasnej Górze. Tam też znajdują swój głęboki rezonans zwycięstwa i klęski. Stamtąd stale idzie wezwanie, ażeby nie poddawać się klęsce, ale szukać dróg do zwycięstwa...

(Jan Paweł II)

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 10 Czerwca 1984 r. Nr 10

Motto: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”

(J. Paweł II)

ZESŁANIE DUCHA ŚWIĘTEGO

„... To nasza ludzka nieudolność sprawia, że ciągle oczekujemy nowych Zielonych Świąt. Jedyną nadzieją Kościoła to istnienie Ducha św., który nieustannie odradza Kościół. Kościół przeżywa dziś swoją wiosnę. Jej zapowiedzią był Sobór Watykański II. To Moc Ducha Świętego pozwoliła nam na nowo odczytać naukę św. Pawła o żywym organizmie Kościoła, w którym każdy odrzucony ma swoją rolę do spełnienia. W którym nie ma ludzi biernych, są tylko różne posługiwania, i różne działania. I wreszcie żyjemy na nowo starą prawdą, że Jego moc jest złożona w każdym z nas, że On nas oczyszcza i uzdalnia do tego, aby naszym jedynym Panem był Chrystus. Przeżywamy rocznicę pielgrzymki Ojca św. Do ojczyzny. W czasie pierwszego pobytu w Polsce, w sercu stolicy Ojciec św. wołał: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Niech uczy nas Duch Boży, jak zachować w naszej ojczystej kulturze wartości ponadczasowe, abyśmy zawsze mogli w naszym języku głosić wielkie sprawy. Jak ma wzrastać w nas faktyczna odpowiedzialność za Kościół w naszej ojczyźnie, jak mamy odnajdywać nasze miejsce w nim! Niech nas ciągle oczyszcza i odradza, aby naszym jedynym Panem był Chrystus”.

(ks. J. Chowieńczuk)

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 14 czerwca, 1984 r. Nr 11

Motto: „Z pokorą teraz padam na kolana
Abym wstał silny Boga robotnikiem.
Gdy wstanę – głos mój będzie głosem Pana,
Mój krzyk – ojczyzny całej będzie krzykiem”
(Słowacki, Tak mi Boże dopomóż)

... DO GROBU WIELKIEGO PRYMASA TYSIĄCLECIA, KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO

... kiedy dzisiaj dane mi jest przybyć do Ojczyzny, pierwsze moje kroki skierowuję do Jego Grobu. I stoję przy ołtarzu archikatedry Świętego Jana, aby pierwszą Mszę świętą na polskiej ziemi odprawić za Niego. ... Dziękuję Bożej Opatrzności za to, że w trudnym okresie naszych dziejów, po drugiej wojnie światowej, na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia – dała nam tego Prymasa, tego Męża Bożego, tego miłośnika Jasnogórskiej Bogurodzicy, tego nieustraszonego sługę Kościoła i Ojczyzny. ...

Dziś, pragnę wspólnie z Wami ... podziękować za tę wieloletnią opatrznościową służbę Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski. Służył człowiekowi i narodowi. Służył Kościołowi i światu służyć Chrystusowi przez Maryję... Był mocny służbą – służbą świadomą posłannictwa zleconego mu przez Księcia Pasterzy. Był mocny służbą – i tą swoją prymasowską służbą czynił mocnym Kościół i Naród pośród dziejowych prób i doświadczeń. Dziś razem z Wami przy Jego grobie, w sercu Warszawy, dziękuję Trójcy Przenajświętszej za tę wielką prymasowską służbę Kardynała Stefana Wyszyńskiego, prosząc, aby owoce jej trwały nadal w sercach ludzi na całej ziemi ojczystej. ... Był mocny swoją wiarą w Chrystusa ów kamień węgielny zbawienia człowieka, ludzkości, narodu... Był nieustraszoną rzecznikiem godności każdego człowieka oraz dobrego imienia Polski pośród narodów Europy i świata. Opatrzność Boża oszczędziła Mu bolesnych wydarzeń, które łączą się z datą 13 grudnia 1981 r. Dziękuję Trójcy Przenajświętszej za wielką posługę Prymasa Tysiąclecia, pro-

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ (1981–1989)...

simy króla wieków, aby nic nie zniszczyło tego głębokiego fundamentu, jaki dane Mu było założyć w duszy Ludu Bożego na całej polskiej ziemi. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 16 czerwca, 1984 r. Nr 12.

Motto: „Ojczyzna jest naszą matką ziemską”

(Jan Paweł II)

Okęcie, 16 czerwca, 1983 r.

PRZYBYWAM DO OJCZYZNY

... zmarły książdz Prymas zapraszał mnie do ponownego nawiedzenia Polski w związku z jubileuszem 600-lecia obecności Bogurodzicy w Jej jasnogórskim wizerunku. Osobiście zawsze uważałem, że nawiedzenie Ojczyzny w tej historycznej okoliczności jest nie tylko wewnętrzną potrzebą mego serca, ale także i moją szczególną powinnością jako Biskupa Rzymu. Uważam, że powinienem być z moimi Rodakami w tym wzniosłym – a zarazem trudnym momencie dziejów Ojczyzny w tej historycznej okoliczności jest nie tylko wewnętrzną potrzebą mego serca, ale także i moją szczególną powinnością jako Biskupa Rzymu. Uważam, że powinienem być z moimi rodakami w tym wzniosłym – a zarazem trudnym momencie dziejów Ojczyzny. Przybywam do Ojczyzny. Pierwszym słowem, wypowiedzianym w milczeniu i na klęczkach był pocałunek tej ziemi: ojczyzny ziemi. Idąc za wzorem Pawła I czynię tak na początku każdej wizyty duszpasterskiej, przez cześć dla samego Stwórcy, oraz dla synów i córek ziemi, do której przybywam. Pocałunek złożony na ziemi polskiej ma jednak dla mnie sens szczególny. Jest to jakby pocałunek złożony na rękach matki – albowiem Ojczyzna jest naszą matką ziemską. Polska jest matką szczególną. Niełatwe są jej dzieje, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich stuleci. Jest matką, która wiele przecierpiała i wciąż na nowo cierpi. Dlatego też ma prawo do miłości szczególnej. Przybywam na Jasną Górę.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV. 17 czerwca, 1984 r. Nr 13

Motto: „Polska dostatnia i szczęśliwa leży w interesie pokoju i dobrej współpracy między narodami Europy”
(Paweł VI).

UWIERZYĆ W SIŁĘ DIALOGU

... „Polska leży w interesie pokoju...” Polska znajdowała się w samym centrum straszliwych doświadczeń tej wojny. Za swoje prawo do suwerennego bytu zapłaciła sześciu milionami swych obywateli, którzy złożyli ofiarę życia na różnych frontach wojny, w więzieniach i obozach zagłady. Za bardzo wielką cenę Naród polski potwierdził swoje prawo do tego, aby być suwerennym gospodarzem na ziemi, którą dziedziczy po praojcach.... Przybywając do Polski, mam przed oczyma całe tysiąclecie jej dzieje, a przede wszystkim doświadczenia tego stulecia, które są związane również z moim własnym życiem... Przybywam do mojej Ojczyzny jako pielgrzym w związku z jubileuszem Jasnej Góry. Przybywam, ażeby być z moimi rodakami w szczególnie trudnym momencie dziejów Polski po drugiej wojnie światowej. Równocześnie nie tracę nadziei, że ten trudny moment może stać się drogą do społecznej odnowy, której początek stanowią umowy społeczne zawarte przez przedstawicieli władzy państwowej z przedstawicielami świata pracy. I chociaż życie w Ojczyźnie od 13 grudnia 1981 roku zostało poddane surowym rygorom stanu wojennego, który został zawieszony od początku bieżącego roku – to przecież nie przestaję ufać, że owa zapowiadana wielokrotnie odnowa społeczeństwa według zasad wypracowanych w takim trudzie w przełomowych dniach sierpnia 1980 roku i zawarta w porozumieniach, dojdzie stopniowo do skutku. Odnowa ta jest nieodzowna do podtrzymania dobrego imienia Polski w świecie, jako też dla wyjścia z wewnętrznego kryzysu i dla zaoszczędzenia cierpień wielu synów i córek Narodu, moich Rodaków... Gorąco pragnę, aby Polska miała właściwe sobie miejsce pośród narodów Europy, pomiędzy Wschodem i Zachodem. Gorąco pragnę, aby na nowo zaistniały warunki owej „dobrej współpracy” z wszystkimi naro-

dami na naszym kontynencie, jako też na kontynencie amerykańskim przede wszystkim, gdy chodzi o Stany Zjednoczone Ameryki Północnej gdzie tyle milionów obywateli jest polskiego pochodzenia. Jestem głęboko przekonany, że takie warunki mogą zaistnieć. To także jest jedno z zadań dialogu – dialogu międzynarodowego – na rzecz pokoju we współczesnym świecie... Podobnie jak w czasie moich poprzednich odwiedzin pragnę na końcu stwierdzić, że każde prawdziwe dobro mojej Ojczyzny będę nadal uważał za moje dobro tak, jakbym nadal mieszkał na tej ziemi, a może nawet bardziej jeszcze z racji oddalenia. Z taką samą też siłą będę odczuwał nadal wszystko to, co mogłoby Polsce zagrażać, szkodzić, przynosić jej ujmę, co mogłoby oznaczać zastój, czy załamanie. W modlitwie za Polskę łączą się ze mną rzesze ludzi dobrej woli na całym świecie...

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 20 Czerwca, 1984 r. Nr 14

Motto: „Weź w opiekę Naród cały, który żyje dla Twej chwały.

Niech rozwija się wspaniały – Maryjo” Amen.

„Venimus, vidimus, Deus vicit”

(Jan III Sobieski)

Stadion Dziesięciolecia, 17 czerwca 1983

MORALNE ZWYCIĘSTWO NARODU

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pozdrawiam tym chrześcijańskim pozdrowieniem zgromadzonych w tej wspólnocie liturgicznej mieszkańców Warszawy – stolicy Polski oraz wszystkich Gości, którzy przybyli tutaj spoza Warszawy i spoza Archidiecezji Warszawskiej... Pozdrawiam Was wszystkich: Bracia i Siostry! Moi Rodacy! ... powiedziałem w Warszawie na placu Zwycięstwa, że trudno jest zrozumieć dzieje naszej Ojczyzny, nasze historyczne „wczoraj” i „dzisiaj” bez Chrystusa... Staramy się pojąć krzyż i zmartwychwstanie, staramy się pojąć tajemnicę Odkupienia poprzez Serce Jego własnej Matki... Mówię to w Warszawie, stolicy Polski, której Patronką jest od dawna Matka Boska Łaskawa... W roku 1983 na szerokie tło naszego tysiąclecia i zarazem jasnogórskiego sześćsetlecia, rzuca się jasnym reflektorem historyczna data sprzed trzystu lat: ODSIECZ WIEDNIA, wiktoria wiedeńska. Jest to rocznica, która łączy nas wszystkich Polaków, a także naszych sąsiadów z południa oraz z zachodu – bliższych i dalszych. Tak jak przed trzystu laty połączyło nas wspólne zagrożenie, tak samo po trzystu latach – rocznica walki i zwycięstwa. Ta walka: to zwycięstwo nie wykopała przepaści pomiędzy narodem polskim a tureckim. Wręcz przeciwnie, wzbudziło szacunek i uznanie. Wiemy, że gdy Polska z końcem XVIII wieku zniknęła z mapy politycznej Europy – faktu dokonanego rozbiorów nie uznał nigdy rząd turecki. Na dworze otomańskim – jak mówi tradycja – przy uroczystych przyjęciach posłów zagranicznych pytano wytrwale: „czy poseł Lechistanu jest obecny” Odpowiedź: „jeszcze nie” padała tak długo, aż nadszedł rok 1918

i poseł niepodległej Polski znów zawitał do stolicy Turcji. Miałem sposobność przekonać się o tym wówczas, gdy odwiedziłem stolicę Turcji, ażeby nawiedzić również patriarchat w Konstantynopolu. Trzeba było przypomnieć ten charakterystyczny szczegół, aby w pełni ocenić walor Odsieczy Wiednia w 1683 roku – zwycięstwo króla Jana III Sobieskiego. O zwycięstwie król zawiadomił stolicę Apostolską w znamiennych słowach: Venimus, vidimus, Deus vicit – przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył. Te słowa chrześcijańskiego władcy wpisują się zarówno w Tysiąclecie naszego chrztu, jak też w tegoroczny Jubileusz Jasnogórski. Jan III pielgrzymował podczas swojej wyprawy wiedeńskiej na Jasną Górę i do innych sanktuariów maryjnych...”

(Jan Paweł II)

Stadion Dziesięciolecia,

17 marca, 1983 r.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 24 Czerwiec, 1984 r. Nr 15

Motto: „Deo et Patriae”

NIECH KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI PRZYSZPARZA POLSCIE LUDZI MĄDRYCH I MĘŻNYCH

...Sprawy nauki, a w szczególności sprawy nauki akademickiej, zawsze głęboko mi leżały na sercu. Uczelnie katolickie uznawałem zawsze i uznaję za nieodzowny element składowy posłannictwa Kościoła... Cieszę się z tego, że w roku odzyskania przez Polskę niepodległości państwowej – w roku 1918 – powstał w Lublinie Katolicki Uniwersytet. Ta zbieżność dat ma swoją wieloraką wymowę. Widocznie zachodzi jakiś organiczny związek pomiędzy niepodległością, a uniwersytetem oraz pomiędzy niepodległością a „katolickością”. Ta wymowa znajduje też swój wyraz w hasle Deo et Patriae, któremu Katolicki Uniwersytet Lubelski pozostaje wierny przez wszystkie lata swego istnienia, a jest tych lat już 65. Raduję się z tego, że w tym 65 leciu mogłem mieć również swoją – bardzo skromną częśćkę. Jeśli dzisiaj zdecydowaliście się na wręczenie mi doktora honoris causa „ex uniwersa” – to jakkolwiek nie jest to zgodne z tradycją mojego urzędu – w tym wypadku ulegam. ... Niech będzie wyrazem miłości, jaką otaczam tę katolicką „Alma Mater” w mojej Ojczyźnie. Życzę, ażeby KUL stanowił autentyczne środowisko pracy naukowej i wychowawczej wedle najlepszych tradycji uniwersyteckiej kultury polskiej, europejskiej i światowej. Życzę, ażeby były żywą wspólnotą profesorów i studentów, zespolonych głębokim umiarem prawdy, a równocześnie głęboko zakorzenionych w chrześcijańskim – a zarazem prawdziwie humanistycznym – porządku wartości. Życzę, ażeby ziemi polskiej nasz Katolicki Uniwersytet przysparzał ludzi mądrych i mężnych. Moje spotkanie z reprezentacją Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego dokonuje się na szlaku mojej drugiej pielgrzymki do Ojczyzny związanej z Jasnogórskim Jubileuszem sześciu wieków. Znajduje się w drodze z Warszawy przez Niepokalanów na Jasną Górę. Tam też, przed wizerunkiem Matki naszego narodu, niech mi będzie wolno złożyć jako wotum to wyróżnie-

DR ANDRZEJ ANUSZ

nie akademickie, które mnie spotyka z Waszej strony. Tam też pragnę zawie-
rzyć Maryi – Stolicy Mądrości katolicką „Alma Mater” z Lublina i wszystko to,
co ona czyni dla przyszłości Kościoła, Narodu i jego kultury.

(Jan Paweł II
Do przedstawicieli
Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego,
17 czerwca 1983 r.)

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 31 lipca, 1984 r. Nr 16.

Motto: „Pokój Tobie Polsko! Ojczyzno moja!”

(Jan Paweł II)

JAN PAWEŁ II ZNÓW NA POLSKIEJ ZIEMI

„Pani Jasnogórska! W dniu jutrzejszym dane mi jest rozpocząć pielgrzymkę do Ojczyzny. Jest to pielgrzymka dziękczynna za sześćset lat Twojej macierzyńskiej obecności w jasnogórskim wizerunku. To dziękczynienie pragnę złożyć wspólnie z całym Kościołem w Polsce. Dziękuję moim Rodakom za zaproszenie. Dziękuję zarówno władzom państwowym, jak też Episkopatowi. Równocześnie, o Matko Jasnogórska, polecam przede wszystkim Tobie samej tą szczególną posługę pasterską, jaką wypada mi spełnić w momencie wzniosłym, a zarazem ogromnie trudnym w życiu mojej Ojczyzny. Proszę Cię, aby pielgrzymka ta służyła prawdzie i miłości, wolności i sprawiedliwości. Aby służyła pojednaniu i pokojowi. Proszę Cię o to za pośrednictwem świętego Maksymiliana Marii, męczennika – oraz za pośrednictwem Sług Bożych, których podczas tej pielgrzymki mam wynieść do godności błogosławionych: Ojca Rafała Kalinowskiego, Brata Alberta Chmielowskiego i Matki Urszuli Ledóchowskiej. Niech Dobry Pasterz dusz naszych pozwoli nam wszystkim zjednoczyć się w modlitwie – i w nadziei.”

\

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 26 Sierpnia 1984 r. Nr 17.

Motto: „Ludzie każdego wieku i zawodu, w jakimkolwiek punkcie waszego doświadczenia człowieczeństwa się znajdujecie, ilekroć kosztuje was życie, jakkolwiek cięży wam sumienie, jakakolwiek pustka zagraża waszemu duchowi – przyjdźcie, wstąpcie! Uwielbijmy wstępnie krzyż Chrystusa, który związał się nierozzerwalnie z dziejami tej ziemi. Uwielbiamy wspólnie krzyż, na którym umarł Syn Boży! Przez ten krzyż Bóg nigdy nie umrze w dziejach człowieka”.
(Jan Paweł II)

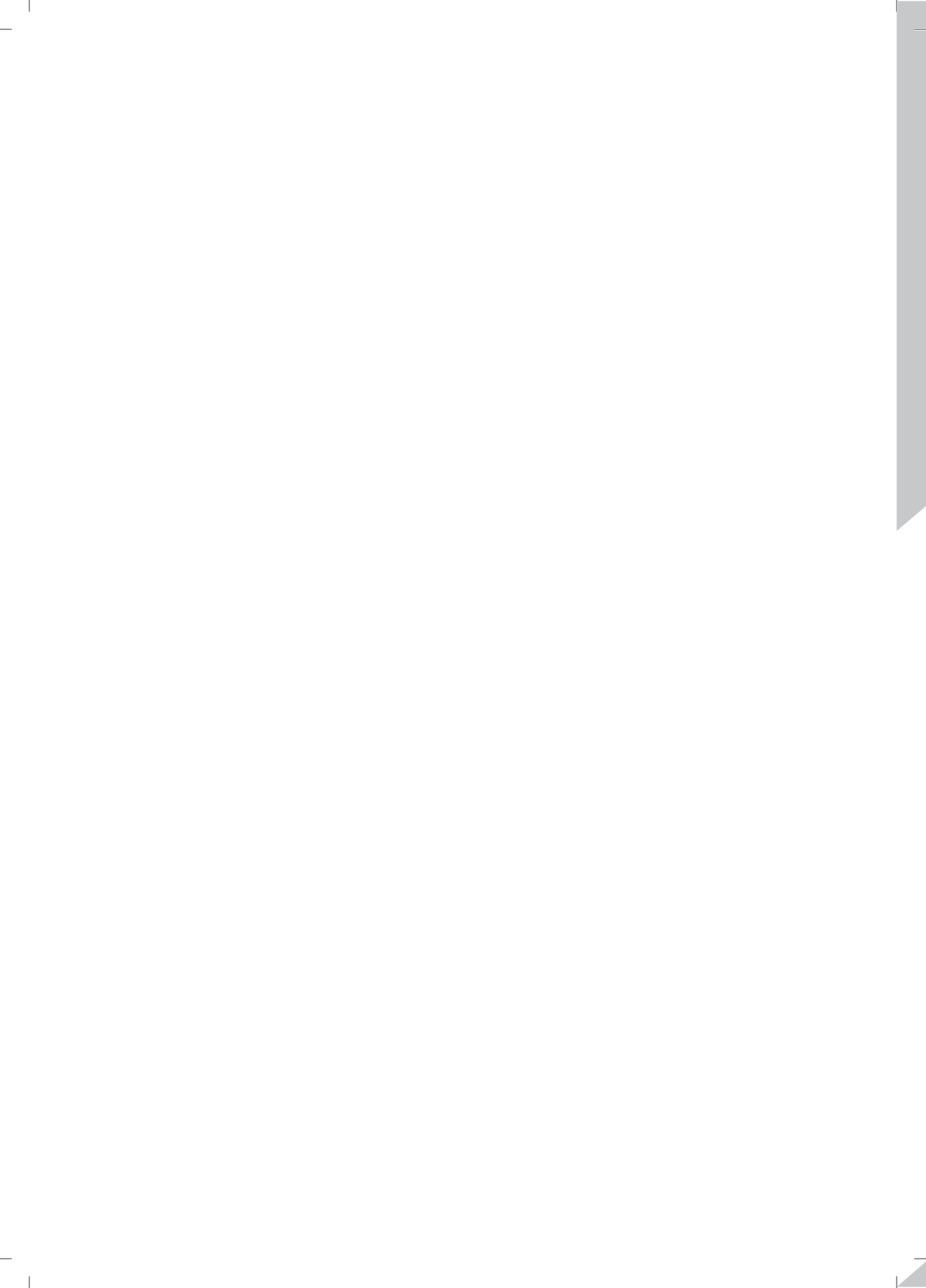
ŚWIĘTO PANI JASNOGÓRSKIEJ

„...Święto Pani Jasnogórskiej obejmuje cały nasz naród. Pojawiliśmy się jako społeczność na kartach historii. Właśnie wtedy gdy przyjęliśmy chrzest. Dzieje narodu; dni pełne chwały, tragiczne burze dziejowe, bohaterskie zmagania z przeciwnościami: czyż mogą być tylko igraszką historii, wydarzeniami, które mijają bez śladu? Dzieje narodu stawały się od zarania jego istnienia dziejami Kościoła. Stanowią tak dalece jeden nurt, że tu, na tej ziemi, Kościół stawał się ojczyzną, a ojczyzna Kościołem. Pełnią czasu stał się dla tego narodu dzień jego pojawienia się wśród narodów świata, tym dniem był dzień jego chrztu. Chrystus obecny w życiu Polaków. Polskie drogi są znaczone krzyżem w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu. Świątynie są wpisane w krajobraz tej ziemi. Bóg zamieszkał w naszej codziennej rzeczywistości. Dla naszego pokolenia nadeszła pełnia czasów, dla pokolenia które buduje świątynie tam, gdzie wznosi nowe domy, dla pokolenia, które krzyżem Chrystusa znaczy codzienny trud swojej pracy... Jasnogórskie Śluby są ponawiane każdego roku... są swego rodzaju przymierzem narodu ze Zbawicielem. Ślubujemy każdego roku, że będziemy powstawać z niewoli naszych narodowych wad i grzechów, aby Polska stawała się królestwem Chrystusa. Patronką i wzorem tego przymierza człowieka z Bogiem jest Maryja, Królowa naszego narodu. Trud powracania do Chrystusa, trud odnajdywania Go, podejmowany dziś przez młode pokolenie Polaków, jest zapowiedzią prowadzonego odrodzenia...

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ (1981–1989)...

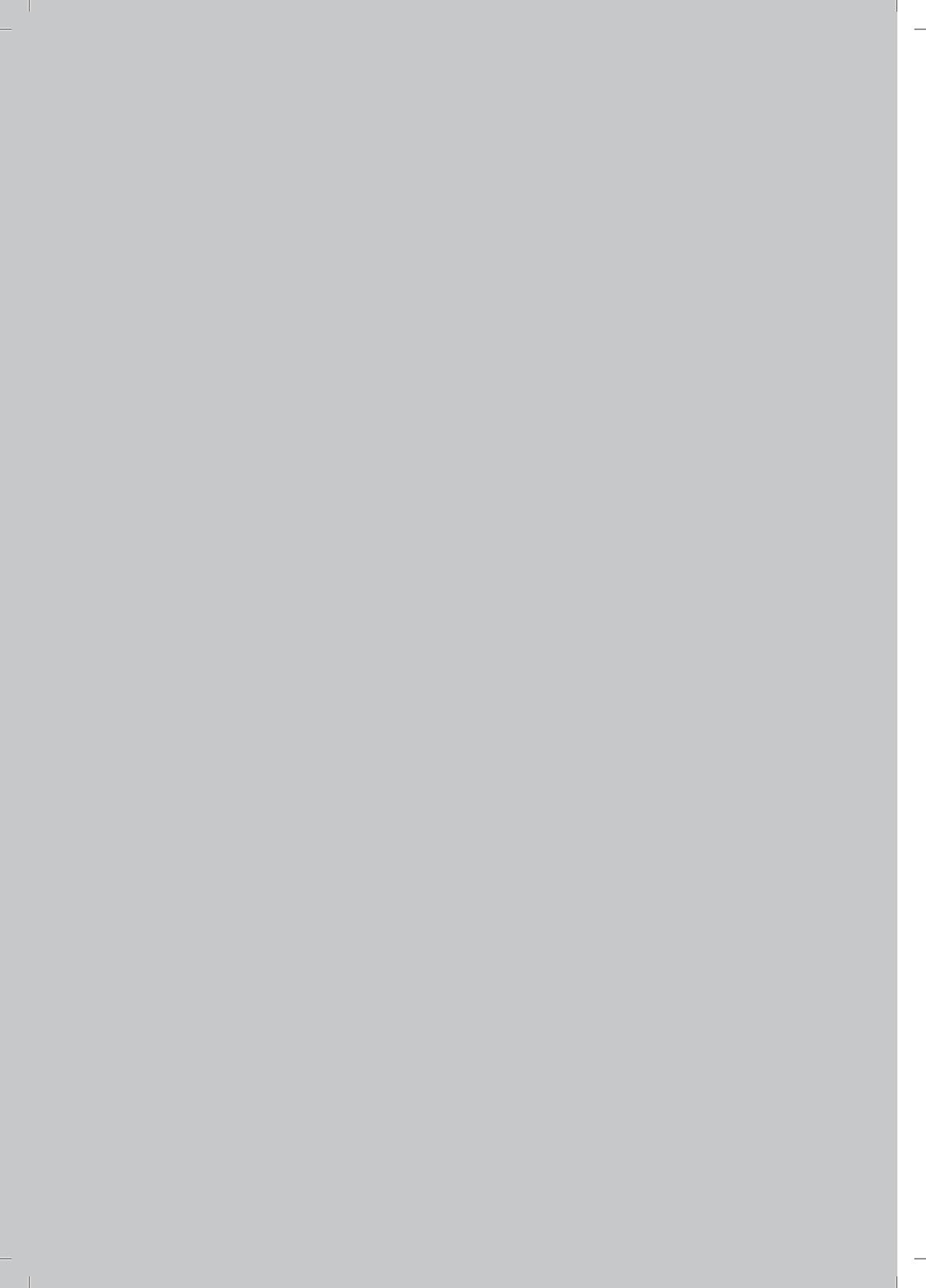
Dziś z ufnością wpatrujemy się w oblicze Czarnej Madonny. Barwą swą przypomina tę ziemię, na której doznaje czci od tylu wieków. Oblicze zranione nosi na sobie ślady bolesnej historii narodu, którego jest Królową...”

(ks. J. Chwańczak)





KULTURA



O „CYROGRAFIE” JERZEGO WOŹNIAKA

Wszystkie duchy z Mazur

Już w debiucie Jerzemu Woźniakowi udało się stworzyć drugiego po Hansie Klossie bohatera w niemieckim mundurze, który zyskuje naszą sympatię. „Cyrograf” zaś – kolejne podejście do mazurskiej legendy – potwierdza talent autora i wzmacnia oczekiwanie, co nam jeszcze zaproponuje.

Esesman Sadlowski spóźnia się na wezwanie gauleitera Prus Wschodnich Ericha Kocha, bo jego kierowca wyprzedzając mazurską furmankę spowoduje wypadek, przestraszywszy się koguta. Nie ma się z czego śmiać. W koguta bowiem często wciela się Kłobuk, zły duch, któremu podobno na Warmii i Mazurach czasem jeszcze teraz po wsiach wystawia się w misce jajecznicy za próg, żeby nie czynił ludziom wstrętów.

W „Cyrografie” postaci historyczne spotykają się z fikcyjnymi, prawdziwe są miejsca i zdarzenia z tła (daleko od mazurskich jezior trwa bój pod Stalingradem), a duchy – od kajzerowskiego po nazistowski poprzez wszystkie odmiany lokalnych demonów zyskują status pełnoprawnych uczestników tej opowieści. Niczym diabeł, który w dziejących się na tej samej ziemi „Krzyżakach” zachęca komtura Zygfryda de Loewe do samobójstwa.

Nad jeziorami odnajdują się ciała bez głowy, o których nawet gestapo podobno nic nie wie. A wzorowy policjant – kombatanat pierwszej wojny – w regionalnym muzeum natrafia na zagadkowy depozyt. Za sprawą złożonych okoliczności temu dobremu Niemcowi przyjdzie szukać protekcji u dawnej ukochanej. Wiele lat temu spędzili noc w stogu siana podczas akcji propagandowej na rzecz Niemiec przed mazurskim plebiscytem w lipcu 1920 r, który

Polska przegrała pozostawiając Mazurów samych, bo miała własne problemy – na Warszawę szły akurat hordy bolszewickie. Ale też podejmując wtedy taki wybór – przesadziliśmy z góry na własną niekorzyść o wyniku kolejnej wojny. Dziewiętnaście lat później z oddanych bez wysiłku terenów runęły na Polskę żelazne dywizje, pieczętując los państwa, które rodacy powieściowego Sadłowskiego określili drwiącym mianem *Saisonstaat*.

W „Mazurze” – poprzedniku „Cyrografu” – mogliśmy kibicować Georgowi Podborskiemu, dzięki związkowi z polską robotnicą przymusową odnajdującemu swoją mazurską tożsamość. W „Cyrografie” Sadłowski – pomimo polskiego nazwiska – okaże się złym człowiekiem. Co zresztą nie zaskakuje, jeśli pamiętać, że podpalacz Warszawy generał SS Erich von dem Bach-Zelewski wywodził się z pomorskiej rodziny szlacheckiej i znał polski. Za to bohaterski obrońca Wybrzeża w 1939 r. admirał Józef Unrug był pochodzenia niemieckiego i biegle porozumiewał się w tym języku. Jednak oddając się do niewoli zażądał tłumacza. Tak się losy spletały w świecie rzeczywistym.

Zaś w fikcyjnym świecie „Cyrografu” pozostaje nam kibicowanie policjantowi Jorgowi, reprezentującemu lepsze Niemcy z tradycji Bismarcka i von Hindenburga, wprawdzie butne, urzędnicze i posłuszne – ale ceniące obowiązek i żołnierski honor, więc przy tym wrogie nazistowskiej hołocie i brzydzące się gestapowską przemocą. Symbolem tego świata pozostaje mauzoleum chwały pod Tannenbergiem, gdzie Niemcy ćwierć wieku wcześniej pokonali Rosjan. Świata nowy zaś, spod znaku swastyki a nie pikielhauby, ustaw norymberskich a nie urzędniczych zarękawków – to nowobogackie leśniczówki nazistowskich prominentów i tajemnicze kazamaty, gdzie dokonuje się eksperymentów na ludziach. W zawartych u Woźniaka „opowieściach niesamowitych” na ten temat dostrzegam echo znakomitego eseju Cezarego Michalskiego o ezoterycznych źródłach nazizmu [1].

Jednak to nie w świecie filozofów ani idei już trzeci rok toczy się ta wojna. Esesman Sadłowski, który kiedyś studiował prawo w Heidelbergu, nie wierzy w narodowy socjalizm, ale potrafi swoją karierę zaprogramować: „Gdy kiedyś usłyszał, że sam Reichsfuehrer SS Heinrich Himmler doradzał, żeby uczestniczyć w pojedynkach, naciął sobie policzek brzytwą do golenia. Chodziło o niezbity dowód walki na szpady. Polowanie na Żydów, liberałów, homosek-

sualistów wzbudzało początkowo jego niechęć. W końcu sam siebie miał za inteligenta. (...) Ale szybko zrozumiał, że nie można inaczej” [2]. Karierowicze wesprą rządzących psychopatów i wykonają czarną robotę za pławiących się w luksusie – jak wiecznie pijany Koch – hitlerowskich dygnitarzy.

Gdzieś pośrodku żyje sobie zwyczajna niemiecka prowincja czasów wojny, z ludnością porozumiewającą się w dziwnym miękkim języku, którego publiczne używanie doprowadza do szału nazistowskich funkcjonariuszy. Gaulleiter Koch i dawna ukochana Jorga z czasów mazurskiego plebiscytu a teraz dobiegająca pięćdziesiątki prelegentka Hitlerjugend (w ustrojach totalnych to nic dziwnego, z maoistowskich Chin pamiętamy 64-letniego przywódcę młodzieży) paplają o wielkości narodu, jego wstawaniu z kolan i dobrej zmianie, ale chłop podwożący Jorga furmanką do Olsztyna ma inne troski. Jeden syn nie daje znaku życia od bitwy pod Sewastopolem, dwaj inni wprawdzie piszą regularnie ale ze stemplem poczty polowej spod Stalingradu... Wiemy, że już niedługo.

Ortelsburg Woźniaka – czyli po ludzku mówiąc znane już z „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza mazurskie Szczytno – niczym Gdańsk Guentera Grassa czy Macondo Gabriela Garcii Marqueza skupia ludzkie namiętności, wybory i dramaty. Wskrzeszanie umarłego świata ma sens wówczas, gdy da się z niego wyprowadzić nasze współczesne problemy. Jerzemu Woźniakowi udaje się sztuka zafrapowania nas losami ludzi, którzy z pozoru nie powinni nas obchodzić: innej narodowości i z innej epoki, poruszających się ulicami, które można dziś obejrzeć tylko na starych pocztówkach, ilustrujących tę powieść.

Po sukcesie „Mazura” pojawiły się plany jego adaptacji teatralnej, może jeszcze przyjdzie czas na ich realizację, chętni byli i są nadal, reszta jest sprawą ekonomii, a nie kultury. „Cyrograf” to opowieść bardziej filmowa, z elementem *thrillera*, który jednak nie zwiedzie czytelnika na tyle, by uwierzył, że trzyma w ręku kolejny *retro-kryminał*.

Każdy dziennikarz wie, że najtrudniej wydać nie pierwszy, ale drugi numer gazety. Z powieściami jest podobnie: debiutant liczyć może na taryfę ulgową, a do tekstu włącza czasem efekt całego życiowego doświadczenia. Nierzadko więc kolejne książki nie dorównują pierwszej, jak w wypadku Piotra Siemiona, autora kultowych „Niskich Łąg”. Jerzy Woźniak tej pułapki uniknął. Wciąż

ma nam wiele do powiedzenia. „Cyrografem” ustabilizował swój talent na poziomie artysty, a nie rzemieślnika. Z niecierpliwością więc czekać wypada na kolejne książki. Jeśli mogę coś podpowiedzieć dawnemu koledze z KPN, to *prequel* „Cyrografu” – opowieść osadzoną w realiach mazurskiego plebiscytu 1920 r, całkiem zapomnianego rozdziału historii. Znając jednak Woźniaka, wiem, że i tak zdecyduje po swojemu. Pewnie znowu z korzyścią dla czytelników. I ku utrapieniu krytyków, głoszących koniec tradycyjnej powieści.

[1] por. Cezary Michalski. *Ezoteryczne źródła nazizmu [w:] Powrót człowieka bez właściwości. Biblioteka Debaty*, Warszawa 1997, s. 99–223

[2] Jerzy Woźniak. *Cyrograf. Akces*, Warszawa 2017, s. 56

„Kazimierz Pluta-Czachowski >>Kuczaba<<” to druga książka Mirosława Lewandowskiego o działaczach nurtu niepodległościowego. Po jej przeczytaniu trudno mieć jeszcze wątpliwości co do faktu istnienia nurtu (choć pewnie znajdują się ludzie, których nic nie przekona). Sama nazwa nurtu pada rzadko. W tym wypadku mamy do czynienia z centralną postacią ruchu, która z racji stopnia wojskowego i aktywności jest faktycznym przywódcą środowiska; przynajmniej do końca lat sześćdziesiątych, kiedy tę funkcję przejmuje generał Roman Abraham. Pułkownik prowadzi salon, przez który przewijają się wielu zasłużonych ludzi, tzw. „starej wiary”. Pluta-Czachowski ma typowy życiorys uczestnika zasadniczego trzonu formacji piłsudczykowskiej: I Brygada Legionów – przedwojenne Wojsko Polskie – AK i Powstanie Warszawskie (w czasie którego był ciężko ranny) – więzienie stalinowskie. Następnie okres po roku 1956, który jest głównym przedmiotem badań autora.

Autor skazany jest na analizę akt esbeckich, które wnikliwie bada. Trzeba powiedzieć, że materiały SB okazują się bezcenne, są jakby pogrobowym prezentem dla badaczy najnowszych dziejów Polski. Lewandowski dostrzega, że działacze ruchu mają świadomość, iż są cały czas inwigilowani. Nawet więcej – wiedzą kto jest agentem. „Aniołem stróżem” pułkownika Pluty jest Adam Malewski, zarejestrowany jako TW „Chłopicki”. Pułkownik ma świadomość jaką rolę odgrywa „Chłopicki” i dlatego w jego obecności nie omawia ważniejszych tematów, nie mówi wszystkiego, odnosi się do niego z rezerwą. Jednocześnie nie zrywa z nim kontaktów, uznając że lepsze jest zło znane. Podobna jest sytuacja Przemysława Weissa (TW „Kleszewski”). Były też postacie ruchu, które były zarejestrowane jako TW, a faktycznie agentami nie były, jak np.

rotmistrz Zygmunt Augustowski (TW „Mociński.”) Czytając notatki esbeckie będące formalnie doniesieniami TW „Mocińskiego” Lewandowski zauważa sprytną grę rotmistrza, który mówi o swoich kolegach z lekceważeniem, krytycznie, przekazując informacje niepełne, zafałszowane. Faktycznie oddaje dla nurtu nieocenione usługi, utrzymując też trudne wtedy (z przyczyn politycznych i technicznych) kontakty z emigracją. Zdaniem autora na podobną grę wskazywałby też życiorys Augustowskiego, wieloletniego oficera kontrwywiadu („dwójki”).

Działacze nurtu to ta część środowiska akowskiego, która nigdy nie pogodziła się z utratą niepodległości, nie zaakceptowała PRL-u. Jednocześnie mając świadomość tragicznych wydarzeń czasów wojny, Powstania Warszawskiego, powojennego podziemia i terroru stalinowskiego – praktycznie rezygnuje z walki zbrojnej. Nie tworzy też nowych struktur, nazw, programu. Zarazem stopniowo, krok po kroku tworzy podstawy do zrobienia wyłomu w totalitarnym systemie. Najpierw jest to przede wszystkim odnowienie kontaktów, utrzymanie więzi, nawiązanie łączności z niepodległościową emigracją. Następnie podjęcie walki na polu, na którym mimo wszystko była szansa na zwycięstwo z potężnym przeciwnikiem. Była to walka o świadomość Polaków. Przede wszystkim chodziło tu o pamięć o Armii Krajowej, która była przez komunistów zacieraną, pomniejszana, dyskredytowana. Odwrotnie – Pluta i inni starali się wiedzę o AK popularyzować, przywrócić jej dobre imię i należne miejsce w historii. Poza AK podobna była tutaj sprawa przedwojennego rządu i Wrześniowej Armii Polskiej, gdzie z kolei większą rolę z racji życiorysu miał generał Roman Abraham. O tej postaci coraz więcej w drugiej połowie książki. Tutaj też coraz częściej pojawiają się już ideowcy młodszego pokolenia (historycy i dziennikarze), przede wszystkim Leszek Moczulski. Oparcie w swojej działalności niepodległościowcy znajdują w niektórych działaczach PAX-u (był to głównie Zygmunt Dziarmaga –Działyński), chociaż ogólnie ich stosunek do tego stowarzyszenia był krytyczny. W niewielkim też stopniu skorzystali z prób kokietowania środowiska kombatanckiego przez szefa ZBoWiD-u, ministra i generała Mieczysława Moczara. W pewnych kręgach wyciągnięto z tego zbyt daleko idące wnioski kojarząc legionistów-akowców z frakcją „partyzantów” w PZPR, co było rażąco błędne i krzywdzące. Inną formą działal-

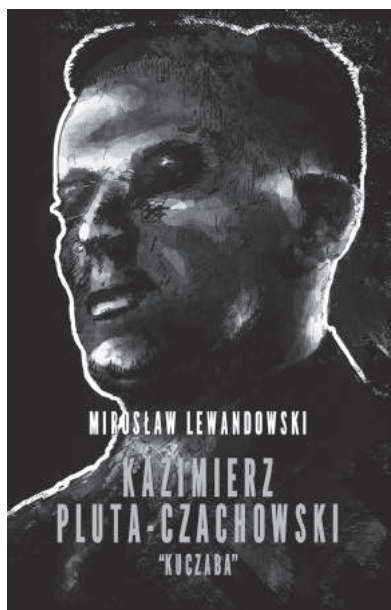
ności płk Pluty były zabiegi o odznaczenia dla towarzyszy walki. To z jego inicjatywy generał Tadeusz Bór – Komorowski mieszkający w Londynie ustanowił w 1966 roku Krzyż Armii Krajowej, przez kilka lat tolerowany przez ZBoWiD.

Pod koniec lat sześćdziesiątych nurt znajduje bardzo ważnego sojusznika jakim jest Kościół Katolicki, jedyna niezależna, choć oczywiście silnie inwigilowana instytucja w PRL. Przede wszystkim jest tu postać „Prymasa Tysiąclecia”, kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zbliżenie do Kościoła wcale nie było jak się dzisiaj wydaje oczywiste, zważywszy na stosunek legionistów – piłsudczyków o rodowodzie PPS-owskim do hierarchii kościelnej w okresie międzywojennym. Od roku 1968 zaczyna się zwyczaj spotkań opłatkowych środowiska kombatanckiego w pałacu prymasowskim w Warszawie. Niekiedy są to spotkania w innych miastach, z udziałem innych duchownych. Na spotkaniach tych przeważnie prym wiedzie Gen. Bolesław Boruta-Spiechowicz, wychwalając kardynała jako przywódcę Narodu i Interrexę, a jednocześnie wypowiadając się w duchu antykomunistycznym. Przemówienia Prymasa były natomiast bardziej wyważone, związane zwykle z Kościołem i religią. To zbliżenie do duchowieństwa dało możliwość montowania tablic pamiątkowych w kościołach, a także nabożeństw rocznicowych związanych z ważnymi, a nie uznawanymi przez władze wydarzeniami: 6 sierpnia – wymarsz Pierwszej Kadrowej, Rocznica Powstania Warszawskiego, imieniny czy śmierć Józefa Piłsudskiego, 11 Listopada. W czasie nabożeństw coraz częściej słychać było śpiew „...Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!” co długo wcale nie było podchwytywane przez innych wiernych i księży. Prymas natomiast akceptował te uroczystości, ostrożnie podchodząc do samej postaci „Komendanta”. Np. długo nie dopuszczał do powstania tablicy poświęconej Piłsudskiemu w Katedrze. Były też uroczyste pogrzeby zmarłych kolegów.

Lata siedemdziesiąte przynoszą nurtowi nowe możliwości działania. W 1972 r Niemcy Zachodnie ostatecznie uznają granice zachodnie Polski, co odbiera Sowietom pozycję gwaranta i możliwości szantażowania Polski na tym odcinku. Potem pojawiają się listy przeciwko zmianom w konstytucji (kierownicza rola PZPR, przyjaźń ze Związkiem Sowieckim). Następnie powstają jawne ugrupowania opozycyjne. Powstanie Komitetu Obrony Robotników,

jako ugrupowania antykomunistycznego, jest przyjęte życzliwie przez działaczy nurtu. Dwaj działacze nn wchodzi nawet w jego skład. Pluta podpisuje parę oświadczeń związanych z KOR-m. Później zaczyna się od niego dystansować uznając, że dominują w nim ludzie o rodowodach komunistycznych. Za to w pełni nurt angażuje się w działalność Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Mimo podeszłego wieku pułkownik Pluta-Czachowski jest bardzo aktywny i ciągle uważany przez SB za niebezpiecznego dla władz. Bolesnie odczuł rozłam w Ruchu wykonując starania do pogodzenia obu stron. Nigdy nie stracił zaufania do Leszka Moczulskiego. Umiera w wieku 81 lat na kilka dni przed powstaniem Konfederacji Polski Niepodległej. W skład Konfederacji wszedł natomiast kolega Pluty z Komendy Głównej AK płk Józef Szostak. Syn płk Szostaka (Wojciech), podobnie jak syn płk Ludwika Muzyczki (Michał) należeli do członków założycieli KPN.

Książka Mirosława Lewandowskiego przybliży postać pułkownika i całego środowiska ogromnie dla Polski zasłużonego, a prawie nieznanego szerszym kręgom społeczeństwa. Jest ważnym wkładem (oby kiedyś bardziej docenionym) do obchodów setnej rocznicy Odzyskania Niepodległości.



ROZMOWY Z WIERSZAMI

Wielkanoc 1797

*Był bal. Wielkanoc. Koronacja Pawła.
W oczach dam półmrok ikon, Petersburga szarość
Wtem krzyk orkiestr!
 W drzwiach ogień!
 Wpada polska szlachta!
Płonie!
 - Gaśnie ku ziemi
 całując dłoń cara — —*

*Potem szyki sprawują, by w skrzydła husarskie
Chwycić wiatr, co muzyką po twarzach uderza —
Na czele trupio blady, zgarbiony król August
Z twarzą szminką pokrytą wiedzie poloneza.

Próżno grzebią uczeni, gdzie im z dziejów znikły
Te dumne twarze szlachty; ryją pośród szanów — —
Nie w gruzach, nie pod ziemią,
lecz pod warstwą szminki
Niszczą nasze twarze w czarnym, polskim tańcu.*

Czytany już w wolnej Rzeczypospolitej wiersz wydaje się po prostu historyczną anegdotką. Czytelnik, który zajrzy do źródeł doda ze smutkiem, że

prawdziwą. Tak było. Po abdykacji nasz ostatni król zamieszkał – jak agent, który po wykonaniu zadania przechodzi na tłąstą emeryturę – najpierw na zamku w Grodnie, a potem w Pałacu Marmurowym w Petersburgu. Żył z łaski cara, na koszt cara a i pozostali zaborcy coś do jego emerytury dorzucali. Dwa lata po ostatnim rozbiórze, w dowód szczególnej łaski Paweł I polecił mu otworzyć swój bał koronacyjny tańcem. Działo się to najprawdopodobniej 5 (16) kwietnia roku 1797. Piszę „najprawdopodobniej” trafiłem bowiem w tej sprawie na dwa różne przekazy: pierwszy, że bał otwierany tańcem naszego ostatniego władcy odbył się w Petersburgu, drugi – że podczas koronacji w Moskwie. Dlatego druga linijka miała również moskiewski wariant:

W oczach dam półmrok ikon i mgła Moskwy szara

Gdy historycy uzgodnią stanowiska – proszę wstawić odpowiednią wersję.

Nie miejsce akcji jest tu zresztą ważne, lecz sama akcja: piękne spsienie Polaków.

Wiersz nie jest antyradziecki, ani antysocjalistyczny, a jednak został zdjęty z wydanego z początkiem 1973 roku tomu „W cieniu”. (Stąd dla mnie wniosek, że powstał przed tą datą.). Pomijając jeden wyjątek w PRL nie mogłem go wydrukować legalnie. Zamieściłem go zatem w nielegalnie rozpowszechnianym zbiorze wierszy „Kordian i cham”¹, najpierw w kraju, potem w Paryżu, a potem kilkakrotnie w wyborach drukowanych w wolnej Polsce. W zbiorach sąsiedował z wierszem *Boruta* dedykowanym generałowi Romanowi Abrahamowi.

I nie przypadkiem. To Generał, podczas jednego ze spotkań na Żoliborzu podsunął nam pomysł tzw. „akcji historycznej”, to znaczy walki z propagandą PRL na zastępczych a dogodnych dla nas polach. Więc nie narzekać na półkolonialny status PRL – tylko zohydzać Królestwo Kongresowe, nie demaskować Gierka tylko króla Poniatowskiego, a i Wielopolskiemu dołożyć, nie wskazywać na wszechwładzę ambasady ZSRR tylko pisać o carskich ambasadorach i polskich jurgieltnikach.

Nie tylko czasy Stanisławowskie były polem akcji historycznej. Także Kró-

¹ Całą serię niecenzuralnych tomików, m. in. Marty Berowskiej, Jurka Tomaszewicza i mój wydał w Bytomiu Marcin Hałas w 1985 roku.

lestwo Kongresowe, także narodowe powstania. Jako wzorce ukazywani byli bohaterowie powstań, również bohaterowie Powstania Warszawskiego, co wywoływało wściekłość władz. Wiele z tych historycznych artykułów ukazało się w „Stolicy”, w której pracowali Leszek Moczulski z Andrzejem Szomańskim, a z którą współpracował docent Jerzy Łojek i – pod pseudonimem – prof. Zbigniew Wójcik. Moczulski przygotowywał już po cichu ROPCiO, prof. Wójcik – Związek Piłsudczyków. W kontekście „akcji historycznej” paść muszą także nazwiska działających pod parasolem PAXu historyków: Jerzego Ślaskiego, Cezarego Chlebowskiego i Stanisława Podlewskiego, także filmowca Grzegorza Królikiewicza, którego zapoznałem z Moczulskim w swoim pokoiku na wieży AWF. Bo motorem i sumieniem akcji historycznej był przez lata Leszek Moczulski.

Generał Abraham był – jak sam to ujął – wynalazcą konspiracji bez konspiracji. *Żadnych partii, zarządów i szefów, chłopaki, żadnych struktur za które władza może złapać. Raczej kluby cyklistów, chóry męskie i koła miłośników stolicy* – powtarzał.

Nie przypadkiem więc, gdy powstawał ROPCiO – na jego czele nie było prezesów a dwóch „rzeczników prasowych”: Moczulski i Czuma, nie przypadkiem też Leszek Moczulski brał w rejsy po jeziorach harcerzy i chłopaków z warszawskiego jacht – klubu. To byli przyszli konfederaci.

Również Konfederacja Nowego Romantyzmu urządziła dwa spływy – Drawą i Obrą oraz – piechotą – Złot Gwiazdzysty w Szczawie, zorganizowała Seminarium Poetyckie na Kickiego i kilkadziesiąt spotkań poetycko – politycznych w kilkudziesięciu miastach Polski, głównie na Mazowszu.

Wiersz o królewskim balu to wierzchołek góry lodowej. Po latach góra zniknęła – wierzchołek pozostał.

Królobójcy

Wspominałem o wyjątku. Wiersz *Wielkanoc 1797* ukazał się legalnie w PRL raz – w programie do mojej sztuki *Trwa jeszcze bal* wydrukowanym we Wrocławiu w maju 1986. Sztukę wystawiał Teatr Współczesny, reżyserował Maciej Domański, króla grał Piotr Tokarz, a największe brawa zbierali dwaj aktorzy wcielający się w sumie w pięć ról: grający Borutę i Ryxa demoniczny Zdzisław Kuźniar i Maciej Tomaszewski grający Mnicha, Strawińskiego i Poetę. W pro-

gramie zamieściłem wybór wierszy z cyklu *Boruta – najsmutniejszy z bogów tego kraju*, wśród nich *Wielkanoc 1797* i *Melorecytację Boruty*.

Pierwotny tytuł sztuki *Trwa jeszcze bal* brzmiał krócej: *Królobójcy*.

Pierwszą jej wersję napisałem, lecz nie całkiem, kilkanaście lat wcześniej. Tu potrzebne dopowiedzenie. W 1973 dostałem nagrodę I Ogólnopolskiego Konkursu na Dramat Współczesny za *Teatr Kaliguli*. Chciałem powtórzyć sukces, a może nawet zdobyć główną nagrodę (na tym I konkursie jej nie przyznano) – szukałem jakiegoś tematu. Przypadkiem wpadłem na *Gawędy historyczne* Antoniego J. (Rollego) a w nich znalazłem „plotkę” odnotowaną wcześniej przez Wóycickiego:

Stanisław August umizgał się do żony hajduka Bützau, a mąż zazdrosny ranił go w czasie jednej ze schadzek. Poniatowski korzysta z tego, spieszy do ambasadora i spodem układają komedię pod tytułem: zamach na życie królewskie. Kuźma należy do tego oryginalnego sprzysiężenia, przyjmuje w niej urząd reżysera, zręcznie ją wystawia na scenie, zaciągnąwszy kilku walęsających się konfederatów. Bützau, z góry skazany na śmierć ginie w tej walce i tajemnicę skandalu do grobu z sobą zabiera. Treść romansu gotowa...

Dalej następowały zastrzeżenia ale mnie zafascynowała właśnie plotka. Gdyby przyjąć, że odpowiadała prawdzie – tajemnicze wydarzenia tamtych dni nagle zaczynały się wyjaśniać. Rzekome porwanie i cudowne ocalenie, przemiana złego konfederaty w dobrego zwolennika króla a nawet Rosji okazywały się elementami tej samej intrygi. Z tym, że dramatu nie dokończyłem, zbyt zagrzebałem się w działalność podziemną, w konspirację bez konspiracji a nawet z konspiracją, krążyłem po całej Polsce, wygłaszałem prelekcje – na pisanie zabrakło czasu. Miałem prawie gotowy inny dramat, *W białych ogrodach Tuilleries*, pisany od końca 1968, w formie snów Jarosława Dąbrowskiego a poświęcony Polakom uwikłanym w tragedię Komuny. Poślałem go, konkurs wygrałem, sztukę wystawił Teatr Stary, została zdjęta wskutek interwencji SB, te – wywołane donosami grającego w tej sztuce Jana Sykutery.

Do *Królobójców* powróciłem kilka lat później, przerobiłem rzecz na scenariusz dla telewizyjnego Teatru Faktu Grzegorza Królikiewicza – niestety wcześniej obaj wylecieliśmy za widowisko poświęcone Grotowi – Roweckiemu.

Dopiero w 1986 odważył się na wystawienie *Królobójców* dyrektor wrocławskiego Teatru Współczesnego, Jan Prochyra. Na wszelki wypadek wystawiliśmy ją pod tytułem *Trwa jeszcze bal*. Sztuka odniosła sukces, a co najważniejsze – wywołała ogólnopolską dyskusję o Poniatowskim i upadku Rzeczypospolitej. Postanowiliśmy pójść za ciosem, zacząłem szybko przerabiać wcześniejszą jednoaktówkę przeznaczoną dla radia a poświęconą Rejtanowi – *Władcy i zdrajcy*. Przerabiając – pomnożyłem ją trzykrotnie. Sztuka przybrała formę wracającego snu. Ostatecznie powstała trzykrotnie (nawet prawie tymi słowami) opowiedziana historia posła Rejtana i króla Stanisława. Dla urozmaicenia odgrywana była także przez pacjentów domu obłąkanych i przez nędzarzy wynajętych przez chorego Rejtana. Wracała do niego jak koszmarny sen a grać można ją było na wiele atrakcyjnych sposobów – na tym między innymi polegał Nowy Romantyzm – ale...

Rejtan za każdym razem zachowywał się identycznie – jego los kończył się też identycznie; król – zachowywał się różnie. Za pierwszym razem odgrywali historię prawdziwą, tę, która okazała się pułapką a kończyła się rozbiorem Polski i samobójstwem Rejtana w Hruszówce. Za drugim razem król próbował wyjść z pułapki, nie podpisywał zgody na rozbiory, grał na czas, i ostatecznie przeczekał Katarzynę. Jednakże pozbawioną wojsk Rzeczpospolitą zajęli Austriacy, którzy postanowili dotrzymać sojuszu z Rosją. Rozbiór Polski znowu nastąpił. Dopiero za trzecim razem król sprowokował rywalizację zaborców zrzekając się polskiego tronu. Duże szanse miał sułtan, Rejtan jednak wylanował króla Prus Fryderyka Wielkiego. Złowrogi jako przeciwnik okazuje się zbawienny jako władca Polski: reformuje, militaryzuje, rozbudowuje. A ponieważ jest dłużnikiem Rejtana – zwołuje sąd, który wyda taki wyrok, by król nie był dłużnikiem. Ostrzeżony przed aresztowaniem Rejtan ucieka do Hruszówki i tam znowu popełnia samobójstwo.

Sztuka była czytana z kilkoma aktorami, zapowiadała się jeszcze bardziej atrakcyjnie i prowokacyjnie niż *Trwa jeszcze bal*. Niestety nie zdążyła wejść na scenę, bo w międzyczasie władze zdjęły tę poprzednią. Głównym powodem był fakt, że z jednego z przedstawień *Trwa jeszcze balu* wyszła na znak protestu delegacja radziecka. Od tej pory żaden z teatrów nie wystawił żadnej z tych sztuk. Do dziś. Zamieściłem je obydwie w książce *Mochnacki. Sny o Ojczyźnie*. (2013)

Trzy damy rządzą podziemiem

Generał Abraham był niekwestionowanym, choć nieformalnym przywódcą nieformalnego podziemia niepodległościowego. Bohater walk z Ukraińcami o Lwów, następnie wojny polsko – bolszewickiej (pod Chodackowem, dowodził oddziałem z noszy!), organizator III Powstania Śląskiego, w 1939 wkroczył ze swoją kawalerią na teren Niemiec, potem brał udział w Bitwie nad Bzurą i w obronie Warszawy – jego wyczyny i zasługi możnaby długo wyliczać. A do tego człowiek ogromnej inteligencji i kultury, czarujący gawędziarz, przenikliwy autor tekstów drukowanych m. in. w Kierunkach.

Odszedł na wieczną wartę 26 sierpnia 1976 roku. Zdążyłem poznać go niemal w ostatniej chwili. Po jednym ze spotkań napisałem wspomniany już wiersz:

BORUTA

z opowieści Generała Abrahama

Nie jest prawdą,
że jego lanca
zakończona była widłami
z których wybuchał płomień -

Nie jest prawdą,
że wybiegł spod ziemi
na hasło *Ojczyzna w potrzebie!*
że przepalił wówczas podłogę
dworku, w którym werbowano ochotników – -

Po prostu:
gdy ułani
o zmierzchu stanęli do apelu
okazało się, że
- jak nie liczyć -

wciąż więcej o jednego... Więc wiedzieli:
jest już wśród nich.

Najbardziej lubił nocne
wypad, zasadzki
gry rycerskie... W pobliżu Bielaw
jakby przefrunął rzekę
zniósł obóz pancерnej dywizji.
Przez łąki pod Łęczycą
- dzień później -
szarżował na kolumny
piechoty. W powietrzu
słyszano łopot skrzydeł –
jakby rotы niewidzialnej husarii
pędziły, zmiotły wroga – lecz nie chichot
ale płacz ludzki
nieomal dziecięcy
słyszano w cichnącym wicherze.

Zginął -
nie,
nie w tej szarży.
Wkrótce potem:
w zwycięskiej bitwie pod Piątkiem.
Własną piersią zasłonił ułana,
młodego chłopca...

Kiedy diabeł pomaga ludziom
gdy kocha i rozpacza jak człowiek –
musi umrzeć jak człowiek. Nie pomogły
żadne leki i żadne modlitwy ułanów:

Boruta
zmarł, lecz znów nie jest prawdą
że zniknął potem z trumny.
Poświęcona
ziemia przyjęła poszarpane ciało. Nad grobem
tej samej nocy
nie kwiaty
nie wierzbą wyrosła płacząca –
Wyrósł biały brzozowy krzyż.

*Panu Generałowi
dziękując za wieczór wspomnień (1975?)*

Klub Grotołazów

Po odejściu generała Abrahama środowisku niepodległościowemu (i tak powiązanemu dosyć luźno) groziła dezintegracja. Nie dopuścili do tego trzy wspaniałe kobiety, które objęły rządy w podziemnej Warszawie. Były to: córka generała Grota Roweckiego Irena Rowecka – Mielczarska; ostatnia łączniczka, a i sympatia generała Elżbieta Prądyńska – Zboińska (najpiękniejsza kobieta w Warszawie!) i pani Zofia Idziakowska, uczestniczka dwóch konspiracji, w przyszłości czołowa działaczka Związku Piłsudczyków, KPN i „Solidarności”. Po okresie spotkań w mieszkaniach, podczas których głównie wymieniano się maszynopisami z ich właśnie inicjatywy około 1979 roku zaczęła powstawać organizacja, która – jakby stosując się do testamentu Abrahama – nie miała cech organizacji. Początkowo nazywała się „Klubem im. Grota” (potocznie: grotołazów), potem przyjęła nazwę „Społeczny Komitet Uczczenia Pamięci Gen. Grota i Jego Żołnierzy”. Oficjalnym miejscem spotkań stał się z czasem Klub Lekarza w Alejach Ujazdowskich, nieoficjalnymi pozostały mieszkania, zwłaszcza niewielkie, ale eleganckie i przytulne mieszkanie p. Elżbiety, przy ulicy Hynka i p. Zofii – przy ulicy Węgierskiej.

W roku 1980 podjęte zostały starania o formalną rejestrację Społecznego Komitetu – nie jestem pewien, czy zostały sfinalizowane. Komitet miał także swych rzeczników, czasem zwanych z przymrużeniem oka „prezesami”, byli

nimi strawni dla władz a sławni w świecie mediewiści: prof. Aleksander Gieysztor i prof. Henryk Samsonowicz. Pierwszy z nich był kiedyś w BiPie, drugi w PZPR (ale przejrzał na oczy i wystąpił). Prof. Gieysztor, jako członek PAN i prezes kilku komitetów (m. in. Odbudowy Zamku Królewskiego) był niezwykle cennym nabytkiem, ze względu na dostęp do mnóstwa dziwnych lokali i możliwość załatwiania – jednym telefonem – transportu, noclegów etc. Rzeczywistymi autorytetami byli jednak inni klubowicze: – szef warszawskiego Kedywu, bohater Powstania, działacz WiNu, prof. Józef Rybicki – „Andrzej” (tylko nieliczni mieli prawo zwracać się do niego tym pseudonimem); legendarny zdobywca „Pasty”, powstaniec i olimpijczyk, płk Henryk Leliwa-Roycewicz; naczelnik Szarych Szeregów, harcmistrz Stanisław Orsza-Broniewski (dowódca akcji pod Arsenałem!); architekt, b. adiutant Bora – Komorowskiego Stanisław Jankowski- „Agaton”; b. szef Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu KG AK „Oskar” – Bernard Zakrzewski; zastępca dowódcy grupy „Północ” w Powstaniu, potem jeden z przywódców WiNnu płk Antoni Sanojca; mec, Stanisław Rowecki – brat generała Grotą, też zasłużony konspirator; naczelny plastyk Warszawy Stanisław Soszyński. Z Krakowa parę razy zdążył przyjechać płk Ludwik Muzyczka (mianowany jeszcze przez Grotą generałem), z Łodzi – płk Józef Szostak – „Filip”, a także Andrzej Ostoją – Owsiany; do śmierci w 1979 roku duszą spotkań (do śmierci w 1979 roku) był kpt. Stefan Matuszczyk – „Porawa” – dowódca oddziału 993/W KG AK, a poza tym subtelny, imponujący czytaniem absolwent polonistyki; wpadał też, świetny dziennikarz sportowy Bohdan Tomaszewski – zresztą b. akowiec (w Powstaniu brał udział bez broni), z młodszych zaczęli się pojawiać Stefek Melak, Andrzej Kunert, no i piszący te słowa.

Jak widać sami wspaniali. Z wyjątkiem najmłodszych – każdy mógłby być wodzem. I dlatego podziemiem musiały rządzić trzy wspaniałe damy: pani Irena, pani Elżbieta i pani Zofia.

Działalność Stowarzyszenia polegała głównie na spotkaniach, były jednak i bardziej spektakularne akcje. W 1979 udało się zorganizować wyjazd do Wałbrzycha na przedstawienia poświęconej Grotowi mojej sztuki *Więcej niż przetrwanie*. Ściślej mówiąc były to próby wznowieniowe, na które teatr otrzymał pozwolenie, po wcześniejszym zdjęciu sztuki z prób przez samego

Jaroszewicza. Przypuszczając, że ostatecznie zgody nie uzyskamy – postanowiliśmy zaprosić zaprzyjaźnioną publiczność na rzekome „próby kostiumowe”. Z Warszawy przyjechał pełen autokar, wiek emerytalny i wspaniała, młodzięcza postawa. Wychodząc z autokaru jeszcze śpiewali powstańcze piosenki. Organizatorkami wycieczek były nasze wspaniałe trzy damy, głównie pani Irena, która nawet zatrzymała się w Wałbrzychu na kilka dni dłużej i dzięki swoim znajomościom zorganizowała podobne wycieczki z Wrocławia.

Ponieważ większość gości nocowała w pokojach teatru – były to – używając dzisiejszego nazewnictwa – wspaniałe imprezy integracyjne. Rozśpiewane i pełne wspomnień i kto wie, czy nie to było najważniejszym elementem imprezy. Na premierę – zgodnie z przypuszczeniami teatr zgody już nie otrzymał. Imprez takich zorganizowaliśmy rzecz jasna więcej. (Ostatnia odbędzie się w 1988 roku).

Z inspiracji Klubu powstał w 1980 roku Społeczny Komitet Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego. Z inicjatywą wystąpiło Staromiejskie Koło PTTK pod przewodnictwem Mariana Pyzla, który został przewodniczącym Komitetu. Udział w pracach wzięła większość „grotołazów”, m.in. Aleksander Gieysztor, Stanisław Soszyński, dziennikarz Bohdan Tomaszewski i oczywiście trzy nasze wspaniałe damy. Jako parasol powołano komitet Honorowy, na którego czele stanął gen. Jan Mazurkiewicz „Radosław”. Do komitetu włączyło się też sporo osób przypadkowych. Dlatego od początku część spotkań komitetu odbywała się jawnie, część – poufnie. Komitet został oficjalnie zarejestrowany 25 maja 1981, podczas uroczystości 1 sierpnia rozpoczęto zbiórkę na przyszły Pomnik Powstania Warszawskiego, 1 października w Sali Kongresowej odbył się koncert artystów, z którego dochód również był przeznaczony na Pomnik.

Prace Komitetu przerwał na jakiś czas stan wojenny, jednak 15 lutego 1983 ogłoszono oficjalny konkurs, na który wpłynęło 65 prac. Wystawa pokonkursowa odbyła się w Muzeum Narodowym. Ostatecznie wyróżniono *Mur* Piotra Rzeczковского studenta V roku ASP. Tymczasem władze uznały, że nazwa Pomnik Powstania jest niesłuszna, wręcz antyradziecka. Rzeczkowskiemu proponowano nie tylko przeróbkę pomnika, lecz także zmianę nazwy – na co artysta nie wyraził zgody. Zaczęły się spory, przepychanki, których efektem było zawieszenie Komitetu w lipcu 1984 i powołanie Zarządu Tymczasowego

Komitetu Budowy Pomnika Bohaterów Powstania Warszawskiego 1944, na jego czele postawiony został gen „Radosław”. Zarząd Tymczasowy ogłosił nowy konkurs, tym razem wpłynęły 3 (słownie trzy) prace. Rzeczkowski, mimo zaproponowanego mu wadium wynoszącego 100 tysięcy udziału odmówił. *Jako artysta już się sprawdziłem, ale jako Polak dopiero teraz mam szansę* – odpowiedział. To był koniec jego kariery. Do dzisiaj się nie podniósł.

Nowy konkurs wygrał projekt prof. Wincentego Kućmy. Ten pomnik składał się jakby z dwóch części, to znaczy z dwóch grup posągów – *Zryw* i *Epilog*. Powstańcy, którzy biegną do ataku i powstańcy, którzy schodzą do kanału. Tylko ci, którzy znali historię Powstania, wiedzieli, że powstańcy nie uciekali, że przechodzili kanałami do Śródmieścia – walczyć dalej.

Uroczyste wmurowanie kamienia węgielnego odbyło się 31 sierpnia 1984 roku. Aktu tego dokonał generał Jaruzelski, którego media zaczęły przedstawiać jako mecenasa, patrona i nieomal rzeźbiarza pomnika. Takiego nowego „króla Stasia”. (Jak się okaże analogia ta była bliższa prawdy, niż sądzono).

Po tych uroczystościach ... prace nad budową pomnika wygasły. Żadna ze stron nie była z pomnika zadowolona. W marcu 1988 rozpisano nawet nowy konkurs – i to dopiero wywołało solidarne protesty 43 środowisk powstańczych i żołnierskich domagających się jednak doprowadzenia prac do końca. Przyspieszyły je przemiany polityczne. 1 sierpnia 1989 roku nastąpiło odsłonięcie pomnika – pod wymuszoną przez historię i warszawiaków nazwą: Pomnik Powstania Warszawskiego.

Po tej długiej dygresji warto wspomnieć kilka mniej denerwujących inicjatyw. W 1981 roku udało nam się odsłonić dwie pamiątkowe tablice: w sierpniu – na Spiskiej 14, na ścianie budynku, w którym 30 czerwca 1943 aresztowano „Grotę”, we wrześniu – następną tablicę w jego rodzinnym Piotrkowie. W 1981 roku wyemitowany został wstrzymany dwa lata wcześniej serial *O coś więcej niż przetrwanie* w reżyserii Grzegorza Królikiewicza. Autorem scenariusza byłem ja, współautorką dialogów – niestety jeszcze w tamtych czasach cenzura i jakiś „odpowiedzialny” redaktor. Niewiele brakowało, by do emisji nie doszło – na żądanie tajemniczego „środowiska AK”. Na szczęście córka generała zorganizowała grupę autentycznych akowców, zrobiła awanturę na odpowiednim szczeblu i film puszczono. Po latach wyjaśniło się, że osoba or-

ganizująca „protest”, niegdyś wspinała konspiratorka z AK, po wojnie, po aresztowaniu męża została na czas jakiś TW. Działała pod wpływem szantażu.

W tym samym 1981 roku, 28 listopada mieliśmy możliwość ochrzcić imieniem generała Grota most przez Wisłę. Na uroczystość przyszedł tysiące ludzi, był wiec, przemówienia i pokropek. Wiec zakończył przemarsz uczestników, w większości dawnych żołnierzy AK przez Wisłę. Była to pierwsza taka deflada od czasów tamtej powstańczej – 6 sierpnia 1944 na Starym Mieście.

Stan wojenny zapędził nas znów do podziemia – lecz nie całkiem. W 1982, na zasadzie zaległej zgody udało nam się wmurować w ścianę więzienia przy Rakowieckiej tablicy poświęconej więzionym tam akowcom. Sprawy pilnowała osobiście pani Irena, mieszkająca zresztą przy tej ulicy. Potem musieliśmy uważnie kamuflować nasze działania. W działaniach jawnych, co nie znaczy prorządowych skupialiśmy się na walce o pomnik Powstania Warszawskiego. W spotkaniach poświęconych tej sprawie brali udział prawie wszyscy członkowie Klubu Grota. Kilka osób, z córką Generała na czele, wzięło udział w uroczystościach nadania imienia Generała wodowanej w 1985 jednostce „Generał Grot-Rowecki”.

Po magdalenkowej odwilży, 11 listopada 1988 grupa osób z Klubu pojechała do Płocka na przedstawienie mojej sztuki *Żelazne kwiaty*. Pierwsza po wojnie sztuka poświęcona Piłsudskiemu. Z Placu Konstytucji odjechały wówczas dwa autokary. Jeden wypełniony po brzegi publicznością zwabioną „odwilżową” imprezą, w drugi wsiadali tylko wtajemniczeni członkowie Klubu. Skojarzenie z wycieczką sprzed lat dziesięciu do Wałbrzycha narzucało się samo. Nie wypełniliśmy nawet połowy autokaru.

Jeszcze o królu Stanisławie

Jeśli mówimy o zastępczym charakterze sporów o ostatniego króla – narażamy się na podejrzenie, iż atakując go nie dbaliśmy o prawdę, że przypisywaliśmy mu celowo grzechy upodabniające go do przywódców PRL. Obrońcy króla zawsze w takich momentach podkreślają, że może nie był władcą zbyt wojowniczym, ale czasy były niesprzyjające, król nie chciał prowokować wrogów, lecz poza tym był patriotą i mecenasem artystów, a nawet postawił pomnik Jana III w Łazienkach.

Takie argumenty wysuwał historyk Andrzej Garlicki w kilku głośnych audycjach radiowych i fakt, że był wcześniej TW nie ma tu nic do rzeczy. Nawet nieuczciwy historyk może podać prawdziwy fakt.

Zacznijmy od patriotyzmu. Nie świadczy o nim ani elekcja wygrana pod bagnetami paru tysięcy Rosjan, ani wystąpienie – znów wspólnie z Rosjanami – przeciw Konfederacji Barskiej. Bo Poniatowski, choć król, mógł stanąć po stronie konfederacji, uczyni to zresztą parę lat później – tyle, że będzie to inna konfederacja.

Ostatnim sprawdzianem królewskiego patriotyzmu stała się otwarta wojna z Rosją w 1792 roku. Atak na Polskę poprzedziły działania polityczne. Rosjanie znaleźli wśród elit Rzeczypospolitej grupę zdrajców i pożytecznych idiotów, którzy – w obronie praw i wolności wezwali Rosję na pomoc. Oficjalnie związali w tym celu konfederację w Targowicy 14 maja, w rzeczywistości spisek został zawiązany jeszcze 27 kwietnia w Petersburgu, zaś akt konfederacji poddyktował generał Wasylij Popow. Takie „przychodzenie z pomocą” to kamuflaż większości rosyjskich napaści. 18 maja na Rzeczpospolitą runęła 100 tysięczna armia. O dziwo jednak Polacy stawiali opór, a nawet odnosili zwycięstwa. 18 czerwca 1792 książę Józef Poniatowski wygrał bitwę pod Zieleńcami, miesiąc później, 18 lipca Tadeusz Kościuszko odniósł zwycięstwo pod Dubienką. Wojnę kazał przerwać i przegrać ... król Polski.

Dlaczego opór Polaków zaskoczył Rosjan?

Tę zagadkową sprawę wyjaśnił Jerzy Łojek w oparciu o dane z archiwów zdobytych podczas insurekcji warszawskiej 1794 a ogłoszone wówczas w stołecznych dziennikach. Według świadectwa biskupa kujawskiego Józefa Rybińskiego (członka departamentu badającego zdobyte archiwa) znaleziono wtedy depeszę ambasadora Bułhakowa do carycy z kwietnia 1792, więc sprzed chwili uderzenia wojsk rosyjskich na Polskę. W depeszy ambasador zapewniał Katarzynę, że ze strony wojsk, których wodzem jest król Stanisław, armia rosyjska nie musi się niczego obawiać. Zawarto bowiem już „stosowną” umowę, w której wzięła udział cała prawie rodzina króla, łącznie z prymasem Michałem Poniatowskim i metresą Elżbietą Grabowską. Za lojalną współpracę mieli otrzymać weksle od Teppera. Czy to prawda?

Fakty dowodzą, że tak. 2 marca 1792 król otrzymał od Teppera subwencję

w wysokości 32 400 dukatów. Na polecenie carycy 23 lipca przystąpił do Targowicy i 25 lipca nakazał wstrzymanie działań wojennych. Zaczął się powolny rozbiór Polski.

Mecenas szpicli, dziwek i tym podobnych artystów.

A skoro już jesteśmy przy pieniądzach:

W swoich szkicach o Stanisławie Augustie, Łojek wyliczył, że król rozdał w czasie swego panowania co najmniej 2 143 944 dukaty, czyli 38 675 000 złp. Więc szczodry król, mądry mecenas sztuk...

Nie zapędzajmy się. Nie na sztuki król dawał najwięcej. Najwięcej dawał „swoim” – ekipie władzy, rodzinie. I nie całkiem rodzinie. Najwięcej dukatów dostał hetman Franciszek Ksawery Branicki, hetman wielki koronny i podpora tronu królewskiego – 409 467. Oczywiście zaufany Rosji, oczywiście przywódca Targowicy.

Mniej, ale również dużo otrzymał wojewoda bełski Michał Jan Borch – 35 500. Sumę tę dostał nie jako wojewoda, lecz jako mąż metresy, króla Stasia, pieniądze były na ozłocenie rogów. Borch był nawet zadowolony z układu i napisał grafomański poemat ku czci króla. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że żona Borchy była córką rosyjskiego generała. Sypianie z nią – czy dla wojewody, czy dla króla liczyło się wówczas tak, jak w czasach PRL sypianie z żoną generała Józwiaka, albo z samą Brystigerową.

A skoro już jesteśmy przy cenniku łóżek. Najwięcej otrzymała pani Zofia Leullier 42 446 a to ze względu na najdłuższy staż, służyła królowi swoim doświadczeniem od początku do końca kadencji.

Więcej jednak i od niej i od Borchy otrzymał agent Littlepage – 47 682. Nieźle także dorobił agent i szantażysta Wickede – 28 253; wspomniany konfederat ten co porywał i ocalał króla, Jan Kuźma za swe usługi dostał w sumie 7 tysięcy dukatów.

Jak na tym tle wyglądało wspieranie sztuk i artystów? – Raczej skromnie: malarz Baciarelli 23 084,

jeszcze lepszy malarz Canaletto – 1 002,

architekci: Fontana – 300, Kamsetzer – 500 dukatów,

Wyjątek na plus stanowi naczelnik architekt królewski Dominik Merlini,

twórca Pałacu na Wodzie, Królikarni, Pomarańczarni i innych cudów, który dostał od króla 2 673 dukatów. Jak się jednak wydaje są to pieniądze nie za cuda wyprawiane przez Merlina, lecz za cuda, które wyprawiała jego córka, która też była kochanką króla.

Na koniec można wspomnieć poetę Trembeckiego – ani on, ani nikt z rodziny z królem nie sypiał a dostał 6 449. dukatów. Nasz zachwyt jednak gaśnie gdy dowiemy się, że kuchmistrz Paul Tremo, dostał więcej: 8 479 dukatów (była to zapewne najwyższa pensja kucharska w Europie). Tremo potrafił dogodzić królowi w innej dziedzinie. Komponował potrawy rodzinne z europejskimi, szczupaka po polsku i kaczkę po francusku, lansował pyszne flaczki, z zup barszcz klarowny i barszcz zabieleny. Królewskie obiady czwartkowe wieńczyła przeważnie przyrządzana przez niego pieczona jagnięcina – marynowana uprzednio w serwatce. Z biegiem lat król zaczął stawiać wyżej cuda swego kuchmistrza, niż cuda swoich metres – i potrafił dać temu finansowy wyraz.

Podsumowując matematycznie – historyczne refleksje nad królewskim mecenatem trzeba stwierdzić, że stawiający pomnik Sobieskiemu król Stanisław przypominał generała Jaruzelskiego wkopującego kamień węgielny pod pomnik Powstańców. Też był agentem na najwyższym szczeblu, też dbał przede wszystkim o szpiclów i o policję. Król Stanisław pierwszy postawił przed polskimi twórcami problem być artystą czy dziwką. Nie tylko postawił – także wskazał, co się bardziej opłaca.

W styczniu 1795 król został wyprawiony do Grodna, pod eskortą rosyjską. 6 listopada 1796 umarła Katarzyna, jej syn i następca, Paweł sprowadził Stanisława do Petersburga, wyznaczył mu Pałac Marmurowy i uczynił z niego dworaka.

Kucharz Tremo służył i dogadzał królowi do ostatnich dni. W związku z jego rolą przy królu powstaje wiele znaków zapytania – trudno go jednak o cokolwiek oskarżyć. Towarzyszył Stanisławowi i w Grodnie i w Petersburgu do ostatniej chwili pitraśił – dosłownie do ostatniej chwili. Niestety nie zostawił pamiątek, a te mogłyby być fascynujące.

Istnieje bowiem podejrzenie, że król, niepotrzebny, upokorzony a kosztowny został w końcu zlikwidowany trutką dodaną do porannego bulionu,

który tradycyjnie pił w łóżku. Pisał na ten temat m. in. Stanisław Mackiewicz w książce *Stanisław August*:

12 lutego 1798 roku o godzinie dziesiątej rano jak zawsze Stanisławowi Augustowi przyniesiono do łóżka filiżankę bulionu. Po jej wypiciu głowa opadła mu na poduszki – pisze wspomniany autor. Następnie – ocierając się o grafomanie – rekonstruuje ostatnie doznania i wizje króla:

... z piskiem uciekają brzydkie myszy, oto biegną po nim, oślizgłymi łapkami zaczepiają o guziki od koszuli. A oto wielkie przepotężne skrzydła wiatraka, tylko czarne, zakręciły się jak koń w karierze, na ich czarności siedzi Katarzyna z usteczkami do całowania, momentalnie odsłania szczęki prawie zupełnie wypróżnione od zębów...

Ciąg dalszy można sobie darować. Ważne są tylko dwie informacje na temat sekcji, które przywołał Mackiewicz.

Nadworny lekarz Bekler – to pierwsza informacja – podkreślał, że wszystko w organizmie, zwłaszcza w mózgu było *w najlepszym stanie, bez żadnych narośli polipowych*. Bekler sugerował apopleksję, to jest wypełnienie się wodą komórek mózgowych

Wedle wiedzy współczesnej – zdaniem Mackiewicza – *skoro woda była w komórkach, apopleksja jest wykluczona*.

To ostatnie stwierdzenie nabiera wagi w połączeniu z drugą informacją – z zapiskami sekretarza królewskiego Jana Segatyńskiego:

Nazajutrz z rozkazu cesarza zrobiono sekcję i udano puszczając wieść, że woda na mózg wpadła i była przyczyną tak nagłej śmierci. Bekler, przytomny temu, był wezwany do Pawła i zapewne wyjawiał aktualny powód śmierci, sądził bowiem, że subtelny rodzaj trucizny zwany Aqua Tofana, którego ciężko i trudno spostrzec, gdyż śladu po sobie nie zostawia, musiał być dany w bulionie.

Uroczystości pogrzebowe trwały od 13 do 26 lutego 1798. Trumna była wystawiona w Pałacu Marmurowym. Na głowę trupa car osobiście wcisnął koronę.

Do tego wzorca nawiąże po latach Stalin, który zjawi się w Leningradzie na pogrzebie Kirowa, a nawet będzie niósł przez chwilę jego trumnę.

Scena otrucia króla miała być epilogiem (wystawionego) dramatu *Królobójcy*, czyli *Trwa jeszcze bal*. Jednak bardziej teatralnym i zgodnym z tytułem pomysłem wydał mi się bal carski, na którym pojawiali się Polacy różnych

epok. Także i peerelowscy urzędnicy w czerwonych krawatach z nieśmiertelnymi teczkami w rękach. Do tej sceny potrzebny mi był król żywy – by jak przed niemal dwustu laty poprowadzić wdzięcznego poloneza. Tak było w wierszu i ten wiersz został pokazany na scenie. Król prowadzi z wdziękiem poloneza, strzela oczami czy król i odpowiedni urzędnicy widzą jego starania. W pewnym momencie taniec staje – jakby w stop klatce. Przed tańczących wysuwa się Boruta. To jego melorecytacja kończy sztukę:

Oto Polska: spowity w płomień karmazynów
Olbrzym sunący światem krokiem lunatyka
Spomiędzy zębów cuchną resztki jakiejś wiary
I gniją w martwych oczach sztandary wygasłe

Olbrzym z piersią wyplutą, z twarzą spustoszoną
Ubrany dziś w płaszcz błazna i kolczaste druty
Polska, której czekali: ten Chrystus narodów,
Który wreszcie zmartwychwstał – lecz zmartwychwstał
trupem.

Oto Polska.

Kto wyjdzie zastąpić jej drogę,
Nim jak ślepiec przepadnie w ruinach historii
Kto chwyci tego trupa, przycisnie do piersi
By w martwą pierś – jak sztylet – wepchnąć żywe serce.

Nie tylko chodziło o Poniatowskiego, także o sens powstań narodowych, także o sens walk „Za waszą wolność i naszą” (Powstanie Węgierskie, Komuna Paryska). Dyskusja odżyła na krótko po wznowieniu mojej sztuki o Mochnackim w Kielcach.

Druga fala to lata 80. po jednej stronie Sto rąk, sto sztyletów – po drugiej mój „Mochnacki. Sen o ojczyźnie”

Po stronie realistów opowiadali się twórcy tak wybitni jak Zawieyski i młody (wówczas) dramaturg Jerzy Żurek, *Sto rąk, sto sztyletów* (1978),

DR BOHDAN URBANKOWSKI

po stronie zwolenników powstań - Jerzy Łojek
przeciwnicy kontynuowali linię Kruczkowskiego
1976 – Królikiewicz – spotkał się z Leszkiem Moczulskim u mnie na wieży.

ZYGFRYD.
GRZESZNY UROK ŻYCIA.
DWA OBLICZA JEDNEJ GĘBY
(CZ. 1)

*Gdy umrzemy, ciemniej nie będzie,
A będzie, może nawet jaśniej.*

Anna Achmatowa

Maj 1911r. Paryż

Z przejścia podziemnego przy Novotelu na Marszałkowskiej wyszedł mężczyzna kierując się w stronę przystanku autobusów. Idąc spoglądał na wmurowaną w resztki starej kamienicy tablicę poświęconą pomordowanym warszawiakom. Za swymi plecami usłyszał pisk opon i łomot giętych karoserii. Za chwilę wokół ofiary gromadzili się rozpiechli przechodnie. Mężczyzna leżał bez ruchu twarzą do ziemi. Nie było widać ani szczególnych urazów ani płynącej krwi. W wyciągniętej ręce trzymał podniszczoną książkę z okapturzonym mnichem na okładce i z gotyckim krojem liter w tytule. Z dala dochodziło wycie syren nadjeżdżających wozów policji i pogotowia.

Przy stoliku I

– Sok pomidorowy proszę.

Barmanka podała i tuż po podniesieniu szklanki zwyczajowo przetarła blat.

– A co, ty zawsze bierzesz ten pomidorowy, inne soki są smaczniejsze – zapytała.

– Na skurcze. Często w nocy mam skurcze w udach. Poradzili mi żebym ten sok piła. To piję.

– Pomaga?

– Sok nie.

Od stolika wołała koleżanka:

– Olka chodź, chodź już i przynieś mi coś do picia.

– Daj grosz – odpowiedziała dziewczyna.

– Goła jestem – padło od stolika.

– Goła to ty byłaś w nocy. Goła i wesoła, spać mi nie daliście.

– Ta twoja koleżanka jest jakaś zabawowa – skomentowała barmanka.

– Pani Zosiu, ona by tak na okrągło. Nie bawisz się, nie żyjesz. Upewniły ją w tym te plakaty na mieście. Dokładnie.

Przy stoliku siedzieli już pan Tadeusz i Ala, która podejrzewała, że koleżanka ją przed barmanką obgaduje.

– A tak – odparła – opowiedziałam jej jaka jesteś baletnica.

– Świnia, świnia, zazdrościsz mi, ploty rozsiewasz.

– Ja, tobie. Nie ma kogo. Tych wałków na brzuchu.

– Dziewczyny, wy ciągle się kłócicie – uspakajał pan Tadeusz. Jak się nie lubicie to nie przychodźcie razem.

– My się nie lubimy? – odparły jednocześnie, co spowodowało, że zaczęły się głośno śmiać i obściskować. My się nie lubimy, my się nie lubimy..., co za pomysł – chichrały się głośno.

Do ich stolika w kącie sali zmierzała pani Bogna. Dziewczyny prychały niezadowolone.

– Znowu ta nadęta krzyżówka – będzie się mądrzyła. Stara buba – zaopiniowała Alka.

– Co też mówicie, ona zaledwie z pięć może trochę więcej lat jest starsza od was. A wie więcej niż wy obydwie – poskromił je pan Tadeusz.

– Wie..., wie – oponowała Ola – mądrzyć się tylko umie.

Bogna, przeczesując palcami jeszcze mokre po natrysku włosy, przywitała wszystkich promiennym uśmiechem mówiąc:

– Napracowałam się dzisiaj. Ale to dla zdrowia – stwierdziła zadowolona z siebie kobieta.

– I urody..., żeby schudnąć, co? – stwierdziła Ala przewracając oczami.

– Zbyteczne, to mi zbyteczne. Robię to dla zdrowia, dla lepszego krwi obiegu, żeby mózg był dobrze odżywiony.

– Tak, przyda się to pani – potwierdziła Alka

– A Andrzeja nie ma? Był może?, bo na sali go nie dostrzegłam – pytała Bogna.

– O, o wilku mowa. Chodź Andrzej, chodź, bo te kobiety trudno mi jest opanować – zapraszał Tadeusz.

– Andrzej to by opanował – kokieteryjnie odpowiedziała Bogna – oj by opanował, dokładnie. Zresztą Andrzej nie musi ćwiczyć, on jak rzeźba grecka.

– Miałem ćwiczyć, mam w samochodzie torbę, ale wstrzymały mnie zajęcia i już mi się odechciało – wyjaśniał Andrzej. Posiedzę trochę z wami. Widzę tu dobry nastrój.

– Jak zwykle panie Andrzeju – stwierdziły zgodnie dziewczyny. A co pan miał za kłopoty?

– Nic szczególnego, to, to..., jak to w pracy. Konflikty między pracownikami a kierownictwem.

– Dobrze, że my nie pracujemy. Nie Alka? Nie miała byś czasu na nocne baleciki.

– A ty też się chętnie dołączasz. Tylko ja mam szanse na robotę, bo mam maturę, a ty nawet na kasie nie będziesz mogła.

– Zamiast dupę wygniatać przy kasie wołała bym korzystać z niej w innej pozycji – przyjemniej i większy zysk – odparła jej ze śmiechem Olka.

– Tylko że na twoją chudą dupę nikt nie leci.

– Wiesz, świnia jesteś, ja nie pcham się tak jak ty na maksa.

– Ależ drogie dziewczyny, jak wy się prowadzicie – fukała Bogna. Jak wy takie mądre powiedźcie mi co to jest takiego: drapie się gdzie go nie swędzi.

– To z krzyżówki takie świństwa? – spytała Olka

– O, interesujący temat... odezwał się pan Tadeusz, chętnie....

– Ale panie Tadeuszu, to jest z przyzwoitej krzyżówki – broniła się Bogna.

– Ja nie o tym.

– To o czym?

– O tym co mówią dziewczyny, Ola z Alą

– Też mi – stwierdziła Bogna – zainteresujmy się lepiej kłopotami Andrzeja.

Szef go źle traktuje, może pracę stracić, a dziś wiecie jak jest trudno o dobry etat, taki jak ma Andrzej. Nieprawdaż?

– Prawdaż, ale to nie jest tak – prostował Andrzej – To ja szefa..., właściwie szefową...

Dziewczyny szybko połapały i w śmiech, a Bogna:

– Andrzej, tego się nie spodziewałam, ty szefową, kobietę, która jest odpowiedzialna za..., a ty chcesz ją, na...- bąkała nieskładnie.

– Nie..., to, to nieporozumienie – prostował Andrzej – kłopoty są czysto zawodowe, chodzi o ocenę przygotowanego projektu nowej oferty rynkowej, no wiecie.... Zresztą, przyprowadzę ją tu kiedyś, jeśli się zgodzi. Chciała coś ćwiczyć. Jakies ruchy...

– Ruchy, ruchy – śmiały się dziewczyny. Pan przyprowadzi, obejrzymy, może razem będziemy robić ruchy. Nie Olka....Super.

Z sali wychodziło po ćwiczeniach coraz więcej osób. Niektórzy siadali przy stolikach. Robiło się gwarno. Przy bufecie powstała niewielka kolejka. Nawoływania i śmiechy wypełniały salę kawiarenki.

– Olka, idziemy na naszą zumbę, pora na nas – zachęcała Ala koleżankę wygrzebując z kąta torbę.

Te dwie dziewczyny przyciągały uwagę panów, bo zachowywały się tak, jakby te fatalaszki w które były przyodziane, niezmiernie im przeszkadzały. Przy każdym geście, pochyleniu spódniczki beztrosko fruwały, a bluzeczki odsłaniały to jedno, to drugie ramię, a czasem głęboki dekolt.

– A co z moją krzyżówką – dopytywała się Bogna. Hasło brzmi „drapie się tam gdzie go nie swędzi”. Gdyby był pan profesor, to by wiedział. Jakoś nas ostatnio omija.

– Nasze „małe” jego nieobecności chyba nie żałują. Zawsze im coś dopiekl – zauważył pan Tadeusz.

Nasza mamcia też ostatnio nie bywa – zauważyła Bogna.

– Pewnie bachory pielęgnuje – Odchodząc, rzuciła przez ramię Ala. Po co ona przychodzi, nie pasuje tu w ogóle..., totalnie.

– Dziewczyny – dogonił je już w drzwiach Andrzej, a wy na tę zumbę to koniecznie?

– Niezupełnie. Jak się trafią inne ćwiczenia, na przykład na drążku, to możemy zrezygnować – prowokacyjnie odparła Ala mrużąc oczy.

– A co, szefowa ma dziś zajęte? – śmiała się Ola.

– To nie wasz interes – dziewczuchy.

– Pewnie, że nie nasz tylko jej... i to dziś zajęty mój Boże, a to pech.

– A my mamy dziś interesy wolne, – wyszeptwała przez zęby Ala i oblizwała wargi.

– Oj, dziewczyny, na co wy zejdziecie – z przyganą powiedział Andrzej.

– Na ulicę proszę pana. Stąd jest zejście na ulicę do pana samochodu i to mi leży.

– Uważajcie żebyście nie zostały na tej ulicy –.

– Jak pan Andrzej nas nie zabierze.... to zostaniemy.

PRZYMIARKA

W samym pępku miasta, u zbiegu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi dreptał na skraju chodnika tuż przy jezdni starszy mężczyzna. Wyglądało jakby się przymierzał do przebiegnięcia do rotundy PKO na drugą stronę ulicy. Jednak przy takim ruchu nie miał szans.

Potoki ludzi wypływały z podziemnego przejścia. Gromadzili się na przystankach autobusów, podążali w kierunku Kruczej, wsiąkali w wejście do hotelu Forum. Wszyscy w pośpiechu zajęci swoimi sprawami, obojętnie przechodzili obok kawałka ściany starej kamienicy zachowanej ku pamięci Warszawiaków rozstrzelanych tu w pierwszych miesiącach niemieckiej okupacji.

Nikt też nie zwracał uwagi na płaczącego się przy jezdni drobnego, szarego mężczyznę.

PRZY STOLIKU II

– Patrz kto idzie – Przerywając rozmowę z Tadeuszem wskazał Andrzej głową w kierunku barku. Dziwny facet – nie? Taki sprany, wyleniały, bez osobowości. Ile on może mieć lat?

– Skąd on przychodzi i co jest za nim tego chyba nikt nie wie a zwłaszcza z tu obecnych – stwierdził Tadek. Osobowość jego się zmienia w zależności od tematu, może nastroju, okoliczności. Nieraz wydaje mi się dość młody, a nieraz zgębiony starzec. Raz pełen humoru – innym razem złośliwy, zgryźliwy, sceptyczny. A często to się przeplata nawet w jednej wypowiedzi.

– Nudziarz – odrzekł cicho Andrzej w stronę Tacka.

– Witamy pana po długiej nieobecności – powiedzieli wszyscy jednocześnie i nisko się pochylili.

– Długo powiadacie, a z pewnością radzi byliście, że nie przychodzi tu ten stary nudziarz, który aplikuje wam jakieś farmazony z przeszłości, przyszłości i czasu teraźniejszego. Dla mnie żaden okres nie jest długi czy krótki. Poczucie upływu czasu zależy od tego na co się wyczekuje. Czy czeka się na radość, czy na zapowiadany smutek. Jeżeli nie czeka się na nic to, ..., to jest się żywym trupem. Wiedźcie, jak zaczyna brakować tych z którymi się życie przeżywało, nie wyłączam z tego i wrogów, to człowiek czuje się jakiś zawieszony w próżni. Ja już jestem z innej epoki. Nie łączą mnie z obecnymi wspólne sprawy, zwyczaje, relacje. Muszę wam jeszcze powiedzieć, że ja też nie załapałem się do tej wspaniałej epoki w której relacje między ludźmi opierały się na tradycji, zaufaniu, autorytecie..., ba honorze. Jak tego zabrakło to te relacje usiłuje się regulować przez paragrafy..., i jakoś to nie wychodzi. Przepisy nie są w stanie zastąpić wartości. Znajduje się teraz coraz więcej takich, którzy kombinują jak tu paragraf obejść i jak się uda to wszystko w porządku. A co więcej, ci którzy mieli być strażnikami prawa, sami je łamią. Ach, wykład jakiś moralizatorski tu zrobiłem.

– Och, panie Profesorze, takie czarne myśli – skomentował Tadeusz – trzeba się od nich wyzwolić, pogadać, opowiedzieć co dolega...

– Lepiej do nich nie zaglądać. Wystarczy, że ja je znam – odpowiedział pan Profesor i spytał o panią Wandę.

Zdziwiło to Tadeusza i Andrzeja, gdyż zdawało się, że ona drażni Zdzisława. Zawsze siedzi z boczku, słucha, a głosu nie zabiera.

Przy stoliku siedziała, jak zwykle starannie zadbana Bogna. Wertowała wyjęte z torby krzyżówki i czekała okazji na dostęp do pana Zdzisława.

– A sikorek nie ma? – spytał przybyły.

– Chyba pan ich nie lubi?

– A..., nie lubię – przyznał Profesor – Jednak potrzebne są żeby poznać dzisiejszy świat. A oto i one.

– Z pewnością one reprezentują tę jego gorszą część – stwierdził Tadeusz.

– Gorsze i lepsze były zawsze. Tylko to gorsze nie było tak ostentacyjne i nie pchało się beczelnie na afisz – odparł pan Zdzisław.

– Ludzie ze star..., starszych pokoleń, poprzednich, chciałem powiedzieć... zaczął niezręcznie Andrzej.

– Stare pierdoły lubią moralizować – chciał pan powiedzieć – i słusznie. Sami wiele mają za uszami, a że niektórych rzeczy już robić nie mogą, to zadrószczą tym co jeszcze mogą – śmiał się Profesor.

– Proszę panów, jeśli mi wolno – powiem tak – zaczęła Bogna – obowiązuje teraz nowoczesność, trzeba brać wszystko z postępem. Dlaczego zachowania kobiet mają być inne niż mężczyzn.? Dlaczego kobietom mniej wolno?

– Z wielu powodów, moja pani, z wielu – odparł Profesor unosząc palec wskazujący ku górze. – Przede wszystkim kobiety są ładniejsze i szkoda je niszczyć. Widzi pani, gdy wolno teraz kobietom wchodzić do restauracji, to mężczyznom nie wolno palić, bo dym psuje cerę.

Poza tym. kobiety wolniej się ubierają, a do wielu czynności potrzebny jest pośpiech. Noszą stanik bo mają piersi, a piersi nie we wszystkich czynnościach są potrzebne. Bo mają długie włosy, które spadają na oczy, a jeszcze gorzej na jedno, przez co widzą świat nieco zdeformowany. Bo do sikania muszą siadać. Bo są zbyt pracowite i do tej pory prały by kijanką, lub na tarcze, prasowały żelazkiem z duszą i chodziły na piechotę. To facet wymyślił im pralkę, żelazko z nawilżaczem, samochód na zakupy, telefon do gadania i telewizor na seriale.

Wiele pań wpisują się w powszechny teraz prąd zacierania różnic. A różnice są ciekawe, inspirujące i wzbogacające – droga pani.

Zgodnie z tą nowoczesnością – jak pani powiedziała – chcą wyeliminować męskość. A co robią? Imitują we wszystkim mężczyzn, przez co ujawniają swój kompleks płci. Ubierają się w spodnie, stąpają jak żandarmi, palą, piją i klną. A powiem, że wszystko to, co różni kobiety od płci przebrzydłej jest piękne, ujmujące i stanowi groźny oręż w ich ręku..., no może nie tak dosłownie. To babole chcą wyrugować swych obrońców i uwodzicieli i zawłaszczyć zagospodarowane przez wieki pole, na którym liczyła się męskość, to znaczy: odwaga, opiekuńczość wobec kobiet i dzieci, uznanie dla starszych, gotowość pomocy i obrony, zdolność perspektywicznego myślenia, tak różnego od kobiecego. To zagospodarowanie przez mężczyzn pola odbywało się w sposób naturalny, wynikający z niezbędności ich roli w walce z zagrożeniami, a nie mody, jak to ma miejsce teraz. Nie mieszajcie więc tych ról, bo z mieszanki cukru z jajami wychodzi kogel-mogel, który jedzony w nadmiarze doprowadza do mdłości.

Chciało by się teraz powiedzieć – zdrowie pań, a tu pań coraz mniej i zajmponować nie ma komu i nie ma czym.

No jest na szczęście pani Bogusia...- wskazał Profesor na panią.

– Bogna – sprostowała wymieniona – trzepocząc rzęsami.

– Przepraszam szanowną panią; Bogna, Bogna. Tak pięknie, bo po kobiecemu pani sprostował. Pani zachowanie jest naturalne, a wypowiedane opinie sztuczne. Niech pani zostanie przy swej naturalności. Z tym pani do twarzy.

Bogna poprawiła włosy i spojrzała na Tadeusza.

Ach, wszystko pospolicieje. Rozgadałem się. Jakiś moralizatorski referat wygłosiłem. Nie lubię tego.

– Proszę pana, czekałam na pana, czekałam, żeby pan przyszedł. Ci panowie..., przepraszam państwo, nie mogli mi w tym pomóc, a ja.... – weszła w zdanie pani Bogna pomijając przedstawiony wywód.

– Wal pani. O co chodzi? – zapytał Profesor.

– „Drapie się gdzie go nie śwędzi” – to takie hasło.

– To z krzyżówki tak? Wpisz pani: taternik, alpinista, himalaista.

– Ojej, oj – jest, mam, o tu, pasuje. A skąd pan wiedział, że taternik, że to jego śwędzi?

Zebrani przy stoliku buchnęli śmiechem.

– Teraz się śmiejecie, a przedtem nikt nie wiedział. A dla czego tatarnika nie śwędzi, że tak powiem – dopytywała się Bogna wzbudzając jeszcze większą wesołość.

– Bo proszę pani, gdyby przy wchodzeniu po linie na ściankę, coś go zaśwędziało, to musiał by puścić linę żeby się podrapać i wtedy by spadł. Dlatego przed wejściem, mimo, że go nie śwędzi cały się drapie. Taki rytuał.

– Ach, no tak jasne..., teraz jasne i nic do śmiechu stwierdziła nadąsana Bogna.

Rysiek prowokująco zapytał;

– Ma pani jeszcze coś czego nie wie?

– To niemożliwe – stwierdził Profesor – taka inteligentna pani, po koledżu, w okularach.

– Niestety nie wiem jeszcze – przyznała skromnie

– A jednak – sarkastycznie stwierdził pan Tadeusz.

– Nie wiem w tych krzyżówkach kilku haseł.

– Ćwiczenie czyni mistrza, proszę pani – wygłosił sentencję Profesor podnosząc wskazujący palec. Krzyżówki rozwijają intelekt i pamięć bardziej niż obecny ogólniak. Spytajcie o cokolwiek te dwie sroki, które wytrzymały w milczeniu moją tyradę.

Dziewczyny jak nigdy siedziały nadal w milczeniu.

– Proszę pana, proszę państwa, o – takie choćby hasło „kto bronił reduty Ordona?” Kiliński, Kościuszkowski, Pułaski, Sucharski – nie pasuje, za długie.

– A kto to był Sucharski proszę pani? – zapytał z przekąsem pan Tadeusz.

– Bronił Westerplatte, proszę pana – odparła z dumą pani Bogna. Nie wie pan?

– No nie! Z całym szacunkiem, zupełnie poważnie. Zaskoczony jestem. Dużo pani wie – stwierdził Profesor. – A w krzyżówce niech pani wstawi Ordon. Postawili podchwytliwe pytanie.

– Ależ proszę pana oni się właśnie pytają kto bronił reduty Ordona.

– Właśnie Ordon. Jak pani nie wierzy, niech pani zapyta Mickiewicza, Adama zresztą.

– Och, dziękuję serdecznie – skinęła głową Bogna.

– Nie szkodzi. Sidorowski jestem.

– To pan nazywa się Sidorowski? Bardzo mi miło. Tak po nazwiskach się nie znamy. Jestem Bogna Czyż i wyciągnęła rękę do pana Zdzisława.

– A czyż nie pływalіśmy kiedyś z Piwowskim statkiem po Wiśle? – Zapytał.

– Nie, niestety nie znam. Ale jeśli chodzi panu o „Rejs”, to równie dobrze pan wkręca jak Tym; Stanisław zresztą, że tak powiem.

Za stolikiem zapadła cisza. Słyszeć tylko było szelest zbieranych krzyżówek.

– Tak pani Bogno Czyż. Lubię pyszności a nie lubię pychy, zarozumiałości i sam w nie wpadam. Chciałem zawsze być statecznym konserwatystą a często przybieram postać filuta.

– A wie pani, kto to jest konserwatysta? To nie jest łatwe do określenia szanowna pani Bogno Czyż. Jeśli w krzyżówce będzie hasło; „lubi mięso z puszki” – można śmiało wpisać – konserwatysta

– Czy mógł by mi pan jeszcze powiedzieć jedno?

– Do krzyżówki?

– Tak. „Utożsamianie boga z przyrodą”

– Panteizm proszę pani. Panteizm. To szerokie zagadnienie, kawał filozofii. Można by o tym długo i ciekawie, nawet przy tym stolicku....

– Ale brakuje konwersatorów takich jak miał Banach w „Szkockiej” we Lwowie; Ulm, Steinhaus, Mazur, no Kac.

– O podoba mi się ta uwaga – stwierdził Profesor- panie, panie...?

Tadeuszu.

Dziękuję panie Tadeuszu. Widzę, że jeszcze sobie pogadamy. Nieraz tematy napływają niepostrzeżenie, nieraz prowokowane. Wszystkie warte są przegadania.... jeśli są słuchacze, choćby osoby, które chcą słuchać. Nawet takie które się na tym nie znają ale chcą się czegoś dowiedzieć.

Jak powiadał rabin Szymcha Bunan z Przysuchy; głupi mówi to co wie, mądry zaś wie co mówi.

On też powiedział ”cale moje życie było tylko po to, abym nauczył się umierać”. Jestem mało pojętnym uczniem, ale ćwiczę, ćwiczę – Zakończył pan Profesor i pośpiesznie odszedł od stolika.

Przy wyjściu stała Ala.

– Czekałam na pana tu. Tam nie mogę o tym mówić.

– Nie teraz panienko.

I mężczyzna pospiesznie oddalił się do stojącego nie opodal volvo. Gdy tylko wsiadł kierowca wolno odjechał.

FLIRT NAD MORZEM

Andrzej siedział w gabinecie szefowej oczekując na ocenę swej pracy oraz dalsze dyspozycje. Wszystko co tu stało i wisiało było podporządkowane skromnej funkcjonalności. Podobny styl zachowała pani prezes we własnym ubiorze jak i w relacjach z pracownikami.

Teraz podniosła z nad papierów powieki i uprzejmym nie wymuszonym tonem podziękowała za sprawozdanie.

Andrzej odnosił się do swojej szefowej ze swobodną uprzejmością, bez cienia nonszalancji lub lekceważenia. Odchodząc podziękował, przysunął krzesło na miejsce i zamierzał odejść.

W tym samym czasie pani prezes wyszła z za biurka, oparła się o mahoniową boazerię i zaczęła opowiadać Andrzejowi o swoim projekcie komunikacji z....

Intrygujące było to, że takie przetrzymywanie pracownika miało miejsce już po godzinach pracy, czego szefowa nie praktykowała. Andrzej mniej uważnie słuchał, za to bardziej obserwował przełożoną. Uznał, że jej monolog jest tylko pretekstem do jego zatrzymania. Wynikało to również z jej spiętej sylwetki i wzroku, którym powoli omiatała stojącego naprzeciw mężczyznę.

Andrzej niespodziewanie nawet dla siebie podszedł do swej przełożonej i pocałował ją prosto w usta. Był to pocałunek delikatny, takie przyklejenie swych ust do jej warg, po czym wrócił na swe miejsce przy drzwiach.

Kobieta nie poruszona, przywarła całą postacią do ściany, na której jasną plamą rozłożyły się jej gęste blond włosy.

Był to decydujący moment, który zaważył na ich dalszych relacjach.

Andrzej podszedł do szefowej i musnął ją w policzek. Kobieta nie zareagowała. Ośmielony tym podszedł jeszcze raz i wargami dotykał jej skroni, oczu, jej szyi. Podniósł jej okulary nad czoło i zaczął delikatnie całować usta.

Kobieta nadal stała nieruchomo przy ścianie ze wzrokiem wpatrzonym

w dal. Bardzo nieznacznym ruchem strącił jej okulary, które padły u jego stóp. Wyczuł je pod butem i z premedytacją zgniótł aż zachrząściło.

Kobieta drgnęła i w tym czasie Andrzej mocno przywarł do jej warg.

Te pocałunki przyjęła z mniejszą biernością niż poprzednie. Pozostawała nadal nieporuszona z rękami schowanymi za swym ciałem, jakby bała się spontanicznej reakcji zarzucenia ich na szyję swego pracownika.

Andrzej całował coraz goręcej, aż pobudził reakcję szefowej, której objawem był krótki spazmatyczny oddech z równoczesnym cichym mruczeniem.

Nagle kobieta odepchnęła energicznie Andrzeja, a po jej policzkach potoczyły się łzy.

Andrzej dyskretnie się odwrócił. Nie chciał nic przedłużać lub wymuszać. Chciał ją zostawić w tym stanie samą.

Wychodząc spotkał na korytarzu Adę.

– Co szefowa tak długo cię molestowała? Znowu się ciebie czepiała?

– Chodź to ci powiem w sekrecie. Wejdz na piętro wyżej. Spotkamy się w holu przy ubikacji, w której ku zadowoleniu Ady dokończył to, co zaczął z szefową.

Niespodziewanie dla siebie następnego dnia zwierzchniczka zaproponowała mu kilkudniowy wyjazd nad morze.

Oferta została skwapliwie przyjęta. Wyszli teraz z „Pirata”. Po chłodzie klimatyzowanej sali mocniej odczuli skwar popołudnia potęgowany bezruchem powietrza.

Monika wsunęła rękę pod ramię Andrzeja, mocno przywarła do jego boku.

i skierowała kroki w stronę ich pensjonatu

Andrzeja nieco zdziwiła ta decyzja. Po obiedzie zawsze szli nad wodę. Lubił ten zwyczaj. Sycił wzrok gracją Moniki gdy ze ściągniętą w dłoń kolorową spódnicą figlowała z falami. To ganiała je jak najdalej w morze wysoko obnażając nogi, to z piskiem przed nimi uciekała. Na tym polegała cała jej kokieteria, że flirtowała jednocześnie z morzem i Andrzejem, aby w końcowym efekcie pokazać się w mokrej, oblepiającej uda spódnicy.

Dziś szła jak przyklejona do Andrzeja i od czasu do czasu głęboko wzdychała. Może to zbyt syty obiad i jeszcze ta melba. A może ten upał, może....

W pokoju nie było chłodniej. Monika zrzuciła z łóżka koc i położyła się na prześcieradle. Na zwyczajowe drinkowanie nie była jeszcze pora.

Andrzej usiadł w fotelu naprzeciw i patrzył na wyciągniętą jak struna Monikę. Stopy trzymała razem, ręce ułożyła wzdłuż ciała a głowę wsparła na płaskiej poduszce. Zrobiło mu się nie swojo. Odgonił złe myśli. Może Monika bała się tego. Może przeżywała niepewność i chciała być sama ze swymi myślami.

Nie, trzeba to przerwać, odgonić natręctwa.

Andrzej bezszelestnie wstał i sięgnął po whisky. Zawahał się czy rozlać w dwie szklanki. Napełnił jednak jedną i wrócił na swoje miejsce. Monika nadal leżała w bezruchu z zamkniętymi oczami. Czuł, że nie spała. Sączył alkohol i wpatrywał się w leżącą. W tej pozycji wyglądała jeszcze bardziej na smuklejszą i wyższą. Ciemny brąz ciała widoczny nawet przez batyst sukienki, lekko falujące w rytm oddechu piersi i niewiele rozchylone, spierzchnięte wargi nadawały tej nieruchomej figurze ponętny wyraz.

Andrzej stanął nad Moniką i się w nią wpatrywał. A może ten bezruch to poza.? A może to jakaś nowa gra Moniki.

Przysiadł na łóżku. Ciągłe leżała nie poruszona. Pociągnął palcem wskazującym po brwiach. Delikatnie, musnięciami całował zamknięte powieki, potem rozchylone wargi.

Monika trwała w bezruchu.

Delikatnie zaczął całować szyję i dekolt. Prze cienki materiał czuł na wargach rozgrzane, tętniące ciało. Wziął do ust łyk alkoholu i przy pocałunkach nasącał nim materiał. Powoli, systematycznie powtarzał to raz przy razie od piersi aż do kolan. Monika teraz parowała olejkami i whisky. Wonie te podniosły erotyzm sceny.

Andrzej ujął w palce nasączony materiał i zaczął go rozrywać. Ustępował bez oporu odsłaniając ciało. Monika nie oponowała, pozostawała nadal w bezruchu.

Ośmielony podnieceniem rozrywał powoli sukienkę od góry do dołu. Mokre, brązowe ciało odsłonięte fragmentami błyszczało przy zapadającym zmierzchu. Sytuacja dla Andrzeja była dziwna i nowa. Zachowanie Moniki było wbrew jej żywiołowej naturze, która reagowała na każde dotknięcie. Choć Andrzej sycił wzrok tym widokiem był równocześnie zakłopotany wytworzo-

ną sytuacją. Nie chciał jednak tego stanu przerwać. Nie wiedział czy bardziej oczekuje jej przebudzenia i impulsywnej reakcji, czy chce w tym trwać. Bał się tego popsuć przez jakieś brutalne zachowanie.

Pociągnął łyk whisky, pochylił się nad Moniką i powoli wsączył w jej usta alkohol. Przyjęła go spokojnie. Powtórzył to jeszcze dwa, trzy razy. Poczł jak Monika coraz szybciej oddycha. Przy kolejnym zbliżeniu do jej warg Monika odwzajemniła pocałunek najpierw przez delikatne muśnięcie, a potem przez mocne przywarcie. Nie był to jednak gorący, namiętny pocałunek. Wargi ich przywarły całą powierzchnią i tak trwali w bezruchu oddychając w siebie.

Andrzej wstał. To nowe doznanie i zachowanie Moniki nie pozwalało mu na nic więcej.

Podszedł do okna i przez lekko falującą firankę popatrzył w mrok. Z oddali słychać było głosy dzieci i gwar jakiś biesiadników. Włączył radio. Światło skali dyskretnie oświetliło pokój, jakże teraz inny niż każdego wieczoru.

Przykrył Monikę pledem. Wpatrywał się jeszcze w pogrążoną w mroku twarz i ciało. Wydawało mu się, że ona śpi. Położył się ostrożnie obok. Nie mógł jednak długo zasnąć. Wiedział, że dalej nic nie będzie, że coś jej wzbrania, wstrzymuje dalsze posunięcia.

PIZOŃ U ZYGFRYDA I

Z za drzwi dobiegł niezbyt głośny, ostry gwizd i natychmiast wszedł Pizoń. Zatrzymał się przy pianinie, pobrał przygotowany kieliszek wiśniaku i z zapraszającym gestem zwrócił się w stronę pogrążonego w półmroku pokoju:

– Nu, dawaj!

Z głębi z wolna ujawniała się drobna postać starszego mężczyzny o bladej znużonej twarzy. Pobrał drugi kieliszek i jednym haustem jednocześnie wypili.

– Co ty mnie tak zawsze witasz po Rusku.

– Takaja prywyczka. Ot, co. – odparł gość.

– A co ty zawsze do mnie; Pizoń?

– A jak mam wam mówić; Stasiu? Z ironią zapytał gospodarz.

– A dlaczego by nie? Ja Stanisław a ty Zygfryd i znamy się z najgorszej strony, a to łączy.

– Jednak inne zachodzą relacje – stwierdził Zygfryd i zaprosił Pizonia do mniejszego pokoju. Tu na wszystkich ścianach były półki z książkami i albumami, między którymi stał niewielki barek oraz duże biurko. Na blacie stał laptop, piramidka książek i kilka kupek karteczek.

Pizoń usiadł przy biurku na twardym krześle. Drugie – zgodnie z rytuałem – zajął Zygfryd stawiając dwie szklaneczki whisky bez lodu.

– Relacje są te same, warunki się zmieniły – ot, co! Stwierdził Pizoń i pociągnął dwoma palcami za nos jakby go wydłużając.

– To czemu zawsze zwracasz się do mnie Tomy? – zapytał Zygfryd patrząc prosto w oczy Pizoniowi.

– Tak się zaczęło i tak zostało. Kiedyś ci to wyjaśnię – westchnął ciężko Pizoń i poprosił o nowe nalanie.

Gość energicznie opróżnił szklaneczkę, klepnął się po kolanie, znowu pociągnął za nos i wstał zbierając się do wyjścia.

– A powiedz mi, co się tak często bez sensu kręcisz pod Forum i to przy samej jezdni?

– Szpiegujesz mnie – raczej stwierdził niż zapytał Zygfryd. Taka u ciebie przywyczka?

– Masz coś jeszcze do mnie? – spytał Pizoń.

– Mam.

– A co?

– Książkę. Pożyczam. Przeczytaj.

Pizoń wziął niechętnie czarną jak trumna książkę, obejrzał od przodu, od tyłu i z niechęcią skomentował:

– Co to jest? „Genialni” Lwowska Szkoła Matematyczna? Kalkulacji mam się nauczyć na stare lata? Czy może to coś znaczy? – Dopytywał zdziwiony Pizoń. A kto to ten Urbanek? Coś z nim może....?

– Bez podtekstów. To jest książka nie o matematyce a o matematykach, o ludziach, o ich postawach, o przyjemności gwarzenia w dobrym gronie.

– Znaczy się, że mam zadanie na następne spotkanie?

– Nie, możesz trzymać dłużej. To lektura dla relaksu i dla refleksji.

– Jaki ty się Tom robisz dziwny. Może mięknieysz?

Pizoń wyszedł, jak zwykle bez pożegnania. Upewniał się jeszcze w progu

– Jak mam przeczytać, normalnie?

– Tak.

– A do tego autora naprawdę nic nie masz?

– Nie. Mam do innego.

Zaciekawiony Pizoń próbował zatrzymać się w progu lecz wypchnęły go zamykające się drzwi.

PRZY STOLIKU III

Przy stoliku, właściwie między stolikami panował dzisiaj ruch. Pani Bogna z Profesorem, siedzieli blisko siebie nad rozłożonymi krzyżówkami. Obok stolika stali Jerzy i Olaf. Porządkowali w torbach sportowe stroje, poczesywali włosy, zkładali zegarki i wymieniali między sobą krótkie uwagi na temat treningu, kondycji i bywalców. Jerzy rozglądał się przy tym po kawiarence szukając Andrzeja, swego ulubionego partnera dyskusji i ciętych komentarzy.

Jerzy, wysoki, dobrze zbudowany z czarną grzywą włosów niesfornie opadających na czoło i nieco pochylona postawa jak boksera skupionego do ataku przyciągał uwagę pań w każdym wieku.

Olaf płowy, szczupły, wysoki, delikatny, skupiony. Cały jego charakter prezentował błąkający się, nieco zażenowany uśmiech, za którym mógł się skryć, wycofać w razie twardych, stanowczych argumentów adwersarza.

Uśmiech ten miał usprawiedliwiać, że wypowiedziane przez niego zdanie było tylko ironią, lekką kpina, a nie jego zdecydowaną opinią.

Jednak w brew swej naturze Olaf próbował dopasować się do swego otoczenia, wykrojonych jak spod sztancy chłopców z korporacji, gdzie wymagana jest pewność siebie nawet beczelność, trajkotane serie zdań bez znaczenia i lans. Wożenie się, przebijanie, kto gdzie był, co kupił, co już ma i co jeszcze będzie miał.

Jerzy wzrokiem omiótł siedzącą grupkę i jak zwykle z nikim się nie witając przysiadł się do stolika. To samo uczynił i Olaf.

– Wyglądasz jakby cię z pralni wyciągnęli – krytycznie ocenił Jerzy wygląd Olafa.

– No, parę kilo dziś przerzuciłem.

– Daj spokój, na sztandze po jednym plasterku założone... ile tego było... 60 kilo? – nadal kpił Jerzy.

– Stary, ale ja nie robię masy jak te ogiery, tylko muszę się trochę pod- rzeźbić na lato – wyjaśniał Olaf.

– No to co tam dzisiaj robiłeś? – sarkastycznie dopytywał Jerzy

– Klatkę, najszerszy i triceps.

Do dyskutujących panów próbowały się włączyć dziewczyny.

– A my dziś...

Jednak żaden z nich nie zwracał na nich uwagi i wymianę zdań kontynuowali.

– No to już wiem czemu nie masz siły. Jak zrobisz triceps to zmęczysz ręce i na kłacie już se nie dasz rady. Kto ci układał trening? Chyba żona?

– A co ty taki mądry jesteś?. Najpierw zgub tę oponkę a potem będziesz się wozził. – Odparował Olaf.

– Od mojej oponki to ty się odwal. Jeszcze trochę pobiegam i zobaczysz jaki kaloryfer będzie.

– Chyba po bułki do sklepu... a kaloryfer, to ty masz w domu.

– Dooooobra, nie świruj. O której jutro?

– Jutro o dwudziestej, bo wcześniej nie dam rady.

– A w końcu jak z tą gablota. Pozwoliła ci żona zmienić...no, uzgodniliście w końcu – dopytywał Jerzy. W lizingu jest OK. Tylko nie bierz Skody..., obciach.

– Skoda jest do dupy – śmiało odezwała się Ala – jeden facio by mi dzisiaj, jak tu szłam wjechał w....

– No właśnie – zasmucił się Jerzy.

Ośmielona Ala próbowała nawiązać kontakt opowiadając w miarę fachowo o swoich zajęciach.

– My dzisiaj włączyliśmy się w trening obwodowy. Wygodne to bo można wejść w każdej chwili. Ale potem trener doradził żeby poćwiczyć stretching. Dobrze on robi na rozciągnięcie, zmysł orientacji i ułożenia własnego ciała.

Dopiero teraz Jerzy spojrział na dziewczynę i śmiejąc się zaproponował;
– No to chodźmy poćwiczyć to ułożenie ciała. Masz gdzie? Olaf bierz tę drugą i na ćwiczenia.

Zdezorientowany Olaf nieśmiało bąkał – ale miałeś przecież iść do dzieci.

– To będzie krótko, też tylko ćwiczenia. Odstresowanko się należy – wyjaśniał Jerzy koledze zgarniając dziewczynę.

– Pani Zosiu kluczyk.

Po kilku minutach wracając do stolika Ala położyła pani Zofii na barze kluczyk i pięćdziesiąt złotych.

Przy stoliku wrzała dyskusja polityczna kolejny raz sprowokowana przez panią Bognę ostentacyjnym stwierdzeniem, że ją polityka nie interesuje.

Ala stuknęła Olkę w rękę i zaproponowała:

– Chodźmy. Nudziarze. A ty jesteś totalnie nierozgarnięta.

Pociągnęła byś tego drugiego i za jednego pięćdziesiątaka obie byśmy miały wejście.

– Pani zajmuje się krzyżówkami i sobą – perorował pan Tadeusz – a polityka zajmuje się panią. Pani jak ta kura, tu dzióbnie ziarenko, tam trawkę i na grzędę.

– No, wie pan, coś takiego. Pan mnie obraża Panie Tadeuszu.

– Ja tylko obrazowo stwierdziłem, pani wybór, pani poglądy.

Siedzą takie przed telewizorem, coś tam leci, tu wojna, tam kryzys, tu coś zlikwidowali, a mnie to nie dotyczy. Krzyżówka i gary.

– Tego już mam dość – obruszyła się Bogna pozorując zamiar odejścia od stolika.

– Dobrze, przepraszam chcę dać przykład. Od południa zbliża się do nas fale islamu. Wchodzą jak w masło, bo natrafiają próżnie. Rozbite rodziny, bez hamulców kobiety, brak wartości, ideałów. Gdy słyszy to pani z telewizora, zdaje się że to daleko, że to jej nie dotyczy. A jeśli nie przeciwstawia się pani polityce tolerancji..., bo to jest pani Bogno jednak polityka. Nie ta nasza zwykła Polska tolerancja a polityka, która jest w samej istocie nietolerancyjna dla tych, którzy nie potępiają tego co wskazane jest do potępienia i nie akceptują tego, co wskazane jest do potępienia. Totalizm. Namąciłem? Zamilczę.

A, jeszcze jedno. Elektrownia atomowa czy węglowa, autostrada czy droga

ekspresowa, nauka i opieka zdrowotna płatna czy darmowa – o tym decydują politycy, a to dotyczy również pani.

– Ale ja nie mam na to wpływu – broniła swego stanowiska pani Bogna. I tak rządzą wybrani, a nimi światowe korporacje, banki, no....

– Zgadzam się. Widzę że pani orientuje się w polityce. Nikt z nas nie ma bezpośredniego wpływu na władzę, jak i na innych.

Poruszył się przy tym Profesor i cicho chrząkał.

– Jednak jak mówił Lenin – zaśmiał się Tadeusz – gdy zbierze się grupka, potem gromada, potem powstanie ruch, który ruszy wicher zmian i powstrzyma zapędy jakichś szalonych polityków, szajki lub bandy, które były, które są i zawsze będą. Trzeba próbować, żeby nie wszystko im się udawało.

– A propos udać. To słowo pochodzi od uda? Chciałem pani już dawno powiedzieć – może to niestosowne – że obydwu ma pani bardzo ponętne.

– No wie pan, panie Tadeuszu, coś takiego. Nie spodziewałam się tego usłyszeć od pana. Zawsze taki stosowny, umiarkowany,... i tak od razu o.... No, no, no, mam nadzieję..., ach co tam.

I Bogna nieśmiało protestując poprawiła sobie włosy, oblizała wargi i za-trzepotała rzęsami.

– Pani Bogno, ja też wszystkiego nie wiem, mam rozterki z wyborami, nie wiem kiedy podają prawdę, a kiedy kłamia. Tak gadam, niech pani mi nie ma za złe.

Nie gniewam się – powiedziała kładąc rękę na dłoni Tadeusza.

– To na zgodę chodźmy do „Dorotki” na lampkę wina – zaproponował Tadeusz

Twarz Bogny się rozpozodziła. Spojrzała na zegarek i z udawanym zakłopotaniem pozwoliła się panu Tadeuszowi wyprowadzić.

Profesor został sam.

(cdn.)

Wybrane działania i wydarzenia w roku 2017 zorganizowane przez Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoję Owianego:

Dyskusja panelowa
Agentura w środowiskach kultury
19 maja, Warszawa,
Przystanek Historia



W dyskusji udział wzięli: prezes Fundacji „Łączka” **Tadeusz Pużalski** oraz **Bohdan Urbankowski** (autor wydanej przez nasz Instytut książki „Pierścień Gygesa”) i **Jarosław Jachimczyk** (autor książki „Najweselejszy barak w obozie”).

VI Konferencja Świętokrzyska,
Wielka Milanowska, 26-28 maja,
Szkice z historii myśli nurtu
niedopodległościowego



Tradycyjnie, w ostatni weekend maja, odbyła się u stóp Łysej Góry, konferencja zorganizowana przez Ośrodek Myśli Niedopodległościowej Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoję Owianego. W konferencji wzięło udział ponad 30 osób. Referaty wygłosili: **dr. Maciej Zakrzewski (IPN Kraków), Miroslaw Lewandowski, dr. Bohdan Urbankowski, minister Jan Kasprzyk (Szeft UdSKiOR)** oraz **dr Karol Chyliak**. W roku 2018 wydane zostaną materiały konferencyjne z tekstami referatów oraz zapisem dyskusji po każdym z nich.

Spotkanie wspomnieniowe poświęcone
Andrzejkowi Szomanskiemu
28 października, Warszawa, budynek
PASTY



To już 30 lat jak s.p. Andrzej Szomanski odszedł od nas na wieczną walcę. Spotkanie prowadził **Miroslaw Lewandowski** a referaty wygłosili, **Maciej Gawlikowski, Jerzy Woźniak** i **Bohdan Urbankowski**.

Najważniejsze publikacje Wydawnictwa Polskiego Instytutu Historycznego w 2017 r.:

Źródła. Z dziejów myśli polskiej



Monumentalne 4-tomowe opracowanie **Bohdana Urbankowskiego** poświęcone historii polskiej myśli filozoficznej i politycznej: tom I, *Budowniczość nadopowierzanych katedr* (m.in. Frycz-Modrzewski, przedstawicieli sumaryzmu i oświecenia), tom II, *Hyecze nadopowierzanej walki* (przedstawicieli romantyzmu), tom III, *Straznicy niewidzialnych arsenałów* (pozytywiści, socjaliści, Józef Piłsudski) oraz tom IV, *Tłumacze narodowych testamentów* (m.in. metafizyka lwowsko-warszawska, Tadeusz Kotarbiński, Feliks Koneczny, Florian Znaniecki, Karol Wojtyła).

Pierwsze dwa tomy z cyklu Kamienie



Cykł poświęcony jest przywódcom pilsudczykowskiego nurtu niedopodległościowego w kraju w latach 1956-1979. Pierwsze dwa tomy to opracowania nt. działalności b. członków Komendy Głównej AK: **Ludwika Muzyckiego** i **Kazimierza Pluty-Czajchowskiego**. Autorem jest **Miroslaw Lewandowski**

Kwartalnik
Opinia nurtu niedopodległościowego
nr 12-16

Pismo ukazuje się od 2013 r. Jego redaktorem naczelnym jest obecnie **dr Andrzej Anusz**.

Ponadto w roku 2017 Instytut Historyczny m. wyprodukował

film dokumentalny
Marsze Niedopodległości



Autorem scenariusza i reżyserem filmu jest **Maciej Gawlikowski**. W ciągu 60 minut przypomniano znaczenie czynu legionowego oraz przedstawiono w atrakcyjny sposób historię **Marszów Szlacheckich** I Kompanii Kadrowej od 1981 r. aż po rok 2017.